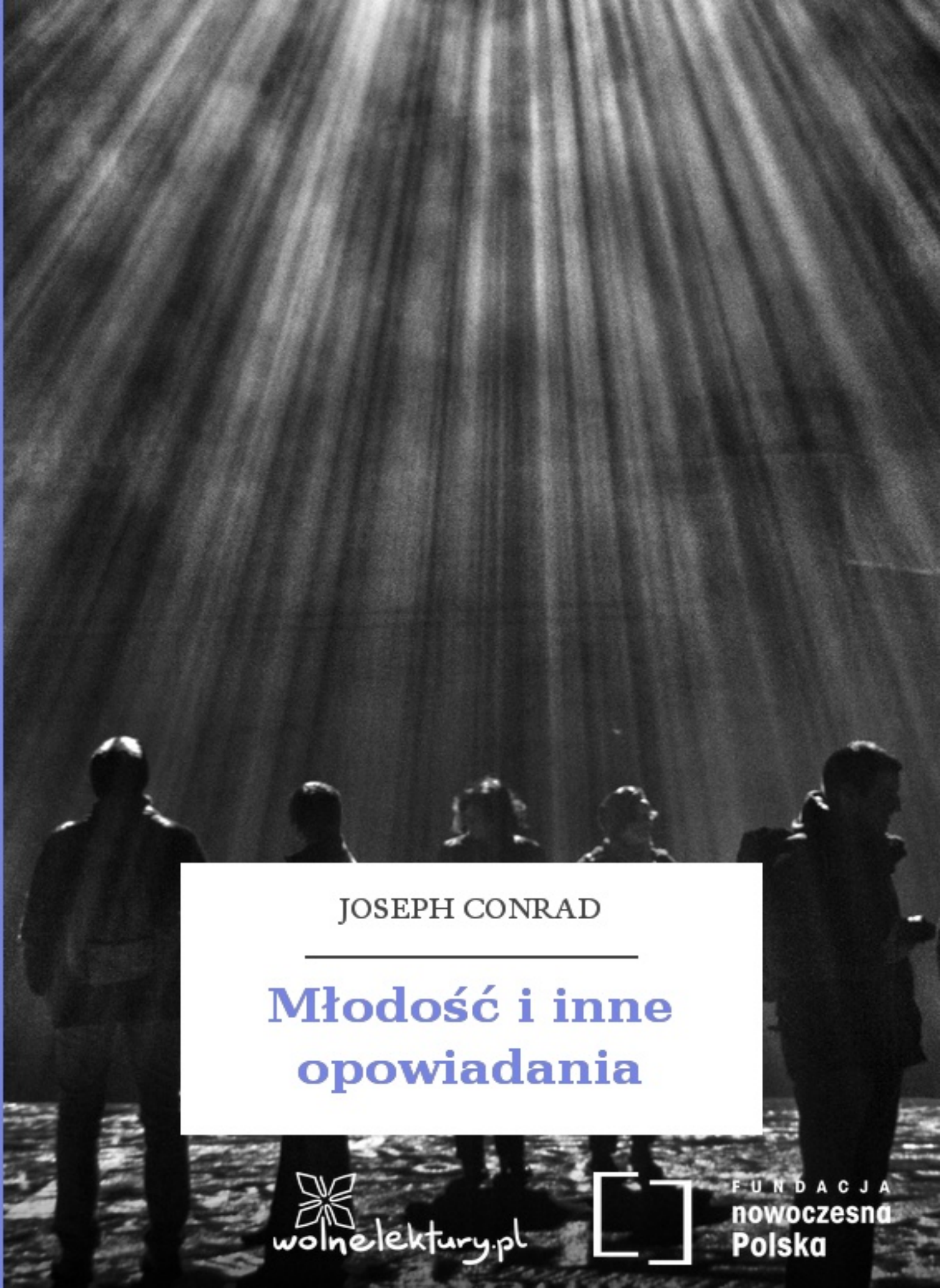

JOSEPH CONRAD

Młodość i inne opowiadania

wolnelektury.pl

FUNDACJA nowoczesna Polska

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

Joseph Conrad

Młodość i inne opowiadania

Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Nowoczesna Polska.

Przedmowa autora

Mojej żonie

... Lecz karzeł odrzekł: nie; wszystko, co ludzkie,
droższe mi jest od bogactw całego świata

Bajki Grimma

Trzy opowieści zawarte w tej książce nie mają pretensji do jedności artystycznego celu. Jedyną łączącą je więzią jest czas ich powstania. Należą do okresu następującego bezpośrednio po wydaniu *Murzyna z załogi „Narcyza”*, a poprzedzającego pierwszy pomysł *Nostromo*, dwóch książek, które, jak mi się zdaje, wyodrębniają się wśród całości mego dzieła. Jest to zarazem okres mojej współpracy z „Blackwood’s Magazine”, okres, w którym dominuje *Lord Jim*; owe czasy wiążą się w mej wdzięcznej pamięci z krzepiącą, uczynną dobrocią nieżyjącego już Williama Blackwooda.

Młodość nie była pierwszą pracą, jaką dałem do „Blackwood’s Magazine”. Była już drugą. Ale w tej noweli pojawia się na świecie po raz pierwszy człowiek nazwiskiem Marlow, z którym moje stosunki zacieśniły się bardzo z biegiem lat. Pochodzenie tego dżentelmena (o ile wiem, nikt nigdy nie wątpił o jego dżentelmeństwie) było przedmiotem pewnych literackich domysłów przyjaznej natury, co miło mi stwierdzić.

Zdawałoby się, że moja osoba jest powołana, by rzucić światło na ową kwestię, ale mówiąc szczerze, nie uważam tego wcale za takie łatwe. Przyjemnie mi wspomnieć, że nikt nigdy nie posądził Marlowa o szalbiercze zamiary ani nie uważał go za szarlatana; poza tym jednak ludzie pomawiali go o najprzeróżniejsze rzeczy; przypuszczano, że jest zręcznym parawanem, zwykłym pretekstem, czyimś sobowtórem, opiekuńczym duchem, podszeptującym „demonem”. Na mnie zaś padło podejrzenie, iż obmyśliłem plan, aby nim zawładnąć.

Tak nie było. Nic sobie z góry nie układałem. Z człowiekiem nazwiskiem Marlow zeszliśmy się zupełnie przypadkowo, tak jak się zawiera znajomości w miejscach kuracyjnych[1] — znajomości, które czasem dojrzewają do przyjaźni. I tak się też stało w tym wypadku. Pomimo stanowczości, z jaką Marlow wypowiada zazwyczaj swe zdanie, nie jest bynajmniej natrętem. Nawiedza mnie w godzinach samotności i wtedy milcząc rozmyślamy nad czymś wspólnie w przytulnym, harmonijnym nastroju, lecz rozstając się z nim przy końcu opowieści, nie jestem nigdy pewny, czy to nie po raz ostatni. Nie myślę jednak, aby który z nas miał ochotę przeżyć drugiego. Co się tyczy Marlowa, jego funkcja skończyłaby się w każdym razie z moją śmiercią i cierpiałby nad swym zatraceniem, gdyż podejrzewam go o pewną próżność. Nie mam tu na myśli próżności w znaczeniu Salomonowym. Ze wszystkich moich postaci on jeden nie drażnił mnie nigdy. To człowiek na wskroś dyskretny i wyrozumiały.

Młodość została bardzo dobrze przyjęta nawet jeszcze przed ukazaniem się w książce. Muszę wyznać nareszcie — a to miejsce równie dobrze się do tego nadaje jak każde inne — że byłem przez całe życie — przez całe dwa moje życia — zepsutym przybranym dzieckiem Wielkiej Brytanii, a nawet wielkobrytyjskiego cesarstwa. Wygłaszam to oświadczenie nie z powodu utajonej skłonności do megalomanii[2], lecz przeciwnie, jako człowiek, który nie ma co do siebie wielkich złudzeń. Podlegam uczuciom chełpliwości[3] i pokory wrodzonej każdemu. Trudno bowiem zaprzeczyć, że ludzie się pysznią przeważnie nie swymi zasługami, lecz raczej niezwykłym swym szczęściem, zdumiewającym powodzeniem; tym, za co dziękczynienia i ofiary należy składać na ołtarzach nieprzeniknionych bogów.

Jądro ciemności również zwróciło na siebie od razu dość znaczną uwagę, a o jego pochodzeniu tyle mogę powiedzieć: wiadomo ogólnie, że ludzie ciekawi wścibiają nos w najprzeróżniejsze miejsca (gdzie nie mają nic do roboty) i wynoszą stamtąd zdobycz najrozmaitszą. To opowiadanie i jeszcze jedno, nie zamieszczone w niniejszym tomie, jest całym łupem, jaki wyniosłem ze środka Afryki, gdzie doprawdy nie miałem nic do roboty. *Jądro ciemności*, opowieść o bardziej ambitnym założeniu, a przy tym dłuższa, jest w zasadniczych rysach równie autentyczna jak *Młodość*. Pisałem ją w innym usposobieniu, co jest zresztą widoczne. Nie chcę tego usposobienia ściślej określać, ale

każdy może stwierdzić, że nie był to bynajmniej nastrój tęsknego żalu lub wspomnień pełnych czułości.

Można tu dodać jeszcze jedną uwagę. *Młodość* jest popisem pamięci. Jej treść to wspomnienie pewnego mego przeżycia; lecz całe to przeżycie i w treści wewnętrznej, i w zewnętrznym swym zabarwieniu zaczyna się i kończy we mnie. *Jądro ciemności* jest również przeżyciem, ale przesuniętym trochę (choć bardzo nieznacznie) poza fakty, które zaszły istotnie, dla celu najzupełniej usprawiedliwionego, jak sądzę; chciałem uczynić owo przeżycie bliższym umysłom i sercom czytelników. Nie chodziło mi tu już specjalnie o ścisłość kolorytu. Był to jak gdyby zupełnie inny rodzaj sztuki. Musiałem nadać ponuremu tematowi złowrogi rezonans, ton bardzo swoisty i przeciągłą wibrację, które — miałem nadzieję — zostaną w powietrzu i będą dźwięczały w uszach, gdy ostatnia nuta już przebrzmi.

Omówiwszy to wszystko, muszę jeszcze wspomnieć o ostatnim opowiadaniu tej książki. *U kresu sił* jest opowieścią z życia morskiego, ujętą w sposób dosyć szczególny, a oto najbardziej poufna rzecz, jaką mogę o niej powiedzieć: żyjąc długie lata tym życiem w całej pełni, wśród jego ludzi, jego pojęć, jego wrażeń, uznałem bez wahania — z zupełną szczerością i spokojnym sumieniem — że mogę wysnuć dzieje kapitana Whalleya i opowiedzieć, jaki był jego koniec. Ta moja deklaracja zyskuje na sile z następującego powodu: oto kartki tej opowieści, stanowiące dokładnie połowę książki, są również wynikiem

doświadczenia. Owo doświadczenie (zarówno jak i przeżycia opisane w *Młodości*) odnosi się do czasu, gdy jeszcze w głowie mi nie postało, że będę kiedykolwiek pisał. Co zaś do „realności” opowiadania, muszą już o niej zadecydować czytelnicy. Wypadło mi zbierać tu i ówdzie potrzebne fakty. Więcej wprawy byłoby je uczyniło prawdziwszymi, a cały utwór bardziej zajmującym. Ale tu już zbliżamy się do mglistej krainy artystycznych wartości, gdzie wchodzić mi nie wypada i gdzie zaiste groziłoby mi niebezpieczeństwo. Przejrzałem korekty, poprawiłem parę błędów drukarskich, zmieniłem parę słów — i to wszystko. Nie bardzo jest prawdopodobne, abym przeczytał jeszcze kiedykolwiek *U kresu sił*. Nic więcej mówić nie trzeba. Najbardziej mi odpowiada właśnie takie rozstanie z kapitanem Whalleyem — wśród serdecznego milczenia.

1917

J. C.

Młodość

Mogło się to wydarzyć tylko w Anglii, gdzie ludzie i morze niejako przenikają się wzajemnie: morze wchodzi w życie większości ludzi, a ludzie wiedzą o morzu coś niecoś lub też wszystko, czy to jako o rozrywce, czy terenie podróży, czy wreszcie warsztacie pracy.

Siedzieliśmy wokoło mahoniowego stołu, wsparci na łokciach; gładki blat odbijał butelkę, kieliszki z czerwonym winem i nasze twarze. Był tam dyrektor różnych towarzystw, buchalter, prawnik, Marlow i ja. Dyrektor przeszedł ongi szkołę na „Conway'u", buchalter służył przez cztery lata na morzu, prawnik — wspaniały okaz omszałego torysa, anglikanin, najmilszy towarzysz, wcielenie honoru — pełnił służbę pierwszego oficera na linii śródziemnomorsko-wschodniej w dobrych, dawnych czasach, gdy pocztowe statki miały żagle na rejach przynajmniej u dwóch masztów i wjeżdżały na Morze Chińskie pod sprzyjającym monsunem z dodatkowymi bocznymi żaglami rozpiętymi w dole i w górze. Każdy z nas rozpoczął życie w marynarce handlowej. Jednoczyła nas wszystkich pięciu silna więź morza oraz koleżeństwo w rzemiośle, którego nie może zastąpić choćby i największe zamiłowanie do jachtingu, żeglowania i tym podobnych sportów, ponieważ są to tylko przyjemności życia, gdy tamto jest samym życiem.

Marlow (mam wrażenie, że tak się pisze jego nazwisko) opowiedział nam historię, a raczej kronikę pewnej podróży:

— Tak, widziałem coś niecoś ze wschodnich mórz; ale najlepiej pamiętam pierwszą podróż w tamte strony. Wy wiecie, koledzy, że zdarzają się podróże, które są jakby umyślnie zamówione dla zobrazowania życia — które mogą służyć za symbol istnienia. Człowiek walczy, pracuje, oblewa się potem, zamęcza się prawie na śmierć, czasem istotnie daje życie, ażeby czegoś dokonać — i ani rusz mu nie idzie. Nie z jego winy, po prostu nie może nic zrobić, ani wielkiego, ani małego, nic a nic, nie może się nawet ożenić ze starą panną lub dobić z nędznym sześćsettonowym ładunkiem węgla do wyznaczonego portu.

Ta historia zasługiwała na to, aby ją zapamiętać. Była to pierwsza moja podróż na wschód, i to pierwsza, w której uczestniczyłem jako drugi oficer; było to także pierwsze dowództwo mojego szypra[4]. Przyznacie mi, że czas już naglił. Przynajmniej sześćdziesiąt lat miał ten mały, przygarbiony człowieczek o szerokich, niezupełnie prostych plecach i jednej nodze bardziej kabłąkowatej niż druga, o dziwacznej, koślawej postaci, jaką widuje się często u ludzi pracujących w polu. Nos jego usiłował zetknąć się z brodą nad zapadniętymi ustami, a twarz przypominała dziadka od orzechów; okalał ją siwy jak stal, puszysty zarost, podobny do podpinki od hełmu zrobionej z waty i posypanej sadzami. A w tej starej twarzy tkwiły błękitne oczy, dziwnie podobne do oczu chłopięcych, o niewinnym wyrazie, który czasem zupełnie przeciętni ludzie zachowują do końca życia dzięki rzadkiemu darowi prostoty serca i prawości ducha. Zachodziłem w głowę, co go skłoniło do przyjęcia mnie na

statek. Rozstałem się właśnie z szykownym kliprem[5] australijskim, gdzie byłem trzecim oficerem, a mój nowy szyper zdawał się mieć uprzedzenie do szykownych kliprów jako arystokratycznych i zadzierających nosa. Powiedział mi: „Proszę pana, na tym statku będzie pan musiał pracować”.

Odrzekłem, że musiałem pracować na wszystkich statkach, gdzie tylko służyłem.

— O, to jest zupełnie co innego — wy, paniczykowie z tych wielkich okrętów... ale co tam! Sądzę, że pan się tu nada. Proszę stawić się jutro.

Stawiłem się nazajutrz. Działo się to przed dwudziestu dwu laty; i miałem okrągłe lat dwadzieścia. Jak ten czas leci! Był to jeden z najszczęśliwszych dni w moim życiu. Pomyślcie tylko! Zostałem po raz pierwszy drugim oficerem — oficerem prawdziwie odpowiedzialnym! Nie byłbym oddał swego nowego stanowiska za żadne skarby świata. Pierwszy oficer obejrzał mię starannie. Był to także jegomość stary, ale innego pokroju. Miał rzymski nos, śnieżnobiałą, długą brodę, a nazwisko jego brzmiało Mahon, lecz kładł nacisk na to, aby wymawiać je „Mann”. Był z dobrej rodziny, tylko szczęście mu jakoś nie dopisało i kariery nie zrobił.

Co się tyczy kapitana, żeglował całe lata na statkach nadbrzeżnych, potem po Morzu Śródziemnym, a wreszcie dostał się do zachodnioindyjskiego handlu. Nie objechał nigdy przylądków. Charakter pisma miał niepewny, koślawy i bynajmniej pisać nie lubił. Obaj byli oczywiście żeglarzami

co się zowie, a ja czułem się między tymi starymi ludźmi jak mały chłopczyk między dwoma dziadkami.

Okręt był także stary. Nazywał się „Judea”. Dziwaczna nazwa, prawda? Właściciel jego, nazwiskiem Wilmer, Wilcox czy coś w tym rodzaju, zbankrutował i umarł przed jakimiś dwudziestu laty, mniejsza o to, jak się nazywał. „Judea” stała w basenie w Shadwell przez całe wieki. Możecie sobie wyobrazić, w jakim była stanie. Cała w kurzu, rdzy, plugastwie — u góry sadza, brud na pokładzie. Wydało mi się, że opuszczam pałac dla zrujnowanej chatki. Miała około czterystu ton pojemności, prymitywną windę kotwiczną, drewniane klamki u drzwi i wielką kwadratową rufę; nigdzie nie było na niej ani źdźbła mosiądzu. U rufy widniała nazwa okrętu wypisana wielkimi literami, a pod nią wycinane laubzegą[6] ozdoby z drzewa o startej pozłocie, z czymś w rodzaju tarczy herbowej i wypisanym poniżej mottem: „Czyń lub giń”. Pamiętam, że podziałało mi to niezmiernie na wyobraźnię. Był w tym jakiś powiew romantyzmu, coś, co sprawiło, że pokochałem ten stary grat — coś, co przemówiło do mojej młodości!

Opuściliśmy Londyn z obciążeniem w postaci piasku, udając się do jednego z północnych portów po węgiel dla Bangkoku. Bangkok! Zadrżałem z radości. Spędziłem na morzu już sześć lat, lecz widziałem tylko Melbourne i Sydney — bardzo porządne miasta, zachwycające miasta w swoim rodzaju — ale Bangkok!

Wyszliśmy z Tamizy pod żaglami, mając na pokładzie pilota z Morza Północnego. Nazywał się Jermyn i plątał się

cały dzień po kambuzie[7] susząc przy piecu swoją chustkę do nosa. Widocznie nigdy nie sypiał. Ten ponury człowiek, z wieczną kapką świecącą u nosa, albo uporał się dopiero co z jakimś kłopotem, albo był w kłopocie, albo spodziewał się, że wpadnie w kłopot — i czuł się dobrze jedynie wtedy, gdy coś szło nie tak, jak trzeba. Nie dowierzał mojej młodości, mojemu rozsądkowi, mojej żeglarskiej wiedzy, i postawił sobie za zadanie, aby mi to okazywać w najprzeróżniejszy sposób. Zdaje mi się, że miał słuszność. Sądzę, że umiałem wówczas bardzo mało, a i teraz umiem niewiele więcej; ale żywię nienawiść względem Jermyna aż do dnia dzisiejszego.

Po tygodniowej żegludze dotarliśmy do Yarmouth Roads, a potem dostaliśmy się w burzę — słynną październikową burzę sprzed dwudziestu dwóch lat. Wicher, błyskawice, deszcz ze śniegiem, śnieżyca i straszliwe morze. Lecieliśmy niby na skrzydłach; zrozumiecie, jak źle było z nami, kiedy wam powiem, że mieliśmy strzaskane nadburcie i zalany pokład. W ciągu drugiej nocy balast przesunął się na stronę podwietrzną, a jednocześnie zapędziło nas gdzieś w okolice Dogger Bank. Nie było innej rady, tylko zejść na dół z szuflami i starać się doprowadzić statek do porządku — i oto staliśmy w tej przestronnej ładowni, ponurej jak jaskinia; łojowe świece migotały przytwierdzone do belek, bursa wyła w górze, okręt rzucał się na bok jak szalony; byliśmy tam wszyscy co do jednego, Jermyn, kapitan, pochłonięci tą pracą grabarzy, i ledwie się mogliśmy utrzymać na nogach, usiłując rzucać szufle mokrego piasku ku stronie nawietrznej. Przy każdym zatoczeniu się statku

widać było niewyraźnie w mętnym świetle, jak ludzie się przewracają zakreślając wielkie łuki szuflami. Jeden z naszych chłopców okrętowych (było ich dwóch) płakał rozdzierająco pod wrażeniem tej niesamowitej sceny. Słyszeliśmy, jak szlochał gdzieś w ciemnościach.

Trzeciego dnia burza ucichła i zabrał nas wkrótce jakiś północny holownik. Tylko szesnaście dni zużyliśmy na przejazd z Londynu do Tyne! Kiedyśmy weszli do doku, okazało się, że straciliśmy naszą kolejkę do ładowania i wycofano nas do dalszego rzędu, gdzie pozostaliśmy przez miesiąc. Pani Beard (kapitan nazywał się Beard) przyjechała z Colchester, aby się zobaczyć ze starym. Mieszkała na statku. Załoga opuściła okręt; pozostali tylko oficerowie, jeden z chłopców okrętowych i steward, Mulat, którego wołano Abraham. Pani Beard była też stara, miała twarz pomarszczoną i rumianą jak zimowe jabłko, a figurę młodej panny. Zobaczyła raz, że przyszywam sobie guzik, i wymogła na mnie, abym jej dał koszule do naprawy. To było coś zupełnie różnego od zachowania żon kapitanów, które poznałem na szykownych kliprach. Gdy jej przyniosłem koszule, zapytała:

— A skarpetki? Jestem pewna, że potrzebują naprawy; rzeczy Jana — to jest kapitana Bearda — są już doprowadzone do porządku. Miło mi będzie mieć coś do roboty.

Kochana staruszka. Przepatrzyła wszystkie moje rzeczy, a ja tymczasem czytałem po raz pierwszy *Sartora Resartusa* i Burnaby’ego *Wyprawę na Chiwę*. Niewiele wówczas

zrozumiałem z pierwszej książki; pamiętam jednak, że przekładałem żołnierza nad filozofa, a życie mię jeszcze w tym utwierdziło. Jeden był człowiekiem, drugi zaś może czymś więcej, a może i mniej? Tak czy owak, obydwaj już nie żyją i pani Beard nie żyje, a młodość, siła, geniusz, myśli, czyny, proste serca — wszystko umiera... Mniejsza o to.

Przyjęliśmy wreszcie ładunek. Zaciągnęliśmy załogę. Ośmiu wykwalifikowanych marynarzy i dwóch chłopców. Odholowano nas pewnego wieczoru do boi u wrót doku; byliśmy gotowi do odjazdu i spodziewaliśmy się doprawdy, że nazajutrz puścimy się w drogę. Pani Beard zamierzała wrócić do domu pociągiem odchodzącym późno w noc. Gdy statek został zacumowany, udaliśmy się na herbatę. Siedzieliśmy dość milcząco u stołu — Mahon, starzy małżonkowie i ja. Wypiłem herbatę pierwszy i wymknąłem się na papierosa do swojej kajuty w nadbudówce na pokładzie, tuż przy rufie. Był przypływ, chłodny wiatr zacinał kapuśniaczkiem, podwójne wrota doku stały otworem, a parowce węglowe wjeżdżały i wyjeżdżały w ciemności z palącymi się jasno światłami, wśród głośnego chlupotu śrub, zgrzytu bloków i nawoływań rozlegających się u cyplów mola. Przypatrywałem się procesji świateł dziobowych sunących wysoko i zielonych świateł sunących nisko w mroku, gdy nagle czerwony błysk zajrzał mi w oczy, znikł, ukazał się znów i pozostał. Dziób parowca zamajaczył blisko. Krzyknąłem w dół do kabiny:

— Chodźcie tu prędko! — i usłyszałem przestraszony głos daleko w ciemnościach:

— Zatrzymać maszyny, panie kapitanie!

Zabrzmiał dzwon. Inny głos krzyknął ostrzegawczo:

— Wjeżdżamy wprost na tę barkę, panie kapitanie!

Odpowiedzią na to było szorstkie: „Aha”, i zaraz potem rozległ się potężny trzask — parowiec ugodził na ukos zaokrąglonym dziobem w takielunek przedniego masztu. Nastąpiła chwila zamieszania, wrzasków i bieganiny. Para huczała. Usłyszałem czyjeś słowa:

— Już dobrze, panie kapitanie.

— Czy u was wszystko w porządku? — zapytał szorstki głos.

Skoczyłem na dół, aby obejrzeć szkodę, i odkrzyknąłem:

— Zdaje się, że tak.

— Powoli w tył — rzekł szorstki głos. Rozległ się dzwon.

— Co to za parowiec? — krzyknął Mahon. W owej chwili statek był dla nas już tylko masywnym cieniem manewrującym opodal. Odkrzyknęli nam jakąś nazwę — „Miranda” czy „Melissa”, czy coś w tym rodzaju.

— Z tego wszystkiego posiedzimy jeszcze miesiąc w tej przeklętej dziurze — rzekł do mnie Mahoń, gdyśmy oglądali przy świetle latarni strzaskane nadburcie i poszarpane brasy[8].

— Ale gdzie kapitan?

Nie słyszeliśmy i nie widzieliśmy go wcale przez cały ten czas. Poszliśmy go szukać na rufę. Żałosny głos zaczął nas okrzykiwać skądś ze środka doku:

— Hej! na „Judei”!...

Jak on się u diabła tam dostał?...

— Hej, hej! — odkrzyknęliśmy.

— Zniosło mnie w naszej łódce, jestem bez wioseł! — krzyknął. Jakiś zapóźniony cumownik ofiarował się z pomocą. Mahon dobił z nim targu: za pół korony miał być nasz szyper przyholowany do statku; tymczasem nie kapitan, ale pani Beard ukazała się pierwsza u trapu. Pływali oboje po doku w tym mżącym kapuśniaczku przez blisko godzinę. Nigdy w życiu nie byłem tak zdumiony. Okazało się, że gdy kapitan usłyszał mój krzyk: „Chodźcie tu!”, zrozumiał w lot, co się dzieje, porwał żonę, wypadł na pokład, przebiegł go i dostał się do łodzi, która była przymocowana u trapu. To nieźle jak na sześćdziesięcioletniego człowieka. Wyobraźcie sobie staruszka unoszącego po bohatersku w ramionach tę starą kobietę — kobietę swego życia. Usadowił ją w łodzi na ławce i już miał się wdrapać z powrotem na pokład, gdy lina się jakoś odczepiła i zaczęli oboje odpływać. W tym zamieszaniu nie słyszeliśmy naturalnie jego nawoływań. Wyglądał na zawstydzonego. Pani Beard rzekła wesoło:

— Przypuszczam, że teraz już wszystko jedno, czy się spóźnię na pociąg.

— Tak, Jenny, idź na dół i rozgrzej się — mruknął. Potem zwrócił się do nas:

— Żona to żaden interes dla marynarza. Byłem tam, poza okrętem. No, tym razem nic się złego nie stało. Chodźmy i popatrzmy, co nam ten głupi parowiec potrzaskał.

Szkody były niewielkie, ale opóźniło nas to o trzy tygodnie. Na koniec, ponieważ kapitan był zajęty ze swymi agentami, zaniosłem podróżną torbę pani Beard na stację i umieściłem staruszkę wygodnie w przedziale trzeciej klasy. Spuściwszy okno, rzekła do mnie:

— Pan jest zacnym młodzieńcem. Jeśli pan kiedy zobaczy, że Jan — to jest kapitan Beard — wychodzi w nocy bez szalika na pokład, niechże mu pan w moim imieniu przypomni, żeby dobrze ochraniał szyję.

— Dobrze, proszę pani — odpowiedziałem.

— Pan jest zacnym młodzieńcem, zauważyłam, jak pan się opiekuje Janem, to jest kapitanem…

Pociąg nagle ruszył; zdjąłem czapkę; nie zobaczyłem staruszki już nigdy… Dajcie butelkę.

Wyszliśmy z portu nazajutrz. W chwili naszego wyjazdu mijały już trzy miesiące od czasu, gdy opuściliśmy Londyn. A spodziewaliśmy się, że to będzie trwało najwyżej dwa tygodnie.

Był styczeń i cudowna pogoda — taka piękna, słoneczna, zimowa pogoda, która ma więcej uroku niż letnia, ponieważ jest niespodziana i rześka, i wiemy, że nie będzie, że nie może trwać długo. Jest jak pomyślny traf, jak dar zesłany z nieba, jak nieoczekiwane szczęście.

Było pogodnie przez cały czas, gdyśmy płynęli przez Morze Północne, potem przez Kanał Angielski, i trwało to, dopóki nie odsadziliśmy się ze trzysta mil na zachód od przylądka Lizards; wtedy wiatr obrócił się na południowy zachód i zaczął gwizdać. We dwa dni nawiał nam burzę.

„Judea” dryfowała, tarzając się po Atlantyku jak stare pudło od świec. Wiatr dął dzień po dniu; dął ze złością, bez przerwy, bez miłosierdzia, bez odpoczynku. Świat był ogromem spienionych fal, rzucających się na nas pod niebem tak niskim, że prawie można było dotknąć go ręką, a brudnym jak zadymiony sufit. W burzliwej przestrzeni, która nas otaczała, unosiło się tyleż lotnych bryzgów co i powietrza. Dzień w dzień i noc po nocy nie było wokół okrętu nic poza wyciem wichru, zgiełkiem morza, łoskotem wody przelewającej się przez pokład. Żadnego wytchnienia dla statku i żadnego wytchnienia dla nas. Ciskał się, miotał, stawał na głowie, siadał na ogonie, przewalał się i stękał, a my musieliśmy przetrwać to wszystko na pokładzie albo też w dole trzymać się koi w nieustannym wysiłku ciała i udręce duszy.

Pewnej nocy Mahon odezwał się do mnie przez okienko kajuty. Otworzyło się tuż nad łóżkiem, na którym leżałem w butach, czuwając; miałem wrażenie, iż nie zmrużyłem oka już od lat i że nie podobna byłoby mi zasnąć. Rzekł w podnieceniu:

— Marlow, nie ma tu pan pręta do mierzenia wody? Pompy ani rusz nie chcą ssać. Wielki Boże, to nie są żarty!

Dałem mu pręt i położyłem się znowu, usiłując myśleć o przeróżnych rzeczach, ale myślałem tylko o pompach. Kiedy wyszedłem na pokład, ciągle jeszcze pracowano u pomp i moja wachta zastąpiła poprzednią. W świetle latarni, którą przyniesiono na pokład, aby obejrzeć pręt, mignęły mi zmęczone, poważne twarze majtków. Pompowaliśmy przez

całe te cztery godziny. Pompowaliśmy całą noc, cały dzień, cały tydzień, wachta po wachcie. Okręt się rozlatywał i przeciekał szpetnie — nie dosyć, aby nas od razu zatopić, ale dość, by nas zabić pracą przy pompach. A w ciągu naszego pompowania statek opuszczał nas po kawałku; poszło nadburcie, stojaki poręczy zostały wyrwane, wietrzniki zdruzgotane, drzwi od kabiny wgniecione. Nie było nigdzie suchego miejsca. Odbywało się z wolna patroszenie okrętu. Szalupa — jakby pod wpływem czarów — rozpadła się w drzazgi, stojąc w miejscu na legarach[9]. Sam ją przymocowałem i pyszniłem się poniekąd swym dziełem, które opierało się tak długo złośliwości morza. Pompowaliśmy w dalszym ciągu. Niepogoda nie ustawała ani na chwilę. Morze było białe jak olbrzymi płat piany, jak kocioł gotującego się mleka; nie dostrzegało się żadnej luki w chmurach, choćby na szerokość dłoni, choćby na przeciąg dziesięciu sekund. Nie istniało dla nas niebo, nie istniały dla nas gwiazdy ani słońce, ani wszechświat — nic poza gniewnymi chmurami i rozwścieczonym morzem. Pompowaliśmy wachta za wachtą, pompowaliśmy, walcząc o życie; i zdawało się, że to trwa już miesiące, lata, całą wieczność, jakbyśmy umarli i znaleźli się w piekle dla żeglarzy. Zapomnieliśmy, jaki to dzień w tygodniu, miesiąc, rok — zapomnieliśmy, że byliśmy kiedykolwiek na lądzie. Żagle zostały zerwane, statek leżał na boku pod płócienną zasłoną od wiatru, ocean przelewał się przez niego, a nam to było obojętne. Kręciliśmy tymi korbami i mieliśmy oczy idiotów. Kiedy wyczołgiwaliśmy się na pokład, opasywałem

liną ludzi, pompy i maszt główny, po czym kręciliśmy, kręciliśmy bez ustanku, a woda sięgała nam po pas, po szyję, wyżej głowy. Nic to nie pomagało. Zapomnieliśmy, jakie to uczucie, kiedy się jest suchym.

A we mnie tkwiła gdzieś myśl: „No, no! To ci dopiero morowa awantura — jak w jakiej książce — a ja jadę po raz pierwszy jako drugi oficer i mam dopiero dwadzieścia lat i oto wytrzymuję wszystko równie dobrze jak każdy z tych ludzi, i podnoszę moich chłopców na duchu.” Cieszyłem się. Nie byłbym się wyrzekł swych przeżyć za nic w świecie. Miałem chwile radosnego uniesienia. Gdy stary, ogołocony statek przechylał się ociężale, wznosząc konchę rufy wysoko w powietrze, zdawało mi się, że rzuca ku bezlitosnym chmurom, jak apel, jak wyzwanie, jak okrzyk słowa wypisane na rufie: „«Judea». Londyn. «Czyń lub giń»”.

O młodości! O młoda siło, o młoda wiaro, o młoda wyobraźni! „Judea” to nie był dla mnie stary gruchot wiozący przez świat za opłatą ładunek węgla, był to dla mnie wysiłek, próba, probierz życia. Myślę o niej z upodobaniem, z miłością, z żalem — jak się myśli o kimś zmarłym, kogo się kochało. Nie zapomnę jej nigdy... Dajcie butelkę.

Pewnej nocy, gdy przywiązani do masztu — jak już mówiłem — pompowaliśmy ogłuszeni przez wiatr i tak upadli na duchu, że nawet nie pragnęliśmy śmierci, potężny bałwan gruchnął o pokład i przejechał się po nas.

Złapawszy oddech krzyknąłem natychmiast, jak nakazuje służba:

— Trzymajcie się, chłopcy! — i nagle poczułem, że jakiś twardy przedmiot pływający po pokładzie uderzył mnie w łydkę. Chciałem go pochwycić, ale nie natrafiłem na niego. Było tak ciemno, uważacie, że na odległość stopy nie mogliśmy dojrzeć swych twarzy.

Po tym ciosie statek trwał chwilę w spokoju i ów przedmiot znów mnie uderzył w nogę. Tym razem złapałem go, a był to rondel. Z początku, ogłupiały ze zmęczenia, myśląc tylko o pompach, nie zrozumiałem, co mam w ręku. Nagle rozświetliło mi się w głowie i krzyknąłem:

— Chłopcy, zniosło domek z pokładu. Rzućcie to, poszukamy kucharza.

Na baku[10] była nadbudówka, w której znajdował się kambuz, koja kucharza i kwatery załogi. Ponieważ spodziewaliśmy się już od dawna, że nadbudówka zostanie zniesiona, kazano majtkom spać w kabinie — jedynym bezpiecznym miejscu na okręcie. Tymczasem steward Abraham trzymał się z oślim uporem swej koi, przypuszczam, że po prostu ze strachu, jak zwierzę, które nie chce opuścić stajni walącej się podczas trzęsienia ziemi. Poszliśmy więc go szukać. Narażaliśmy się na śmierć, ponieważ — pozbywszy się więzów — byliśmy bez żadnej ochrony, jak na tratwie. Ale poszliśmy. Nadbudówkę rozwaliło, jakby granat w środku wybuchnął. Większa jej część poszła za burtę — piec, kwatery majtków, ich rzeczy — wszystko poszło; ale dwa słupy podtrzymujące część

grodzi, do której była przytwierdzona koja Abrahama, ocalały jakby cudem. Natrafiliśmy na nie, szukając po omacku między zwaliskami i oto kucharz tam tkwił; siedział na swojej koi wśród piany i szczątków, papląc do siebie wesoło. Utracił rozum; zwariował raz na zawsze wskutek tego nagłego wstrząsu, który zmiótł resztę jego wytrzymałości. Chwyciliśmy go, zawlekliśmy na rufę i rzuciliśmy głową na dół w kajutową schodnię. Rozumiecie, że nie było czasu znosić go na dół z wszelkimi ostrożnościami i czekać, póki się nie przekonamy, jak mu tam jest. Wiedzieliśmy, że ci w dole podniosą go z dna schodów — i koniec. Pilno nam było wrócić jak najprędzej do pomp. One czekać nie mogły. Taki szpetny przeciek to nieludzka bestia.

Można by pomyśleć, że jedynym celem piekielnej burzy było pomieszanie w głowie nieborakowi Mulatowi. Nad ranem wiatr ustał, nazajutrz zaś niebo było pogodne, a gdy się morze uspokoiło, woda zaczęła znów przeciekać. Gdy doszło ponownie do częściowego zwinięcia żagli, załoga zażądała powrotu — i rzeczywiście nic nam innego nie pozostawało. Łodzie przepadły, pokład był wymieciony na czysto, kajuta wypatroszona, ludziom zostało tylko to, co mieli na sobie — poza tym nic — zapasy były zepsute, okręt przemęczony. Obróciliśmy go dziobem ku Anglii i — czy dacie wiarę? Pojawił się wiatr od wschodu, prosto nam w oczy. Dął, zimny, dął bez ustanku. Musieliśmy wywalczać sobie każdy cal drogi, lecz statek nie ciekł tak bardzo, gdyż morze było stosunkowo gładkie. Pompować dwie godziny

na cztery to nie zabawka — ale trzymało nas to na powierzchni aż do Falmouth.

Poczciwi ludzie tamtejsi żyli ze szkód wyrządzonych przez morze i widok nasz ucieszył ich z pewnością. Zgłodniała rzesza cieśli okrętowych wzięła się do ostrzenia dłut, spostrzegłszy ten szkielet okrętu. I, dalibóg, musieli się porządnie obłowić, zanim z nami skończyli. Zdaje mi się, że właściciel statku był już wówczas w opałach. Zwlekano z decyzją. Wreszcie postanowiono, że ładunek zostanie częściowo wyjęty, a burty uszczelnione powyżej linii wodnej. Załatwiwszy się z tym, dokończono naprawy i załadowano węgiel z powrotem; nowa załoga zjawiła się na pokładzie, po czym wyruszyliśmy do Bangkoku. Po upływie tygodnia byliśmy znów z powrotem. Załoga oświadczyła, że nie pojedzie do Bangkoku — sto pięćdziesiąt dni podróży — na gruchocie, który wymaga, aby pompować osiem godzin na dwadzieścia cztery; a do rejestrów okrętowych wciągnięto znów krótką notatkę: „«Judea». Barka. Z Tyne do Bangkoku; węgiel; powróciła do Falmouth z przeciekiem i załogą odmawiającą posłuszeństwa”.

Potem nastąpiła znów zwłoka — łatano w dalszym ciągu. Właściciel przyjechał na jeden dzień i orzekł, że statek jest bez zarzutu. Biedny stary kapitan Beard wyglądał jak duch szypra Geordie’go wskutek tych wszystkich trosk i upokorzeń. Nie zapominajcie, że miał już sześćdziesiątkę i że to było pierwsze jego dowództwo. Mahon powiedział:

— To głupi interes, który się źle skończy.

Kochałem statek więcej niż kiedykolwiek i strasznie mi się chciało dostać do Bangkoku. Bangkok! Czarodziejska nazwa, błogosławiona nazwa. Gdzie tam do niej Mezopotamii. Pamiętajcie, że miałem dwadzieścia lat, że jechałem pierwszy raz jako drugi oficer, że Wschód czekał na mnie.

Wyszliśmy i stanęliśmy na kotwicy po zewnętrznej stronie portu ze świeżą załogą — trzecią z rzędu. Statek przeciekał gorzej niż kiedykolwiek. Zdawało się, że ci przeklęci cieśle doprawdy zrobili w nim dziurę. Tym razem nie opuściliśmy nawet portu. Załoga odmówiła po prostu pracy przy windzie kotwicznej.

Odholowano nas z powrotem do wewnętrznego portu i staliśmy się miejscową przynależnością, cechą, instytucją. Ludzie pokazywali nas przyjezdnym:

— O, to ta barka, co ma jechać do Bangkoku, jest tu już od pół roku, trzy razy wracała z drogi.

W dni świąteczne mali chłopcy kręcący się w łódkach okrzykiwali nas:

— Hej hej, na „Judei”! — a gdy czyjaś głowa pojawiała się nad burtą, wołali: — Dokąd jedziecie? do Bangkoku? — i drwili z nas.

Byliśmy tylko we trzech na statku. Biedny stary kapitan gryzł się w kajucie. Mahon zajął się kuchnią i nadspodziewanie rozwinął talent iście francuski w przyrządzaniu doskonałych skromnych potraw. A ja zajmowałem się od niechcenia takielunkiem. Staliśmy się

obywatelami Falmouth. Znał nas każdy sklepikarz. U golarza czy w składzie tytoniu zapytywano poufnie:

— Czy pan myśli, że dojedziecie do Bangkoku?

Tymczasem właściciel, akcjonariusze i dzierżawcy statku swarzyli się między sobą w Londynie, a pensje nam wciąż wypłacano... Dajcie butelkę.

To było okropne. Moralnie czuliśmy się gorzej niż wówczas, gdy pompowaliśmy, aby ujść z życiem. Zdawało się, że świat o nas zapomniał, że nie należymy do nikogo, że nie pojedziemy już nigdzie; zdawało się, że — niby zaczarowani — będziemy musieli żyć na wieki wieków w tym wewnętrznym porcie, jako pośmiewisko, jako legenda dla całych pokoleń łazęgów z wybrzeża i nieuczciwych przewoźników. Dostałem pensję za trzy miesiące, urlop pięciodniowy — i machnąłem się do Londynu. Podróż w jedną stronę zajęła mi dzień, powrót — drugi, ale tak czy siak, trzymiesięczna pensja poszła. Nie wiem, co z nią zrobiłem. Byłem, zdaje się, w *music-hallu*, jadałem śniadania, obiady i kolacje w szykownej restauracji na Regent Street i wróciłem na oznaczony czas, mając do pokazania — jako owoc trzymiesięcznej pracy — komplet dzieł Byrona i nowy pled podróżny. Przewoźnik, który wiózł mię na statek, rzekł:

— No, no! Myślałem, że pan już rzucił ten stary grat. On nigdy nie dojedzie do Bangkoku.

— Powiedział, co wiedział — odparłem pogardliwie, ale wcale mi się to proroctwo nie podobało.

Nagle zjawił się jakiś osobnik, coś w rodzaju czyjegoś agenta, wyposażony w całkowite pełnomocnictwa. Miał twarz pokrytą wyrzutami od picia grogu, nieposkromioną energię, wesoły był i dobroduszny. Zbudziliśmy się znów do życia. Podjechał do nas hulk[11] i zabrał ładunek, po czym przenieśliśmy się do suchego doku, gdzie mieli zdjąć miedziane poszycie z dna statku. Nie dziwota, że okręt przeciekał. Udręczony przez burzę do ostatecznych granic wytrzymałości, wypluł nieborak — jakby ze wstrętu — wszystkie pakuły ze swoich niższych szwów. Zapchano na nowo szpary, obito kadłub miedzią — okręt stał się szczelny jak butelka. Pojechaliśmy do hulka i przeładowaliśmy znów towar.

Wówczas — pewnej pięknej księżycowej nocy — wszystkie szczury opuściły okręt.

Wydręczyły nas niemożliwie. Zniszczyły nam żagle, pochłonęły więcej żywności niż załoga, uprzejmie dzieliły z nami łóżka i niebezpieczeństwa, a teraz, gdy okręt nadawał się znów do podróży, postanowiły się wynieść. Zawołałem Mahona, aby się cieszył tym widokiem. Szczur za szczurem zjawiał się na naszym nadburciu, oglądał się po raz ostatni i skakał z głuchym łoskotem w pusty kadłub hulka. Usiłowaliśmy je policzyć, ale wkrótce straciliśmy rachubę. Mahon rzekł:

— No, no! Nie mówcie mi o inteligencji szczurów. Powinny były opuścić nas przedtem, kiedyśmy o włos nie zatonęli. Ma pan tu dowód, jaki niemądry jest przesąd co do szczurów. Porzucają dobry statek dla starego, zbutwiałego

pudła, gdzie w dodatku nie ma nic do jedzenia. Głupie zwierzęta!... Nie wierzę, aby wiedziały, co dla nich jest dobre lub złe, lepiej od pana albo ode mnie.

I porozmawiawszy czas jakiś, zgodziliśmy się na to, że mądrość szczurów grubo jest przeceniona, gdyż w gruncie rzeczy nie przewyższa ludzkiej mądrości.

Historia statku była już wówczas znana wzdłuż Kanału, w górę od Lands' End aż do Forelands i nie mogliśmy dostać załogi na południowym wybrzeżu. Przysłano nam całą, skompletowaną, z Liverpoolu i wyruszyliśmy jeszcze raz — do Bangkoku.

Mieliśmy pomyślne wiatry i gładkie morze aż do zwrotników, a stara „Judea" sunęła ociężale w słońcu. Gdy robiła osiem węzłów, wszystko w górze trzeszczało i przywiązywaliśmy sobie czapki do głów; ale przeważnie wlokła się z szybkością trzech mil na godzinę. Czegóż innego można się było spodziewać? Stary okręt był już zmęczony. Młodość jego była tam, gdzie teraz moja, gdzie wasza, towarzysze, którzy słuchacie mojej opowieści; a czyż przyjaciel świeciłby wam w oczy waszymi latami i waszym znużeniem? Nie szemraliśmy na „Judeę". Przynajmniej jeśli chodzi o nas, tych z rufy — zdawało się nam, żeśmy się na niej urodzili, wychowali, że żyliśmy na niej przez całe wieki, nie znając nigdy żadnego innego statku. Byłbym mógł równie dobrze zwymyślać w kraju stary wiejski kościołek za to, że nie jest katedrą.

A ja miałem jeszcze i młodość, która dodawała mi cierpliwości. Cały Wschód był przede mną i całe życie, i

myśl, że na tym statku zostałem poddany próbie i wcale dobrze z niej wyszedłem. Myślałem także o ludziach, którzy przed wiekami dążyli tym samym szlakiem — na okrętach nie lepiej żeglujących — do kraju palm i korzeni, i żółtych piasków, i brunatnych ludów rządzonych przez królów okrutniejszych od rzymskiego Nerona i wspanialszych niż żydowski Salomon. Stara barka wlokła się, ociężała od wieku i brzemienia swego ładunku, ja zaś żyłem życiem młodości, nieświadom niczego i pełen nadziei. Statek sunął powoli przez nieskończoną procesję dni; a świeża pozłota odbijała zachodzące słońce i zdawała się rzucać nad ciemniejące morze słowa wymalowane na rufie: „«Judea». Londyn. «Czyń lub giń»”.

Wjechaliśmy na Ocean Indyjski, sterując na północ ku Jawajskiemu Przylądkowi. Wiatry były słabe. Mijały tygodnie. „Judea” pełzła naprzód — „czyń lub giń” — a ludzie w kraju zaczęli nas uważać za opóźnionych.

Raz w sobotę wieczorem nie miałem służby i załoga poprosiła, abym im wydał nadetatowy kubeł wody — do prania. Ponieważ nie chciałem pompować słodkiej wody tak późno, poszedłem, pogwizdując, na bak z kluczem w ręku, aby otworzyć mały przedni luk, gdyż zamierzałem wydać wodę z zapasowego zbiornika, któryśmy tam trzymali.

Zapach w dole był równie nieoczekiwany jak okropny. Można było pomyśleć, że setki lamp naftowych palą i kopcą w tej dziurze całymi dniami. Byłem rad, kiedym się stamtąd wydostał. Majtek, który był ze mną, zakaszlał i rzekł:

— Dziwny zapach, proszę pana. — Odpowiedziałem niedbale:

— To podobno dobrze robi na zdrowie — i poszedłem w stronę rufy.

Przede wszystkim wetknąłem głowę w kwadratowy otwór wentylatora na śródokręciu. Gdy podnosiłem wieko, powiew widzialny dla oka, coś jakby wątła mgła, kłąb leciutkiego oparu podniósł się nad otworem. Wznoszące się powietrze było rozgrzane, duszne, czuć je było kopciem i naftą. Pociągnąłem raz nosem i zamknąłem delikatnie pokrywę. Nie warto było się dusić. Ładunek się palił.

Nazajutrz okręt zaczął już dymić na dobre. Widzicie, należało się tego spodziewać, bo choć węgiel był w dobrym gatunku, przesypywano go tyle razy i tak go przy tym pokruszono, że wyglądał po prostu jak węgiel do kuźni. A przy tym zmókł — i to nie raz. Padało przez cały czas, gdyśmy go przeładowywali z hulka, teraz zaś rozgrzał się podczas tego długiego przejazdu — i oto zaszedł wypadek samorodnego ognia.

Kapitan wezwał nas do kajuty. Wyglądał na zgnębionego; na stole rozłożona była mapa. Rzekł:

— Wybrzeże zachodniej Australii jest blisko, ale zamierzam płynąć w dalszym ciągu do wyznaczonego nam portu. Mamy teraz w dodatku miesiąc huraganów; zachowamy jednak kierunek na Bangkok i będziemy walczyli z ogniem. Żadnego wracania już nie będzie, choćbyśmy się mieli upiec. Spróbujemy najpierw zdusić ten przeklęty pożar przez brak powietrza.

Spróbowaliśmy. Pozatykaliśmy wszystkie szpary, a jednak wciąż dymiło. Dym wydobywał się przez niedostrzegalne szczeliny, przeciskał się przez grodzie i pokrywy, wypływał i tu, i tam, i wszędzie, cienkimi nitkami, niewidzialną mgłą, w niepojęty sposób. Przedostał się do kajuty, do kasztelu[12]; pozatruwał osłonięte miejsca na pokładzie, czuło się go aż na głównej rei środkowego masztu. Jasne było, że jeśli dym wychodził, to powietrze wchodziło. Działało to na nas zniechęcająco. Ten pożar nie dawał się zdusić.

Postanowiliśmy uciec się do wody i zdjęliśmy z luków pokrywy. Olbrzymie masy dymu, białawe, żółtawe, gęste, tłuste, mgliste, duszące wzniosły się aż na wysokość masztów. Wszyscy wycofali się na rufę. Zatruta chmura odpłynęła i wróciliśmy do pracy wśród dymu, który już nie był gęściejszy od zwykłego dymu z fabrycznego komina.

Przygotowaliśmy pompę tłoczącą i wydobyliśmy gumowego węża, który pękł wkrótce. Był równie stary jak statek — po prostu przedhistoryczny wąż nienadający się już do naprawy. Wprawiliśmy w ruch słabą pompę dziobową, czerpiąc przy tym wodę wiadrami, i tym sposobem zdołaliśmy wkrótce wlać do głównego luku całe masy Oceanu Indyjskiego. Jasny strumień błyszczał w słońcu, wpadał w cienką warstwę białego, czołgającego się dymu i znikał na czarnej powierzchni węgla. Podnosiła się para zmieszana z dymem. Leliśmy słoną wodę jak w beczkę bez dna. Pompowanie było naszym losem na tym okręcie, wylewanie z niego wody i wlewanie jej z powrotem;

usunąwszy ze statku wodę, aby ocalić się od zatonięcia, leliśmy w niego wodę jak najęci, aby się ocalić od spalenia.

A „Judea” pełzła naprzód — „czyń lub giń” — wśród pięknej pogody. Niebo było cudem czystości, lazurowym cudem. Morze było gładkie, było błękitne, było przejrzyste, było wyiskrzone jak drogocenny kamień otaczający nas ze wszystkich stron, aż do widnokręgu, jakby cały glob ziemski był jednym klejnotem, jednym olbrzymim szafirem — drogim kamieniem przetworzonym w planetę. A po blasku wielkich, spokojnych wód sunęła nieznacznie „Judea” spowita w leniwe i nieczyste opary, w ociężałą chmurę spływającą ku stronie podwietrznej — jasną i powolną; w cuchnącą chmurę, która kalała wspaniałość morza i niebios.

Przez cały czas, oczywiście, nie widzieliśmy wcale ognia. Ładunek tlił się gdzieś od spodu. Raz, gdyśmy pracowali ramię w ramię, Mahon rzekł do mnie ze szczególnym uśmiechem:

— No, gdyby tak teraz zrobiła się porządna szpara w kadłubie — jak wtedy, gdyśmy pierwszy raz wypłynęli z Kanału — to by zaszpuntowała ten ogień. Prawda?

Zauważyłem bez związku:

— Pamięta pan szczury?

Walczyliśmy z ogniem, a zarazem pełniliśmy służbę na statku tak starannie, jakby wszystko było w porządku. Steward gotował i obsługiwał nas. Z pozostałych dwunastu ludzi ośmiu pracowało, podczas gdy czterej wypoczywali. Na każdego przychodziła kolej, nie wyłączając kapitana. Równość była zupełna, a jeśli nie dosłowne braterstwo, to w

każdym razie wiele wzajemnej życzliwości. Czasem który z majtków, śmignąwszy wiadro wody w luk, wykrzykiwał:

— Niech żyje Bangkok! — a reszta się śmiała. Ale na ogół byliśmy milczący i poważni — i spragnieni. Ach, jacy spragnieni! A z wodą trzeba było się obchodzić ostrożnie. Wydzielano ściśle porcje. Statek dymił, słońce jaśniało... Dajcie butelkę.

Próbowaliśmy wszystkiego. Usiłowaliśmy nawet dokopać się do ognia. Oczywiście to było na nic. Nikt nie mógł wytrzymać w dole więcej niż minutę. Mahon zeskoczył pierwszy i zemdlał tam; to samo stało się z majtkiem, który się zsunął po niego. Wyciągnęliśmy ich na pokład. Potem znów ja zeskoczyłem, aby pokazać, jak to się łatwo da zrobić. Mieli już wówczas doświadczenie i poprzestali na tym, że wyłowili mnie za pomocą haka na łańcuchu przymocowanym, zdaje się, do kija od szczotki. Nie zaproponowałem, że wrócę po szuflę, którą zostawiłem tam w dole.

Zaczęło to brzydko wyglądać. Spuściliśmy na morze szalupę. Druga łódź była gotowa do spuszczenia. Mieliśmy też jeszcze jedną, czternastostopową łódkę wiszącą na żurawikach z tyłu, gdzie była zupełnie bezpieczna.

I oto — wyobraźcie sobie — dym zaczął się nagle zmniejszać. Podwoiliśmy wysiłki, aby zalać całe dno okrętu. Po dwóch dniach wcale już dymu nie było. Każdy z nas uśmiechał się od ucha do ucha. To było w piątek. W sobotę nie mieliśmy już żadnej pracy, oczywiście poza obsługą statku. Ludzie uprali sobie ubrania, umyli twarze pierwszy

raz od dwóch tygodni i dostali specjalny obiad. Mówili z pogardą o samorodnym ogniu dając do zrozumienia, że kto jak kto, ale oni to już umieją dać sobie z tym radę. Czuliśmy się tak, jakby każdy z nas odziedziczył duży majątek. Ale paskudny zapach spalenizny wałęsał się wciąż po okręcie. Kapitan Beard miał wpadnięte oczy i zaklęsłe policzki. Nigdy przedtem nie zauważyłem, jaki jest koślawy i pochylony. Obaj z Mahonem krążyli spokojnie — węsząc u luków i wentylatorów. Uderzyło mnie nagle, że biedny Mahon jest bardzo, bardzo starym jegomościem. Co do mnie, byłem taki uradowany i dumny, jakbym był pomógł do wygrania wielkiej morskiej bitwy. O młodości!

Noc była piękna. Rano minął nas za rufą statek dążący do kraju — pierwszy, jaki widzieliśmy od miesięcy; ale zbliżaliśmy się już na koniec do lądu. Przylądek Jawajski był oddalony o jakieś sto pięćdziesiąt mil w prostej linii na północ.

Nazajutrz wypadała mi od ósmej do dwunastej wachta na pokładzie. Przy śniadaniu kapitan zauważył:

— To dziwne, jak ten zapach wciąż się trzyma kajuty.

Około dziesiątej, gdy pierwszy oficer był na tylnym pomoście, zeszedłem na chwilę na główny pokład. Za głównym masztem stał warsztat ciesielski; oparłem się o niego pykając fajkę, a cieśla, młody chłopak, zbliżył się, aby ze mną pogawędzić. Zagadnął:

— Tak mi się widzi, że sprawiliśmy się bardzo porządnie, no nie? — i w tej samej chwili spostrzegłem z

rozdrażnieniem, że ten bałwan usiłuje przechylić warsztat. Rzekłem sucho:

— Przestań, Chips — i natychmiast zdałem sobie sprawę z dziwacznego uczucia, z idiotycznego złudzenia — wydawało mi się, mianowicie, że jestem w powietrzu. Naokoło siebie słyszałem jakby jakiś potężny, długo powstrzymywany oddech — jakby z tysiąc olbrzymów rzekło jednocześnie: „Phuu!” — i poczułem tępe wstrząśnienie, od którego zabolały mię nagle żebra. Nie ulegało wątpliwości — znajdowałem się w powietrzu; ciało moje zakreślało krótką parabolę. Ale choć była krótka, zdążyłem sformułować przez ten czas kilka myśli i o ile pamiętam, w następującym porządku: „Tego nie zrobił cieśla. — Co to takiego? — Jakiś wypadek. — Wulkan podwodny? — Węgle, gaz! Boże wielki! wylatujemy w powietrze. — Wszyscy zginęli. — Wpadam do tylnego luku. — Widzę, że się tam pali”.

Pył węglowy, zawieszony w powietrzu ładowni, zapłonął ciemną czerwienią w chwili wybuchu. W mgnieniu oka, w ułamek sekundy od pierwszego przechylenia się warsztatu leżałem jak długi na ładunku. Podniosłem się i wygramoliłem. Stało się to szybko, jak gdybym się odbił. Pokład był gąszczem strzaskanych drewien, krzyżujących się jak drzewa w lesie po przejściu huraganu; olbrzymia zasłona z ciężkich łachmanów powiewała z wolna przede mną — to główny żagiel poszarpany na strzępy. Pomyślałem: „Maszty runą natychmiast” — i aby usunąć się na bok, popędziłem na czworakach ku trapowi[13] na rufie.

Pierwszą osobą, którą zobaczyłem, był Mahon z oczyma jak spodki i otwartymi ustami; długie białe włosy stały wkoło jego głowy jak srebrna aureola. Miał właśnie zejść na dół, gdy skamieniał u szczytu schodów na widok głównego pokładu, który się poruszył, podniósł i zmienił w drzazgi w jego oczach. Gapiłem się na Mahona nie wierząc własnym oczom, a on patrzył we mnie z jakąś dziwaczną, wstrząśniętą ciekawością. Nie wiedziałem, że nie mam włosów, brwi, rzęs, że moje młodociane wąsiki są spalone, twarz czarna, policzek rozcięty, nos skaleczony i broda we krwi. Zgubiłem czapkę, jeden trzewik, a koszulę miałam poszarpaną na łachmany. O tym wszystkim nie miałem pojęcia. Byłem zdumiony, że statek trzyma się jeszcze na wodzie, że tylny pomost jest cały — a najbardziej mię zdumiewał widok kogoś żywego. Spokój nieba i pogodne morze dziwiły mnie też niezmiernie. Widocznie się spodziewałem, że będą się wić ze zgrozy... Dajcie butelkę.

Jakiś głos obwoływał skądś statek — z powietrza, z nieba — nie umiałem zdać sobie sprawy. Wkrótce zobaczyłam kapitana — a kapitan miał bzika. Zapytał mnie skwapliwie: „Gdzie jest stół z kajuty?” To pytanie wstrząsnęło mną strasznie. Zrozumcie, dopiero co wyleciałem w powietrze i dygotałem po tym przeżyciu — nie byłem zupełnie pewien, czy żyję. Mahon zaczął tupać obiema nogami i wrzasnął do kapitana:

— Boże święty, czy pan nie widzi, że pokład wyleciał w powietrze?

Odzyskałem głos i wyjąkałem, jakbym się poczuwał do zaniedbania jakiegoś ważnego obowiązku:

— Nie wiem, gdzie jest stół z kajuty.

To wszystko było jak jakiś idiotyczny sen.

Czy wiecie, czego potem zażądał? Zażądał, żeby zbrasować reje[14]. Z wielkim spokojem, jakby był zatopiony w myślach, nalegał, aby obrócić przednią reję na trawers[15].

— Ja nie wiem, czy kto jeszcze żyje — rzekł Mahon prawie z płaczem.

— Z pewnością zostało ich dość — odpowiedział kapitan łagodnie — żeby obrócić przednią reję na trawers.

W chwili wybuchu staruszek był, jak się zdaje, w swojej kabinie i nakręcał właśnie chronometry, gdy się zatoczył od wstrząsu. Natomiast przyszło mu na myśl — jak później opowiadał — iż barka o coś uderzyła — i wybiegł do kajuty. Tam spostrzegł, że stół gdzieś zniknął. Gdy pokład wyleciał w powietrze, stół spadł oczywiście do magazynu. Na miejscu, gdzie tego dnia rano jedliśmy śniadanie, kapitan zobaczył tylko wielką dziurę w podłodze. To mu się wydało tak strasznie tajemnicze i zrobiło na nim tak olbrzymie wrażenie, że wszystko, co widział i słyszał wydostawszy się na pokład, było już dla niego drobnostką. A pomyślcie, że spostrzegł natychmiast porzucone koło od steru, spostrzegł, że barka zboczyła z drogi — i jedyną jego myślą było skierować tę nędzną, obdartą, pozbawioną pokładu, tlejącą łupinę dziobem ku wyznaczonemu portowi. Bangkok! Szło mu tylko o to. Mówię wam, że ten spokojny, pochylony, prawie ułomny człowiek o pałąkowatych nogach był

olbrzymem w prostocie swego zamysłu, w spokojnej niewiedzy o naszym wzburzeniu. Skierował nas ku przodowi rozkazującym gestem i poszedł sam ująć koło.

Tak, to była pierwsza rzecz, którą zrobiliśmy — zbrasowaliśmy reje na tym wraku! Nikt nie zginął ani nie stał się niezdolny do pracy, ale każdy z nas był ciężej lub lżej ranny. Trzeba wam było ich widzieć! Niektórzy byli w łachmanach, z czarnymi twarzami — jak węglarze, jak kominiarze — a głowy ich, gładkie jak kule, wyglądały niby krótko ostrzyżone, ale w rzeczywistości osmalone były do skóry. Inni, ci z dolnej wachty, którzy podczas snu zostali wysadzeni z zapadających się koi, trzęśli się bez ustanku i jęczeli, nawet krzątając się przy pracy. Ale pracowali wszyscy. Ta liverpoolska załoga, załoga od ciężkich wypadków, miała w sobie odpowiedni materiał. Wiem z doświadczenia, że marynarze mają go zawsze. To morze go daje — obszar, samotność otaczająca ciemne, tępe dusze. No więc — potykaliśmy się, padali, zdzieraliśmy sobie skórę o te szczątki — i zmieniliśmy kurs statku w kierunku wiatru. Maszty stały, ale nie wiedzieliśmy, na ile są zwęglone od dołu. Było prawie zupełnie spokojnie, lecz długa fala nadbiegła od zachodu i rozkołysała statek. Maszty mogły runąć lada chwila. Popatrywaliśmy na nie z lękiem. Nie podobna było przewidzieć, w którą stronę upadną.

Potem cofnęliśmy się na rufę i rozejrzeliśmy się. Pokład był plątaniną desek leżących bokiem i stojących na sztorc, szczap, zdruzgotanych sprzętów z drzewa. Maszty wznosiły

się z tego chaosu jak wielkie drzewa nad skłębionym poszyciem lasu. Puste miejsca wśród masy szczątków były zapełnione czymś białawym, poruszającym się ślimaczo, podobnym do tłustej mgły. Dym z niewidzialnego ognia znów się pokazał, słał się jak trujący, gęsty opar w jakiejś dolinie zawalonej martwymi drewnami. Ospałe kosmyki zaczynały się już kłębić ku górze wśród masy szczap. Gdzieniegdzie kawał drewna tkwił prostopadle, podobny do słupa. Pół kołkownicy[16] przymasztowej przebiło przedni żagiel, a niebo kładło plamę wspaniałego błękitu na ohydne zszargane płótno. Kilka desek trzymających się razem upadło w poprzek poręczy i jedna deska wystawała za burtę niby kładka nie prowadząca nigdzie, niby kładka prowadząca nad głębokie morze, prowadząca w śmierć — jakby nas zapraszała, aby wejść na nią od razu i skończyć z naszymi śmiesznymi troskami. A powietrze, niebo — duch jakiś, coś niewidzialnego — obwoływało wciąż okręt.

Któryś z nas był na tyle rozsądny, że spojrzał za burtę i okazało się, iż tam jest sternik, który skoczył instynktownie w morze, a teraz chciał się dostać z powrotem. Krzyczał i płynął gwałtownie jak tryton, trzymając się na jednej linii z okrętem. Rzuciliśmy mu linę; stanął wkrótce między nami, ociekający wodą i wielce zgnębiony. Kapitan oddał mu koło i usunął się na bok; z łokciem wspartym o poręcz i brodą w dłoni patrzył zamyślony na morze. Pytaliśmy się siebie: co teraz będzie? A ja myślałem: „No, to jest coś porządnego. To doprawdy jest wielkie. Ciekawe, co się też stanie...”. O młodości!

Nagle Mahon dojrzał parowiec daleko za rufą. Kapitan Beard rzekł:

— Możemy jeszcze coś z nim zrobić.

Wywiesiliśmy dwie flagi, które znaczą w międzynarodowym morskim języku: „Pożar. Potrzebna natychmiastowa pomoc”. Parowiec powiększył się szybko i wkrótce przemówił dwiema flagami na przednim maszcie: „Idę na ratunek”.

W pół godziny znalazł się na jednej linii z nami po stronie nawietrznej, na odległość głosu, z lekka się kołysząc z zatrzymanymi maszynami. Straciliśmy panowanie nad sobą i wrzasnęliśmy wszyscy razem w podnieceniu:

— Wysadziło nas w powietrze!

Jakiś człowiek w białym hełmie stojący na mostku odkrzyknął:

— Aha! Dobrze, dobrze! — i kiwał głową, i uśmiechał się, i machał ku nam ręką łagodnie, jakbyśmy byli gromadą przerażonych dzieci.

Jedna z łodzi opadła na wodę i szła ku nam po morzu na długich wiosłach. Czterej kalasze[17] wiosłowali, rozkołysani miarowo. Pierwszy raz zobaczyłem wtedy malajaskich żeglarzy. Poznałem ich później dobrze, ale wówczas uderzyła mnie ich obojętność: podjechali tuż pod burtę i nawet dziobowy, trzymający się bosakiem naszych cum, nie raczył podnieść głowy i spojrzeć w górę. Pomyślałem, że ludzie, którzy wylecieli w powietrze, zasługują na więcej uwagi.

Mały człowieczek, suchy jak wiór i zręczny jak małpa, wspiął się na górę. Był to pierwszy oficer z parowca. Rzucił okiem i zawołał:

— Oj, chłopcy, opuśćcie wy lepiej okręt.

Milczeliśmy. Rozmawiał z kapitanem czas jakiś na osobności — zdawał się coś mu przekładać. Potem pojechali razem na parowiec.

Kiedy nasz szyper wrócił, dowiedzieliśmy się, że parowiec nazywa się „Somerville”, a kapitan — Nash i że wiozą pocztę z zachodniej Australii do Singapuru przez Batawię. Kapitan zgodził się holować nas do Andżeru albo Batawii — jeśli to będzie możliwe — gdzie ugasimy ogień, zrobiwszy dziurę w dnie statku, po czym puścimy się znowu w drogę — do Bangkoku! Nasz stary wyglądał na podnieconego.

— Jeszcze tam zajedziemy — rzekł z zawziętością do Mahona. Pogroził pięścią niebu.

Nikt się już nie odezwał.

O dwunastej parowiec zaczął nas holować. Jechał naprzód, smukły i wysoki, a to, co pozostało z „Judei”, dążyło za nim szybko na końcu siedemdziesięciosążniowej liny holowniczej jak obłok dymu ze sterczącymi w górę masztami. Wspięliśmy się na maszty, aby zwinąć żagle. Kaszlaliśmy na rejach układając starannie buchty[18]. Czy sobie wyobrażacie tę naszą gromadkę tam w górze zwijającą porządnie żagle okrętu, któremu było sądzone nigdzie już nie dojechać? Nie znalazł się między nami ani jeden, który by nie pomyślał, że maszty runą lada chwila.

Dym nie pozwalał nam dojrzeć z góry pokładu, a ludzie pracowali starannie, okręcając sejzyngi[19] w równych odstępach.

— Zwijać mi żagle po portowemu, tam w górze! — krzyknął z dołu Mahon.

Czy wy to rozumiecie? Nie zdaje mi się, aby którykolwiek z tych chłopców sądził, że się dostanie na dół zwyczajnym sposobem. Kiedyśmy zeszli, słyszałem, jak mówili między sobą:

— No, byłem pewien, że się zwalimy za burtę — wszystko w kupie — i patyki, i my — żebym skisł, jeślim tak nie myślał.

— A jakże, i ja też tak myślałem — odrzekło znużonym głosem inne poharatane i obandażowane czupiradło.

I pomyślcie — przecie ci ludzie nie mieli za sobą karności wdrożonej przez musztrę. Dla postronnego widza wyglądaliby jak zbiorowisko skończonych urwipołciów, niemających żadnej jaśniejszej strony. Co ich skłoniło do wykonania tego rozkazu, co sprawiło, że byli mi posłuszni, gdy — myśląc z całą świadomością, jakie to piękne — kazałem im dwa razy opuścić bant[20] przedniego żagla i lepiej go złożyć? Co tu wchodziło w grę? Ci majtkowie nie mieli zawodowej ambicji ani wzorów, nie oczekiwali pochwał. Nie przemawiało przez nich poczucie obowiązku; wszyscy umieli się doskonale wymawiać, wykręcać i wałkonić — kiedy mieli ochotę — a przeważnie ją mieli. Czy odgrywały tu rolę te dwa funty dziesięć szylingów na miesiąc? Uważali, że powinni mieć przynajmniej dwa razy

tyle. Nie; przyczyną ich zachowania było coś, co tkwiło w nich samych, co jest wrodzone i subtelne, i wieczne. Nie twierdzę stanowczo, że załoga francuskiego lub niemieckiego okrętu nie mogła tego zrobić, ale wątpię, czy zrobiłaby to w ten sposób. Była w tym jakaś skończoność, coś, co równie jest mocne jak zasada i równie potężne jak instynkt — ujawnienie czegoś tajnego, ukrytego — tego daru dobra czy zła, który stanowi o rasie, który kształtuje los narodów.

Właśnie tej nocy o dziesiątej ujrzeliśmy po raz pierwszy ogień, któryśmy zwalczali. Znaczna szybkość, jaką rozwinął statek podczas holowania, rozdmuchała tlejące zarzewie. Niebieskie światło ukazało się na przodzie błyszcząc pod wrakiem pokładu. Chwiało się płatami, zdawało się poruszać i pełzać jak światło świętojańskiego robaczka. Spostrzegłem je pierwszy i powiedziałem o tym Mahonowi.

— No, to już wszystko skończone — rzekł. — Dajmy lepiej pokój temu holowaniu, bo inaczej statek wybuchnie nagle z tyłu i z przodu, zanim zdążymy uciec.

Okrzyknęliśmy się głośno; zaczęliśmy dzwonić, aby zwrócić uwagę ludzi z parowca; nic z tego, holowali nas w dalszym ciągu. Wreszcie Mahon i ja musieliśmy popełznąć na bak i przeciąć linę toporem. Nie było czasu na odwiązywanie postronków. Pokazywały się już czerwone języki liżące gąszcz szczap pod naszymi nogami, gdyśmy wracali na rufę.

Oczywiście na parowcu spostrzeżono prędko, że lina znikła. Rozległ się głośny gwizd, światła parowca zatoczyły

rozległe półkole, statek zbliżył się do nas i zatrzymał burta w burtę. Staliśmy wszyscy zbitą gromadką na rufie i patrzyliśmy na niego. Każdy majtek wyratował niewielkie zawiniątko lub torbę. Nagle stożkowaty płomień o skręconym czubie strzelił w górę nad bakiem i rzucił na czarne morze krąg światła naokoło tych dwóch statków, kołyszących się z lekka obok siebie. Kapitan Beard siedział od wielu godzin na okratowaniu, milczący i nieruchomy; teraz dźwigał się powoli i wysunął na czoło naszej gromadki, aż do want[21] masztu tylnego. Kapitan Nash zawołał:

— Chodźcie do nas! Spieszcie się. Mam na statku worki z pocztą. Zabiorę was i wasze łodzie do Singapuru.

— Nie, dziękuję panu — rzekł nasz szyper. — Musimy dotrwać aż do końca.

— Nie mogę zostać z wami ani chwili dłużej — krzyknął tamten. — Poczta — pan rozumie.

— Tak, naturalnie. Nic nam nie trzeba.

— Doskonale! Doniosę o was w Singapurze. Do widzenia!

Skinął ręką na pożegnanie. Nasi ludzie położyli spokojnie węzełki. Parowiec posunął się naprzód i wyszedłszy z kręgu światła znikł natychmiast z naszych oczu oślepionych przez ogień palący się gwałtownie. I wówczas już wiedziałem, że ujrzę wschód po raz pierwszy jako dowódca małej łódki. Wydało mi się to piękne; wierność dla starego statku była też piękna. Obowiązek wymagał, aby dotrwać na nim do końca. O blasku młodości! O młodzieńczy ogniu, który olśniewasz bardziej niż płomienie palącego się statku i

rzucasz czarodziejską jasność na szeroką ziemię, i skaczesz zuchwale w niebo — póki wnet ciebie nie stłumi czas, bardziej okrutny i bezlitosny, bardziej gorzki niż morze — młody ogniu. Jak płomienie palącego się statku otoczony nieprzeniknioną nocą.

*

Stary upominał nas w swój łagodny i nieugięty sposób, że obowiązek wymaga, aby ocalić ze sprzętów okrętowych, ile tylko się da — dla akcjonariuszy. Tedy poszliśmy pracować na rufę, a okręt palił się od przodu, aby dostarczyć nam światła pod dostatkiem. Powyciągaliśmy mnóstwo rupieci. Czego tam nie było! Stary barometr, przymocowany idiotyczną ilością śrubek, kosztował mię prawie życie: dym ogarnął mnie nagle i ledwie zdążyłem uciec. Były tam różne zapasy, bale żaglowego płótna, zwoje lin: rufa wyglądała jak jaki bazar morski, a łódki były zapchane aż po burty. Mogło się zdawać, że stary chciał zabrać, ile tylko się dało, ze swego pierwszego dowództwa! Był bardzo, bardzo spokojny, tyko najwidoczniej stracił równowagę. Czy uwierzycie? Chciał zabrać do szalupy kawał łańcucha od zapasowej kotwicy i kotwicę zawozową[22]. Odpowiadaliśmy z szacunkiem: — „Dobrze, dobrze, panie kapitanie” — i po cichu spuszczaliśmy różne przedmioty za burtę. Ciężka skrzynia z lekarstwami poszła tą drogą, dwa worki zielonej kawy, puszki z farbą — wyobraźcie sobie, puszki z farbą! — całe mnóstwo rzeczy. Potem dostałem rozkaz, aby z dwoma

ludźmi wsiąść do łodzi, wszystko uporządkować i trzymać się w pogotowiu czekając na chwilę, gdy trzeba będzie statek opuścić.

Doprowadziliśmy wszystko do ładu, ustawiliśmy w szalupie maszt dla naszego szypra, który miał objąć nad nią komendę; wtedy z przyjemnością usiadłem sobie na chwilę. Nie miałem naskórka na twarzy, członki bolały mię jak połamane, czułem wszystkie żebra i byłbym przysiągł, że mam przetrącony krzyż. Łódki tuż za rufą leżały w głębokim cieniu, a naokoło widziałem krąg morza oświetlony przez ogień. Olbrzymi płomień wznosił się nad bakiem, prosty i jasny. Płonął gwałtownie wśród szmerów podobnych do trzepotu skrzydeł, wśród dudnienia podobnego do grzmotów. Rozlegały się trzaski, huki, ze stożkowatego ognia leciały w górę iskry — jako że człowiek rodzi się dla trosk, dla borykania się z cieknącymi statkami i ze statkami, które się palą.

Okręt leżał bokiem do fali i do wiatru — który ledwie, ledwie że dmuchał — a najwięcej niepokoiło mnie to, że łódki nie chciały się trzymać za rufą, gdzie były bezpieczne, ale z bezmyślnym uporem właściwym łódkom pchały się pod konchę, aby się potem kołysać wzdłuż burty. Plątały się niebezpiecznie to tu, to tam, zbliżając się do ognia, a okręt najeżdżał na nie i oczywiście groziło nam wciąż, że maszty zwalą się lada chwila za burtę. Ja i dwóch moich majtków odpychaliśmy łódki w miarę sił wiosłami i bosakami, ale zaczęło mnie to wreszcie złościć, tym bardziej że nic nie stało na przeszkodzie natychmiastowemu odjazdowi. Nie

mogliśmy dojrzeć ludzi na pokładzie ani odgadnąć, co było przyczyną zwłoki. Majtkowie klęli pod nosem, a ja nie tylko musiałem odrabiać swoją część pracy, ale i przynaglać do niej dwóch ludzi, którzy zdradzali nieustanną skłonność do położenia się i machnięcia ręką na wszytko.

Wreszcie zawołałem:

— Hej tam, na pokładzie! — Ktoś wyjrzał zza burty. — Jesteśmy gotowi — rzekłem.

Głowa znikła i bardzo prędko wysunęła się znowu.

— Pan kapitan mówi, że to bardzo dobrze i żeby trzymać łódki z daleka od statku.

Minęło pół godziny. Nagle rozległ się straszny hałas, grzechot, brzęk łańcuchów, syk wody, i miliony iskier wzleciały w chybotliwą kolumnę dymu, która stała z lekka pochylona nad okrętem. Żurawiki kotwiczne spłonęły i dwie rozpalone do czerwoności kotwice poszły na dno, wyszarpując za sobą dwieście sążni rozpalonego do czerwoności łańcucha. Okręt zadrżał, masa płomieni zakołysała się, jakby miała się zapaść, i szczyt masztu przedniego runął. Poleciał w dół jak ognista strzała, zanurzył się w wodzie i wyskoczywszy natychmiast na powierzchnię o długość wiosła od łódek, płynął spokojnie, bardzo czarny na jaśniejącym morzu. Okrzyknąłem znów pokład. Po pewnym czasie jeden z ludzi na statku oznajmił mi nadspodziewanie wesołym, a zarazem stłumionym głosem, jakby usiłował mówić z zamkniętymi ustami:

— Zaraz zejdziemy, panie poruczniku — po czym znikł.

Przez długi czas nie dochodziło nic do moich uszu prócz łopotu i huku ognia. Słychać było także poświaty. Łodzie podskakiwały, targając linami, wjeżdżały na siebie żartobliwie, zdarzały się bokiem lub wbrew wszystkim naszym wysiłkom kołysały się gromadką pod burtą okrętu. Nie mogłem już dłużej tego wytrzymać i wdrapawszy się po linie dostałem się na rufę.

Było jasno jak w dzień. Wszedłem na pokład; ściana ognia naprzeciw mnie wydała mi się czymś przerażającym, a gorąco z początku było prawie nie do zniesienia. Na poduszce przywleczonej z kanapy w kajucie spał kapitan Beard ze skulonymi nogami, podłożywszy ramię pod głowę, a światło igrało po nim. Czy wiecie, czym była zajęta reszta ludzi? Siedzieli na pokładzie, na samej rufie, wkoło otwartej paki, i jedli chleb z serem popijając porter z butelek.

Na tle płomieni, wijących się we wściekłych językach nad głowami, zdawali się czuć u siebie jak salamandry i wyglądali na bandę desperackich korsarzy. Ogień iskrzył się w białkach ich oczu, połyskiwał na płatach białej skóry wyglądającej przez podarte koszule. Każdy miał na sobie ślady jak gdyby bitwy — głowy były obandażowane, ramiona podwiązane, kolana obwinięte w brudne szmaty — i każdy trzymał między nogami butelkę, a w garści pajdę sera. Mahon podniósł się. Ze swą piękną, awanturniczą głową, profilem o garbatym nosie, długą białą brodą i odkorkowaną butelką w ręku podobny był do jakiegoś zuchwałego korsarza z dawnych czasów, weselącego się wśród gwałtów i zniszczenia.

— Ostatni posiłek na pokładzie — wyjaśnił uroczyście. — Nie mieliśmy nic w ustach przez cały dzień i po co tu to wszystko zostawiać. — Machnął butelką, wskazując na śpiącego szypra. — Powiedział, że nie może nic przełknąć, więc namówiłem go, żeby się położył — ciągnął dalej; a widząc, że się w niego wpatruję, dodał: — Nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę, mój młody panie, że ten człowiek nie spał już porządnie od wielu dni, a w łodziach diabelnie trudno będzie o sen.

— Wkrótce już wcale łodzi nie stanie, jeśli będziecie tu jeszcze dłużej błaznować — rzekłem z oburzeniem.

Zbliżyłem się do szypra i potrząsnąłem go za ramię. Otworzył w końcu oczy, ale się nie poruszył.

— Czas opuścić statek, panie kapitanie — powiedziałem spokojnie.

Dźwignął się z trudnością, spojrzał na płomienie, na morze iskrzące się wokoło statku, a dalej czarne, czarne jak atrament; spojrzał na gwiazdy świecące niewyraźnie przez cienką zasłonę dymu na niebie czarnym, czarnym jak Ereb[23].

— Najpierw najmłodsi — rzekł.

Zwyczajny majtek, obtarłszy usta wierzchem dłoni, wstał, przelazł przez burtę i zniknął. Inni poszli jego śladem. Jeden zatrzymał się u burty, wysączył do dna butelką i rzucił ją w ogień z wielkim rozmachem.

— Weź to! — krzyknął.

Kapitan ociągał się, niepocieszony; zostawiliśmy go, aby obcował przez chwilę sam na sam z pierwszym swoim

dowództwem. Potem wspiąłem się znów na pokład i uprowadziłem go wreszcie. Czas naglił. Żelastwo na rufie było gorące przy dotknięciu.

Potem lina szalupy została odcięta i wszystkie trzy łódki związane razem oddaliły się z prądem od statku. W chwili gdy opuszczaliśmy okręt, upłynęło dokładnie szesnaście godzin od wybuchu. Mahon objął komendę nad drugą łodzią, a ja miałem najmniejszą — czternastostopową. Szalupa byłaby pomieściła nas wszystkich, ale szyper powiedział, że musimy uratować z okrętowego dobra, ile tylko się da — dla akcjonariuszy — i w taki to sposób objąłem swoje pierwsze dowództwo. Miałem z sobą dwóch ludzi, worek sucharów, kilka puszek z mięsem i beczką wody. Rozkazano mi trzymać się blisko szalupy, aby w razie niepogody mogła nas zabrać.

I wiecie, co pomyślałem? Pomyślałem, że odłączę się od kompanii możliwie najprędzej. Chciałem zachować swoje pierwsze dowództwo wyłącznie dla siebie. Nie śniło mi się żeglować z całym oddziałem, jeśli mi się nadarzy sposobność do samodzielnej przeprawy. Wyląduję sam. Pobiję inne łodzie. Młodości! Wszystko to była młodość! Niemądra, czarowna, wspaniała młodość.

Ale nie wyruszyliśmy od razu. Musieliśmy być obecni przy ostatnich chwilach okrętu. Więc łódki dryfowały tu i tam w ciągu tej nocy, wznosząc się i opadając na falach. Ludzie drzemali, budzili się, wzdychali, jęczeli. Patrzyłem na palący się okręt.

Między ciemnością nieba i ziemi płonął burzliwie na tarczy purpurowego morza pocętkowanej grą krwawych błysków — na wodnej tarczy połyskliwej i ponurej. Wysoki, jasny płomień, olbrzymi i samotny, wznosił się nad oceanem, a z wierzchołka tego płomienia czarny dym płynął wciąż w niebo. Statek palił się gwałtownie, ponury i imponujący jak pogrzebowy stos zażegnięty wśród nocy, otoczony morzem, strzeżony przez gwiazdy. Wspaniała śmierć spłynęła jak łaska, jak dar, jak nagroda na ten stary okręt u kresu jego pracowitych dni. Poddanie się jego znużonego ducha opiece morza i gwiazd było wzruszające niby widok wspaniałego tryumfu. Maszty zwaliły się tuż przed świtem — buchnęła zamieć iskier i przez chwilę wypełniła jak gdyby lotnym ogniem noc cierpliwą i czujną, rozległą noc leżącą cicho na morzu. O brzasku statek był już tylko zwęgloną skorupą, która płynęła spokojnie pod chmurą dymu, z rozżarzoną masą węgla w swym wnętrzu.

Wtedy wyjęliśmy wiosła z wody i łódki ustawiły się szeregiem, okrążając szczątki statku jakby w uroczystym pochodzie, z szalupą na czele. Gdy mijaliśmy rufę, smukły grot ognia strzelił gniewnie w naszą stronę — i nagle okręt poszedł na dno, dziobem naprzód, wśród rozgłośnego syku pary. Niedopalona rufa zanurzyła się na ostatku, lecz farba już z niej opadła, popękała, złuszczyła się; znikły litery i słowa, i uparta dewiza, która była niejako duszą i mogła błysnąć ku wschodzącemu słońcu hasłem statku i jego imieniem.

Skierowaliśmy się na północ. Podniosła się bryza i około dwunastej wszystkie łodzie zeszły się po raz ostatni. Nie miałem w swojej łódce ani masztu, ani żagla, ale zrobiłem maszt ze zbywającego wiosła i zawiesiłem zamiast żagla pokrowiec od szalupy z bosakiem jako reją. Takielunek łodzi był bezsprzecznie za ciężki, lecz cieszyła mnie pewność, że przy pełnym wietrze mogę pobić obie pozostałe łódki. Musiałem na nie poczekać. Potem przyjrzeliśmy się wszyscy mapie kapitana i po wspólnym posiłku z twardego chleba i wody odebraliśmy ostatnie rozkazy. Były bardzo proste: sterować na północ i trzymać się możliwie najbliżej jeden drugiego.

— Ostrożnie z tym prowizorycznym takielunkiem, Marlow — rzekł kapitan, a Mahon — gdy przejeżdżałem dumnie koło jego łodzi — zmarszczył garbaty nos i zawołał:

— Mój panie młody, zajedziesz z tym swoim okrętem na dno, jeśli nie będziesz uważał.

Był to złośliwy starzec — i oby głębokie morze, gdzie śpi teraz, kołysało go łagodnie, kołysało go tkliwie aż po kres wieków!

Przed zachodem ulewny szkwał przeszedł nad tamtymi dwiema łodziami, które zostały daleko za rufą, i wtedy straciłem je z oczu na pewien czas. Następnego dnia siedziałem sterując swoją łupinką — pierwszym swoim dowództwem — a naokoło mnie było tylko niebo i woda. Dostrzegłem po południu górne żagle okrętu w oddali, ale nie powiedziałem nic, a moi ludzie go nie zauważyli. Widzicie, bałem się, że to może być okręt w drodze do

kraju, a nie śniło mi się zawracać od samych wrót Wschodu. Sterowałem w kierunku Jawy — druga błogosławiona nazwa, uważacie — podobnie jak Bangkok. Sterowałem przez wiele dni.

Nie potrzebuję wam mówić, co to jest poniewieranie się po morzu w otwartej łodzi. Pamiętam dni i noce zupełnej ciszy, kiedyśmy wiosłowali, wiosłowali, a łódka zdawała się stać na miejscu, jakby spętana czarem w obręczy morskiego horyzontu. Pamiętam upał, potopy nawałnic, które pod grozą śmierci zmuszały nas do wylewania bez tchu wody z łódki (lecz napełniały naszą beczkę), i pamiętam w końcu szesnaście godzin, w ciągu których z ustami wyschniętymi na żużel stawiałem czoło zbałwanionemu morzu na swym pierwszym dowództwie. Nie miałem przedtem pojęcia, jak dzielnym jestem człowiekiem. Pamiętam zapadnięte twarze, zgnębione postawy moich dwóch ludzi, pamiętam swoją młodość i uczucie, które już nigdy nie wróci — uczucie, że będę trwał wiecznie, że przetrwam morze, ziemię i wszystkich ludzi; złudne uczucie, które wabi nas do radości, do niebezpieczeństw, do miłości, do próżnych wysiłków — do śmierci; tryumfalne poczucie siły — gorączkę życia w garstce prochu, a w sercu żar, który z każdym rokiem słabnie, ochładza się, zmniejsza, gaśnie — i zamiera — za wcześnie, za wcześnie — przed wygaśnięciem życia.

Tak oto widzę zawsze Wschód. Poznałem później tajne jego zakątki i patrzyłem mu w samą duszę, ale teraz widzę go zawsze z małej łódeczki: zarys wysokich gór, modrych i

dalekich o poranku; podobnych do nikłej mgły w południe; stojących o zachodzie jak poszczerbiony mur z purpury. Czuję w ręku wiosło, w oczach mam palący błękit morza. I widzę zatokę — rozległą zatokę gładką jak szkło i polerowaną jak lód — która połyskuje wśród ciemności. Czerwone światło pali się daleko wśród mroku wybrzeża, noc jest łagodna i ciepła. Wiosłujemy z trudem obolałymi ramionami i nagle powiew wiatru wyłania się z cichej nocy, powiew słaby, letni, nasycony dziwnymi zapachami kwiatów, aromatem wonnego drzewa — pierwszy oddech Wschodu na mojej twarzy. Nigdy tego nie zapomnę. Było to nieuchwytne — a ujarzmiało jak czar, jak szept — zapowiedź tajemniczej rozkoszy.

Podczas ostatniego etapu wiosłowaliśmy jedenaście godzin. Dwóch wiosłowało, a ten, na którego wypadł odpoczynek, siedział przy rudlu[24]. Dostrzegliśmy czerwone światło w zatoce i sterowaliśmy w jego kierunku, odgadując, że oznacza zapewne jakiś mały port nadbrzeżny. Minęliśmy dwa cudzoziemskie okręty o wysokich rufach, śpiące na kotwicy, i zbliżając się do światła — bardzo obecnie przyćmionego — uderzyliśmy dziobem o koniec sterczącego pomostu. Byliśmy ślepi ze zmęczenia. Moi ludzie puścili wiosła i zsunęli się z ławek jak nieżywi. Przymocowałem łódkę do słupa. Jakiś prąd szemrał łagodnie. Pachnący mrok wybrzeża skupił się w wielkie masy; były to zapewne zwarte, olbrzymie kępy roślinności — owe kształty nieme i fantastyczne. U ich podnóża łuk brzegu majaczył jak złudzenie. Ani światła, ani ruchu, ani

dźwięku. Oto przede mną Wschód pełen tajemnic, wonny jak kwiat, cichy jak śmierć, mroczny jak grób.

I siedziałem, znużony nad wszelki wyraz, tryumfujący jak zdobywca, rozbudzony i porwany zachwytem, jakbym miał przed sobą głęboką zagadkę kryjącą w sobie przeznaczenie.

Miarowy plusk wioseł rozległ się na poziomie wód, wyolbrzymiony przez ciszę wybrzeża do rozgłośnego chlupotu. Skoczyłem na nogi. Zbliżała się łódź, europejska łódź. Wezwałem imienia zmarłego okrętu; okrzyknąłem się:

— Hej, na „Judei”! — Odpowiedział mi nikły głos.

Był to kapitan. Wyprzedziłem łódź dowódcy o trzy godziny i cieszyłem się, że słyszę znowu głos starego, drżący i znużony.

— To pan, Marlow?

— Niech pan uważa na koniec tego pomostu, panie kapitanie — odkrzyknąłem.

Podpłynął ostrożnie i przycumował łódź za pomocą głębokowodnej ołowianki, którą uratowaliśmy — dla akcjonariuszy. Oddałem nieco swojej liny i znaleźliśmy się burta w burtę. Siedział u steru w zgnębionej postawie, mokry od rosy, z rękoma splecionymi na kolanach. Jego ludzie już spali.

— Okropną miałem przeprawę — szepnął. — Mahon jest za nami, nie tak daleko.

Rozmawialiśmy szeptem, cichym szeptem, jakbyśmy się bali obudzić ów kraj. Armaty, gromy, trzęsienia ziemi nie zbudziłyby naszych ludzi.

Rozglądając się podczas rozmowy, zobaczyłem daleko na morzu jasne światło wędrujące wśród nocy.

— O, parowiec mija tam zatokę — rzekłem.

Ale nie minął zatoki, tylko wszedł do niej, a nawet zbliżył się tuż i zapuścił kotwicę.

— Chciałbym — rzekł stary — żeby się pan dowiedział, czy to statek angielski. Może by mógł nas gdzie zawieźć.

Kapitan wydał mi się zdenerwowany i niespokojny. Za pomocą okładania pięściami i kopania wprawiłem jednego z moich ludzi w stan somnambulizmu, dałem mu wiosło, sam wziąłem drugie i skierowaliśmy się ku światłom parowca.

Słychać tam było gwar głosów, metaliczne, głuche szczęki z maszynowni, kroki na pokładzie. Iluminatory jaśniały, okrągłe jak wytrzeszczone oczy. Krążyły postacie, a wysoko na mostku tkwił niewyraźny zarys człowieka. Ten człowiek usłyszał moje wiosła.

I wówczas, nim jeszcze zdążyłem otworzyć usta, przemówił do mnie Wschód — ale przemówił w zachodnim języku. Potok słów został wylany w zagadkową, groźną ciszę; obcych, gniewnych słów, zmieszanych ze słowami i nawet całymi zdaniami w poprawnym języku angielskim, co było mniej obce, lecz jeszcze bardziej zdumiewające. Głos ten klął i wymyślał gwałtownie; podziurawił gradem przekleństw uroczysty spokój zatoki. Zaczął od nazwania mnie świnią i od tego epitetu przeszedł *crescendo* do niedających się powtórzyć przymiotników — angielskich. Ów człowiek na górze pienił się głośno w dwóch językach z taką szczerością w swej pasji, iż przekonał mię prawie, że

popełniłem jakiś grzech przeciw harmonii wszechświata. Z trudem mogłem go dojrzeć, ale przyszło mi na myśl, że doprowadzi się do jakiegoś ataku.

Nagle zamilkł. Usłyszałem, że prycha i sapie jak delfin. Rzekłem:

— Co to za parowiec, proszę pana?

— Co? Co takiego? Kto pan jesteś?

— Jesteśmy załogą rozbitków z angielskiej barki, która się spaliła na morzu. Dobiliśmy tu dziś wieczór. Jestem drugim oficerem. Kapitan znajduje się w szalupie i chciałby wiedzieć, czy by pan nie mógł nas gdzie zabrać.

— Ach, Boże drogi! Doprawdy że... To jest „Celestial” z Singapuru w powrotnej drodze. Porozumiem się z waszym kapitanem jutro rano... i... tego... czy pan mnie słyszał przed chwilą?

— Zdaje mi się, że cała zatoka pana słyszała.

— Myślałem, że to łódź z wybrzeża. Niechże pan posłucha: ten przeklęty wałkoń, łotr — strażnik portowy — znów się pospał — niech go wszyscy diabli! światło zgasło i o mało co nie wpakowałem się na koniec tego, psiakrew, pomostu. Już trzeci raz urządza mi taki kawał. A teraz pytam się pana, czy mógłby kto znieść coś podobnego? To wystarcza, żeby człowieka doprowadzić do wariacji. Zrobię na niego raport... Doprowadzę do tego, że pomocnik rezydenta wyrzuci go do diabła! Niech pan patrzy — nie ma światła. Zgasło, tak czy nie? Biorę pana na świadka, że światło zgasło. Powinno tam być światło, przecież pan wie. Czerwone światło na...

— Tam było światło — rzekłem łagodnie.

— Ale przecież zgasło, człowieku! Co panu przyjdzie z takiego gadania? Sam pan widzi, że zgasło — może nie? Gdyby pan musiał prowadzić porządny parowiec wzdłuż tego zatraconego wybrzeża, potrzebowałby pan także światła. Dam mu takiego kopniaka, że poleci z końca na koniec swojego nędznego pomostu. Zobaczy pan, że to zrobię. Ja go...

— Więc mogę powiedzieć mojemu kapitanowi, że pan nas zabierze? — wtrąciłem.

— Dobrze, zabiorę was. Dobranoc — rzekł szorstko.

Wróciłem, przywiązałem łódź do pomostu i nareszcie położyłem się spać. Poznałem już ciszę Wschodu. Słyszałem urywki wschodniego języka. Ale gdym znów otworzył oczy, cisza była tak wielka, jakby nikt jej nigdy nie mącił. Leżałem w powodzi światła, a niebo nigdy jeszcze nie wydało mi się takie dalekie, takie wyniosłe. Otworzyłem oczy, leżąc wciąż bez ruchu.

I wówczas zobaczyłem ludzi Wschodu — patrzyli na mnie. Pomost — jak długi — zapełniony był ludźmi. Widziałem brunatne, brązowe, żółte twarze, czarne oczy, połysk i barwę wschodniego tłumu. A wszystkie te istoty patrzyły we mnie bez szeptu, bez westchnienia, bez ruchu. Wpatrywały się w łódki na dole, w śpiących ludzi, którzy nocą przybyli do nich z morza. Nic się nie poruszało. Pędy palm odcinały się spokojnie na tle nieba. Wzdłuż brzegu nie drgnęła ani jedna gałązka, a brunatne dachy ukrytych domów widać było zza zielonego listowia, zza wielkich liści,

które zwisały, błyszczące i nieruchome jak liście wykute z ciężkiego metalu. To był zaiste Wschód dawnych żeglarzy, taki stary, taki tajemniczy, wspaniały i chmurny, żywy i niezmieniony, pełen niebezpieczeństw i obietnic. A oto byli jego ludzie. Siadłem nagle. Fala ruchu przebiegła po tłumie od końca do końca wzdłuż szeregu głów, zakołysała ciałami, przemknęła po pomoście jak zmarszczka po wodzie, jak powiew wiatru po polu — i wszystko znów zamarło. Widzę to w tej chwili — rozległy łuk zatoki, błyszczący piasek, przepych zieleni bogatej i różnorodnej, morze błękitne jak w marzeniu, tłum uważnych twarzy, blask jaskrawych barw — wodę odbijającą to wszystko, wygięcie brzegu, pomost, statek krajowców o wysokiej rufie, tkwiący wciąż na wodzie, i trzy łódki ze znużonymi ludźmi z zachodu, pogrążonymi we śnie, nieświadomymi tego kraju i ludu, i gwałtownego blasku słońca. Spali porozkładani w poprzek ławek, zwinięci w kłębek na belkach dna, w niedbałych pozach śmierci. Głowa starego szypra, rozpartego w rufie szalupy, opadła na piersi: wyglądał, jakby nigdy już nie miał się zbudzić. Dalej znów twarz starego Mahona zwrócona była ku niebu, długa biała broda rozpostarła mu się na piersi — zdawało się, że został zastrzelony tam u rudla; a jakiś majtek, skuliwszy się w dziobie łodzi, spał, obejmując ramionami głowicę stewy przedniej[25], z policzkiem przytulonym do burty. Wschód patrzył na nich w głuchym milczeniu.

Poznałem później czar Wschodu; zobaczyłem tajemnicze brzegi, cichą wodę, kraje brunatnych ludów, gdzie Nemezis

czyha w ukryciu, ściga, dopada tak wielu z rasy zwycięskiej, pyszniącej się swą mądrością, swą wiedzą, swą siłą. Ale dla mnie cały Wschód zawarł się w tej wizji mojej młodości. Mieści się cały w owej chwili, gdy otworzyłem nań młode oczy. Dotarłem do niego po ciężkiej walce z morzem — i byłem młody — i zobaczyłem, że patrzy na mnie. I oto wszystko, co z tego pozostało! Tylko chwila; chwila siły, romantyzmu, porywającej złudy — młodości!... Błysk słońca na obcym wybrzeżu, trochę czasu, aby wspomnieć, aby westchnąć i — żegnajcie! — Noc — Żegnajcie...!

Wypił.

— Ach! Te dawne, dobre czasy — dawne, dobre czasy. Młodość i morze. Porywający czas złudy — i morze! Dobre, silne morze — słone, gorzkie morze, które szepcze do ciebie i ryczy na ciebie, i wydziera ci ostatni dech.

Wypił znowu.

— I jakże rozstrzygnąć, czy tkwiło to w morzu, jak mi się zdaje, w samym morzu, czy też w samej młodości? Któż to wie? Ale wy wszyscy tutaj, którzyście mieli coś z życia: pieniądze, miłość — to, co daje ląd — powiedzcie mi: czyż to nie najlepsze nasze czasy, gdyśmy — młodzi — byli na morzu; młodzi i nic niemający, na morzu, które nie daje nic prócz ciężkich razów, tylko czasem sposobność odczucia swej siły — jedynie to, czego wam wszystkim żal?

I skinęliśmy wszyscy głowami: człowiek od finansów, człowiek od rachunków, człowiek od prawa — skinęliśmy potakująco głowami nad gładkim stołem, który jak cicha tafla brunatnej wody odbijał nasze twarze, pocięte,

pomarszczone; nasze twarze znaczone przez znój, przez doznane zawody, przez powodzenie, przez miłość; nasze zmęczone oczy wyglądające wciąż, wyglądające zawsze, wyglądające niespokojnie czegoś od życia, które już nas minęło — oczekujących — przeszło niespostrzeżenie w westchnieniu, w błysku — razem z młodością i siłą, i romantyzmem złudzeń.

Jądro ciemności

I

Jacht krążowniczy „Nellie” obrócił się na kotwicy bez najlżejszego trzepotu żagli i stanął bez ruchu. Przypływ się skończył, wiatr ucichł prawie zupełnie, a że jacht kierował się w dół rzeki, nie pozostawało nic innego, tylko zatrzymać się i czekać odpływu.

Przymorski obszar Tamizy rozciągał się przed nami jak początek nieskończonego wodnego szlaku. Morze i niebo w oddali spajały się z sobą bez śladu, a w świetlistej przestrzeni wysuszone na słońcu żagle szkut[26], dryfujących w górę z przypływem, zdawały się tkwić spokojnie w kępkach czerwonych, mocno napiętych płócien, błyskając pokostowanymi rejkami[27]. Na niskich brzegach stała mgła, ścieląca się ku morzu coraz cieńszą warstwą. Powietrze było ciemne nad Gravesend, a jeszcze dalej w głąb zdawało się zgęszczać w ponury mrok, skupiony w posępnym bezruchu nad najbardziej rozległym i najpotężniejszym miastem świata.

Naszym kapitanem i gospodarzem był dyrektor różnych towarzystw. Wszyscy czterej spoglądaliśmy ku niemu serdecznie, gdy stał na baku[28] tyłem do nas, patrząc w stronę morza. Na całej rzece nie było nikogo, kto by choć w części wyobrażał postać tak wybitnie marynarską. Przypominał pilota, który dla marynarza jest wcieleniem tego, co zasługuje na najwyższe zaufanie. Trudno było sobie

wyobrazić, że teren jego pracy nie leży het tam, u świetlanego ujścia rzeki, lecz w górze Tamizy, wśród posępnego mroku.

Jednoczyła nas — jak już gdzieś powiedziałem — więź morza. Nie tylko że nie pozwalała, abyśmy o sobie zapomnieli w czasie długich okresów rozstania, ale uczyła nas wzajemnej pobłażliwości dla naszych opowiadań, a nawet poglądów. Prawnik — najmilszy z towarzyszy — miał ze względu na pokaźną ilość lat i cnót jedyną poduszkę na pokładzie i leżał na jedynej derce[29]. Buchalter[30] wydobył już pudełko z dominem i zabawiał się ustawianiem domków z kostek. Marlow siedział, skrzyżowawszy nogi, w głębi rufy, oparty o tylny maszt. Miał zapadłe policzki, żółtą cerę, proste plecy, wygląd ascety, a ze swymi obwisłymi ramionami i rękami leżącymi na kolanach dłonią ku górze podobny był do bożka. Dyrektor upewniwszy się, że kotwica dobrze trzyma, przyszedł na rufę i zasiadł między nami. Zamieniliśmy leniwie kilka słów. Potem zapadło na jachcie milczenie. Dla jakiejś tam przyczyny nie rozpoczynaliśmy partii domina. Opanowała nas zaduma i byliśmy zdolni tylko do spokojnego patrzenia przed siebie. Dzień się kończył wśród cichej pogody, wspaniałej, nieskazitelnej. Woda jaśniała spokojnie, niebo bez żadnej plamki było dobrotliwym bezmiarem nieskalanego światła; nawet mgły na mokradłach Essexu wyglądały jak zwiewna, promienista tkanina, która zawisła z lesistych wyniosłości w głębi lądu, układając się na niskich brzegach w fałdy przejrzystej draperii. Tylko ku zachodowi mrok tkwił posępnie nad

górnym biegiem rzeki i ściemniał się z każdą minutą, jakby rozgniewany zbliżaniem się słońca.

Wreszcie słońce zsunęło się nisko, zakreślając niedostrzegalny łuk, i od gorejącej białości przeszło w ciemną czerwień bez promieni i bez ciepła, jakby miało nagle zagasnąć, rażone śmiercią przy zetknięciu z owym mrokiem ścielącym się posępnie nad ciżbą ludzi.

Woda zmieniła oblicze natychmiast, a pogodna jasność stała się mniej świetna, lecz jakby głębsza. Stara rzeka, rozlana szeroko, wypoczywała bez ruchu u schyłku dnia — po całych wiekach dzielnej służby u rasy zaludniającej jej brzegi — rozpostarta spokojnie w swej godności wodnego szlaku wiodącego do najdalszych krańców ziemi. Nie patrzyliśmy na czcigodną rzekę przelotnym spojrzeniem krótkiego dnia, który zjawia się i odchodzi na zawsze, ale widzieliśmy ją w dostojnym świetle trwałych wspomnień. I zaiste, nic łatwiejszego dla ludzi, którzy — jak to się mówi — „poświęcili się morzu” z szacunkiem i przywiązaniem, niż wywołać wielkiego ducha przeszłości na przymorskim obszarze Tamizy. Przypływ i odpływ biegną tam i z powrotem w nieustającej służbie, przepełnione wspomnieniami o okrętach i ludziach, których niosły ku domowemu wytchnieniu lub ku walkom na morzach. Prądy te znały wszystkich mężów, którymi szczyci się naród, i służyły im wszystkim — od sir Francisa Drake’a[31] do sir Johna Franklina[32] — rycerzom utytułowanym lub nie, wielkim błędnym rycerzom morza. Prądy te dźwigały wszystkie statki, których imiona są jak drogocenne

kamienie błyszczące w pomroce wieków, od „Złotej Łani[33]” powracającej z łonem pełnym skarbów — statku, co po odwiedzinach jej królewskiej mości znika z gigantycznej opowieści — aż do „Erebu” i „Terroru”[34], które puściły się na inne podboje, aby nigdy nie wrócić. Prądy te znały i okręty, i ludzi. Znały tych, co wypłynęli z Deptford, z Greenwich, z Erith — awanturników i osadników; znały okręty królewskie i okręty finansistów, kapitanów, admirałów, znały ciemne figury z handlu ze Wschodem i upełnomocnionych „generałów” wschodnio-indyjskich flot. Łowcy złota lub łowcy sławy, wszyscy płynęli tą rzeką dzierżąc miecz, a często i pochodnię — wysłannicy potęgi z głębi kraju, niosący iskry świętego ognia. Któraż wielkość nie płynęła z prądem tej rzeki, dążąc ku tajemnicy nieznanych ziem!... Marzenia ludzkie, nasiona rzeczypospolitych, zarodki cesarstw.

Słońce zaszło, zmierzch padł na rzekę i światła zaczęły się ukazywać wzdłuż brzegu. Latarnia morska Chapmana, stojąca na trzech nogach wśród błotnej ławicy, rzucała silny blask. Okrętowe światła dążyły żeglownym szlakiem — odbywał się wielki ruch światełek w górę i w dół rzeki. A dalej na zachód, nad górnym biegiem, leże miasta-olbrzyma znaczyło się wciąż złowieszczo na niebie — posępną mgłą w słońcu, mętnym blaskiem pod gwiazdami.

— A i to miejsce — rzekł nagle Marlow — było ongi jednym z mrocznych zakątków ziemi.

On jeden jedyny spośród nas wciąż jeszcze „służył na morzu”. Najgorszy zarzut, jaki mógł spotkać Marlowa, to że

nie był on typowym przedstawicielem swego zawodu. Był marynarzem, ale był również wędrowcem, gdy tymczasem większość marynarzy prowadzi, jeśli można się tak wyrazić, życie osiadłe. Ich usposobienie należy do kategorii domatorskich, a dom zawsze jest z nimi — okręt; tak samo jak ich kraj — morze. Jeden okręt jest bardzo podobny do drugiego, a morze zawsze jest jednakowe. Wśród niezmienności otoczenia obce wybrzeża, obce twarze, zmienny ogrom życia, przesuwają się koło nich przesłonięte bynajmniej nie poczuciem tajemnicy, lecz nieco pogardliwą niewiedzą; gdyż nie ma dla marynarza nic tajemniczego — chyba samo morze, które jest władcą jego istnienia, władcą równie niezbędnym jak los. Co zaś do reszty świata, przypadkowy spacer poza godzinami służby lub przypadkowa pijatyka na wybrzeżu wystarcza, aby odsłonić przed marynarzem tajemnicę całego kontynentu, i marynarz uważa na ogół, że tajemnica nie była warta poznania. Opowiadania żeglarzy są proste, bezpośrednie i zbytkiem sensu nie grzeszą. Lecz Marlow nie był typowym żeglarzem (wyjąwszy jego skłonność do opowiadań) i według niego sens jakiegoś epizodu nie tkwił w środku jak pestka, lecz otaczał z zewnątrz opowieść, która tylko rzucała nań światło — jak blask oświetla opary — na wzór mglistych aureoli widzialnych czasem przy widmowym oświetleniu księżyca.

Uwaga Marlowa nie zaskoczyła nas wcale. To było zupełnie w jego stylu. Przyjęliśmy ją w milczeniu. Nikt nie

zdobył się nawet na mruknięcie, a on wkrótce zaczął znów mówić powoli:

— Mam na myśli bardzo dawne czasy, kiedy Rzymianie przybyli tu po raz pierwszy, tysiąc dziewięćset lat temu — wczoraj... Światło biło później z tej rzeki — wspominaliście o rycerzach? Tak, ale to wszystko jest jak blask przebiegający równiną, jak błyskawica wśród chmur. Żyjemy w tym blasku — oby trwał, póki stara ziemia toczyć się będzie! Lecz wczoraj była tu ciemność. Wystawcie[35] sobie uczucia dowódcy pięknej — jak to się nazywało? — tryremy[36] na Morzu Śródziemnym, dowódcy odkomenderowanego nagle na północ: przebiega Galię w pośpiechu; powierzają mu jeden z tych statków, które legioniści — musieli to być cudowni ludzie i bardzo obrotni — budowali, jak się zdaje, całymi setkami w przeciągu miesiąca lub dwóch, jeśli można wierzyć temu, co się czyta. Wyobraźcie go sobie tam: istny koniec świata, morze barwy ołowiu, niebo barwy dymu, okręt o zwartości concertiny[37] — a dowódca prowadzi go w górę rzeki, wioząc zapasy czy rozkazy, czy co tam chcecie. Ławice piasku, bagna, lasy, dzicy ludzie, znikoma ilość pożywienia odpowiedniego dla cywilizowanego człowieka, a do picia nic prócz wody w Tamizie. Falerneńskiego wina[38] ani śladu; wysiadać na brzeg nie można. Tu i tam obóz wojskowy zagubiony w dziczy jak igła w kopcu siana — zimno, mgła, burze, choroby, wygnanie i śmierć czatująca w powietrzu, w wodzie, w gąszczu. Musieli tu ginąć jak muchy. Ale z pewnością dowódca poprowadził bardzo dobrze tę

wyprawę, niewiele o tym myśląc — chyba później, kiedy się chełpił wszystkim, co przeszedł swojego czasu. Byli to ludzie dość mężni, by stawić czoła ciemności. A może takiemu dowódcy dodawała ducha nadzieja, że dostanie się z czasem do floty w Rawennie — jeśli miał dobrych przyjaciół w Rzymie i jeśli wytrzymał straszny klimat.

Albo wyobraźcie sobie, że przyzwoity, młody obywatel w todze — może cokolwiek za gorliwie uprawiający grę w kości — zjawia się tutaj w świcie jakiegoś prefekta[39] albo poborcy podatków, albo wreszcie kupca, by poprawić swój los. Ląduje na trzęsawisku, maszeruje przez lasy i osiadłszy na jakiejś placówce w głębi lądu czuje, że dzicz, ostateczna dzicz zamknęła się wkoło niego — tajemnicze życie dziczy, które tętni w lesie, w dżungli, w sercach dzikich ludzi. Nie ma wtajemniczenia w takie misteria. Nasz obywatel musi żyć pośród niepojętego, które jest także czymś obrzydłym. A jednocześnie to niepojęte ma czar, który zaczyna na niego działać. Czar ohydy, rozumiecie? Wyobraźcie sobie rosnący w tym człowieku żal, pragnienie ucieczki, bezsilny wstręt, poddanie się, nienawiść.

Zamilkł.

— Zważcie — zaczął znów i siedząc ze skrzyżowanymi nogami podniósł rękę obróconą dłonią na zewnątrz, zupełnie jak Budda nauczający w europejskim ubraniu i bez lotosu — zważcie, że żaden z nas nie czułby tego samego. Ratuje nas wiara w skuteczność naszej pracy — poświęcenie się dla niej. Ale tamci ludzie nie przedstawiali doprawdy nic nadzwyczajnego. Kolonistami nie byli;

podejrzewam, że ich administracja nie różniła się niczym od ucisku. Byli zdobywcami, do tego zaś potrzeba tylko bezmyślnej siły; i nie ma się czym szczycić, jeśli się ją posiada, ponieważ siła ta jest po prostu przypadkiem i wypływa ze słabości innych. Zagarniali, co mogli, ze zwykłej chciwości. Była to po prostu kradzież z włamaniem, masowe morderstwo na wielką skalę, a ludzie rzucali się w to na oślep — jak przystoi tym, którzy napastują mrok. Zdobywanie ziemi, polegające przeważnie na tym, że się ją odbiera ludziom o odmiennej cerze lub trochę bardziej płaskich nosach, nie jest rzeczą piękną, jeśli się w nią wejrzy zbyt blisko. Odkupia ją tylko idea. Idea tkwiąca w głębi; nie sentymentalny pozór, tylko idea; i altruistyczna wiara w tę ideę — coś, co można wyznawać i bić przed tym pokłony, i składać ofiary...

Urwał. Płomyki ślizgały się po rzece: małe, zielone płomyki, czerwone płomyki, białe płomyki, które się ścigały nawzajem, dopędzały, łączyły, krzyżowały — aby się rozstać śpiesznie lub powoli. Ruch handlowy wielkiego miasta trwał na bezsennej rzece wśród gęstniejącego mroku.

Przypatrywaliśmy się, czekając cierpliwie — nic innego nie można było robić aż do końca przypływu; lecz dopiero po dłuższym milczeniu Marlow rzekł wahająco: — Pamiętacie pewno, koledzy, że byłem czas jakiś marynarzem na słodkich wodach — i wówczas wiedzieliśmy już, że jest nam sądzone, nim zacznie się odpływ, wysłuchać jednej z rozlicznych przygód Marlowa, nie doprowadzających do żadnej konkluzji.

— Nie chcę nudzić was długo tym, co spotkało mnie samego — zaczął, zdradzając tą uwagą słabość właściwą wielu gawędziarzom, którzy tak często zdają się nie wiedzieć, co ich słuchaczy najbardziej interesuje — lecz aby zrozumieć wpływ, jaki to na mnie wywarło, musicie wiedzieć, jak się tam znalazłem, co zobaczyłem, jak popłynąłem w górę rzeki aż do miejsca, gdzie spotkałem się po raz pierwszy z tym nieborakiem. Był to najdalszy punkt mojej wyprawy i kulminacyjny punkt mych przeżyć. Rzucił jak gdyby pewien rodzaj światła na to, co mnie otaczało, i na moje myśli. Wszystko to było dość ponure i żałosne, i wcale nie nadzwyczajne — i nie bardzo jasne. Nie, nie było bardzo jasne. A jednak zdaje mi się, że rzuciło pewnego rodzaju światło.

Powróciłem wówczas, jak pamiętacie, do Londynu po dłuższej żegludze na Oceanie Indyjskim, Spokojnym, na morzach chińskich, po porządnej porcji Wschodu — trwało to około sześciu lat. Wałęsałem się tu i ówdzie, przeszkadzając kolegom w pracy i nachodząc wasze domy, zupełnie jakby mi niebo poruczyło[40] misję, aby was cywilizować. Przez pewien czas bardzo to było przyjemne, lecz wkrótce zmęczyłem się wypoczynkiem. Wówczas zacząłem rozglądać się za okrętem — co jest chyba najcięższą pracą na świecie. Ale okręty nie chciały nawet na mnie patrzeć. I ta zabawa zmęczyła mnie również.

Otóż, kiedy byłem małym chłopczykiem, miałem namiętność do map. Wpatrywałem się godzinami w Południową Amerykę i Afrykę lub Australię, pogrążając

się we wspaniałościach odkrywczych podróży. W owych czasach było jeszcze wiele miejsc pustych na ziemi, a jeśli które z nich wydawało mi się na mapie szczególnie ponętne (ale one wszystkie tak wyglądają), kładłem nań palec i mówiłem: „Pojadę tam, jak dorosnę”. Pamiętam, że biegun północny należał do tych miejsc. No, nie zajechałem tam jeszcze, a teraz już próbować nie będę. Czar prysł. Inne znów miejsca były rozrzucone w okolicach równika i po wszelkich szerokościach geograficznych obu półkul. Zwiedziłem niektóre a nich i... no, nie będziemy o tym mówili. Ale było tam jedno — największe, najbardziej puste, że tak powiem — do którego ciągnęło mnie najsilniej.

Prawda, że w owej chwili to miejsce nie było już puste. Od czasów mego dzieciństwa zapełniły je rzeki i jeziora, i nazwy. Przestało być próżną przestrzenią pełną rozkosznej tajemnicy — białą plamą, budzącą w chłopcu wspaniałe marzenia. Przeobraziło się w miejsce, gdzie panuje mrok. Ale była tam przede wszystkim jedna rzeka, wielka, potężna rzeka, którą się oglądało na mapie, podobną do olbrzymiego, wyciągniętego węża, ze łbem w morzu, z tułowiem wijącym się poprzez rozległą krainę, z ogonem zagubionym w głębi lądu. A gdy przyglądałem się mapie przez okno wystawy, przykuwała mnie ta rzeka, jak wąż przykuwa wzrokiem ptaszka — niemądrego, małego ptaszka.

Przypomniałem sobie, że istnieje wielkie towarzystwo, spółka do handlu na tej rzece. Do licha! Przyszło mi na myśl, że przecież nie mogą prowadzić handlu bez

posługiwania się jakimiś statkami na tej ogromnej wodnej przestrzeni — bez parowców! Dlaczego bym nie miał się postarać o dowództwo któregoś z nich? Szedłem dalej przez Fleet Street, ale nie mogłem się pozbyć tych myśli. Wąż mnie oczarował.

To handlowe towarzystwo było spółką z kontynentu; ale mam mnóstwo krewnych na kontynencie, ponieważ — jak mówią — taniej tam i wcale nie tak nieprzyjemnie, jakby się zdawało.

Z przykrością muszę wyznać, że zacząłem swych krewnych nudzić. Już to samo było dla mnie czymś zupełnie nowym. Rozumiecie, nigdy nie miałem zwyczaju w taki sposób brać się do rzeczy. Szedłem zawsze swoją własną drogą, na własnych nogach, tam, dokąd miałem ochotę. Nie byłbym wierzył, że jestem zdolny do czegoś podobnego, tylko że — widzicie — jakoś czułem, że muszę się tam dostać — tak czy inaczej. Więc ich zanudzałem. Mężczyźni mówili: „Mój drogi” — i nic nie robili. Wówczas — czy uwierzycie? — wziąłem się do kobiet. Ja, Charlie Marlow, zaprzągłem do roboty kobiety, aby dostać posadę. Słowo daję! No, widzicie — prześladowała mnie ta myśl. Miałem ciotkę, zacną, entuzjastyczną duszę. Napisała mi: „To będzie cudowne. Gotowam zrobić dla Ciebie wszystko, wszystko. Myśl jest wspaniała. Znam żonę jednego z członków administracji postawionego bardzo wysoko; znam także człowieka, który ma wielkie wpływy” — itd., itd. Postanowiła póty suszyć głowę ludziom, póki mnie nie

mianują kapitanem rzecznego parowca, ponieważ taka jest moja fantazja.

Dostałem nominację, oczywiście, i dostałem ją bardzo prędko. Zdaje się, że towarzystwo dowiedziało się o śmierci jednego z kapitanów, który został zabity w bójce z krajowcami. To było moje szczęście i tym bardziej zachciało mi się jechać. Dopiero w długie miesiące potem, gdym usiłował odzyskać ciało owego kapitana, dowiedziałem się, że źródłem kłótni było nieporozumienie co do kur. Tak, dwóch czarnych kur. Fresleven — tak się ów człowiek nazywał — Duńczyk, uważał, że go pokrzywdzono przy kupnie, wysiadł więc na ląd i zaczął okładać laską naczelnika wsi. Ach, nie zdziwiłem się wcale, gdy mi to opowiadali, zaznaczając równocześnie, że Fresleven był najłagodniejszą, najspokojniejszą istotą pod słońcem. Było tak z pewnością; ale przecież znajdował się tam już od paru lat, służąc wzniosłej idei i prawdopodobnie uczuł nareszcie potrzebę stwierdzenia w jakikolwiek sposób szacunku dla siebie samego. Dlatego też łupił bez litości starego Murzyna; naokoło gapił się tłum skamieniałych krajowców, aż wreszcie jeden z nich — podobno syn naczelnika — słuchając z rozpaczą wrzasków starca, rzucił w białego włócznią dla próby — i oczywiście włócznia uwięzła z łatwością między łopatkami. Potem cała ludność uciekła do lasu w oczekiwaniu wszelkich możliwych klęsk, zaś parowiec dowodzony przez Freslevena odpłynął również w wielkim popłochu, pod komendą maszynisty, o ile sobie przypominam. Później nikt już nie zdawał się troszczyć

o szczątki Freslevena, póki się tam nie znalazłem jako jego następca. Nie mogłem tej sprawy zaniedbać, ale gdy wreszcie nastręczyła mi się sposobność zetknięcia z mym poprzednikiem, trawa rosnąca między jego żebrami dość była wysoka, aby zasłonić kości. Zostały wszystkie na miejscu. Nikt nie tknął nadnaturalnej istoty leżącej na ziemi. Wieś opustoszała, chaty stały otworem, czarne, butwiejące, krzywe wśród rozwalonych płotów. Klęska spadła istotnie na wieś. Ludność znikła. Obłąkany strach rozproszył wszystkich — mężczyzn, kobiety i dzieci; zaszyli się w gąszcz i nie wrócili już nigdy. Nie wiem doprawdy, co się stało z kurami. Przypuszczam, że sprawa postępu pozyskała je jakoś dla siebie. Tak czy owak, wskutek tej sławnej afery dostałem nominację, nim się jeszcze zacząłem naprawdę jej spodziewać.

Latałem na wszystkie strony jak wariat, aby się przygotować do wyjazdu, i przed upływem czterdziestu ośmiu godzin jechałem już przez kanał dla pokazania się pryncypałom[41] i podpisania kontraktu. W bardzo niewiele godzin przybyłem do miasta, które przypomina mi zawsze pobielany grób[42]. Z pewnością to uprzedzenie. Znalazłem bez trudu biura kompanii. Był to największy budynek w mieście i każdy, kogo tylko spotkałem, mówił o tym towarzystwie. Spółka miała się zabrać do założenia zamorskiego cesarstwa i zdobyć nieskończone mnóstwo pieniędzy za pomocą handlu.

Wąska, opustoszała uliczka w głębokim cieniu, wysokie domy, niezliczone okna o weneckich żaluzjach, martwa

cisza, trawa między kamieniami, imponujące wjazdowe arkady na prawo i lewo, olbrzymie masywne, nieco uchylone podwoje. Wślizgnąłem się przez jedną z tych szpar, wszedłem po zamiecionych, nagich schodach, jałowych jak pustynia, i otworzyłem pierwsze z napotkanych drzwi. Dwie kobiety, jedna tęga, a druga szczupła, siedziały na krzesłach wyplatanych słomą, robiąc coś na drutach z czarnej wełny. Szczupła podniosła się i szła wprost na mnie ze spuszczonymi oczyma — nie przestając poruszać drutami — i dopiero gdy pomyślałem, że trzeba ustąpić jej z drogi jak lunatyczce, zatrzymała się i podniosła oczy. Miała suknię prostą jak futerał od parasola; odwróciła się bez słowa i zaprowadziła mnie do poczekalni. Wymieniłem swoje nazwisko i zacząłem się rozglądać. W środku był stół z sosnowego drzewa, zwykłe krzesła stały pod ścianami, w jednym końcu pokoju wisiała wielka, błyszcząca mapa, znaczona wszystkimi kolorami tęczy. Była tam wielka ilość czerwieni — którą zawsze miło jest widzieć, ponieważ z góry wiadomo, że odbywa się tam bardzo konkretna praca — całe mnóstwo błękitu, trochę zieleni, pasma pomarańczowe, a na wschodnim wybrzeżu purpurowa łata, aby pokazać, gdzie weseli pionierzy postępu popijają wesołe piwo lagrowe. Ale nie wybierałem się do żadnego z tych kolorów. Wybrałem się do żółtego. W samym środku mapy — jak strzelił. I rzeka była tam także — przykuwająca — śmiertelna — niby wąż. Brr!

Otworzyły się drzwi, ukazała się białowłosa głowa sekretarza o współczującym wyrazie twarzy i kościsty palec

kiwnął na mnie. Wszedłem do sanktuarium. Światło tu było przyćmione, a ciężkie biurko przykucnęło w środku pokoju. Doznałem wrażenia, że za tym gmachem tkwi blada otyłość w surducie[43]. Był to ów wielki człowiek we własnej osobie. Liczył zapewne jakieś pięć stóp sześć cali, a dzierżył[44] w ręku bardzo wiele milionów. Podał mi dłoń, o ile pamiętam, szepnął coś nieokreślonego, wyraził uznanie dla mojej francuszczyzny[45]. *Bon voyage*[46].

Po upływie czterdziestu pięciu sekund mniej więcej znalazłem się znów w poczekalni w towarzystwie współczującego sekretarza, który — strapiony i pełen sympatii — dał mi do podpisania jakiś dokument. Zdaje mi się, że między innymi zobowiązałem się do zachowania wszystkich handlowych sekretów. No i nie zamierzam ich zdradzić.

Zacząłem odczuwać lekki niepokój. Wiecie, że nie jestem przyzwyczajony do takich ceremonii, a przy tym w tej atmosferze było coś złowieszczego. Zupełnie jakby mnie wtajemniczono w jakiś spisek — nie umiem tego określić — jakby coś było niezupełnie w porządku; cieszyłem się, kiedym się stamtąd wydostał. W przyległym pokoju owe dwie kobiety robiły gorączkowo na drutach coś z czarnej wełny. Zjawiali się interesanci i młodsza z kobiet, wprowadzając ich, chodziła tam i na powrót. Stara siedziała na krześle. Płaskie sukienne pantofle oparła o ogrzewacz do nóg, a na jej kolanach spoczywał kot. Na głowie miała jakąś białą, wykrochmaloną historyjkę, brodawkę na policzku i okulary w srebrnej oprawie zsunięte na koniec nosa.

Popatrzyła na mnie znad szkieł. Zmieszał mnie obojętny spokój tego szybkiego spojrzenia. Wprowadzono właśnie dwóch młodzików o głupkowatych, wesołych twarzach, a stara rzuciła im takie samo szybkie spojrzenie, mądre i obojętne. Zdawało się, że wie o nich wszystko, a także i o mnie. Poczułem zabobonny lęk. Wydała mi się niesamowita i złowroga. Często — gdy byłem już daleko — myślałem o tych dwóch kobietach, odźwiernych u wrót Ciemności, robiących na drutach jakby ciepły całun z czarnej wełny; wspominałem, jak jedna z nich wprowadza, wprowadza bez końca w nieznane, a druga bada obojętnie starymi oczami wesołe i głupie twarze. *Ave*! stara pracownico, migająca drutami nad czarną przędzą. *Morituri te salutant*.[47] Niewielu z tych, na których spojrzała, zobaczyło ją znowu — znacznie mniej niż połowa.

Czekała mnie jeszcze wizyta u doktora. „Prosta formalność” — zapewnił mnie sekretarz z takim wyrazem twarzy, jak gdyby brał pokaźny udział we wszystkich moich strapieniach. Jakiś młodzik w kapeluszu naciśniętym na lewą brew, zapewne urzędnik — musieli tam być i urzędnicy w tej spółce, choć dom był cichy, jakby się znajdował w mieście umarłych — zeszedł skądś z góry i poprowadził mnie. Obszarpany był i zaniedbany, rękawy kurtki miał poplamione atramentem, a pod brodą, przypominającą czubek starego buta, tkwił wielki, falisty krawat. Na doktora było jeszcze trochę za wcześnie, więc zaproponowałem, żebyśmy się czegoś napili, dzięki czemu mój towarzysz puścił wodze swej wesołości. Gdyśmy już

siedzieli przy kieliszkach wermutu, zaczął się unosić nad interesami spółki; od słowa do słowa, wyraziłem mimochodem zdziwienie, że on sam nie wybiera się do Afryki. Ochłódł natychmiast i stał się bardzo opanowany.

— Nie taki dureń ze mnie, na jakiego wyglądam, rzekł Platon do swoich uczniów — powiedział sentencjonalnie i wychylił kieliszek z wielką stanowczością, po czym wstaliśmy z miejsc.

Stary doktor wziął mnie za puls, myśląc najwidoczniej zupełnie o czym innym.

— W porządku, może pan jechać — mruknął i zapytał z pewną skwapliwością[48], czy bym mu nie pozwolił zmierzyć swej głowy. Odrzekłem: „dobrze” — nieco tym zaskoczony, a on wyciągnął coś w rodzaju cyrkla i zrobił pomiary z tyłu, z przodu i ze wszystkich stron, notując starannie. Był to nieogolony człowieczek w wytartym kaftanie podobnym do opończy i pantoflach; wyglądał na nieszkodliwego durnia.

— W interesie nauki — rzekł — proszę zawsze tych, którzy tam jadą, aby mi pozwolili zmierzyć swe czaszki.

— A gdy wracają, robi pan to samo? — zapytałem.

— Ach, nigdy się już z nimi nie stykam — zauważył — a przy tym, widzi pan, zmiany zachodzą w środku. — Uśmiechnął się jak po wypowiedzeniu przyjemnego żartu. — Więc pan tam jedzie. Świetnie. To bardzo zajmujące. — Spojrzał na mnie badawczo i znów coś zanotował. — Czy nie było kiedy w pańskiej rodzinie wypadku obłąkania? — zapytał rzeczowym tonem.

Zaczynało mnie to mocno drażnić.

— Pan pyta o to również w interesie nauki?

— Byłoby rzeczą zajmującą — odrzekł, nie zwracając uwagi na moje rozdrażnienie — gdyby można dla celów naukowych śledzić tam, na miejscu zmiany psychiczne zachodzące w jednostkach, ale...

— Czy pan jest psychiatrą? — przerwałem.

— Każdy lekarz powinien być trochę psychiatrą — odparł z niewzruszonym spokojem oryginał. — Mam pewną teoryjkę, do której udowodnienia wy, panowie, udający się tam, musicie mi pomóc. To jest mój udział w korzyściach, jakie kraj mój[49] powinien osiągnąć z posiadania tej wspaniałej kolonii[50]. Bogactwa zostawiam innym. Proszę mi wybaczyć te pytania, ale pan jest pierwszym Anglikiem, który się dostaje pod moją obserwację...

Pospieszyłem go zapewnić, że nie jestem bynajmniej typowy.

— Gdyby tak było — rzekłem — nie rozmawiałbym z panem w ten sposób.

— To, co pan mówi, jest dość głębokie i prawdopodobnie błędne — rzekł ze śmiechem. — Niech pan się wystrzega irytacji jeszcze bardziej niż przebywania na słońcu. *Adieu*[51]. Jak to mówicie po angielsku, co? *Good-bye*[52]. Aha! *Good-bye*. *Adieu*. Pod zwrotnikami trzeba przede wszystkim zachowywać spokój... — Podniósł ostrzegawczo palec... — *Du calme, du calme*[53]*. Adieu*.

Pozostawało mi jeszcze jedno — pożegnać się z moją zacną ciotką. Zastałem ją tryumfującą. Wypiłem filiżankę

herbaty — ostatnią filiżankę porządnej herbaty na długi przeciąg czasu — i w pokoju, który wyglądał właśnie tak, jak sobie wyobrażamy kobiecy salon, co podziałało na mnie niezmiernie kojąco, ucięliśmy przy kominku długą, spokojną gawędę. W ciągu tych zwierzeń zrozumiałem, że opisano mnie żonie wysokiego dygnitarza — i poza tym Bóg raczy wiedzieć ilu innym osobom — jako wyjątkową i szczególnie obdarzoną przez los istotę, człowieka opatrznościowego dla spółki, jakiego się często nie spotyka. Miłosierny Boże! a ja miałem objąć komendę na jakimś tam marnym rzecznym parowcu, zaopatrzonym w taniutką gwizdawkę. Okazało się przy tym, że jestem także Działaczem, przez duże „D” — rozumiecie. Niby wysłańcem świata, niby apostołem pośledniejszego gatunku. W owych czasach rozpuszczano masę takich bredni w druku i słowie i zacna moja ciotka, żyjąca pośrodku tej całej blagi, straciła równowagę. Póty rozprawiała o tym, że „trzeba odzwyczaić miliony tych ciemnych ludzi od ohydnego ich życia”, aż wreszcie — daję wam słowo — zrobiło mi się jakoś głupio. Ośmieliłem się nadmienić, że przecież spółka została założona dla zysku.

— Zapominasz, kochany Charlie, że każda praca zasługuje na zapłatę — rzekła wesoło.

To ciekawe, jak dalece kobiety nie mają poczucia rzeczywistości. Żyją we własnym świecie, który właściwie nigdy nie istniał i istnieć nie może. Jest na to o wiele za piękny, a gdyby można taki świat zbudować, rozleciałby się przed zachodem słońca. Pierwszy lepszy nieznośny fakt,

z którym my mężczyźni współżyjemy zgodnie od chwili stworzenia, wyrwałby się i dałby w łeb całej historii.

Zostałem uściskany, przykazano mi, abym nosił flanelę, abym często pisywał i tak dalej — i pożegnałem się. Na ulicy — nie wiem dlaczego — opanowało mnie dziwne wrażenie, iż jestem oszustem. Szczególna rzecz, że ja, który przywykłem był wyruszać w jakąkolwiek stronę świata w przeciągu dwudziestu czterech godzin, poświęcając temu mniej uwagi niż inni przejściu na drugą stronę ulicy, miałem chwilę, nie powiem wahania, ale ociągania się i lęku wobec takiej zwykłej historii. Najlepiej wam to wytłumaczę, gdy powiem, że przez parę sekund doznałem uczucia, jakbym się wybierał nie do środka jakiegoś kontynentu, ale do środka ziemi.

Wsiadłem na francuski parowiec, który zajeżdżał do wszystkich zakazanych portów, jakie Francuzi mają tam po drodze — jedynie po to, o ile się mogłem połapać, aby wysadzać na ląd żołnierzy i urzędników komory celnej. Przypatrywałem się wybrzeżu. Obserwowanie brzegu, który przesuwa się koło okrętu, przypomina rozwiązywanie zagadki. Oto leży przed wami wybrzeże, uśmiechnięte, chmurne, powabne, wspaniałe, nędzne, banalne albo dzikie — a zawsze nieme, choć zdaje się szeptać: chodź i przekonaj się. Ten zaś brzeg był prawie zupełnie bez charakteru, jakby się jeszcze nie ukształtował, a wygląd miał ponury i monotonny. Skraj olbrzymiej dżungli — o zieleni tak ciemnej, że wydawała się prawie czarna — obramowany białą frędzlą nadbrzeżnych fal, biegł prosto

jak nakreślony przy pomocy linii — daleko, hen, daleko wzdłuż błękitnego morza, którego połysk był przyćmiony przez pełzającą mgłę. Słońce paliło okrutnie, ziemia zdawała się błyszczeć i ociekać kroplami pary. Gdzieniegdzie popielato-białe plamki ukazywały się grupkami na wybrzeżu poza białą linią fal; czasem powiewała nad nimi flaga. Były to osady liczące po kilka wieków, a jednak nie większe niż główki od szpilek na nietkniętym obszarze kraju. Statek sunął ciężko wzdłuż brzegu, zatrzymywał się, wysadzał żołnierzy; jechał dalej, wysadzał urzędników komory celnej, aby pobierali cło na wybrzeżu, które wyglądało jak pustka zapomniana przez Boga, z zagubioną w niej blaszaną szopą i słupem od flagi; i znów wysadzał żołnierzy — prawdopodobnie, aby pilnowali urzędników komory celnej. Mówiono mi, że kilku z nich utonęło w nadbrzeżnych falach, ale nikt nie zdawał się o to troszczyć. Wyrzucono ich tam po prostu i jechaliśmy dalej. Dzień po dniu brzeg wyglądał tak samo, jakbyśmy nie poruszali się wcale; przejeżdżaliśmy koło różnych miejsc — osad handlowych — o nazwach takich jak Gran’Bassam, Little Popo; nazwach, które zdawały się należeć do jakiejś plugawej farsy odgrywanej na tle posępnej kurtyny. Bezczynność pasażera, osamotnienie wśród tych wszystkich ludzi, z którymi nie miałem żadnych punktów stycznych, oleiste i leniwe morze, jednostajna posępność wybrzeża, trzymały mnie jakby z dala od rzeczywistości — uwikłanego w sieci żałobnej i bezsensownej ułudy. Głos nadbrzeżnych fal, dochodzący

niekiedy, stanowił dla mnie prawdziwą przyjemność jak odezwanie się brata. Był to objaw naturalny, coś, co miało swoją przyczynę i jakieś znaczenie. Niekiedy łódź z wybrzeża dawała mi chwilowy kontakt z rzeczywistością. Wiosłowali w niej czarni ludzie. Można było dojrzeć z daleka połyskujące białka ich oczu. Krzyczeli, śpiewali; ciała ich oblewał pot, twarze przypominały groteskowe maski; ale mieli kości, muskuły, dziką żywotność, intensywną energię w ruchach, co było równie naturalne i prawdziwe, jak fale rozbijające się o brzeg. Ich obecność nie wymagała usprawiedliwienia. Widok tych ludzi stanowił wielką pociechę. Przez pewien czas czułem, że należę jeszcze do świata prostych faktów; ale to nie trwało długo. Zawsze coś zaszło i przepłoszyło to uczucie. Raz, pamiętam, natknęliśmy się na statek wojenny zakotwiczony daleko od brzegu. Na lądzie nie było nawet szopy, a jednak statek obrzucał gąszcz pociskami. Okazało się, że Francuzi prowadzą wojnę w tamtych okolicach. Flaga statku zwisała jak łachman; lufy długich, sześciocalowych armat wystawały ze wszystkich stron niskiego kadłuba; statek wznosił się leniwie i opadał na tłustej, mulistej fali, chwiejąc cienkimi masztami. Wśród niezmierzonej pustki ziemi, nieba i wody tkwił ten niepojęty okręt i strzelał w głąb kontynentu. Bum! odzywała się jedna z sześciocalowych armat; drobny płomyk wyskakiwał i znikał, niewielki kłąb białego dymu rozpływał się w powietrzu, drobny pocisk zaskrzeczał słabo — i nic nie następowało. Nic nastąpić nie mogło. Było w tym coś

obłąkanego, widok ten przypominał ponurą krotochwilę[54] i nie rozproszył tego wrażenia jakiś człowiek z pokładu zapewniający mnie poważnie, że tam jest obóz krajowców — nazywał ich nieprzyjaciółmi! — ukryty gdzieś w głębi.

Doręczyliśmy wojennemu statkowi listy (mówiono mi, że ludzie na tym samotnym okręcie umierają na febrę przeciętnie po trzech dziennie) i popłynęliśmy dalej. Odwiedziliśmy jeszcze kilka innych miejscowości o nazwach jak z farsy, gdzie śmierć i handel wiodą wesoły taniec wśród cichej atmosfery nasyconej zapachem ziemi, niby w przegrzanych katakumbach[55]; płynęliśmy wzdłuż bezkształtnego wybrzeża obramionego pianą niebezpiecznych nadbrzeżnych fal, jakby sama przyroda usiłowała odeprzeć intruzów; wjeżdżaliśmy w ujścia rzek — strumieni śmierci toczących się wśród życia — których brzegi rozpadały się w błoto, których wody, zgęszczone w szlam, ogarniały poskręcane mangrowce[56], zdające się wić przed naszym wzrokiem w ostatecznej, bezsilnej rozpaczy. Nie zatrzymaliśmy się nigdzie tak długo, aby można było doznać jakichś szczególnych wrażeń, ale ogólne uczucie nieokreślonego i dotkliwego zdziwienia wciąż we mnie wzrastało. Była to jakby uciążliwa pielgrzymka wśród zapowiedzi nocnych zmór.

Minęło z górą trzydzieści dni, nim zobaczyłem ujście wielkiej rzeki[57]. Zapuściliśmy kotwicę naprzeciw siedziby rządowej[58]. Ale moja praca miała się zacząć dopiero o jakieś dwieście mil dalej. Toteż wyruszyłem możliwie

najprędzej do miejscowości położonej trzydzieści mil w górę rzeki.

Odbyłem drogę na małym morskim parowcu. Kapitan, Szwed, wiedział, że jestem marynarzem, i zaprosił mnie na mostek. Był to człowiek młody, szczupły, nasępiony blondyn; włosy miał rzadkie i powłóczył nogami. Gdyśmy odbijali od lichego, małego pomostu, wskazał pogardliwie głową na brzeg.

— Mieszkał pan tam? — zapytał.

— Tak — odpowiedziałem.

— Niezłe okazy ci rządowi faceci, co? — mówił dalej po angielsku z wielką precyzją i głębokim rozgoryczeniem. — To ciekawe, czego się niektórzy ludzie nie podejmą za parę franków na miesiąc. Chciałbym wiedzieć, co się dzieje z takimi osobnikami, kiedy się znajdą tam, w górze rzeki?

Odrzekłem, że mam nadzieję wkrótce się o tym przekonać.

— Więc to ta-a-k! — wykrzyknął. Przeszedł w poprzek statku powłócząc nogami i zerkając czujnie ku przodowi. — Niech pan nie będzie zanadto pewien siebie — mówił dalej. — Parę dni temu odczepiłem człowieka, który się powiesił na drodze. Był to także Szwed.

— Powiesił się! Dlaczego, na miłość boską? — wykrzyknąłem. Kapitan patrzył wciąż bacznie ku przodowi.

— Któż to wie? Może nie mógł znieść tutejszego słońca, a może i kraju.

Wreszcie dotarliśmy do miejsca, gdzie rzeka się rozszerzała. Ukazało się skaliste urwisko, wały wydobytej

ziemi na brzegu, domy na wzgórzu; inne domki o żelaznych dachach tkwiły wśród pustki porytej wykopanymi jamami lub przywierały do stoku. Nieustanny szum bystrego nurtu rzeki unosił się nad tym wizerunkiem zamieszkałej pustyni. Gromada ludzi, przeważnie czarnych i nagich, roiła się jak mrówki. Pomost wstępował w rzekę. Od czasu do czasu oślepiające słońce zalewało nagle to wszystko wzmocnionym jeszcze blaskiem.

— Oto stacja waszej spółki — rzekł Szwed, wskazując trzy drewniane budynki podobne do baraków, stojące na skalistej pochyłości. — Odeślę tam panu rzeczy. Cztery skrzynie, tak? Dobrze. Żegnam pana.

Natknąłem się na kocioł poniewierający się w trawie i znalazłem ścieżkę prowadzącą na wzgórze. Skręciłem w bok z powodu leżących na drodze głazów i małego wagonika przewróconego do góry kołami. Jednego z nich brakowało. Wagonik wyglądał tak martwo, jakby był trupem jakiegoś zwierzęcia. Natrafiłem znów na rozlatujące się maszyny, na stos zardzewiałych szyn. Po lewej stronie kępa drzew rzucała nieco cienia, w którym jakieś ciemne kształty zdawały się lekko poruszać. Przymrużyłem oczy; ścieżka była stroma. Na prawo zadźwięczał róg i spostrzegłem, że czarni się rozbiegają. Ciężki i głuchy huk wstrząsnął ziemią, kłąb dymu wydobył się ze skały, i to było wszystko. Żadna zmiana w skale nie zaszła. Budowano tam kolej. Owa skała nie mogła przeszkadzać w robocie, ale bezcelowe jej wysadzanie było całą pracą, jaką wykonywano.

Usłyszałem za sobą lekki brzęk i odwróciłem głowę. Sześciu czarnych ludzi szło ścieżką gęsiego, dążąc z trudem pod górę. Szli powoli, wyprostowani, niosąc na głowie małe kosze pełne ziemi, a brzęk towarzyszył miarowo ich krokom. Wkoło bioder mieli przepaski z czarnych łachmanów, których krótkie końce chwiały się z tyłu jak ogony. Można było policzyć wszystkie żebra tych ludzi; stawy ich członków[59] wyglądały jak węzły na linie. Każdy miał na szyi żelazną obrożę, a wszyscy byli połączeni łańcuchem, którego ogniwa kołysały się między nimi rytmicznym dźwiękiem. Drugi wybuch rozległ się od strony tej samej skały i przypomniał mi nagle ów statek wojenny, któremu się przypatrywałem, gdy strzelał w głąb kontynentu. Był to ten sam rodzaj złowieszczego huku; ale tych ludzi żadną miarą nie można było nazwać nieprzyjaciółmi — nawet przy największym wysiłku wyobraźni. Nazwano ich zatem zbrodniarzami, a pogwałcone przez nich prawo, tak jak i pękające pociski, przybyły zza morza — niezbadane, tajemnicze. Wychudłe piersi Murzynów dyszały równocześnie, rozdęte gwałtownie nozdrza drgały, oczy patrzyły kamiennym wzrokiem w górę przed siebie. Przeszli o sześć cali ode mnie nie rzuciwszy mi nawet spojrzenia, z zupełną, śmiertelną obojętnością dzikich, którzy są nieszczęśliwi. W ślad za tym surowym materiałem jeden z nawróconych krajowców — rezultat działania nowych sił — wlókł się zgnębiony, trzymając strzelbę przez środek. Miał na sobie mundurową kurtkę, u której brakowało guzika, i spostrzegłszy na ścieżce

białego, podniósł z pośpiechem broń na ramię. Była to zwykła ostrożność; nie mógł poznać od razu, kim jestem, ponieważ biali są na odległość bardzo do siebie podobni. Uspokoił się szybko i wykrzywił twarz, pokazując białe zęby w szerokim, łotrowskim uśmiechu, przy czym ogarnął spojrzeniem powierzonych mu ludzi. Jakby poczuwał się do koleżeństwa ze mną w pełnieniu wzniosłych obowiązków. Przecież ja byłem również cząstką wielkiej przyczyny, wywołującej to wyższe i sprawiedliwe postępowanie.

Zamiast iść w górę, odwróciłem się i zacząłem schodzić na lewo. Chciałem, aby ci więźniowie skuci łańcuchem zniknęli mi z oczu, zanim znów zacznę się wspinać. Wiecie, że specjalnie czuły nie jestem; wypadało mi nieraz i zadawać ciosy, i odbierać je. Czasem musiałem się bronić, a czasem atakować — co jest tylko pewną formą obrony — nie zastanawiając się wiele, zgodnie z wymaganiami życia, w jakie wdepnąłem. Widywałem szatana przemocy i szatana chciwości, i szatana pożądliwości; ale, na Boga! byli to silni, jurni szatani o ognistych ślepiach, którzy rządzili i powodowali[60] ludźmi — ludźmi, mówię wam. Lecz stojąc tam, na zboczu wzgórza, poczułem, że pod oślepiającym blaskiem słońca w tym kraju zapoznam się z rozlazłym, kłamliwym, bladookim diabłem, opiekunem drapieżnej i bezlitosnej głupoty. Jak chytry umiał być także, przekonałem się dopiero po kilku miesiącach i o tysiąc mil dalej. Zatrzymałem się, przerażony, jak gdyby mnie ktoś ostrzegł. Wreszcie zacząłem schodzić na ukos ze wzgórza, kierując się ku drzewom, które przedtem widziałem.

Obszedłem wielką dziurę, wykopaną przez kogoś na zboczu w celu niemożliwym do przeniknięcia. Nie wyglądała w każdym razie ani na kamieniołom, ani na jamę, z której wybrano piasek. Była to po prostu dziura. Może miała coś wspólnego z filantropijnym[61] zamiarem dostarczenia zbrodniarzom jakiegoś zajęcia. Nie wiem. Potem znów o mało co nie wpadłem do bardzo wąskiej szczeliny, wyglądającej na zboczu jak nieznaczna blizna. Odkryłem, że wrzucono tam całe mnóstwo rur sprowadzonych dla[62] zdrenowania[63] osady. Potłukły się co do jednej. Był to objaw rozpasanego niszczycielstwa.

Dotarłem wreszcie do drzew. Zamierzałem powałęsać się trochę w ich cieniu; ale ledwie się tam znalazłem, wydało mi się, że przestąpiłem ponury krąg jakiegoś *inferno*[64]. Wartkie prądy pobliskiej rzeki wytwarzały nieustanny, jednostajny, ślepy, gwałtowny hałas, przepełniający tajemniczym rytmem żałobny spokój gaju, jak gdyby gwałtowny rytm rozpędzonej ziemi stał się nagle słyszalny wśród drzew, gdzie się nie czuło najlżejszego powiewu, gdzie nie drgnął żaden listek.

Czarne kształty czołgały się, leżały siedziały między drzewami, opierając się o pnie, tuliły się do ziemi — to widzialne, to przesłonięte mętnym półmrokiem — we wszelkich możliwych pozach wyrażających ból, zgnębienie i rozpacz. Rozległ się znowu wybuch miny w skale i ziemia wzdrygnęła się lekko pod mymi nogami. Praca posuwała się naprzód. Praca! A tutaj było miejsce, gdzie niektórzy jej wykonawcy usunęli się, aby umrzeć.

Umierali powoli — to nie ulegało wątpliwości. Nie byli nieprzyjaciółmi, nie byli zbrodniarzami, nie zostało w nich już nic ziemskiego — były to tylko czarne cienie choroby i głodu, leżące bezwładnie w zielonawym mroku. Ściągnięci ze wszystkich zakątków wybrzeża na podstawie legalnych kontraktów, rzuceni w nieodpowiednie warunki, żywieni nieodpowiednią strawą, osłabli, stali się niezdolni do pracy; pozwolono im wreszcie odpełznąć i wypoczywać. Te konające postacie były wolne jak powietrze — i prawie równie niematerialne. Zacząłem rozróżniać połysk oczu pod drzewami. Potem, spojrzawszy w dół, zobaczyłem twarz tuż koło mej ręki. Czarny szkielet leżał wyciągnięty na ziemi, opierając się ramieniem o drzewo; powieki jego podniosły się z wolna i zapadłe oczy spojrzały na mnie, olbrzymie i nieprzytomne; w głębi orbit zatliło się jakby ślepe, białe światełko i gasło powoli. Ów człowiek wyglądał na młodego — był to prawie chłopiec — ale wiecie, że trudno się w nich połapać. Nie miałem pojęcia, co bym mógł zrobić dla niego, i tylko podałem mu suchar ofiarowany mi na okręcie przez zacnego Szweda. Palce biedaka zamknęły się powoli wkoło suchara i trzymały go — był to ostatni ruch, jaki dostrzegłem, ostatnie spojrzenie. Naokoło szyi miał zawiązane pasemko białej wełnianej przędzy. Dlaczego? Skąd je wydostał? Czy to był jakiś znak szczególny — czy ozdoba — czy amulet — czy akt błagalny? Czy była w ogóle jakaś myśl z tym związana? Ta odrobina białej przędzy zza mórz wyglądała dziwnie niepokojąco na czarnej szyi.

Niedaleko tego samego drzewa jeszcze dwie wiązki kątów ostrych siedziały z podciągniętymi nogami. Jeden z Murzynów oparł brodę o kolana, patrząc w próżnię w przerażający, nieznośny sposób; bratnia jego mara podtrzymywała sobie czoło, jakby owładnięta wielkim znużeniem; inne jeszcze były rozrzucone wokoło, poskręcane we wszelkich możliwych pozach, pełnych wyczerpania, jak na obrazie rzezi lub moru[65]. Gdy stałem, porażony zgrozą, jedna z tych istot zwlokła się na ręce i kolana i popełzła na czworakach w stronę rzeki, aby się napić. Chłeptała wodę z dłoni, potem usiadła na słońcu skrzyżowawszy przed sobą piszczele, a w chwilę później wełnista jej głowa opadła na piersi.

Miałem już dosyć tego wałęsania się w cieniu i pośpieszyłem ku stacji. W pobliżu zabudowań spotkałem białego, ubranego z tak nieoczekiwaną elegancją, że w pierwszej chwili wziąłem go za coś w rodzaju wizji. Zobaczyłem wysoki, nakrochmalony kołnierzyk, białe mankiety, lekką alpakową kurtkę, śnieżne spodnie, jasny krawat i lakierki. Kapelusza nie miał. Włosy jego były rozdzielone, wyczesane i wypomadowane, a w dużej białej ręce niósł parasol z zieloną podszewką. Był zdumiewający; za jego uchem tkwiło pióro.

Podałem dłoń temu cudu i dowiedziałem się, że to jest główny buchalter[66] spółki i że całą księgowość prowadzi się właśnie na tej stacji. Powiedział, iż wyszedł tylko na chwilę, aby „odetchnąć świeżym powietrzem”. To wyrażenie brzmiało bardzo dziwacznie, budząc asocjacje[67] biurowego,

siedzącego życia. Nie byłbym wam wcale wspominał o tym urzędniku, ale z jego ust usłyszałem po raz pierwszy nazwisko agenta, który tak nierozerwalnie się łączy z mymi wspomnieniami z tego okresu. A przy tym czułem dla tego faceta szacunek. Tak; czułem szacunek dla jego kołnierzyków, szerokich mankietów, wyczesanej czupryny. Wyglądał niewątpliwie jak lalka od fryzjera, ale wśród wielkiego rozprzężenia w całym kraju dbał o swą powierzchowność. To się nazywa trzymać fason. Jego nakrochmalone kołnierzyki i gorsy od koszul były wynikiem siły charakteru. Bawił tu już blisko trzy lata; i nie mogłem się kiedyś powstrzymać od zapytania, skąd wytrzasnął taką bieliznę? Zaczerwienił się leciutko i rzekł skromnie:

— Wyuczyłem jedną z tutejszych kobiet, kręcących się przy stacji. To było trudne. Nie smakowała jej ta robota.

Takim sposobem człowiek ten rzeczywiście czegoś dokazał. A przy tym był szczerze oddany swoim księgom, które utrzymywał we wzorowym porządku.

Poza tym wszystko na stacji było w nieładzie — głowy, rzeczy, budynki. Długie sznury pokrytych kurzem Murzynów o płaskich stopach przybywały i odchodziły; potok wszelakiej manufaktury[68], lichych perkali[69], paciorków i miedzianego drutu odpływał w głąb ciemności, skąd sączyła się w zamian drogocenna kość słoniowa.

Musiałem czekać na stacji przez dziesięć dni — całą wieczność. Mieszkałem w chacie na dziedzińcu, ale żeby się wyrwać czasem z tego chaosu, zawadzałem o biuro buchaltera. Zbudowane było z poziomych desek tak licho

dopasowanych, że gdy buchalter pochylał się nad wysokim swoim pulpitem, poprzekreślany był od stóp do głów wąskimi paskami światła. W pokoju było jasno bez otwierania wielkiej okiennicy. Przy tym panował tam upał; wielkie muchy brzęczały szatańsko i nie kłuły, lecz raniły. Siadywałem zwykle na podłodze, podczas gdy buchalter o nieskazitelnej powierzchowności (nieco nawet uperfumowany) sterczał na wysokim stołku i pisał. Czasem wstawał, aby rozprostować kości. Gdy wtaczano łóżko na kółkach z chorym (jakimś agentem, który zasłabł w górnych okolicach rzeki), przejawiał lekkie rozdrażnienie.

— Jęki chorego — mówił — rozpraszają moją uwagę. A bez tego niezmiernie jest trudno ustrzec się błędów w tym klimacie.

Pewnego dnia zauważył, nie podnosząc głowy:

— Tam w głębi kraju spotka się pan z pewnością z Kurtzem[70]. — Gdy zapytałem, kim jest Kurtz, odrzekł, że to jeden z głównych agentów; spostrzegłszy, iż ta informacja rozczarowała mnie, dodał powoli, odkładając pióro: — Bardzo wybitny człowiek. — Dowiedziałem się dalej od niego, że Kurtz jest kierownikiem handlowej stacji, bardzo ważnej stacji, we właściwym kraju kości słoniowej, w samym centrum. Przysyła tyle kości słoniowej, co wszyscy inni razem wzięci...

Zaczął znów pisać. Z chorym było tak źle, że nawet nie jęczał. Muchy bzykały wśród wielkiego spokoju.

Nagle usłyszałem wzrastający gwar i głośny tupot kroków. Przybyła karawana. Gwałtowny bełkot złożony

z dziwacznych dźwięków wybuchnął po drugiej stronie desek. Wszyscy tragarze mówili jednocześnie, a wśród tego hałasu rozległ się żałosny głos głównego agenta, który wołał po raz dwudziesty tego dnia, że „ma już tego dosyć”… Wstał powoli z krzesła.

— Cóż to za okropny hałas — powiedział. Przeszedł po cichu przez pokój, aby spojrzeć na chorego, i rzekł do mnie wracając:

— On nie słyszy.

— Jak to, umarł? — spytałem przestraszony.

— Nie, jeszcze nie — odrzekł z wielkim spokojem. Potem dodał kiwnąwszy głową w stronę zgiełku na dziedzińcu: — Kiedy człowiek musi wciągać, jak się należy, pozycje, zaczyna czuć do tych dzikich nienawiść — śmiertelną nienawiść. — Zamyślił się na chwilę. — Jak pan zobaczy Kurtza — ciągnął dalej — niech mu pan powie ode mnie, że wszystko tutaj — spojrzał na pulpit — jest w zupełnym porządku. Nie lubię pisać do niego, z tymi naszymi posłańcami nie wiadomo nigdy, do czyich rąk list może się dostać tam, na tej stacji centralnej[71]. — Patrzył we mnie przez chwilę łagodnymi, wypukłymi oczyma. — O, ten to zajdzie daleko, bardzo daleko — zaczął znów. — Zajmie wkrótce ważne stanowisko w administracji. Postanowili tak ci u góry, rada spółki w Europie, rozumie pan.

Zabrał się znów do pracy. Hałas na zewnątrz ustał; wychodząc z chaty, zatrzymałem się na progu. Wśród spokojnego brzęczenia much agent wracający do kraju leżał czerwony i nieczuły na wszystko; drugi zaś, pochylony nad

swymi księgami, wciągał poprawnie pozycje różnych idealnie poprawnych transakcji; a pięćdziesiąt stóp poniżej progu chaty widać było nieruchome wierzchołki drzew z gaju śmierci.

Następnego dnia opuściłem nareszcie stację razem z karawaną złożoną z sześćdziesięciu ludzi, wyruszając na dwustumilowy marsz piechotą.

Nie warto rozwodzić się nad tym. Wszędzie ścieżki i ścieżki; wydeptana sieć ścieżek snujących się po pustym kraju przez wysoką trawę, przez spaloną trawę, przez gąszcz, na dół i w górę przez chłodne wąwozy, w górę i na dół po kamienistych pagórkach rozprażonych przez upał; a przy tym samotność, zupełna samotność — nikogo, ani jednej chaty. Ludność wyniosła się stamtąd już dawno. Gdyby tak cała masa tajemniczych Murzynów, uzbrojonych w straszliwy oręż wszelakiego rodzaju, zaczęła nagle podróżować drogą między Deal a Gravesend, łapiąc parobków na prawo i lewo do dźwigania ciężkich juków, wyobrażam sobie, że każdy folwark i każda wieś w tych okolicach opróżniłyby się bardzo szybko. Ale tutaj i zabudowania znikły również. Przechodziłem jednak przez kilka opuszczonych wsi. Jest coś wzruszająco dziecinnego w ruinach ścian z trawy. Dzień po dniu słyszałem za sobą tupot i szelest sześćdziesięciu par bosych nóg, a każda para dźwigała sześćdziesięciofuntowy ciężar. Rozbijanie obozu, gotowanie, sen, zwijanie obozu, marsz. Od czasu do czasu znajdowaliśmy Murzyna spoczywającego w wysokiej trawie blisko ścieżki — tragarza, który padł martwy w uprzęży,

a obok niego pustą tykwę[72] na wodę i długi kij. Wielka cisza naokoło nas i w górze. Niekiedy wśród spokojnej nocy drganie dalekich bębnów, to wznoszące się, to opadające drganie rozległe i słabe; dźwięk dziwaczny, pociągający, wymowny i dziki — o znaczeniu może równie głębokim jak dźwięk dzwonów w kraju chrześcijańskim.

Spotkaliśmy raz białego w rozpiętym mundurze, obozującego na ścieżce ze zbrojną eskortą złożoną z wychudłych Zanzibarczyków; bardzo był gościnny i podochocony, żeby nie powiedzieć — pijany. Oświadczył, że pilnuje porządku na drogach. Nie mogę powiedzieć, abym widział jaką drogę lub jakikolwiek porządek, chyba że ciało Murzyna w średnim wieku — z dziurą od kuli w czole — o które dosłownie potknąłem się trzy mile dalej, można uznać za trwałe zaprowadzenie porządku.

Podróżował ze mną także pewien biały, niezły sobie człowiek, ale nieco zbyt otyły; miał przy tym nieznośny zwyczaj: mdlał na rozpalonych zboczach, w odległości całych mil od najmniejszego skrawka cienia i od wody. Przyznacie, że można się czuć rozdrażnionym, kiedy trzeba trzymać własną marynarkę niby parasol nad czyjąś głową, póki ten ktoś nie przyjdzie do siebie. Nie mogłem się raz powstrzymać od zapytania, po co on się tu w ogóle wybrał.

— Żeby zrobić pieniądze, naturalnie, a cóż pan sobie myśli? — odrzekł pogardliwie.

Potem dostał gorączki i trzeba go było nieść w hamaku zawieszonym na tyce. Ponieważ ważył dwieście dwadzieścia cztery funty[73], miałem ciągle awantury z tragarzami.

Narowili się, uciekali, wymykali się ze swymi jukami w ciemność — coś zupełnie podobnego do buntu. Tedy pewnego wieczoru wyciąłem do nich po angielsku mowę z gestami, z których ani jeden nie uszedł sześćdziesięciu parom oczu patrzących we mnie, i następnego dnia wyprawiłem hamak jak się patrzy na czele karawany. W godzinę później natknąłem się na ten cały interes porzucony w krzakach — na mego towarzysza, hamak, jęki, kołdry, przerażenie. Ciężka tyka zdarła mu skórę z biednego nosa. Nalegał usilnie, abym kogoś zabił, ale w pobliżu nie było ani śladu tragarza. Przypomniałem sobie starego doktora: „Z punktu widzenia nauki byłoby ciekawe śledzić na miejscu zmiany psychiczne zachodzące w jednostkach”. Czułem, że staję się interesujący dla nauki. Ale to nie należy do rzeczy.

Piętnastego dnia ujrzałem znów wielką rzekę i dowlokłem się, kulejąc, do stacji centralnej. Znajdowała się nad małą zatoczką, wśród krzewów i lasu; z jednej strony przylegało do niej miłe, woniejące bagno, z trzech pozostałych była otoczona popękanym płotem z sitowia. Zaniedbany otwór w płocie stanowił jedyną bramę i wystarczało rzucić okiem, aby się przekonać, że to rozlazły diabeł tu włada. Biali ludzie z długimi kijami w rękach wysunęli się ospale spośród budynków, przywlekli się, aby na mnie spojrzeć, i znikli z widoku. Jeden z nich, tęgi, porywczy facet o czarnych wąsach, dowiedziawszy się, kim jestem, poinformował mnie bardzo potoczyście, odbiegając często od tematu, że parowiec mój znajduje się na dnie

rzeki. Spiorunowała mnie ta wiadomość. Co? jak to, dlaczego? O, „wszystko w porządku”. „Sam dyrektor” był przy tym. Nie ma podstaw do żadnych zarzutów.

— Wszyscy zachowali się wspaniale, wspaniale! Musi pan pójść i zobaczyć się natychmiast z głównym dyrektorem — ciągnął podniecony. — On czeka na pana!

Nie od razu zrozumiałem właściwe znaczenie tego rozbicia. Mam wrażenie, że już teraz rozumiem, ale pewny nie jestem bynajmniej. Kiedy o tym myślę, wydaje mi się, że ten wypadek był naprawdę zbyt niedorzeczny, aby mógł być zupełnie naturalny. A jednak... Ale w owej chwili wyglądał po prostu jak jakaś przeklęta przeszkoda. Parowiec zatonął. Przed dwoma dniami wyruszyli w nagłym pośpiechu w górę rzeki z dyrektorem na pokładzie, pod komendą jakiegoś ochotniczego kapitana, i zanim upłynęły trzy godziny, wybili o kamienie dno statku, który zatonął przy południowym brzegu.

Zapytałem siebie, co tu mam właściwie do roboty, teraz, gdy statek mój przepadł. A w rzeczywistości czekała moc pracy przy wyławianiu z rzeki mego dowództwa. Musiałem wziąć się do tego zaraz na drugi dzień. Wydobycie statku, a potem naprawa, gdy już sprowadziłem na stację wszystkie części parowca, trwały kilka miesięcy.

Pierwsza moja rozmowa z dyrektorem była ciekawa. Nie poprosił wcale, abym usiadł, choć przeszedłem tego ranka dwadzieścia mil. Miał pospolitą cerę, pospolite rysy, maniery i głos. Wzrostu był średniego, budowy przeciętnej. Jego oczy, zwykłego niebieskiego koloru, były chyba

szczególnie zimne, a spojrzenie — gdy chciał — spadało na człowieka ostre i ciężkie jak topór. Ale nawet i wówczas reszta jego osoby zdawała się temu przeczyć. Tylko na jego ustach błądził jakiś nieokreślony, nikły wyraz — coś ukradkowego — uśmiech, nie uśmiech; pamiętam go, ale nie umiem wytłumaczyć. Ten uśmiech był nieświadomy, choć stawał się wyraźniejszy w chwili, gdy dyrektor kończył coś mówić. Zjawiał się jak pieczęć przyłożona do słów, aby znaczenie najzwyklejszego zdania uczynić zupełnie nieprzeniknionym. Ów dyrektor był to zwykły sobie kupiec pracujący od dzieciństwa w tych okolicach — i nic więcej. Słuchano go, ale nie wzbudzał ani przywiązania, ani trwogi, ani nawet szacunku. Wzbudzał niepokój. Otóż to właśnie! Niepokój. Nie było to wyraźne niedowierzanie — po prostu niepokój, nic więcej. Nie macie pojęcia, jak skuteczna może się stać taka... taka... właściwość. Nie miał zmysłu organizacyjnego ani inicjatywy, ani nawet zamiłowania do ładu. Wychodziło to na jaw w takich rzeczach, jak na przykład opłakany stan stacji. Nie był wykształcony, nie był inteligentny. Dlaczego dostał się na to stanowisko? Może dlatego, że nigdy nie chorował... Przesłużył w tamtych okolicach trzy okresy po trzy lata... Dlatego, że świetne zdrowie wśród ogólnego pogromu organizmów jest już samo przez się rodzajem potęgi. Gdy udawał się do kraju na urlop, hulał wystawnie — na wielką skalę. Niby marynarz na urlopie — z pewną jednak różnicą — czysto zewnętrzną. Można było się tego domyślić z jego przygodnych opowiadań. Nie potrafił nic stworzyć, umiał tylko korzystać

z rutyny — i to wszystko. Ale był wielki. Był wielki dzięki drobnej rzeczy polegającej na tym, że niepodobna było dociec, co może mieć władzę nad takim człowiekiem. Nie zdradził nigdy tej tajemnicy. A może nie tkwiło w nim po prostu nic. Takie podejrzenie trzymało człowieka w szachu — bo zewnętrznej kontroli nie było. Raz, kiedy przeróżne tropikalne choroby położyły prawie wszystkich „agentów" na stacji, usłyszano, jak dyrektor mówił:

— Ludzie, którzy tu przyjeżdżają, nie powinni mieć wnętrzności.

Przypieczętował właściwym sobie uśmiechem tę enuncjację[74], jakby to były drzwi otwierające się na ciemność, przy których pełnił funkcję odźwiernego. Zdawało się człowiekowi, że coś ujrzał — ale leżała na tym pieczęć. Gdy mu dokuczyły ustawiczne kłótnie białych o pierwszeństwo przy stole, kazał zrobić olbrzymi okrągły stół, dla którego trzeba było zbudować oddzielny dom. Była to jadalnia stacji. Tam gdzie siedział dyrektor, znajdowało się pierwsze miejsce — reszta się nie liczyła. Czuło się, że to niezłomne jego przekonanie. Nie był ani uprzejmy, ani nieuprzejmy. Był spokojny. Pozwalał, aby jego „*boy*[75]" — spasiony młody Murzyn z wybrzeża — traktował białych w jego obecności z wyzywającą zuchwałością.

Zobaczywszy mnie dyrektor zaczął natychmiast mówić. Moja podróż przeciągnęła się bardzo długo. Nie mógł już czekać. Musiał wyruszyć beze mnie. Trzeba było zluzować ludzi na stacjach położonych wyżej nad rzeką. Tak długo się już zwlekało, że nie wiadomo, kto umarł, a kto żyje, jak tam

sobie radzą — i tak dalej, i tak dalej. Nie zwracał uwagi na moje wyjaśnienia i bawiąc się laską wosku powtórzył kilka razy, że sytuacja jest „bardzo, bardzo groźna”. Rozeszły się pogłoski, iż bardzo ważna stacja znajduje się w niebezpieczeństwie, a jej kierownik, Kurtz, leży chory. Dyrektor ma nadzieję, że to nieprawda. Kurtz jest... Czułem się zmęczony i zirytowany. Do diabła z tym Kurtzem! Przerwałem oświadczając, że słyszałem już o tym Kurtzu na wybrzeżu.

— Ach tak! więc mówią tam o nim — szepnął sam do siebie. — Po chwili milczenia ciągnął znów dalej, zapewniając mnie, że Kurtz jest najlepszym jego agentem, że jest to człowiek wyjątkowy, na którym towarzystwu jak najbardziej zależy; toteż rozumiem chyba jego niepokój — dyrektora. Jest bardzo, ale to bardzo niespokojny. I rzeczywiście wiercił się wciąż na krześle, wykrzykując:

— Ach, ten Kurtz! — aż wreszcie laska wosku złamała mu się w rękach, co wprawiło go jakby w osłupienie.

Następnie zażądał ode mnie informacji, „ile czasu potrzeba, ażeby...” Przerwałem mu znowu. Widzicie, byłem głodny, a że w dodatku nie proszono mnie, bym usiadł, więc zaczynałem się wściekać.

— Skądże mam wiedzieć? — odrzekłem. — Jeszcze nawet nie widziałem tego statku. Zapewne kilka miesięcy. — Cała ta gadanina wydawała mi się zupełnie jałowa.

— Kilka miesięcy — powtórzył. — No dobrze, powiedzmy trzy miesiące, zanim będziemy mogli wyruszyć. Tak. To powinno wystarczyć.

Wypadłem z jego chaty (mieszkał sam jeden w glinianej lepiance, przy której było coś w rodzaju werandy), mrucząc pod nosem, co o nim myślę. Gadatliwy idiota! Potem zmieniłem zdanie, uprzytomniwszy sobie z lękiem, jak dokładnie ocenił czas potrzebny na tę „historię”.

Następnego dnia wziąłem się do pracy, odwrócony, że tak powiem, tyłem do stacji. Wydało mi się, że jedynie w ten sposób pozostanę w kontakcie ze zbawiennymi faktami życia. Jednak trzeba było się czasem rozejrzeć i wówczas widziałem tę stację, tych ludzi wałęsających się bez celu po dziedzińcu w blasku słońca. Zapytywałem siebie niekiedy, co to wszystko ma znaczyć. Wędrowali tu i tam ze swymi idiotycznymi, długimi kijami w ręku jak banda niewiernych pielgrzymów, zaczarowanych w obrębie zbutwiałego płotu. Słowo „kość słoniowa” rozlegało się w powietrzu, rozchodziło się szeptem, ulatywało jak westchnienie. Można było pomyśleć, że się do niego modlą. Zaraza głupiej chciwości przenikała to wszystko jak trupi zapach. Słowo daję, nie widziałem jeszcze nigdy w życiu czegoś równie nierealnego. A głucha dzicz otaczająca tę polankę uderzyła mnie jak jakaś niezwyciężona wielkość — zło czy prawda — czekająca cierpliwie na zniknięcie bezsensownej inwazji.

Och, te miesiące! No, mniejsza z tym. Wydarzyły się w tym czasie różne rzeczy. Pewnego wieczoru szopa z trawy, pełna kretonu[76], perkali, paciorków i nie wiem już czego, buchnęła płomieniem tak nagle, iż można było pomyśleć, że ziemia się rozstąpiła, aby pozwolić mściwemu ogniowi pochłonąć wszystkie te śmiecie. Paliłem spokojnie

fajkę obok mego ogołoconego parowca i patrzyłem na nich wszystkich, jak fikali w świetle ognia z podniesionymi wysoko ramionami; wtem nadbiegł ów tęgi człowiek o czarnych wąsach, pędząc ku rzece z blaszanym wiadrem w ręku; zapewnił mnie, że „wszyscy się zachowują wspaniale, wspaniale”, nabrał mniej więcej kwartę wody i popędził z powrotem. Spostrzegłem, że dno jego wiadra jest dziurawe.

Poszedłem z wolna ku szopie. Pośpiech był zbyteczny. Uważacie, zajęło się to jak pudełko zapałek. Rzecz była przesądzona od samego początku. Płomienie skoczyły wysoko, odepchnęły wszystkich, oświetliły wszystko — i zapadły się. Szopa była już kupą rozżarzonych węgli. Niedaleko chłostano Murzyna. Powiedzieli mi, że to on wywołał ogień w jakiś tam sposób; tak czy owak, wrzeszczał najokropniej. Widywałem go później przez kilka dni siedzącego w skrawku cienia; wyglądał na bardzo chorego i usiłował się wylizać; wreszcie wstał i odszedł — a dzicz przyjęła go bezgłośnie z powrotem na swoje łono.

Gdy wyszedłszy z ciemności podszedłem do żarzących się zgliszcz, znalazłem się za plecami dwóch ludzi, którzy z sobą rozmawiali. Usłyszałem nazwisko Kurtza, a potem słowa: „... wyciągnął korzyść z tego nieszczęśliwego wypadku.” Jednym z tych ludzi był dyrektor. Powiedziałem mu „dobry wieczór”.

— No, widział pan kiedy coś podobnego? To nie do wiary — rzekł i odszedł.

Drugi pozostał. Był to jeden z głównych agentów, człowiek młody, elegancki, o obejściu dość powściągliwym; miał małą, rozwidloną bródkę i haczykowaty nos. Traktował z wysoka innych agentów, którzy ze swej strony twierdzili, że odgrywa rolę szpiega przy dyrektorze. Co do mnie, nigdy prawie przedtem z nim nie mówiłem. Rozgadaliśmy się i po pewnym czasie odeszliśmy z wolna od syczących zgliszcz. Zaprosił mnie do swego pokoju, który znajdował się w głównym stacyjnym budynku. Gdy potarł zapałkę, spostrzegłem, że ten młody arystokrata posiada nie tylko neseser[77] ze srebrnymi przyborami toaletowymi, ale i całą świecę. W owym czasie panowało przekonanie, że tylko dyrektor ma prawo do świec. Gliniane ściany były pokryte krajowymi matami; zbiór dzid, włóczni, tarcz i noży wisiał jak trofea. Owemu agentowi powierzono wyrób cegieł — przynajmniej tak mnie poinformowano; ale na całej stacji nie było ani kawałeczka cegły, a on siedział tu już przeszło rok — i czekał. Podobno do fabrykacji cegieł brakowało mu czegoś — nie wiem dobrze czego, może słomy. W każdym razie nie można było tam tego dostać, a ponieważ nie było prawdopodobne, że przyślą to z Europy, nie rozumiałem dobrze, na co ten człowiek właściwie czeka. Może na jakiś specjalny akt stworzenia. A jednak oni wszyscy na coś czekali — ci pielgrzymi w liczbie szesnastu czy dwudziestu; i dalibóg, nie wyglądało to wcale na nieprzyjemne zajęcie, sądząc ze sposobu, w jaki to znosili — choć spotykała ich tylko choroba, o ile mogłem osądzić. Skracali sobie czas, obmawiając się nawzajem i knując przeciw sobie intrygi

w głupi sposób. Wyglądało na to, że wszyscy spiskują, ale nic z tego naturalnie nie wynikało. To spiskowanie było równie nierealne jak wszystko — jak filantropijne pozory całego przedsiębiorstwa, jak gadanina tych ludzi, jak ich zarząd, jak udawanie, że się pracuje. Jedynym ich szczerym uczuciem było pragnienie, aby się dostać na handlową placówkę, gdzie by można dobrać się do kości słoniowej i zarabiać na prowizjach. Intrygowali i spotwarzali się, i nienawidzili wzajemnie tylko z tego powodu, ale w gruncie rzeczy nie umieli skutecznie nawet kiwnąć palcem. Dalibóg, coś w tym jest jednak, że jednemu świat pozwala ukraść konia, a drugiemu nie wolno nawet spojrzeć na postronek. Weźmie taki i ukradnie konia. Bardzo pięknie. Zrobił to. Może umie jeździć konno. Ale jest pewien rodzaj przyglądania się postronkowi, który i najlitościwszego ze świętych doprowadziłby do kopnięcia.

Nie miałem wyobrażenia, dlaczego ów agent wysila się na rozmowę, ale gdyśmy tak gawędzili, przyszło mi nagle na myśl, że chce coś ze mnie wyciągnąć — że po prostu bierze mnie na spytki. Napomykał ciągle o Europie, o ludziach, których znajomość mi przypisywał — zadawał mi chytre pytania co do mych stosunków w „grobowym mieście” i tak dalej. Jego małe oczka połyskiwały ciekawością jak dwa kółeczka z miki[78] — choć usiłował się zachowywać dość wyniośle. Z początku tylko mnie to dziwiło, ale wkrótce ogarnęła mnie szalona ciekawość, jakie wiadomości ze mnie wyciągnie. Nie mogłem zrozumieć, co we mnie jest takiego, że ten człowiek zadaje sobie tyle

trudu. Bardzo było zabawnie patrzeć, jak on sam się bierze na kawał, gdyż w rzeczywistości nic we mnie nie było prócz dreszczów, a w głowie miałem jedynie ten nieszczęsny parowiec. Agent brał mnie najwidoczniej za bezwstydnego krętacza. W końcu zirytował się i udał, że ziewa, aby ukryć odruch wściekłego rozdrażnienia. Wstałem z miejsca. Zauważyłem mały szkic olejny na drzewie, przedstawiający kobietę w udrapowanej szacie, z zawiązanymi oczyma, niosącą zapaloną pochodnię. Tło było ciemne — prawie czarne. Ruch kobiety był majestatyczny, a blask pochodni oświetlał ponuro jej twarz.

Zatrzymał mnie ten obrazek, a agent stał uprzejmie koło mnie, trzymając półlitrową butelkę od szampana (środek leczniczy) z wetkniętą w szyjkę świecą. Na moje zapytanie odpowiedział, że namalował to Kurtz — na tej samej stacji, przeszło rok temu — czekając sposobności, aby się udać na swoją handlową placówkę.

— Niechże mi pan powie — zapytałem — kto to jest ten Kurtz?

— Kierownik stacji w głębi kraju — odrzekł zwięźle, odwracając oczy.

— Bardzo panu dziękuję — odpowiedziałem ze śmiechem. — A pan jest fabrykantem cegły na stacji centralnej. Każdy to wie.

Milczał przez chwilę.

— To nadzwyczajny człowiek — rzekł w końcu. — On jest wysłańcem miłosierdzia i nauki, i postępu, i diabli wiedzą, czego tam jeszcze. Dla prowadzenia sprawy, że się tak

wyrażę, powierzonej nam przez Europę — zaczął nagle deklamować — potrzebujemy wyższej inteligencji, wszechogarniającego współczucia, zupełnego oddania się celowi.

— Któż to mówi? — zapytałem.

— Całe mnóstwo ludzi — odpowiedział. — Niektórzy z nich nawet to piszą; i właśnie dlatego on tu przybył, ta szczególnie uzdolniona jednostka — o czym powinien pan wiedzieć.

— Dlaczego powinienem wiedzieć? — przerwałem, szczerze zdziwiony.

Nie zwrócił na to uwagi.

— Tak, dzisiaj jest kierownikiem najlepszej stacji, na przyszły rok będzie zastępcą dyrektora, jeszcze parę lat i... ale sądzę, że pan wie, czym on będzie za jakie dwa lata. Pan należy do tej nowej paczki wyznającej cnotę. Ci sami ludzie, którzy go tu umyślnie przysłali, polecili także i pana. O, niech pan nie zaprzecza. Nie myli mnie świadectwo własnych oczu.

Błysnęło mi nagle światło. Wpływowe znajomości mojej kochanej ciotki wywarły nieoczekiwane wrażenie na tym młodzieńcu. O mało co nie parsknąłem śmiechem.

— Czy pan czytuje poufną korespondencję towarzystwa? — zapytałem.

Nie potrafił mi odpowiedzieć ani słowem. Bawiłem się cudownie.

— Gdy Kurtz zostanie głównym dyrektorem — ciągnąłem surowo — nie będzie pan miał do tego sposobności.

Zdmuchnął nagle świecę i wyszliśmy na dwór. Wstał księżyc. Czarne postacie wałęsały się wkoło niedbale, lejąc wodę na rozżarzone węgle, od których rozchodził się syk; para wznosiła się w księżycowym blasku; zbity Murzyn gdzieś jęczał.

— Co za hałas wyprawia to bydlę! — rzekł niezmordowany człowiek z wąsami, ukazując się koło nas. — Dobrze mu tak. Przestępstwo — kara — łupu cupu! Bez litości, bez litości. To jedyny sposób. Na przyszłość położy to kres wszystkim pożarom. Mówiłem właśnie dyrektorowi... — Zauważył mego towarzysza, co natychmiast zbiło go z tropu. — Pan jeszcze nie w łóżku? — rzekł z pewnego rodzaju służalczą serdecznością — to takie naturalne. Ha! Niebezpieczeństwo, niepokój.

Znikł. Zmierzałem w dalszym ciągu ku rzece, a ten drugi szedł u mną. Usłyszałem koło ucha pogardliwy szept:

— Stado fuszerów — pal ich licho.

Widać było, jak pielgrzymi stoją grupkami i rajcują gestykulując. Niektórzy z nich mieli jeszcze w ręku swe kije. Myślę doprawdy, że brali je z sobą do łóżka. Za płotem stał las, widmowy w blasku księżyca, a skroś[79] mętny ruch, skroś słabe odgłosy tego nędznego dziedzińca, cisza kraju przenikała do duszy — jego tajemnica, jego wielkość, zdumiewająca rzeczywistość jego ukrytego życia. Obolały Murzyn pojękiwał słabo gdzieś w pobliżu i nagle westchnął głęboko; przyśpieszyłem kroku, aby się czym prędzej oddalić. Poczułem, że czyjaś ręka wsuwa mi się pod ramię.

— Drogi panie — rzekł agent — nie chcę być źle zrozumiany, szczególnie przez pana, bo pan zobaczy się z Kurtzem na długo przedtem, nim ja będę miał tę przyjemność. Nie chciałbym, aby Kurtz nabrał fałszywego wyobrażenia o moim usposobieniu.

Pozwoliłem mówić dalej temu Mefistofelesowi[80] z *papier-maché*[81] i zdawało mi się, że gdybym chciał, mógłbym przebić go palcem i nie znalazłbym w środku nic — chyba może trochę sypiącego się brudu. Rozumiecie teraz? Ułożył sobie plan, iż zostanie z czasem zastępcą obecnego dyrektora; wyjaśniło mi się teraz, że przybycie tego Kurtza porządnie im obu krwi napsuło. Mówił z gwałtownym pośpiechem, a ja nie usiłowałem go zatrzymać. Stałem oparty plecami o swój rozbity parowiec, który wyglądał juk trup jakiegoś wielkiego rzecznego zwierzęcia, wyciągnięty na pochyły brzeg. Miałem w nozdrzach woń mułu, pierwotnego mułu, daję słowo! a przed oczami wzniosłą ciszę pierwotnego lasu; na czarnej zatoce lśniły świetliste plamy. Księżyc rozpostarł na wszystkim cienką warstwę srebra — na bujnej trawie, na błocie, na murze skłębionej roślinności, sięgającym wyżej od ścian świątyni, na wielkiej rzece; widziałem przez mroczną szparę, jak błyszczała i błyszczała, płynąc bez szmeru rozległym nurtem. Wszystko to było wielkie, wyczekujące, nieme, a ten człowiek paplał o sobie. Zastanawiałem się, czy cisza na obliczu ogromu patrzącego na nas obu oznacza apel czy groźbę. Kimże byliśmy, my dwaj, którzyśmy tu zabłądzili? Czy owładniemy tą niemą rzeczą, czy też ona nami

owładnie? Czułem, jak wielka, jak diabelnie wielka jest ta rzecz, która mówić nie umie, a może jest także i głucha. Co w niej jest? Wiedziałem, że wydostaje się stamtąd trochę kości słoniowej, i mówiono mi, iż w głębi kraju jest Kurtz. A mówiono mi o tym Bóg wie ile razy! Ale jakoś to wszystko nie przywodziło mi na myśl żadnego obrazu — tak, jakby mi ktoś powiedział, że tam, w głębi, jest anioł lub diabeł[82]. Wierzyłem temu w taki sam sposób, jakby który z was wierzył, że planeta Mars jest zamieszkana. Znałem raz szkockiego żaglomistrza, który był pewien, był bezwzględnie pewien, że na Marsie są ludzie. Kiedy go zapytywano, jak sobie wyobraża ich wygląd i zachowanie, tracił rezon i mruczał coś o tym, że „chodzą na czworakach”. Jeżeli ktoś się chociażby uśmiechnął, żaglomistrz — który miał już sześćdziesiątkę — wyzywał go na rękę. Nie byłbym się zdobył na to, aby się bić za Kurtza, ale posunąłem się prawie do kłamstwa. Wiecie, że nienawidzę, nie cierpię, nie znoszę kłamstwa, nie dlatego, abym był bardziej prawy od reszty ludzi, ale po prostu dlatego, że kłamstwo mnie przeraża. Ma na sobie znamię śmierci, jakąś cechę śmiertelności — która jest właśnie tym, czego nienawidzę i nie cierpię — o czym pragnę zapomnieć. Gdy stykam się z kłamstwem, czuję się fatalnie i robi mi się mdło, zupełnie jakbym wziął do ust coś zgniłego. Przypuszczam, że to kwestia usposobienia. Otóż zbliżyłem się na tyle do kłamstwa, że pozwoliłem, aby ten młody dureń uwierzył we wszystko, co mu się tylko podobało wymyślić na temat moich wpływów w Europie.

W mig stałem się takim samym blagierem jak reszta zaczarowanych pielgrzymów. I to po prostu dlatego: zdawało mi się, że moja blaga dopomoże temu Kurtzowi, którego w owym czasie nie mogłem sobie jeszcze wyobrazić, uważacie. Był dla mnie tylko słowem. Nie umiałem sobie wystawić[83] człowieka noszącego to nazwisko, tak jak i wy go sobie wystawić nie możecie. Czy widzicie go? Czy rozumiecie tę całą historię? Czy rozumiecie z tego cośkolwiek? Mam wrażenie, że usiłuję wam opowiedzieć sen — a wysiłek mój jest daremny, ponieważ żadna relacja nie może dać pojęcia o sennych wrażeniach, o tej mieszaninie bezsensu, niespodzianki i oszołomienia wśród dreszczów walki i buntu — o tym poczuciu, że się jest we władzy niewiarygodnego — poczuciu, które stanowi prawdziwą istotę snu…

Zamilkł na chwilę.

— Nie, to niemożliwe; niepodobna[84] dać komuś żywego pojęcia o jakiejkolwiek epoce swego życia — o tym, co stanowi jej prawdę, jej znaczenie, jej subtelną i przejmującą treść. To niemożliwe. Żyjemy tak, jak śnimy — samotni…

Urwał znów i jakby się zastanowił, a potem dodał:

— Wy, koledzy, możecie z tego oczywiście więcej zrozumieć, niż ja podówczas. Wy rozumiecie mnie, którego znacie…

Nastała ciemność tak gęsta, że my, słuchacze, z trudem mogliśmy się widzieć. Już od dłuższego czasu Marlow, siedzący oddzielnie, był dla nas tylko głosem. Nikt się nie odezwał. Może tamci pozasypiali, ale ja czuwałem.

Słuchałem i słuchałem, czatując na zdanie, na słowo, na jakąś nić przewodnią wśród nieokreślonego niepokoju wzbudzonego tym opowiadaniem, które jakby kształtowało się samo — bez ludzkich warg — w ciężkim, nocnym powietrzu nad rzeką.

— ...Tak, pozwoliłem mu ciągnąć dalej — zaczął znów Marlow — i puścić cugle wyobraźni na temat wszystkich potęg, które za mną stoją. Zrobiłem to! A za mną nie było nic. Nic prócz tego nędznego, starego pokiereszowanego parowca, o który się opierałem, podczas gdy tamten rozprawiał wymownie, że każdy człowiek pragnie koniecznie się wybić.

— A kiedy człowiek tu przyjedzie, to — przecież pan rozumie — nie po to, aby patrzeć na księżyc. — I ciągnął dalej, że Kurtz jest istotnie „geniuszem uniwersalnym”, lecz nawet geniuszowi łatwiej pracować przy pomocy odpowiednich narzędzi — ludzi inteligentnych. Cegieł wyrabiać nie można — zachodzi tu przeszkoda czysto fizyczna, jak to wiem dobrze; a jeśli on pełni przy dyrektorze funkcję sekretarza, to dlatego że żaden rozsądny człowiek nie odrzuca lekkomyślnie zaufania swych zwierzchników. Czy to pojmuję? I owszem. A o co mi jeszcze chodzi? Chodzi mi właściwie o nity, na Boga! O nity. Żeby robota posunęła się naprzód, żeby raz skończyć z tą dziurą. Potrzeba mi nitów. Tam u wybrzeża są pełne ich skrzynie — leżą stosami — pęknięte — rozwalone! Co dwa kroki podrzuca się nogą rozsypane nity — na tym dziedzińcu stacyjnym na zboczu. Nity potoczyły się aż do gaju śmierci.

Można sobie zapełnić kieszenie nitami schyliwszy się tylko po prostu — a tu, gdzie są potrzebne, nie ma ani jednego. Mamy odpowiednie płyty, ale ani jednego nitu, aby je przymocować. A tymczasem co tydzień posłaniec, samotny Murzyn z torbą od listów na ramieniu i kijem w ręce, wyruszał z naszej stacji na wybrzeże. I kilka razy na tydzień karawana z wybrzeża przybywała z towarami — okropnym, połyskliwym kretonem, na którego sam widok człowiek się wzdrygał, szklanymi paciorkami mniej więcej po pensie kwarta i zakazanymi chustkami z perkalu w deseń. Ale nitów ani śladu. Trzej tragarze byliby mogli przynieść wszystko, czego potrzebowałem do spuszczenia statku na wodę.

Mówił do mnie coraz poufniej, ale zdaje się, że moja obojętna postawa wreszcie go rozjątrzyła, bo uznał za stosowne mnie poinformować, że nie lęka się ani Boga, ani diabła, nie mówiąc już o zwykłym człowieku. Odrzekłem, że to widać od razu, ale że potrzebuję pewnej ilości nitów i że nity są właśnie tym, czego by Kurtz potrzebował, gdyby tylko wiedział, jak rzeczy stoją. Przecież listy odchodzą co tydzień na wybrzeże...

— Panie kochany — wykrzyknął — ja piszę, co mi dyktują!

Domagałem się nitów w dalszym ciągu. Musi być na to jakiś sposób — dla inteligentnego człowieka. Agent zmienił swój sposób bycia; stał się bardzo zimny i nagle zaczął mówić o jakimś hipopotamie; dopytywał się, czy nic mi nie przeszkadza spać na parowcu (tkwiłem dzień i noc na

wyratowanym statku). Jest w tamtej okolicy stary hipopotam, który ma brzydki zwyczaj wyłażenia na brzeg i błądzenia nocą po gruntach stacji. Pielgrzymi wyruszają tłumnie i palą do niego ze wszystkich strzelb, jakie tylko mają pod ręką. Niektórzy nawet czatują na niego całymi nocami. Ale wszystkie wysiłki spełzły na niczym.

— To zwierzę ma jakiś czar przeciw śmierci — rzekł — ale to można powiedzieć tylko o bydlętach w tym kraju. Żaden człowiek — czy pan mnie rozumie? — żaden człowiek tutaj nie ma czaru przeciw śmierci.

Stał tam przez chwilę w świetle księżyca ze swym cienkim, haczykowatym nosem trochę krzywo osadzonym i oczami z miki błyszczącymi bez ruchu, wreszcie powiedział mi krótko: „dobranoc” i odszedł wielkimi krokami. Widziałem, że jest zaniepokojony, że nie wie, co ma myśleć, i dzięki temu po raz pierwszy od wielu dni poczułem przypływ nadziei. Rozstawszy się z tym facetem wróciłem z wielką ulgą do mego wpływowego przyjaciela, którym był pogruchotany, pogięty, zrujnowany, tandetny parowiec. Wspiąłem się na pokład. Statek zadźwięczał pod mymi nogami, jakbym kopnął nad rynsztokiem pustą blaszaną skrzynkę po sucharach firmy Huntley & Palmer; wykonanie jego było znacznie mniej solidne, kształt chyba brzydszy, ale włożyłem weń tyle ciężkiej pracy, że go pokochałem. Żaden wpływowy przyjaciel nie byłby mi się tak dobrze przysłużył. Ten statek dał mi sposobność do wypróbowania siebie — do przekonania się, czego mogę dokonać. Nie, ja pracować nie lubię. Wolę próżnować

i myśleć o wszystkich pięknych rzeczach, które można by zrobić. Nie lubię pracy — żaden człowiek jej nie lubi — ale lubię to, co jest w pracy — sposobność do odnalezienia siebie samego, swej własnej rzeczywistości — dla siebie, nie dla innych — której inni ludzie poznać nie mogą. Widzą tylko pozory i nigdy nie są w stanie powiedzieć, co one naprawdę znaczą.

Nie zdziwiłem się spostrzegłszy, że ktoś siedzi na rufie, na pokładzie, dyndając nogami nad błotem. Trzeba wam wiedzieć, że łączyły mnie dość zażyłe stosunki z nielicznymi mechanikami ze stacji, którymi reszta pielgrzymów naturalnie gardziła — przypuszczam, że ze względu na ich nieświetne maniery. Otóż ten, o którym mówię — kotlarz z zawodu — był ich majstrem i dobrym pracownikiem. Był to szczupły, kościsty człowiek o żółtej cerze i wielkich, zapatrzonych oczach. Miał wygląd skłopotany, a głowę łysą jak dłoń; jego włosy, wypadając, jakby się uczepiły policzków i widać czuły się dobrze na tym nowym miejscu, gdyż broda zwisała mu do pasa. Był wdowcem z sześciorgiem drobnych dzieci (zostawił je pod opieką siostry, by móc tu przyjechać), a namiętność jego życia stanowiły wyścigi gołębi. Był ich miłośnikiem i znawcą. Mówił o gołębiach z uniesieniem. Po skończonej pracy przychodził do mnie czasem na rozmowę o swych dzieciach i gołębiach; przy robocie, gdy musiał niekiedy czołgać się w szlamie pod dnem parowca, obwiązywał sobie brodę czymś w rodzaju białej serwety, którą przynosił w tym celu. Owa serweta miała duże pętle do zakładania na uszy.

Wieczorem widać go było przykucniętego na brzegu, jak płukał w zatoce ten pokrowiec z wielką starannością, a potem rozpościerał uroczyście na krzaku, aby go wysuszyć.

Trzepnąłem mechanika w plecy, wołając:

— Dostaniemy nity! — Wygramolił się na nogi i krzyknął:

— Nie, doprawdy! Nity? — Jakby nie chciał wierzyć własnym uszom. Potem dodał po cichu:

— To pan... prawda? — Nie wiem, dlaczego zachowywaliśmy się jak wariaci. Przytknąłem palec do nosa, kiwając tajemniczo głową.

— Brawo! — zawołał i strzelił palcami, podniósłszy ramiona i jedną nogę. Spróbowałem zatańczyć dżiga. Wywijaliśmy po żelaznym pokładzie. Straszny tupot rozebrzmiał na statku i obił się o dziewiczy las po drugiej stronie zatoki, wracając na śpiącą stację w grzmiącym łoskocie. Niektórzy z pielgrzymów obudzili się pewnie w swych lepiankach. Ciemna jakaś postać zasłoniła oświetlone drzwi chaty dyrektora, po czym znikła; po sekundzie czy dwóch oświetlone drzwi znikły również. Uspokoiliśmy się, a cisza, odepchnięta naszym tupaniem, przypłynęła znów z głębi kraju. Wielki mur roślinny, bujna, pogmatwana masa pni, gałęzi, liści, kanarów i girland, nieruchomych w świetle księżyca, przypominała jakby rozhukane najście bezgłośnego życia, toczącą się falę roślin, spiętrzoną, czubatą, gotową runąć na zatokę i wymieść każdego z nas, drobnych człowieczków, poza obręb naszego mizernego życia. Fala stała bez ruchu.

Z oddali doszedł nas zgłuszony wybuch potężnych plusków i parskań, jakby jaki ichtiozaurus kąpał się w blasku wielkiej rzeki.

— Ostatecznie — rzekł kotlarz rozsądnym tonem — dlaczego byśmy nie mieli dostać nitów?

I rzeczywiście, dlaczego? Nie widziałem żadnej przeszkody.

— Nadejdą za trzy tygodnie — rzekłem poufnie.

Ale nie nadeszły. Zamiast nitów spadł na nas najazd, kara, dopust boży. A spadał stopniowo — oddziałami — w ciągu najbliższych trzech tygodni; przed każdym oddziałem stąpał osioł, na którym siedział biały w nowym ubraniu i ciemnożółtych trzewikach, kłaniając się z tego wzniesienia na prawo i lewo poruszonym pielgrzymom. Kłótliwa banda markotnych Negrów[85] z obolałymi nogami deptała osłom po piętach; na dziedzińcu porozrzucano mnóstwo namiotów, polowych stołków, blaszanych pudeł, białych skrzynek i brunatnych pak, a atmosfera tajemniczości pogłębiła się jeszcze nad stacyjnym zamętem. Nadeszło pięć takich porcji, wyglądających na oddziały uchodzące bezładnie z łupem po ograbieniu niezliczonych sklepów z odzieżą i żywnością; zdawało się, że wloką za sobą w głuchą dzicz owe łupy z najezdniczej wyprawy, aby się sprawiedliwie podzielić. Była to gmatwanina przedmiotów w gruncie rzeczy niewinnych, którym ludzka głupota nadała pozór łupów.

Owa zacna banda nazwała się wyprawą odkrywczą z eldorado; zdaje się, że jej członkowie zobowiązali się pod

przysięgą do zachowania tajemnicy. Ale mowa ich była mową plugawych piratów: zuchwała bez dzielności, chciwa bez odwagi i okrutna bez męstwa; w całej tej paczce niepodobna się było dopatrzeć choćby śladu przezorności czy poważnego celu. Ci ludzie zdawali się nie wiedzieć, iż praca codzienna wymaga tych rzeczy. Pragnieniem ich było wydrzeć skarby z wnętrzności tego kraju, a nie przyświecał im żaden cel moralny, jak złodziejom dobierającym się do kasy. Nie wiem, kto ponosił koszta tej szlachetnej wyprawy, ale wuj naszego dyrektora był jej kierownikiem.

Wyglądem przypominał rzeźnika z ubogiej dzielnicy; w jego oczach malowała się senna przebiegłość. Obnosił ostentacyjnie swój tłusty brzuch na krótkich nogach, a przez cały czas pobytu jego bandy na stacji nie odzywał się do nikogo prócz swego siostrzeńca. Można było oglądać tę dwójkę wałęsającą się przez cały dzień, głowy ich stykały się prawie w ustawicznej gawędzie.

Przestałem się już kłopotać o nity. Zdolność człowieka do tego rodzaju manii bardziej jest ograniczona, niżby można było przypuszczać. Powiedziałem sobie: „pal licho!” — i machnąłem ręką. Miałem czasu w bród do rozpamiętywań, a niekiedy myślałem i o Kurtzu. Nie interesował mnie znów tak bardzo. Bynajmniej. Ale miałem ochotę się przekonać, czy ten człowiek, który wyruszył zaopatrzony w pewne moralne zasady, dostanie się w końcu na szczyt i jak tam sobie będzie poczynał.

II

Pewnego wieczoru, gdy leżałem wyciągnięty na pokładzie mego parowca, posłyszałem zbliżające się głosy — a byli to właśnie siostrzeniec i wuj, którzy spacerowali powoli wzdłuż brzegu. Oparłem znów głowę na ramieniu i popadłem już prawie w drzemkę, gdy ktoś powiedział mi prawie do ucha:

— Jestem łagodny jak nowonarodzone dziecię, ale nie lubię, aby mi dyktowano, co mam robić. Jestem dyrektorem, czy nie jestem? Kazano mi go tam posłać. To wprost niesłychane...

Zdałem sobie sprawę, że ci dwaj stoją na wybrzeżu u przodu statku, tuż pod moją głową. Nie poruszyłem się wcale; nie przyszło mi na myśl się ruszyć; chciało mi się spać.

— To przykre, doprawdy — mruknął wuj.

— Prosił zarząd, aby go tam wysłano — odrzekł tamten — bo chciał pokazać, co potrafi; dostałem też odpowiednie polecenie. Niech wuj pomyśli, jakie ten człowiek musi mieć wpływy. Czy to nie straszne?

Uznali to obaj za straszne i rozmawiali dalej, wypowiadając różne dziwaczne uwagi:

— Wodzi wszystkich na pasku... jeden człowiek radę... za nos.

Te kawałki bezsensownych zdań przezwyciężyły moją senność, tak że byłem prawie zupełnie przytomny, gdy wuj powiedział:

— Klimat może usunąć ci z drogi tę przeszkodę. Czy on tam jest sam?

— Tak — odrzekł dyrektor — odesłał swego pomocnika w dół rzeki z krótkim listem do mnie tej treści: „Niech pan wyprawi stąd tego nieboraka i nie kłopocze się przysyłaniem mi innych w tym samym rodzaju. Wolę być sam niż mieć koło siebie kogoś z ludzi, których pan ma pod ręką.” To było przeszło rok temu. Czy może sobie wuj wyobrazić podobną bezczelność!

— A od tamtego czasu? — spytał drugi ochrypłym głosem.

— Kość słoniowa — żachnął się siostrzeniec — całe mnóstwo kości słoniowej w najlepszym gatunku, to wprost nieznośne... wszystko od niego.

— A z kością słoniową? — dopytywał się gruby, dudniący głos.

— Faktury! — wypalił siostrzeniec w odpowiedzi. Zapadło milczenie. Mówili o Kurtzu.

Byłem już wtedy zupełnie rozbudzony, ale leżałem sobie wygodnie bez ruchu, nie mając powodu do zmiany pozycji.

— Jakże ta kość słoniowa przejechała taki kawał drogi? — burknął starszy, widać mocno zirytowany.

Tamten wyjaśnił, że przywiozła ją flotylla łódek pod wodzą angielskiego urzędnika, Mulata, którego Kurtz miał z sobą; że Kurtz zamierzał widocznie sam przyjechać,

ponieważ jego stacja była już wówczas ogołocona z towarów i zapasów, ale po przebyciu trzystu mil postanowił nagle wrócić i wyruszył z powrotem sam jeden w niewielkiej łódce z czterema wioślarzami, zostawiając kość słoniową pod opieką Mulata, który pojechał dalej w dół rzeki. Obaj faceci na brzegu wydawali się zdumieni, że ktoś mógł się ważyć na coś podobnego. Nie mogli odgadnąć, dlaczego Kurtz tak postąpił. Co do mnie, wydało mi się, że widzę go po raz pierwszy. Obraz był wyraźny: łódka, czterech dzikich wioślarzy i samotny biały, który odwraca się nagle od głównej kwatery, od wypoczynku, a może i od myśli o domu; który zdąża ku głębiom dziczy, ku swej pustej i opuszczonej stacji. Nie wiedziałem, dlaczego to zrobił. Może był to po prostu dzielny człowiek, który miał zamiłowanie do swej pracy. Oczywiście jego nazwisko nie zostało wymienione ani razu. Mówili o nim po prostu jako o „tym człowieku”. Mulata, który — o ile mogłem wyrozumieć — poprowadził ciężką wyprawę z wielką roztropnością i odwagą, nazywali stale „łajdakiem”. „Łajdak” doniósł, że „ten człowiek” przeszedł bardzo ciężką chorobę i nie miał się jeszcze zupełnie dobrze... Tu oddalili się obaj o kilka kroków i spacerowali z wolna tam i z powrotem w niewielkiej odległości. Posłyszałem oderwane wyrazy: — Placówka wojskowa — doktor — dwieście mil — teraz zupełnie sam — nieunikniona zwłoka — dziewięć miesięcy — żadnych wiadomości — dziwaczne pogłoski. — Zbliżyli się znów, właśnie w chwili, gdy dyrektor mówił:

— Nikt, o ile wiem: chyba że taki tam jeden — coś w rodzaju wędrownego kupca — cholerny drab, zmiatający dzikim sprzed nosa kość słoniową.

O kimże teraz mówili? Dorozumiałem się z urywanych zdań, że to jakiś człowiek znajdujący się przypuszczalnie w okręgu Kurtza i że dyrektor go nie uznaje.

— Nie pozbędziemy się nieuczciwej konkurencji, póki się nie powiesi dla przykładu jednego z tych drabów — rzekł.

— Naturalnie — mruknął drugi — powiesić go, i koniec! Czemu nie? Wszystko, wszystko można zrobić w tym kraju. To właśnie chcę powiedzieć; nikt tutaj, rozumiesz, *tutaj*, nie może zachwiać twojego stanowiska. A dlaczego? Bo wytrzymujesz ten klimat, przetrwasz ich wszystkich. Niebezpieczeństwo jest w Europie; ale tam już się postarałem przed wyjazdem, aby...

Oddalili się szepcząc, potem głosy ich podniosły się znowu:

— Te wszystkie nieprzewidziane opóźnienia nie są moją winą. Robiłem, co mogłem.

Grubas westchnął.

— To bardzo smutne.

— A ta jego głupia, obmierzła[86] gadanina — ciągnął drugi — dokuczył mi tu porządnie podczas swego pobytu. Rozpowiadał, że stacja powinna być jakby pochodnią na drodze ku lepszemu jutru, ośrodkiem handlu także, rzecz prosta, ale przy tym i humanitaryzmu, postępu, oświaty. — Czy wuj to pojmuje? — Co za osioł! I ten chce być dyrektorem! Nie, to jest...

Zatknęło go z oburzenia. Podniosłem nieznacznie głowę. Zdumiałem się spostrzegłszy, jak byli blisko — tuż pode mną. Mógłbym plunąć im na kapelusze. Patrzyli w ziemię, pochłonięci myślami. Dyrektor uderzał się po nodze cienką gałązką; jego sprytny krewniak podniósł głowę.

— A czujesz się dobrze od ostatniego przyjazdu? — zapytał.

Tamten drgnął.

— Kto? Ja? Och, jak ryba, jak ryba. Ale reszta, uchowaj Boże! Wszyscy chorzy. A przy tym umierają tak prędko, że nie mam czasu wysłać ich stąd, to nie do wiary.

— Hm. Otóż to właśnie — mruknął wuj. — Ach! mój chłopcze, ufaj temu, powtarzam, ufaj temu.

Ujrzałem, jak wyciągnął swe kuse[87] ramię ruchem, który ogarnął las, błoto, zatokę, rzekę i — wobec słonecznego oblicza kraju — zdawał się przyzywać zdradziecko tym hańbiącym gestem przyczajoną śmierć, ukryte zło, głęboki mrok z wnętrza lądu. Takie to było przerażające, że zerwałem się na równe nogi i obejrzałem na skraj lasu, jakbym czekał na jakąś odpowiedź po tym dowodzie nikczemnego zaufania. Wiecie, jakie głupstwa przychodzą czasem człowiekowi do głowy. Wyniosła cisza przeciwstawiła się tym dwu figurom, cierpliwa i złowieszcza, czekająca na przeminięcie dziwacznej inwazji.

Obaj wykrzyknęli jednocześnie jakieś przekleństwo — przypuszczam, że wprost ze strachu — a potem, udając, że nic nie wiedzą o moim istnieniu, zwrócili się znów ku stacji.

Słońce stało nisko; pochyleni jeden obok drugiego, zdawali się ciągnąć z trudem w górę swoje dwa śmieszne cienie różnej długości, które wlokły się z wolna za nimi po wysokiej trawie, nie zginając ani jednego źdźbła.

Po kilku dniach wyprawa z eldorado zanurzyła się w cierpliwą puszczę, która zamknęła się za nią, jak morze zamyka się nad nurkiem. W długi czas potem nadeszły wieści, że wszystkie osły im wyzdychały. O losie zwierząt mniej wartościowych nic nie wiem. Nie wątpię, że — tak jak i nas wszystkich — spotkało je to, na co zasłużyły. Nie pytałem. Byłem wówczas nieco podniecony perspektywą rychłego spotkania z Kurtzem. Mówię: rychłego we względnym znaczeniu. Minęły okrągłe dwa miesiące od chwili opuszczenia zatoki, gdy dotarliśmy do brzegu poniżej stacji Kurtza.

Jazda w górę rzeki była jakby podróżą wstecz do najwcześniejszych początków świata, gdy roślinność hulała sobie po ziemi, a królowały wielkie drzewa. Pusta rzeka, wielka cisza, nieprzebyty las. Powietrze ciepłe, gęste, ciężkie, leniwe. Nie było radości we wspaniałym słońcu. Wielkie, opustoszałe przestrzenie wodnego szlaku biegły w mrok zacienionych perspektyw. Na srebrnawych ławicach piasku hipopotamy i aligatory leżały obok siebie, wygrzewając się w słońcu. Rozlane szeroko wody płynęły wśród mnóstwa zadrzewionych wysepek; gubiłem się na tej rzece jak w pustyni i natykałem się cały dzień na mielizny, usiłując wynaleźć przesmyki, aż wreszcie doznałem wrażenia, że mnie ktoś zaczarował i odciął na zawsze od

wszystkiego, co znałem ongi — gdzieś tam — daleko — może w jakimś innym istnieniu. Były chwile, kiedy przeszłość do mnie wracała, jak to się dzieje czasami, gdy się nie ma ani chwilki dla siebie; wracała niby niespokojny i hałaśliwy sen, który przypominałem sobie ze zdumieniem wśród przygniatającej rzeczywistości tego dziwnego świata roślin i wody, i ciszy. Ale ta cisza nie miała nic wspólnego ze spokojem. Był to bezruch nieubłaganej siły, rozmyślającej ponuro nad jakimś nieprzeniknionym zamiarem. Owa siła przyglądała się człowiekowi z mściwością. Przyzwyczaiłem się później i już tego nie widziałem; nie miałem na to czasu. Musiałem wciąż odgadywać, gdzie są przesmyki; musiałem rozróżniać, przeważnie pod wpływem natchnienia, oznaki ukrytych ławic; wypatrywałem podwodnych kamieni; uczyłem się zacinać ostro zęby, aby serce nie wyskoczyło mi z piersi, kiedy na szczęście otarłem się tylko o jakiś piekielny, podstępny stary pień, który byłby wydarł życie z mego tandetnego parowca i zatopił wszystkich pielgrzymów; musiałem czatować na suche drzewa, które by można ściąć w nocy, aby mieć paliwo w ciągu dnia następnego. Kiedy człowiek się troszczy o podobne sprawy, o pospolite wypadki dziejące się na powierzchni, rzeczywistość — właśnie rzeczywistość — się rozwiewa. Wewnętrzna prawda kryje się — na szczęście, na szczęście. Ale czułem ją jednak; czułem często, jak w tajemniczej ciszy przyglądała się moim małpim sztukom, zupełnie tak jak i wam się przygląda, koledzy, gdy pokazujecie swoje sztuki na linie — pół korony za fiknięcie kozła.

— Bądźże uprzejmiejszy, Marlow — burknął jakiś głos i stąd się dowiedziałem, że prócz mnie czuwa jeszcze przynajmniej jeden słuchacz.

— Przepraszam. Zapomniałem o bólu serca, który dopełnia ceny. I zaiste, cóż znaczy cena, jeżeli sztuka się uda? Wy pokazujecie sztuki bardzo dobrze. I ja nieźle się wówczas sprawiłem, jeśli zdołałem nie zatopić tego parowca w ciągu pierwszej wyprawy. Dotychczas się temu dziwię. Wyobraźcie sobie człowieka z zawiązanymi oczami, któremu dają ciężki wóz i każą powozić na złej drodze. Zapewniam was, że się pociłem i trząsłem porządnie przy tej robocie. Ostatecznie dla marynarza wydarcie dna ze statku, który ma płynąć cały czas pod jego opieką, jest grzechem nie do darowania. Choćby nawet nikt o tym nie wiedział, niepodobna[88] zapomnieć tego zderzenia, prawda? Cios w samo serce. Pamięta się o nim, śni się o nim — po latach — i robi się człowiekowi zimno i gorąco. Nie chcę przez to powiedzieć, że mój parowiec cały czas pływał. Nieraz musiał brnąć mielizną, popychany przez dwudziestu ludożerców pluskających wokoło. Zaciągnęliśmy po drodze pewną liczbę tych drabów jako załogę. To bycze chłopy — ludożercy — na właściwym miejscu. Z tymi ludźmi można było pracować — jestem im za to wdzięczny. I ostatecznie nie zjadali się nawzajem w mych oczach. Mieli zapas mięsa z hipopotama, które zepsuło się w drodze, wskutek czego tajemnica dziczy zaczęła nam cuchnąć pod nosem. Brr! Do dziś dnia ją czuję. Miałem na statku dyrektora i trzech czy czterech pielgrzymów ze swymi kijami — cały komplet.

Czasem napotykaliśmy stację handlową tuż przy brzegu, uczepioną krawędzi nieznanego, a biali ludzie, którzy wypadali z walącej się lepianki, wymachując na powitanie rękoma z radością i zdumieniem, robili wrażenie bardzo dziwne — jakby czar jakiś trzymał ich tam na uwięzi. Słowo: „kość słoniowa” rozbrzmiewało w powietrzu — i odpływaliśmy znów w ciszę wzdłuż pustych rzecznych obszarów, okrążając spokojne zakręty, między wysokimi ścianami wijącej się drogi, które odbijały głucho ciężki rytm napędowego koła.

Drzewa i drzewa, miliony drzew masywnych, olbrzymich, strzelających w górę; a u ich stóp pełzł przeciw prądowi tuż przy brzegu mały, umorusany sadzą parowiec, jak ociężały chrząszcz łażący po posadzce wyniosłego portyku[89]. Człowiek czuł się bardzo mały i zagubiony, a jednak to uczucie nie było właściwie przygnębiające. Wprawdzie byliśmy mali, ale umorusany chrząszcz pełzł naprzód — czego się właśnie od niego wymagało. Dokąd pełzł w pojęciu pielgrzymów, nie umiem powiedzieć. Założyłbym się, że do jakiegoś miejsca, gdzie się spodziewali coś dostać! Dla mnie pełzł wyłącznie w stronę Kurtza; ale gdy rury zaczęły ciec, posuwaliśmy się bardzo powoli. Droga otwierała się przed nami i zamykała za nami, jakby las wkraczał powoli w wodę, by zagrodzić nam powrót. Przenikaliśmy wciąż głębiej i głębiej w jądro ciemności. Bardzo tam było spokojnie. Czasami nocą warkot bębnów za zasłoną drzew biegł w górę rzeki i trwał w słabym odgłosie do brzasku, jakby się unosił wysoko w powietrzu

nad naszymi głowami. Nie wiedzieliśmy, czy oznacza wojnę, pokój czy modlitwę. Przed samym świtem zapadała chłodna cisza; drwale spali, ogniska ich przygasały; człowiek się zrywał na trzask gałązki. Wędrowaliśmy po przedhistorycznej ziemi, po ziemi mającej wygląd nieznanej planety. Mogliśmy sobie wyobrazić, że jesteśmy pierwszymi ludźmi biorącymi w posiadanie jakiś przeklęty spadek, którym można zawładnąć tylko za cenę dojmującej udręki i niezmiernego znoju. I nagle, gdyśmy okrążali z trudem jakiś zakręt, ukazywały się ściany z sitowia, spiczaste dachy z trawy, wybuchał wrzask, kłębił się wir czarnych członków, klaszczących rąk, tupiących nóg, rozkołysanych ciał, oczu przewracających białkami — pod nawisłym listowiem, ciężkim i nieruchomym. Parowiec sunął z trudem, mijając powoli jakiś ponury i niepojęty wybuch szału. Czy przedhistoryczny człowiek nas przeklinał, czy modlił się do nas, czy też nas witał — któż to mógł wiedzieć? Zrozumienie tego, co nas otaczało, było dla nas niemożliwe; przesuwaliśmy się jak widma, rozciekawieni i pełni ukrytego lęku, niby ludzie normalni wobec jakiegoś entuzjastycznego wybuchu w zakładzie dla obłąkanych. Nie mogliśmy tego pojąć, ponieważ odeszliśmy za daleko i nie umieliśmy już sobie przypomnieć; ponieważ wędrowaliśmy przez mroki pierwszych wieków, tamtych wieków, które minęły, nie zostawiając prawie żadnego śladu i żadnych wspomnień.

Ziemia nie wydawała się ziemska. Przywykliśmy patrzeć na spętany kształt pokonanego potwora, ale tam — tam się

oglądało potworny stwór[90] na swobodzie. Ziemia nie była ziemską, a ludzie byli... Nie, ludzie nie byli nieludzcy. Widzicie, otóż to było najgorsze ze wszystkiego — podejrzenie, że oni nie są nieludzcy. Przenikało to z wolna do świadomości. Wyli i skakali, i kręcili się, i wykrzywiali straszliwie; a najbardziej z wszystkiego przejmowała mnie właśnie myśl o ich człowieczeństwie — takim samym jak moje — myśl o mym odległym powinowactwie z tym dzikim, namiętnym wrzaskiem. Brzydactwo. Tak, to było dość brzydkie; ale jeśli człowiek miał w sobie dosyć męstwa, musiał przyznać w duchu, że jest w nim jakiś najniklejszy ślad odzewu na przerażającą szczerość tego zgiełku, jakieś mgliste podejrzenie, iż to ma pewien sens, który by można zrozumieć mimo tak wielkiego oddalenia od mroku pierwszych wieków. I dlaczego by nie? Dusza ludzka jest zdolna do wszystkiego — ponieważ zawiera w sobie wszystko, zarówno przeszłość, jak przyszłość. Cóż tam było właściwie? Radość, przestrach, smutek, ofiarność, męstwo czy wściekłość — któż to mógł powiedzieć? — ale była tam prawda — prawda bez maski czasu. Niech głupiec się gapi i wzdryga — człowiek świadomy życia rozumie i może patrzeć bez zmrużenia powiek. Ale musi być choćby na tyle człowiekiem, co ci z wybrzeża. Musi przeciwstawić ich prawdzie to, co w nim jest istotnie prawdziwe — własną, wrodzoną siłę. Zasady tu nic nie pomogą. To nabytek, strój, ozdobne łachmany — łachmany, które z niego opadną przy pierwszym porządnym wstrząsie. Nie; tu trzeba sobie stworzyć własne swoje *credo*[91]. Czy ten piekielny wrzask

znajduje we mnie jakiś oddźwięk? Wsłuchuję się; przyznaję, że tak; ale ja także mam głos i — czy moje zdanie jest słuszne, czy nie — słów moich zagłuszyć nie można. Oczywiście, że głupiec — i to zastraszony w dodatku, a przy tym pełen wzniosłych uczuć — będzie zawsze bezpieczny. Któż to tam mruczy? Dziwicie się, że nie wysiadłem na brzeg, aby trochę powyć i potańczyć? Otóż nie — nie wysiadłem. Wzniosłe uczucia, mówicie? Do licha ze wzniosłymi uczuciami! Nie miałem po prostu czasu. Musiałem się babrać z bielą ołowianą i szmatami z wełnianej kołdry, pomagając obwijać te cieknące rury parowe — tak, moi drodzy. Musiałem pilnować steru i wymijać pnie, i za wszelką cenę prowadzić naprzód tandetny grat. W tym wszystkim było dość konkretnej rzeczywistości, aby ocalić i mędrszego ode mnie człowieka. A w wolnych chwilach musiałem doglądać dzikusa, który sprawował obowiązki palacza. Był to okaz udoskonalony; miał palić pod pionowym kotłem. Tkwił w dole pode mną i — słowo daję — jego widok oddziaływał równie budująco jak oglądanie psa w majtkach i kapeluszu z piórem, chodzącego na tylnych łapach. Parę miesięcy tresury dało radę temu istotnie zdolnemu chłopu. Zerkał na manometr i szkło wodowskazowe, siląc się najwidoczniej na odwagę, a przy tym miał nieborak spiłowane zęby, kędzierzawy łeb golony w dziwne desenie i trzy ozdobne blizny na każdym policzku. Powinien był klaskać i tupać na brzegu, a zamiast tego pracował ciężko — niewolnik dziwacznych czarów, pełen coraz doskonalszej wiedzy. Był użyteczny, ponieważ

go wyszkolono, a oto, na czym polegała jego wiedza: gdyby woda znikła z tej przezroczystej rzeczy, zły duch wewnątrz kotła wpadłby w gniew z powodu wielkiego pragnienia i zemściłby się straszliwie. Toteż palacz pocił się i podsycał ogień, i śledził szkło z lękiem (ramię miał obwiązane zaimprowizowanym talizmanem z gałganków, w dolnej jego wardze tkwił wygładzony krążek z kości słoniowej wielkości zegarka) — a tymczasem mijaliśmy powoli zarośnięte brzegi, krótki zgiełk ucichał, nastawała znów cisza ciągnąca się przez nieskończone mile — i pełzliśmy naprzód w stronę Kurtza. Ale pnie tkwiły w rzece gęsto, woda była zdradliwa i płytka, kocioł zdawał się doprawdy kryć nadąsanego diabła i dlatego ani palacz, ani ja nie mieliśmy czasu zaglądać do naszych trwożnych myśli.

W odległości pięćdziesięciu mil mniej więcej od stacji Kurtza dotarliśmy do trzcinowej szopy, na której tkwiła melancholijnie pochyła tyka z powiewającym łachmanem, szczątkiem jakiejś flagi niemożliwej do rozpoznania; obok szopy leżał porządnie ułożony stos drzewa opałowego. To było nieoczekiwane; wysiedliśmy na brzeg i znaleźliśmy na stosie płaski kawał deski, a na niej jakiś wyblakły napis ołówkiem. Odcyfrowaliśmy go; napis brzmiał: „Drzewo dla was. Spieszcie się. Podjeżdżajcie ostrożnie.” Był tam podpis, ale nieczytelny — nie Kurtz — jakiś znacznie dłuższy wyraz. „Spieszcie się.” Dokąd? W górę rzeki? „Zbliżajcie się ostrożnie.” Nie zbliżyliśmy się ostrożnie. Ale ostrzeżenie nie mogło dotyczyć miejsca, które mieliśmy znaleźć dopiero po wylądowaniu. Widać tam, w górze rzeki,

było coś nie w porządku. Ale co — i jak dalece? O to właśnie chodziło. Wypowiadaliśmy różne sprzeczne uwagi o tym głupim telegraficznym stylu. Gąszcz dokoła nas nic nie mówił ani nie pozwalał się szerzej rozejrzeć. Podarta firanka z czerwonego płótna w desenie wisiała w odrzwiach szopy i trzepotała się markotnie koło naszych twarzy. Mieszkanie było ogołocone ze sprzętów, ale snadź[92] jakiś biały mieszkał tam niezbyt dawno. Pozostał prymitywny stół — deska na dwóch pniakach; kupa śmieci leżała w ciemnym kącie, a koło drzwi podniosłem z ziemi książkę. Nie miała okładki, kartki jej od częstego użytku stały się niezmiernie brudne i miękkie; ale grzbiet zeszyto troskliwie na nowo białą bawełną, która wyglądała jeszcze czysto. Znalezienie tej książki było czymś nadzwyczajnym. Tytuł jej brzmiał: *Badania dotyczące pewnych zagadnień marynarskich* przez jakiegoś Towera, Towsona czy coś w tym rodzaju, kapitana marynarki jego królewskiej mości. Wyglądało to na dość nudną lekturę, ilustrowaną wykresami i odstręczającymi tablicami — a ów egzemplarz pochodził sprzed sześćdziesięciu lat. Oglądałem zdumiewający antyk z jak największą delikatnością, aby mi się nie rozleciał w rękach. Towson czy Towser rozpisywał się z powagą o nadmiernym przeciążeniu okrętowych łańcuchów i takielunku[93] tudzież innych tym podobnych materiałach[94]. Niezbyt porywająca książka; ale na pierwszy rzut oka dostrzegało się w niej szczery zamiar, uczciwą troskę o właściwe ujęcie tematu — i to sprawiało, że nie tylko światło wiedzy biło ze skromnych kartek, które powstały przed tylu laty. Dzięki

prostemu staremu marynarzowi i jego opowiadaniu o łańcuchach i dźwigach zapomniałem o dżungli i pielgrzymach w rozkosznym poczuciu, że zetknąłem się z czymś bezsprzecznie realnym. Już znalezienie tam takiej książki było zadziwiające, ale bardziej jeszcze zdumiały mnie notatki skreślone ołówkiem na marginesach, odnoszące się wyraźnie do tekstu. Nie chciałem wierzyć własnym oczom! Były pisane szyfrem! Tak, to wyglądało na szyfr. Wyobraźcie sobie człowieka, który taszczy za sobą w bezludzie książkę tego rodzaju i studiuje ją — i robi notatki — szyfrem w dodatku! Była to cudaczna tajemnica. Już od pewnego czasu dochodził mętnie do mojej świadomości jakiś dokuczliwy hałas; podniósłszy oczy zauważyłem, że stos drzewa znikł, a dyrektor wraz ze wszystkimi pielgrzymami woła na mnie z brzegu. Wsunąłem książkę do kieszeni. Wierzajcie mi, odrywając się od tego czytania miałem wrażenie, że rzucam przystań starej i wypróbowanej przyjaźni.

Wprawiłem w ruch kulawą maszynę.

— Chyba to ten nędzny kupczyk — ten intruz — zawołał dyrektor, oglądając się nieprzyjaźnie na opuszczony przez nas brzeg.

— To pewnie Anglik — odpowiedziałem.

— Nie uratuje go to od kabały[95], jeśli się nie będzie pilnował — mruknął posępnie dyrektor.

Zauważyłem z udaną naiwnością, że nikt nie jest wolny od trosk na tym świecie.

Prąd stał się bardziej wartki, parowiec zdawał się dyszeć ostatkiem sił, napędowe koło opadało leniwie i uprzytomniłem sobie, że czekam z zapartym oddechem na następny ruch statku, gdyż Bogiem a prawdą spodziewałem się, iż nędzny gruchot utknie lada chwila. Było to jakby śledzenie ostatnich przebłysków życia. Ale pełzliśmy nadal. Czasami upatrywałem jakie drzewo przed nami, aby wymiarkować[96], o ile zbliżyliśmy się do Kurtza, ale stale je gubiłem, nim zdążyliśmy się z nim zrównać. Trzymać oczy tak długo na jednym przedmiocie — to było za wiele jak na ludzką cierpliwość. Dyrektor okazywał wspaniałą rezygnację. Ja się złościłem i wściekałem, i wreszcie zacząłem rozważać, czy mam pomówić otwarcie z Kurtzem; ale nim doszedłem do jakiejś konkluzji, przyszło mi na myśl, że i moje gadanie, i milczenie, i w ogóle jakikolwiek mój postępek nie będzie miał żadnego znaczenia. I cóż stąd, że się o czymś wie lub nie wie? Cóż stąd, kto jest dyrektorem? Czasem się miewa taki błysk intuicji. Istota tej sprawy leżała głęboko pod powierzchnią, poza moim zasięgiem; nie mogłem wpłynąć na jej przebieg.

Następnego dnia pod wieczór obliczyliśmy, że się znajdujemy w odległości jakich ośmiu mil od stacji Kurtza. Chciałem jechać dalej, ale dyrektor powiedział mi z poważną miną, że droga tam, w górę, jest tak niebezpieczna, iż byłoby wskazane czekać na miejscu do rana, tym bardziej że słońce stoi już bardzo nisko. Przy tym, jeśli mamy korzystać z przestrogi i zbliżyć się ostrożnie do stacji, musimy to uczynić za dnia, a nie o zmierzchu lub

w ciemności. To było wcale[97] rozsądne. Osiem mil oznaczało dla nas prawie trzy godziny jazdy, a w górze na rzece można było dostrzec podejrzane zmarszczki. Mimo to czułem się nad wyraz rozdrażniony tą zwłoką, i to najnierozsądniej w świecie, gdyż po tylu miesiącach jedna noc więcej nie mogła już wiele zaważyć. Ponieważ mieliśmy drzewa pod dostatkiem, a ostrożność była naszym hasłem, zapuściłem kotwicę w środku rzeki. Koryto było wąskie, strome, z wysokimi brzegami, jak przekop kolejowy. Zmierzch wśliznął się doń na długo przed zachodem słońca. Prąd biegł gładko i szybko, ale na obu brzegach panował niemy bezruch. Mogło się zdawać, że żywe drzewa powiązane pnączami i każdy żywy krzew w podszyciu obróciły się w kamień aż do najwątlejszej gałązki, do najlżejszego listka. To nie robiło wrażenia snu — wszystko wyglądało nienaturalnie, jak pogrążone w jakimś transie. Nie słyszało się najlżejszego szmeru. Człowiek patrzył, zdumiony, i zaczynał podejrzewać, że jest głuchy — a potem przychodziła nagle noc i jeszcze oślepiała w dodatku. Około trzeciej nad ranem wyskoczyła na powierzchnię jakaś wielka ryba; wzdrygnąłem się na ten głośny plusk, jakby strzelono z armaty. Gdy słońce wzeszło, pojawiła się biała mgła, bardzo ciepła i lepka, a oślepiająca bardziej niż noc. Nie poruszała się ani nie sunęła; tkwiła po prostu na miejscu, otaczając nas niby coś masywnego. Około ósmej, a może i dziewiątej, podniosła się jak okiennica. Ujrzeliśmy na chwilę spiętrzoną masę drzew, olbrzymią pogmatwaną dżunglę i wiszącą nad nią małą kulę słońca — wszystko

stężało w bezruchu — po czym biała okiennica zsunęła się gładko na powrót jak na naoliwionych kółkach. Kazałem zluzować znów kotwiczny łańcuch, któryśmy zaczęli już zwijać. Sunął jeszcze z głuchym chrobotem, gdy krzyk, bardzo głośny krzyk — jakby z niezmiernej rozpaczy — wzniósł się powoli w matowe powietrze. Ustał. Żałosna wrzawa, przechodząca w dzikie dysonanse, napełniła z kolei nasze uszy. Było to tak nieoczekiwane, że włosy mi drgnęły pod czapką. Nie wiem, jakie to zrobiło wrażenie na innych; mnie się wydało, że to mgła sama krzyknęła tak nagle i, rzekłbyś, ze wszystkich stron na raz podniósł się ten burzliwy, żałobny zgiełk. Zakończył się gwałtownym wybuchem wrzasku prawie nie do zniesienia, który się raptem urwał, zostawiając nas skamieniałych w przeróżnych głupich pozach; wsłuchiwaliśmy się uparcie w ciszę niemal równie wielką i przerażającą.

— Wielki Boże! Co znaczy ten… — wyjąkał pod moim bokiem jeden z pielgrzymów, mały tłusty człowieczek o ryżawych włosach i rudych bokobrodach; miał wciągane buty na gumach i różową pidżamę, a spodnie wetknięte w skarpetki. Dwaj jego towarzysze trwali przez całą minutę z rozdziawionymi gębami, po czym rzucili się do małej kajuty, wypadli z niej natychmiast i stanęli rozglądając się z przerażeniem i trzymając winczestery[98] w pogotowiu. Mogliśmy dojrzeć jedynie nasz parowiec — o konturach tak zamazanych, jakby się miał za chwilę rozpłynąć — i mglisty pas wody szerokości około dwóch stóp naokoło statku — to było wszystko. Reszta świata nie istniała, jeśli mieliśmy

wierzyć oczom i uszom. Po prostu nie istniała. Znikła, przepadła; została zmieciona, nie zostawiając za sobą szmeru ni cienia.

Poszedłem na bok i kazałem wciągnąć łańcuch, aby być gotowym do podniesienia kotwicy i ruszenia z miejsca natychmiast, gdy zajdzie potrzeba.

— Czy nas napadną? — szepnął jakiś głos przejęty grozą.

— Wyrżną tu nas wszystkich w tej mgle — mruknął ktoś inny.

Twarze drgały z natężenia, ręce trzęsły się z lekka, oczy zapominały mrugać. Bardzo był ciekawy kontrast wyrazu twarzy u białych i u Murzynów z naszej załogi, równie obcych jak my w tej części rzeki, choć ich wsie leżały tylko o osiemset mil dalej. Biali, oczywiście bardzo zaniepokojeni, wyglądali przy tym dość szczególnie, jakby wielce ich gorszył ten przeraźliwy wrzask. Tamci zaś mieli wyraz czujny i zaciekawiony, ale twarze ich były zasadniczo spokojne, nawet u jednego czy dwóch, którzy się krzywili, wciągając łańcuch. Kilku zamieniło krótkie, mrukliwe zdania, zdające się rozstrzygać kwestię ku zupełnemu ich zadowoleniu. Prowodyr, młody Murzyn o szerokich piersiach, odziany z surową prostotą w granatowy, fałdzisty strój z frędzlami, stał koło mnie; nozdrza miał srogo rozdęte, a włosy pozwijane misternie w tłuste loczki.

— No? — odezwałem się, ot, tak sobie, po koleżeńsku.

— Złapać ich — wypalił Murzyn i wytrzeszczył nabiegłe krwią oczy błyskając ostrymi zębami — złapać ich. Dać ich nam.

— Jak to, wam? — spytałem — a co byście z nimi zrobili?

— Zjeść ich! — odrzekł zwięźle i oparłszy łokieć o poręcz patrzył we mgłę w pozie pełnej godności, ogarnięty głęboką zadumą. Byłoby mnie to bez wątpienia zgorszyło należycie, gdyby nie przyszło mi na myśl, że i on, i jego ludzie muszą być bardzo głodni; że głód ich zapewne wciąż wzrasta co najmniej już od miesiąca. Zaciągnięto ich na pół roku (nie zdaje mi się, aby którykolwiek z nich zdawał sobie dokładnie sprawę z czasu, nie tak jak my po upływie niezliczonych stuleci; należeli jeszcze do pradawnych wieków, nie odziedziczyli doświadczenia, które by mogło ich niejako pouczyć) — i oczywiście, póki istniał kawałek papieru zapisany zgodnie z jakimś śmiechu wartym prawem, takim czy innym, skleconym w dole rzeki, póty nie przyszło nikomu do głowy troszczyć się, co będą jedli. Wprawdzie zabrali z sobą trochę zepsutego mięsa z hipopotama, ale w żadnym razie nie starczyłoby to na długo, nawet gdyby pielgrzymi nie wyrzucili większej części owego mięsa za burtę wśród straszliwego rwetesu. Postępek ten wyglądał na samowolny, ale w gruncie rzeczy była to tylko godziwa samoobrona. Niepodobna wdychać woni zdechłego hipopotama czuwając, śpiąc i jedząc, a jednocześnie zachować normalny stosunek do życia. Poza tym wydzielano Murzynom co tydzień trzy kawałki miedzianego drutu, każdy długości około dziewięciu cali; w teorii mieli kupować żywność za tę obiegową monetę po wsiach nadbrzeżnych. Można sobie wyobrazić, jak ten system działał. Albośmy wcale wsi nie napotykali, albo

ludność była wroga, albo też dyrektor — który tak jak i my wszyscy żywił się konserwami urozmaiconymi od czasu do czasu jakim starym kozłem — nie chciał zatrzymywać parowca z mniej lub więcej ukrytych powodów. Dlatego też nie wyobrażam sobie, co naszym Murzynom mogło przyjść z ich dziwacznej pensji — chyba że połykali ów drut albo robili z niego haczyki do łapania ryb na wędkę. Muszę zaznaczyć, że wypłacano tę pensję z regularnością godną wielkiej i solidnej spółki handlowej. Poza tym jedyną rzeczą do jedzenia, jaką widziałem u tych Murzynów — choć nie wydawała się bynajmniej jadalna — było kilka kawałków jakby na wpół surowego ciasta brudnej zielonawej barwy; trzymali to zawinięte w liście i niekiedy połykali po kawałeczku, ale takim malutkim, że się miało wrażenie, jak gdyby to robili raczej dla pozoru, nie zaś, by się naprawdę pożywić. Dlaczego, w imię wszystkich szatanów żrącego głodu, nie rzucili się na nas — było ich trzydziestu na pięciu — aby raz się napchać porządnie, to mnie zdumiewa, gdy teraz o tym myślę. Byli to wielcy, tędzy mężczyźni, nie bardzo zdolni do rozważenia następstw takiego postępku, a przy tym odważni i silni — jeszcze silni, choć skóra ich już nie lśniła, a muskuły zwiotczały. I pojąłem, że wchodzi tu w grę jakiś hamulec, jedna z tych ludzkich tajemnic niemożliwych do przeniknięcia. Patrzyłem na nich ze wzrastającym szybko zajęciem, nie wywołanym bynajmniej myślą, że może zjedzą mnie wkrótce — choć przyznam się wam, iż właśnie wtedy spostrzegłem — niejako w nowym oświetleniu — jak niezdrowo wyglądają pielgrzymi,

i miałem nadzieję, tak! doprawdy miałem nadzieję, że mój wygląd nie jest taki — jakby to powiedzieć? — taki — nieapetyczny; ten rys fantastycznej próżności harmonizował z poczuciem snu na jawie, przenikającym wówczas wszystkie moje dni. Możliwe, że miałem trochę gorączki. Nie można żyć ciągle z ręką na pulsie. Miewałem często „trochę gorączki”, a może i co innego — może to były żartobliwe uderzenia łap dziczy, wstępne igraszki przed groźniejszym napadem, który nastąpił we właściwym czasie. Tak; patrzyłem na tych Murzynów, jak się patrzy na każde ludzkie stworzenie, chcąc poznać jego popędy, motywy, uzdolnienia, słabe strony, poddane próbie nieubłaganej fizycznej konieczności. Hamulec! Jakiż hamulec mógł tam działać? Czy to był przesąd, wstręt, lęk, cierpliwość — czy też coś w rodzaju pierwotnego honoru? Żaden lęk nie ostoi się przed głodem, żadna cierpliwość go nie wytrzyma, wstręt wobec głodu po prostu nie istnieje, a co do przesądów, wierzeń i tak zwanych zasad, znaczą mniej niż plewy na wietrze. Czy znacie piekło przeciągłego głodu, jątrzące jego męczarnie, czarne myśli, ponure okrucieństwo? Otóż ja znam. Zwalczanie uczucia głodu pochłania wszystkie wrodzone siły człowieka. Łatwiej znieść utratę kogoś bliskiego, utratę honoru, potępienia niż tego rodzaju przeciągły głód. Smutne, lecz prawdziwe. A przy tym te chłopy nie miały żadnych absolutnie przyczyn do odczuwania skrupułów. Powściągliwość! Mógłbym się równie dobrze spodziewać powściągliwości od hieny żerującej wśród trupów na pobojowisku. Ale oto był przede

mną ów fakt — jaskrawy, oczywisty jak piana na głębiach morza — tajemnica większa, gdy się nad nią zastanawiałem, niż dziwny, niepojęty ton rozpaczliwego żalu dźwięczący w tej dzikiej wrzawie, którą minęliśmy na brzegu, za ślepą bielą mgły.

Dwaj pielgrzymi sprzeczali się gorączkowym szeptem, na którym brzegu rozległ się krzyk.

— Na lewym.

— Ależ nie, co pan znów! Na prawym, naturalnie, że na prawym.

— Sytuacja jest bardzo poważna — rzekł za mną głos dyrektora. — Byłbym niepocieszony, gdyby coś miało się stać Kurtzowi, nim dojedziemy.

Spojrzałem na dyrektora i nie miałem najlżejszej wątpliwości, że mówi szczerze. Należał właśnie do tej kategorii ludzi, którym chodzi o zachowanie pozorów. To był jego hamulec. Ale gdy mruknął coś o tym, że trzeba jechać natychmiast, nie zadałem sobie nawet trudu, aby mu odpowiedzieć. Wiedział, tak jak i ja, że to niemożliwe. Gdybyśmy podnieśli kotwicę, znaleźlibyśmy się dosłownie w powietrzu — w przestrzeni. Nie można by wówczas powiedzieć, dokąd jedziemy — w górę, w dół rzeki czy w poprzek, póki byśmy znów nie dosięgli jednego lub drugiego brzegu — a i wtedy byśmy nie wiedzieli z początku, który to brzeg. Oczywiście nie ruszyłem się z miejsca. Nie miałem ochoty roztrzaskać statku. Niepodobna było sobie wyobrazić bardziej niebezpiecznego miejsca w razie rozbicia. Nawet gdybyśmy nie zatonęli od

razu, moglibyśmy być pewni, że zginiemy wnet w taki lub inny sposób.

— Upoważniam pana do podjęcia wszelkiego ryzyka — rzekł dyrektor po krótkim milczeniu.

— A ja nie podejmę żadnego — odrzekłem krótko, co było właśnie odpowiedzią, której oczekiwał, choć mój ton może go zaskoczył.

— Trudno, muszę się zdać na pański sąd. Pan jest kapitanem — rzekł z wyraźną uprzejmością.

Odwróciłem się do niego tyłem na znak szacunku i patrzyłem na mgłę. Jak długo będzie trwała? Był to widok wprost beznadziejny. Drogę do tego Kurtza — który rył się w ziemi, w pogoni za kością słoniową, wśród tego przeklętego gąszczu — osaczały takie niebezpieczeństwa, jakby był zaczarowaną księżniczką śpiącą w zamku z bajki.

— Czy napadną nas, jak pan myśli? — spytał poufnie dyrektor.

Nie sądziłem, aby nas zaatakowali, dla różnych oczywistych powodów. Jednym z nich była gęsta mgła. Gdyby chcieli odbić od brzegu w czółnach, zagubiliby się we mgle, co by i nas spotkało, gdybyśmy usiłowali ruszyć z miejsca. Ale zdawało mi się także, iż dżungla na obu wybrzeżach jest absolutnie nie do przebycia — tymczasem tkwiły w niej oczy, oczy, które nas dostrzegły. Nadrzeczne zarośla były na pewno bardzo zwarte, jednak przez gąszcz za nimi można się było przedrzeć. Lecz nie dostrzegłem wcale czółen na rzece w czasie krótkotrwałego podniesienia się mgły — a w każdym razie nie widziałem

ich obok parowca. Głównym jednak powodem, dla którego atak wydawał mi się niemożliwy, był rodzaj tej wrzawy — tych słyszanych przez nas krzyków. Nie miały charakteru srogiego, zwiastującego bezpośredni wrogi zamiar. Ów zgiełk, choć nieoczekiwany, dziki i gwałtowny, zostawił mi nieodparte wrażenie smutku. Widok parowca przejął z jakiejś przyczyny tych dzikich nieopanowanym bólem. Wykładałem dyrektorowi, że jeśli nam grozi niebezpieczeństwo, to tylko dlatego, że się ocieramy o jakąś wielką, rozpętaną ludzką namiętność. Niezmierna boleść może znaleźć w końcu ujście w gwałcie, ale zwykle przechodzi w apatię...

Trzeba wam było widzieć, jak pielgrzymi wytrzeszczali na mnie oczy! Zbyt byli przygnębieni, aby się skrzywić lub mnie zwymyślać, ale myśleli pewno, żem oszalał — prawdopodobnie ze strachu. Wygłosiłem prawdziwy odczyt. Ale nie warto było się fatygować. A jeśli chodzi o czuwanie nad statkiem, no — chyba sobie wyobrażacie, że czyhałem na podniesienie się mgły jak kot śledzący mysz; cóż, kiedy oczy nie na wiele się mogły przydać, ponieważ byliśmy jak gdyby zagrzebani głęboko w stosie waty. I czuło się tę mgłę jak watę — duszną, ciepłą, dławiącą. Zresztą opinia, którą wypowiedziałem o tych wypadkach — choć na pozór dziwaczna — zgadzała się zupełnie z rzeczywistością. To, o czym mówiliśmy później jako o ataku, było w istocie próbą odparcia nas. Akcja dzikich nie okazała się bynajmniej agresywna ani nawet obronna — w zwykłym

tego słowa znaczeniu; została podjęta pod wpływem rozpaczy, a w gruncie rzeczy była na wskroś opiekuńcza.

Rozpoczęła się, powiedzmy, w dwie godziny po podniesieniu się mgły, w miejscu oddalonym mniej więcej o półtorej mili od stacji Kurtza. Wlekliśmy się właśnie po wodzie, usiłując okrążyć zakręt, gdy zobaczyłem wysepkę, taki zwykły, pokryty trawą, jasnozielony kopiec na środku rzeki. Poza tym nic na rzece nie było, ale gdyśmy posunęli się dalej, spostrzegłem, że to początek długiej, piaszczystej mielizny, a raczej łańcucha płytkich rew[99], ciągnących się przez środek koryta. Zanurzone w wodzie, bezbarwne, leżały tuż pod powierzchnią, zupełnie jak kręgosłup człowieka biegnący środkiem pleców pod skórą. Otóż, o ile się dało wymiarkować, mogłem wyminąć tę mieliznę na prawo albo na lewo. Nie znałem, oczywiście, żadnego z obu przesmyków. Brzegi wyglądały mniej więcej jednakowo, głębokość wody również, ale ponieważ uprzedzono mnie, że stacja leży na wybrzeżu zachodnim, skierowałem się naturalnie ku zachodniej cieśnince.

Zaledwieśmy wjechali w nią głębiej, zdałem sobie sprawę, że jest znacznie ciaśniejsza, niż przypuszczałem. Na lewo od nas ciągnęła się długa, nieprzerwana mielizna, a na prawo wysoki, stromy brzeg zarośnięty gęsto krzewami. Nad gąszczem tkwiły drzewa w zwartych rzędach. Gałęzie zwisały gęsto z brzegu, a gdzieniegdzie sterczał sztywno nad rzeką jakiś wielki konar. Nadchodził wieczór, oblicze lasu było posępne; szeroki pas cienia leżał już na wodzie. Posuwaliśmy się tym cieniem w górę rzeki —

bardzo powoli, jak sobie możecie wyobrazić. Zboczyłem mocno z drogi w stronę brzegu, ponieważ woda tam była najgłębsza, jak wskazywała tyka do sondowania.

Jeden z moich głodnych i powściągliwych towarzyszy sondował, stojąc na baku[100] tuż pode mną. Nasz parowiec był zupełnie podobny do wielkiej łodzi z pokładem. Na pokładzie stały dwa małe domki z tekowego drzewa[101], zaopatrzone w drzwi i okna. Kocioł znajdował się z przodu, a maszyny na rufie. Nad tym wszystkim tkwił lekki dach wsparty na słupkach. Przez ten dach przechodził komin, a przed kominem mała kajuta zbudowana z lekkich desek służyła za domek pilota. Był tam tapczan, dwa składane krzesełka, nabity Martini-Henry stojący w kącie, mały stoliczek i koło sterowe. Z przodu domku były duże drzwi, a w bocznych ścianach okiennice. Wszystko to, oczywiście, stało otworem. Spędzałem tam dni, sterząc na przedniej krawędzi dachu nad drzwiami. W nocy spałem albo starałem się spać na tapczanie. Sterował atletyczny Murzyn należący do jakiegoś plemienia z wybrzeża, wyszkolony przez mego biednego poprzednika. Był zawinięty od pasa do stóp w granatowe płótno, pysznił się mosiężnymi kółkami, które miał w uszach, i wyobrażał sobie, że jest Bóg wie czym. Nigdy nie zdarzyło mi się spotkać równie niepoczytalnego durnia. Póki się przy nim stało, sterował z zawadiacką miną, ale z chwilą, gdy się go traciło z oczu, poddawał się natychmiast panicznemu strachowi i w przeciągu minuty parowiec-kaleka brał górę nad sternikiem.

Spoglądałem w dół na tykę do sondowania i mocno się niepokoiłem widząc, że za każdym razem coraz bardziej wystaje nad wodą — gdy nagle spostrzegłem, iż sondujący Murzyn zaprzestaje pracy i rozpłaszcza się na pokładzie nie wciągnąwszy nawet swej tyki. Nie puścił jej jednak i wlokła się po wodzie. W tej samej chwili palacz, którego również pod sobą widziałem, siadł raptem przed paleniskiem i schylił głowę. Zdumiało mnie to. Trzeba było natychmiast spojrzeć na rzekę, ponieważ pień sterczał na naszej drodze. Kijki, drobne kijki zaczęły latać naokoło — aż gęsto było od nich w powietrzu; świstały mi przed nosem, padały niżej, uderzały za mną o domek pilota. A przez cały ten czas rzeka, wybrzeże, las, wszystko było bardzo spokojne — absolutnie spokojne. Słyszałem tylko ciężki chlupot napędowego koła i bębnienie tych kijków. Wyminęliśmy niezgrabnie pień. Jak to, przecież to strzały! Strzelają do nas! Wszedłem prędko do domku, aby zamknąć okiennice od strony lądu. Ten bałwan, sternik, trzymając ręce na szprychach, podnosił wysoko kolana, tupał i mlaskał jak koń ściągnięty cuglami. Żeby go licho! A tymczasem kołysaliśmy się o dziesięć stóp od wybrzeża. Musiałem się zupełnie wychylić, aby pociągnąć ciężką okiennicę, i ujrzałem na jednym poziomie z sobą twarz wśród liści, patrzącą na mnie bardzo groźnie i spokojnie; nagle, jakby błona opadła mi z oczu, rozróżniłem w głębi skłębionego, mrocznego gąszczu nagie piersi, ręce, nogi, gorejące oczy — zarośla zaroiły się od ludzkich członków w ruchu, połyskujących, brązowych. Gałęzie trzęsły się, chwiały,

szeleściły, strzały sypały się spośród nich i okiennica zamknęła się wreszcie.

— Steruj na wprost — powiedziałem do sternika. Trzymał sztywno głowę zwróconą twarzą ku przodowi, ale przewracał oczami, nogi jego wciąż się z wolna podnosiły i opuszczały, na ustach pokazało się trochę piany.

— Stać spokojnie! — rzekłem z wściekłością.

Tak samo byłbym mógł wydać rozkaz drzewu, aby się nie kołysało na wietrze. Wypadłem z kajuty. Pode mną rozległo się gwałtowne szuranie nogami na żelaznym pokładzie i niewyraźne okrzyki; jakiś głos zawołał:

— Czy pan może zawrócić?

Dostrzegłem przed statkiem na wodzie zmarszczkę w kształcie litery V. Jak to? Znowu pień! Pod moimi nogami wybuchła strzelanina. Pielgrzymi zaczęli walić ze swych winczesterów, tryskając po prostu w gąszcz ołowiem. Piekielna masa dymu podniosła się i sunęła z wolna ku przodowi. Zakląłem. Nie mogłem teraz dojrzeć ani zmarszczki na wodzie, ani pnia. Stałem na progu domku, wpatrując się w wodę, a strzały nadlatywały rojami. Może były zatrute, ale zdawało się, że nie mogłyby zabić nawet i kota. Gąszcz zaczął wyć. Nasi drwale podnieśli wojowniczy wrzask; tuż za mymi plecami rozległ się wystrzał i ogłuszył mnie. Spojrzałem w tył; domek pilota był jeszcze pełen hałasu i dymu, gdy przypadłem do koła. Ten czarny dureń rzucił wszystko, aby otworzyć okiennicę i strzelić ze stojącego w kącie Martini-Henry. Tkwił przed szerokim otworem i wybałuszył oczy, a ja naprostowywałem

nagły skręt statku krzycząc, żeby wrócił do steru. Nie starczyło miejsca na zawrócenie z drogi, nawet gdybym tego chciał; pień sterczał gdzieś bardzo blisko w tym przeklętym dymie, nie było czasu do stracenia, więc skierowałem statek ku brzegowi — wprost ku brzegowi, gdzie, jak wiedziałem, woda była głęboka.

Przedzieraliśmy się z wolna przez zwisające zarośla, wśród wiru połamanych gałęzi i lecących liści. Strzelanina w dole ustała; przewidziałem, że tak będzie, kiedy się lufy opróżnią. Odrzuciłem głowę w tył przed błyszczącym świstem, co przeleciał przez domek wpadłszy przez jeden otwór okienny i wypadłszy przez drugi. Patrząc mimo[102] oszalałego sternika, który potrząsał pustą strzelbą i wrzeszczał w stronę brzegu, dostrzegłem niewyraźne ludzkie postacie; biegły zgięte we dwoje, skakały, sunęły jedna za drugą, widzialne tylko częściowo i znikające niebawem. Coś wielkiego zjawiło się w powietrzu przed okiennicą; strzelba poleciała za burtę, sternik odstąpił szybko w tył, rzucił mi przez ramię nadzwyczajne, głębokie, poufne spojrzenie i padł na moje nogi. Uderzył bokiem głowy dwa razy o koło, a koniec czegoś, co się okazało długim kijem, zaklekotał po ścianach i przewrócił składane krzesełko. Sprawiało to takie wrażenie, jakby Murzyn wyrwał ten kij komuś stojącemu na brzegu i stracił równowagę w tym wysiłku. Rzadki dym rozwiał się, pień został już wyminięty; patrząc naprzód, widziałem, iż o jakie sto jardów[103] dalej będę mógł wykręcić od brzegu, ale było mi tak dziwnie jakoś ciepło i mokro w nogi, że musiałem

spojrzeć na podłogę. Murzyn zwalił się na plecy i patrzył w górę wprost na mnie, ściskając oburącz ów kij. Była to rękojeść włóczni — rzuconej czy pchniętej przez otwór — która ugodziła go w bok tuż pod żebrami; ostrze schowało się w ciele, zadawszy okropną ranę; pełno krwi miałem w trzewikach, a całe jej jeziorko stało bardzo spokojnie, połyskując ciemną czerwienią pod kołem steru; oczy rannego świeciły dziwnym blaskiem. Strzelanina wybuchła znów. Murzyn spojrzał na mnie niespokojnie, trzymając włócznię niby coś cennego, jakby się obawiał, że spróbuję mu ją odebrać. Musiałem się zdobyć na oderwanie wzroku od jego spojrzenia i zajęcie się sterem. Wymacałem nad głową linkę od gwizdawki parowej i zacząłem ją szarpać, śląc spiesznie świst za świstem. Zgiełk gniewnych i wojowniczych wrzasków ustał natychmiast, a z głębi lasu podniósł się drżący i przeciągły lament, pełen tak żałosnego strachu i ostatecznej rozpaczy, jakby wszelka nadzieja uleciała z tej ziemi. W gąszczu wszczęło się gwałtowne zamieszanie; deszcz strzał ucichł, kilka wystrzałów rozległo się głośno raz po raz — po czym nastała cisza, w której ociężały rytm koła napędowego dochodził wyraźnie mych uszu. Położyłem ster prawo na burtę w chwili, gdy pielgrzym w różowej pidżamie, bardzo zgrzany i wzburzony, ukazał się we drzwiach.

— Dyrektor mnie wysłał — zaczął urzędowym tonem i urwał. — Wielki Boże! — rzekł, wlepiając oczy w rannego.

Staliśmy nad nim, dwaj biali, a świecący i badawczy jego wzrok ogarniał nas obu. Wyglądało to zaiste, jakby chciał

natychmiast zadać jakieś pytanie w zrozumiałym dla nas języku; lecz umarł nie wydawszy żadnego dźwięku, nie poruszywszy członkami, nie drgnął mu nawet żaden muskuł. Tylko w ostatniej chwili, jakby w odpowiedzi na jakiś znak, którego nie mogliśmy widzieć, na jakiś szept, którego nie mogliśmy słyszeć, zmarszczył posępnie brwi, a to nadało jego czarnej, śmiertelnej masce niewypowiedzianie ponury, chmurny i groźny wyraz. Połysk badawczego spojrzenia rozpłynął się szybko w martwej szklistości.

— Potrafi pan sterować? — spytałem porywczo agenta.

Miał minę bardzo niepewną, ale gdy go chwyciłem za ramię, zrozumiał od razu, że żądam, aby sterował, czy ma ochotę, czy też nie. Jeśli mam wyznać prawdę, wprost chorobliwie chciało mi się zmienić trzewiki i skarpetki.

— Umarł — mruknął tamten, bardzo przejęty.

— Nie ma co do tego wątpliwości — odrzekłem, szarpiąc sznurowadła jak szalony. — I przypuszczam, że Kurtz także już nie żyje.

Ta myśl górowała we mnie na razie. Tkwiło w niej niezmierne rozczarowanie, jakbym się przekonał, że dążę do czegoś nieuchwytnego. Nie poczułbym się bardziej zniechęcony, gdybym przebył całą tę drogę, mając wyłącznie na celu rozmowę z Kurtzem. Rozmowę z... Cisnąłem trzewik za burtę i zdałem sobie nagle sprawę, że tego właśnie wyczekiwałem — rozmowy z Kurtzem. Odkryłem dziwną rzecz: nie wyobrażałem go sobie nigdy jako działającego, uważacie, tylko jako rozprawiającego.

Nie powiedziałem sobie: „Teraz go już nigdy nie zobaczę”, albo: „Teraz już nigdy nie uścisnę mu ręki”, ale: „Teraz go już nigdy nie usłyszę”. Ten człowiek przedstawiał mi się jako głos. Naturalnie, że kojarzył mi się w myśli i z pewnego rodzaju działaniem. Czyż mi nie powtarzano na wszelkie możliwe tony zazdrości i podziwu, że ten człowiek zebrał, wymienił na inne towary, wykpił czy ukradł więcej kości słoniowej niż wszyscy agenci razem? Ale nie o to mi chodziło. Chodziło mi o to, że był to człowiek utalentowany i że ze wszystkich jego talentów tym, który najbardziej rzucał się w oczy, który dawał wrażenie żywej osobowości, była jego zdolność do mówienia, jego słowo — dar wypowiadania się, zdumiewający, rozświetlający, najwznioślejszy i najbardziej godny pogardy, strumień rozedrganego światła lub zwodniczy potok wypływający z głębi nieprzeniknionej ciemności.

Drugi trzewik poleciał na ofiarę szatańskiemu bogu tej rzeki. Pomyślałem sobie: zaiste, wszystko już teraz skończone. Spóźniliśmy się; Kurtz znikł, a dar jego przepadł — za sprawą jakiejś włóczni, strzały lub maczugi. I nigdy go już nie usłyszę. Mój smutek miał w sobie dziwne, przesadne wzruszenie; właśnie takie samo jak to, które zauważyłem w wyjącym smutku dzikich w dżungli. Nie mógłbym odczuwać bardziej rozpaczliwej samotności, gdyby mi wydarto jakąś wiarę albo gdybym się minął ze swoim przeznaczeniem... Kto to tam wzdycha w taki nieznośny sposób? Idiotyzm? Więc tak, to był idiotyzm. Miłosierny

Boże! czy człowiek ma zawsze... No, ale dajcież mi trochę tytoniu.

Nastała chwila głębokiej ciszy, potem błysnęła zapałka i szczupła twarz Marlowa wystąpiła z mroku zniszczona, zapadnięta, z fałdami zbiegającymi ku dołowi, ze spuszczonymi powiekami, jakby uważna i skupiona; a gdy raz po raz zaciągał się dymem z fajki, twarz jego zdawała się cofać w noc i znów występować, w miarę jak drobny płomyk pełgał w regularnych odstępach. Zapałka zgasła.

— Idiotyzm! — zawołał. — To najprzykrzejsze, że nie możecie mnie zrozumieć... Oto jesteście tu wszyscy, każdy z was zaopatrzony w dwa dobre adresy jak hulk[104] tkwiący na dwóch kotwicach; każdy ma rzeźnika za jednym rogiem, policjanta za drugim, doskonały apetyt i normalną temperaturę — słyszycie? — normalną przez okrągły rok. I mówicie: idiotyzm. Do diabła z idiotyzmem! Idiotyzm! Moi drodzy, czego się można spodziewać po człowieku, który jedynie ze zdenerwowania chwilę przedtem wyrzucił za burtę parę nowych trzewików! Gdy teraz o tym wspominam, zdumiewam się, że nie zacząłem płakać. Jestem na ogół dumny ze swojej siły charakteru. Czułem się dotknięty do żywego myślą, że przepadł dla mnie bezcenny przywilej przysłuchiwania się utalentowanemu Kurtzowi. Nie miałem oczywiście racji. Ten przywilej czekał na mnie. O tak, nasłuchałem się Kurtza aż do przesytu. I okazało się, że moje pojęcie o nim było słuszne. Głos. Kurtz był już prawie tylko głosem. I słuchałem go — tego głosu — innych głosów — wszyscy byli prawie że tylko głosami — i nawet

wspomnienia o tamtych czasach błąkają się koło mnie — nieuchwytne — jak zamierająca wibracja jakiejś nieskończonej paplaniny, głupiej, okrutnej, plugawej, dzikiej lub po prostu pospolitej, pozbawionej wszelkiego sensu. Głosy, głosy — nawet i ta dziewczyna… Otóż —

Milczał długi czas.

— Odżegnałem się w końcu kłamstwem od wizji jego talentów — zaczął nagle. — Dziewczyna! Co? Wspomniałem o dziewczynie? Och, ona jest poza tym — najzupełniej! One — mam na myśli kobiety — są poza tym — i tak być powinno. Musimy im pomagać, aby mogły pozostać w tym swoim pięknym świecie, bo inaczej nasz świat stałby się jeszcze gorszy. Och, ona musiała być poza tym wszystkim. Trzeba wam było słyszeć, jak wyciągnięte z grobu ciało Kurtza mówiło: „moja narzeczona”. Bylibyście zrozumieli natychmiast, jak dalece ona była poza tym. A to wyniosłe czoło Kurtza! Mówią, że włosy rosną i potem, ale ten — hm — okaz był wybitnie łysy. Dzicz poklepała go po głowie i oto głowa ta stała się podobna do kuli, do kuli z kości słoniowej; dzicz popieściła go — i oto zwiądł; zagarnęła go, pokochała, otoczyła ramionami, przeniknęła mu do żył, pożarła ciało i przykuła jego duszę do swojej przez niepojęty rytuał jakiegoś szatańskiego wtajemniczenia. Stał się jej rozpieszczonym i zepsutym ulubieńcem. Kość słoniowa? Oczywiście! Całe kupy, całe sterty kości słoniowej. Stara szopa z mułu była nią przepełniona. Mogło się zdawać, że ani jeden kieł nie pozostał na ziemi czy pod ziemią w całym kraju. „Przeważnie kopalna” — zauważył

pogardliwie dyrektor. Była równie kopalna, jak i ja jestem kopalny; tak nazywają kość słoniową wydobytą z ziemi. Okazuje się, że Murzyni niekiedy zakopują kły, ale najwidoczniej nie umieli zakopać tej partii tak głęboko, aby uchronić utalentowanego Kurtza przed jego przeznaczeniem. Zapełniliśmy kłami parowiec i jeszcze musieliśmy ułożyć cały ich stos na pokładzie. Toteż Kurtz mógł patrzeć na nie i cieszyć się nimi, póki żył jeszcze, gdyż doceniał ten dar losu aż do końca. Trzeba go było słyszeć, jak mówił: „moja kość słoniowa”. O tak, słyszałem go. „Moja narzeczona, moja kość słoniowa, moja stacja, moja rzeka, moje…”, wszystko należało do niego. Powstrzymywałem oddech, spodziewając się, że puszcza wybuchnie szalonym śmiechem, od którego gwiazdy zadrżą w posadach. Wszystko należało do niego — ale to drobnostka. Trzeba było przede wszystkim ustalić, do kogo on należał, ile ciemnych potęg uważało go za swoją własność. Skóra cierpła na człowieku, kiedy się o tym myślało. Nie można sobie było tego wystawić[105] — i nawet było lepiej nie zastanawiać się nad tym. Kurtz zajął wysokie miejsce wśród szatanów tego kraju — mówię to dosłownie.

Nie możecie tego zrozumieć! I cóż dziwnego? Macie pod nogami solidny bruk, otaczają was życzliwi sąsiedzi, którzy gotowi są dodać wam ducha albo rzucić się na was, kroczycie sobie ostrożnie między rzeźnikiem a policjantem, przejęci zbawiennym strachem przed skandalem i szubienicą, i zakładem dla obłąkanych — więc jakżebyście mogli sobie wyobrazić owe szczególne krainy pradawnych

wieków, dokąd nieskrępowane kroki mogą człowieka zaprowadzić przez samotność — zupełną samotność, bez policjanta — przez milczenie — zupełne milczenie, w którym się nie rozlegnie żaden głos dobrotliwego sąsiada, szepcącego o opinii publicznej. Te wszystkie drobne rzeczy składają się na wielką różnicę. Kiedy ich zbraknie, musi się człowiek oprzeć na własnej, wrodzonej sile, na swojej własnej prawości. Można być oczywiście zbyt wielkim głupcem, aby zejść z prostej drogi, zbyt tępym, by nawet wiedzieć, że się jest napastowanym przez mroczne potęgi. Twierdzę, iż żaden głupiec nie sprzedał nigdy diabłu swej duszy; może głupiec jest na to za głupi, a może diabeł zbyt diabelski — nie umiem tego powiedzieć. Zdarzają się też czasem tak wściekle podniosłe istoty, że są najzupełniej głuche i ślepe na wszystko prócz niebiańskich widzeń i dźwięków. Dla nich ziemia jest tylko miejscem postoju — a czy taka natura jest dla człowieka stratą, czy zyskiem, nie podejmę się rozstrzygnąć. Ale większość z nas nie należy ani do jednego, ani do drugiego z tych typów. Ziemia jest dla nas miejscem, gdzie żyjemy, gdzie musimy znosić różne widoki, dźwięki, a także i zapachy, dalibóg! oddychać wonią zdechłego hipopotama, że się tak wyrażę, a jednak się nie zatruć. Właśnie tutaj — rozumiecie mnie? — wchodzi w grę siła człowieka — wiara w swoją umiejętność dyskretnego kopania dołów, w których się zagrzebuje różne odpadki — zdolność do oddania się nie własnemu celowi, ale jakiejś sprawie bynajmniej nie rozgłośnej, przygniatającej swoim ciężarem. A to jest dosyć trudne.

Zrozumcie, że nie staram się nikogo usprawiedliwiać ani nawet tłumaczyć — staram się tylko zdać sobie sprawę z... z... Kurtza — z cienia Kurtza. Ten wtajemniczony duch, który przyszedł z głębi nicości, zaszczycił mnie zdumiewającą ufnością przed swym ostatecznym zniknięciem. A to z tego powodu, że mógł mówić ze mną po angielsku. Dawny, realny Kurtz kształcił się częściowo w Anglii i — jak sam łaskawie oświadczył — sympatie jego leżały po właściwej stronie. Matka jego była na wpół Angielką, ojciec — na wpół Francuzem. Cała Europa złożyła się na Kurtza; i dowiedziałem się z czasem, że Międzynarodowe Towarzystwo Tępienia Dzikich Obyczajów powierzyło mu opracowanie referatu jako wytycznej dla tegoż towarzystwa. A Kurtz ten referat napisał. Widziałem go. Czytałem. Był wymowny, tętniący wymową, lecz nastrojony na zbyt wysoką nutę, jak mi się zdaje. Kurtz znalazł czas, by zapełnić gęstym pismem całych siedemnaście stron! Ale to było zapewne wtedy, nim jego — powiedzmy — nerwy się rozkleiły, i to sprawiło, że przewodniczył o północy pewnym tańcom, kończącym się obrzędami, o których mówić nie sposób i które — o ile mogłem wywnioskować z odrazą z tego, co słyszałem — odbywały się na jego cześć — rozumiecie? — na cześć Kurtza we własnej osobie. Ale raport był świetną próbką prozy. Tylko że pierwszy jego paragraf[106] wydaje mi się teraz złowróżbny w świetle późniejszych informacji. Zaczynał się od dowodzenia, że my, biali, na osiągniętym przez nas szczeblu rozwoju musimy z natury rzeczy

wydawać się im (dzikim) istotami nadnaturalnymi — „zbliżamy się do nich z potęgą, jak gdyby bóstwa” — i tak dalej, i tak dalej. „Przez prosty wysiłek woli możemy rozwinąć dodatnią działalność o potędze iście nieograniczonej”, itd. itd. Od tego punktu wznosił się coraz wyżej i uniósł mnie z sobą. Perora była wspaniała, choć, wiecie, trudna do zapamiętania. Wywołała we mnie obraz jakiegoś egzotycznego Bezmiaru rządzonego przez wzniosłą Dobrotliwość. Porwał mnie zapał. Był to skutek bezgranicznej potęgi wymowy — słów — płomiennych, szlachetnych słów. Żadne praktyczne wskazówki nie przerywały magicznego toku zdań, chyba że uznamy za rozwinięcie metody coś w rodzaju notatki przy końcu ostatniej strony, notatki nagryzmolonej niepewną ręką snadź[107] znacznie później. Była bardzo prosta, i u końca tego wzruszającego wezwania do wszelkich altruistycznych uczuć gorzała, jaśniejąca i przeraźliwa jak błyskawica wśród pogodnego nieba: „Wytępić wszystkie te bestie!”

Co ciekawe, Kurtz zapomniał widać zupełnie o swym cennym postscriptum, gdyż później, kiedy w pewnej mierze przyszedł do siebie, błagał mnie raz po raz, abym przechował starannie jego „broszurkę” (jak mówił); nie wątpił widać, że ów referat wywrze w przyszłości dodatni wpływ na jego karierę. Byłem dokładnie poinformowany o wszystkich tych sprawach, a przy tym tak się złożyło, że musiałem się zaopiekować dobrą sławą Kurtza po jego śmierci. Zrobiłem tyle dla jego opinii, że uzyskałem niezaprzeczone prawo złożenia jej — gdybym miał wolny

wybór — na wieczny spoczynek między odpadkami postępu, wśród wszelkiego śmiecia i, mówiąc w przenośni, wszelkiej padliny cywilizacji. Tylko że, widzicie, nie mam wolnego wyboru. Kurtz nie pozwala o sobie zapomnieć. Mimo wszystko nie był to człowiek pospolity. Miał władzę pociągania za sobą pierwotnych dusz — przez swój czar czy też grozę — w straszliwy, szatański taniec na własną cześć; potrafił napełniać gorzkimi obawami małe duszyczki pielgrzymów; miał co najmniej jednego oddanego przyjaciela i zdobył na tym świecie duszę, która nie była ani pierwotna, ani zatruta sobkostwem. Nie; nie mogę o nim zapomnieć, chociaż nie twierdziłbym, że wart był istotnie ludzkiego życia, któreśmy stracili, docierając do stacji. Brakowało mi strasznie zabitego sternika — odczułem dotkliwie jego brak już wówczas, gdy leżał martwy w domku pilota. Może uznacie za bardzo dziwaczny ten żal za dzikusem, który nie znaczył więcej od ziarnka piasku w czarnej Saharze. Czyż nie rozumiecie, że ten Murzyn coś robił, że sterował; przez całe miesiące tkwił za moimi plecami — jako pomoc, jako narzędzie. To było coś w rodzaju spółki. Sterował na mój rozkaz — musiałem go pilnować, irytowały mnie jego wady i w taki sposób powstały między nami subtelne więzy, z których zdałem sobie sprawę dopiero po ich zerwaniu. A poufna głębokość wzroku, którym ogarnął mnie w chwili, gdy został raniony, pozostała mi po dziś dzień w pamięci — niby apel odległego pokrewieństwa, stwierdzonego w ostatniej chwili.

Biedny głuptas! Czemuż nie zostawił w spokoju tej okiennicy. Ale nie miał hamulca, nie miał żadnego hamulca — zupełnie jak Kurtz — drzewo miotane wichrem. Natychmiast po włożeniu suchych pantofli wyciągnąłem go na pokład, wyrwawszy mu przedtem włócznię z boku, a muszę wyznać, że wykonałem tę operację z zaciśniętymi powiekami. Pięty jego przeskoczyły razem przez niski próg; przycisnąłem jego grzbiet do swych piersi; objąłem go od tyłu rozpaczliwym chwytem. Ach, jakiż on był ciężki, jaki ciężki, cięższy od wszystkich innych ludzi — tak mi się przynajmniej zdawało. Potem bez dalszych ceregieli wyrzuciłem go za burtę. Prąd porwał ciało jak źdźbło trawy, i widziałem jeszcze, jak się obróciło dwa razy, nim na zawsze straciłem je z oczu. Wszyscy pielgrzymi i dyrektor byli wówczas zebrani na osłoniętym pomoście wkoło domku pilota, papląc między sobą jak stado podnieconych srok; mój pośpiech świadczący o braku serca wywołał pomruk zgorszenia. Dlaczego ci ludzie chcieli, aby trup się poniewierał po statku, nie umiem tego odgadnąć. Może zamierzali go zabalsamować. Ale usłyszałem też inny pomruk z dolnego pokładu — pomruk bardzo złowieszczy. Moi przyjaciele drwale byli również zgorszeni, ale mieli po temu daleko istotniejsze powody — choć przyznaję, że te powody same przez się były zupełnie niedopuszczalne. Ale to zupełnie! Otóż postanowiłem, że jeśli już mój zmarły sternik ma być zjedzony, to tylko przez ryby. Za życia był sternikiem bardzo drugorzędnym, ale po śmierci mógł się stać pierwszorzędną pokusą i nawet wywołać jakieś groźne

kłopoty. Poza tym spieszno mi było wrócić do steru, gdyż człowiek w różowej pidżamie okazał się beznadziejnym durniem przy tej robocie.

Zrobiłem to natychmiast, skończywszy z prostym pogrzebem. Płynęliśmy połową szybkości, trzymając się samego środka rzeki; przysłuchiwałem się rozmowom toczącym się naokoło. Wszyscy postawili już krzyż nad Kurtzem i stacją; Kurtz nie żyje, stacja spalona i tak dalej, i tak dalej. Rudy pielgrzym nie posiadał się z radości na myśl, że ten biedny Kurtz został przynajmniej należycie pomszczony.

— Powiedzcie tylko! Sprawiliśmy im porządną rzeź w tej dżungli — może nie? No? Co o tym myślicie? Prawda?

Ten krwiożerczy, mały, bojaźliwy łajdak tańczył po prostu z uciechy. A przedtem o mało co nie zemdlał na widok rannego człowieka. Nie mogłem się powstrzymać i rzekłem:

— W każdym razie narobiliście, panowie, mnóstwo dymu.

Widziałem po wierzchołkach zarośli, które wstrząsnęły się i opadły, że prawie wszystkie strzały poszły za wysoko. Nie można trafić, jeśli się nie celuje i nie strzela od ramienia, tymczasem ci faceci strzelali oparłszy kolbę o biodro i zamknąwszy oczy. Twierdziłem więc — i miałem rację — że odwrót dzikich był wywołany przez świst gwizdawki parowej. Usłyszawszy to, pielgrzymi zapomnieli o Kurtzu i zaczęli na mnie ryczeć, zaprzeczając z oburzeniem.

Dyrektor stał obok koła i szeptał do mnie poufnie, że w każdym razie trzeba koniecznie ujechać dobry kawał

w dół rzeki, zanim się ściemni, gdy wtem spostrzegłem w oddali polankę na wybrzeżu i zarysy jakiegoś budynku.

— Co to takiego? — spytałem.

Klasnął w ręce ze zdziwienia.

— Stacja! — wykrzyknął. Skręciłem od razu ku brzegowi, jadąc wciąż połową szybkości.

Zobaczyłem przez szkła stok pagórka i z rzadka po nim rozsiane drzewa bez żadnego podszycia. Długa, chyląca się do upadku budowla na szczycie wzgórza nurzała się do połowy w wysokiej trawie; wielkie dziury na stromym dachu ziały czernią z oddali; tło stanowiły lasy i dżungla. Nie dostrzegłem ogrodzenia ani żadnego płotu; ale, widać, poprzednio stało tam coś w tym rodzaju, bo blisko domu tkwiło rzędem pół tuzina wysmukłych, z gruba ciosanych pali, o końcach ozdobionych okrągłymi, rzeźbionymi kulami. Znikła spomiędzy tych słupów bariera czy cokolwiek tam było innego. Las otaczał naturalnie to wszystko. Brzeg był pusty, a tuż nad wodą zobaczyłem białego pod kapeluszem wielkości koła od wozu; człowiek ów kiwał na nas wytrwale ręką. Przypatrując się skrajowi lasu w górze i w dole, byłem prawie pewien, że widzę tam jakich ruch — ludzkie kształty przesuwające się gdzieniegdzie. Przejechałem przezornie obok stacji, po czym zatrzymałem maszyny i pozwoliłem statkowi dryfować w dół. Człowiek na brzegu zaczął wołać nastając, abyśmy wylądowali.

— Napadli nas! — krzyknął dyrektor.

— Wiem, wiem. To dobrze — odkrzyknął tamten wesoło jakby nigdy nic. — Chodźcie tu. Wszystko w porządku. Bardzo się cieszę.

Wygląd jego przypominał mi coś znanego — śmiesznego — co już kiedyś widziałem. Manewrowałem, aby przybić do brzegu, pytając sam siebie: „Do czego ten człowiek jest podobny?” Nagle błysnęło mi w głowie: wyglądał jak arlekin[108]. Miał na sobie ubranie z jakiegoś materiału, prawdopodobnie z brązowego płótna, które całe było pokryte łatami, jasnymi łatami, niebieskimi, czerwonymi i żółtymi — łaty na plecach, łaty na przodzie; łaty na łokciach, na kolanach; barwna lamówka u kurtki, szkarłatna naszywka u końca spodni; w blasku słońca wyglądał w tym niezmiernie wesoło, a przy tym dziwnie schludnie, gdyż było widać, jak pięknie te wszystkie łaty są zrobione. Chłopięca twarz bez zarostu o bardzo jasnej cerze, rysy bynajmniej nie wybitne, łuszczący się nos, małe niebieskie oczka; a na tej szczerej fizjonomii[109] śmiech i posępność goniące się wciąż nawzajem jak blaski i cienie po równinie zamiatanej przez wicher.

— Niech pan uważa, panie kapitanie! — krzyknął — tu tkwi pień od wczorajszego wieczoru.

Co takiego? Jeszcze jeden pień? Wyznaję, że zakląłem haniebnie. O mały włos nie wybiłem dziury w moim kalece na zakończenie tej uroczej podróży. Arlekin na wybrzeżu podniósł ku mnie swój mały, mopsi nosek.

— Pan jest Anglikiem? — zapytał, cały w uśmiechach.

— A pan? — zawołałem od koła.

Uśmiech znikł z jego twarzy; zaprzeczył głową, jakby się martwił moim rozczarowaniem. Potem się wnet rozweselił.

— To nic! — krzyknął zachęcająco.

— Czyśmy jeszcze zdążyli? — zapytałem.

— On jest tam na górze — odparł, kiwnąwszy głową w stronę pagórka i nagle sposępniał. Twarz jego była podobna do jesiennego nieba, chmurna i rozjaśniona na przemian.

Gdy dyrektor z eskortą pielgrzymów uzbrojonych od stóp do głów udał się do stacyjnego budynku, facet ów przyszedł na pokład. Rzekłem do niego:

— Wie pan, to mi się nie podoba. Dzicy siedzą tam w gąszczu. — Zapewnił mnie poważnie, że wszystko jest dobrze.

— To prości ludzie — dodał. — No, cieszę się, żeście przyjechali. Przez cały ten czas byłem zajęty tylko tym, aby ich utrzymać z daleka.

— Ależ pan powiedział, że wszystko jest dobrze! — zawołałem.

— Ach, oni nie mieli żadnych złych zamiarów — rzekł i poprawił się widząc, że się w niego wpatruję: — W gruncie rzeczy nie mieli złych zamiarów. — Potem oświadczył żywo: — Słowo daję, wasz domek pilota potrzebuje na gwałt wyczyszczenia. — W następnej sekundzie poradził mi, aby zostawić dość pary w kotle dla uruchomienia gwizdawki w razie jakiej biedy. — Jeden porządny gwizd więcej wam pomoże niż wszystkie wasze strzelby. To prości ludzie — powtórzył. Mełł wciąż językiem w takim tempie, że zupełnie

mnie oszołomił. Zdawało się, że chce sobie powetować[110] długie okresy milczenia, i rzeczywiście przyznał się do tego ze śmiechem.

— A z Kurtzem pan nie rozmawia? — rzekłem.

— Z tym człowiekiem się nie rozmawia, jego się słucha! — wykrzyknął z surową egzaltacją. — Tylko że teraz... Machnął ręką i w mig pogrążył się w bezdennym przygnębieniu. Po upływie sekundy otrząsnął się z niego w podskoku, porwał mnie za obie ręce i potrząsał nimi czas dłuższy, bąkając: — Kolega marynarz... honor... przyjemność... rozkosz... przedstawić się... Rosjanin... syn archijereja[111]... gubernia tambowska... Co? Tytoń! Angielski tytoń; świetny tytoń angielski! Doprawdy, to po bratersku. Czy palę? Gdzieżby marynarz nie palił!

Fajka wpłynęła na niego kojąco; stopniowo dowiedziałem się, że uciekł ze szkół i dostał się na morze na rosyjskim statku; potem uciekł znów i służył czas pewien na statkach angielskich; był już teraz w zgodzie z archijerejem. Kładł na to nacisk.

— Ale kiedy się jest młodym, trzeba zobaczyć różne rzeczy, zdobyć doświadczenie, zapoznać się z różnymi pojęciami, rozszerzyć swój widnokrąg.

— Tutaj? — przerwałem.

— Tego nigdy nie można przewidzieć! Tutaj spotkałem Kurtza — rzekł w młodzieńczym porywie tonem uroczystym i pełnym wyrzutu. Odtąd trzymałem już język za zębami. Okazało się, że namówił zarząd jakiegoś holenderskiego domu handlowego z wybrzeża, aby go zaopatrzono

w zapasy i towary, po czym wyruszył z lekkim sercem w głąb kraju, mając wprost dziecinne wyobrażenie o tym, co go czeka. Wędrował w pobliżu tej rzeki już prawie dwa lata, samotny, odcięty od wszystkich i od wszystkiego.

— Nie jestem taki młody, na jakiego wyglądam. Mam już dwadzieścia pięć lat — rzekł. — Stary Van Shuyten posyłał mnie z początku do wszystkich diabłów — rozpowiadał z wielkim ożywieniem — ale uczepiłem się go i póty gadałem i gadałem, aż wreszcie zaczął się bać, że wygadam mu dziurę w brzuchu, no i dał mi trochę tanich towarów oraz parę strzelb oświadczając, iż ma nadzieję nigdy już mojej twarzy nie ujrzeć. To zacny stary Holender, ten Van Shuyten. Posłałem mu przed rokiem małą partię kości słoniowej, więc nie będzie mógł nazwać mnie złodziejem, gdy wrócę. Mam nadzieję, że ją otrzymał. O resztę nie dbam. Urąbałem dla was trochę drzewa. Tam był mój dawny dom. Czy pan go widział?

Dałem mu książkę Towsona. Zrobił ruch, jakby mnie chciał pocałować, ale się powstrzymał.

— Jedyna książka, która mi pozostała; myślałem, że ją zgubiłem — rzekł, patrząc na nią z ekstazą. — Tyle różnych wypadków zdarza się człowiekowi włóczącemu się samotnie, pan to rozumie. Czasem wywróci się łódka, a czasem znów trzeba się piorunem wynosić, kiedy się ludzie rozgniewają.

Przewracał kartkę za kartką.

— Pan robił notatki po rosyjsku? — spytałem. Skinął głową. — A mnie się zdawało, że to szyfr — rzekłem.

Roześmiał się, potem znów spoważniał.

— Z wielką trudnością utrzymałem tych ludzi z daleka — powiedział.

— Czy chcieli pana zabić? — spytałem.

— Ach nie! — krzyknął i urwał.

— Dlaczego nas napadli? — ciągnąłem. Zawahał się i rzekł wstydliwie:

— Nie chcą, aby odjechał.

— Doprawdy? — rzekłem z zaciekawieniem. Kiwnął głową tajemniczo, z mądrą miną.

— Mówię panu — zawołał — że ten człowiek wzbogacił mi duszę!

Otworzył szeroko ramiona, wpatrując się we mnie małymi, niebieskimi oczkami, które były zupełnie okrągłe.

III

Patrzyłem na niego, pogrążony w zdziwieniu. Oto stał przede mną pełen zapału, odziany w tę pstrokaciznę, jakby zbiegł z trupy aktorów — postać z bajki. Samo jego istnienie było nieprawdopodobne, niewytłumaczone i wręcz oszałamiające. Stanowił nierozwiązalną zagadkę. Niepojęte było, jak mógł w ogóle istnieć, jak mu się udało dotrzeć tak daleko, jak zdołał przetrwać — dlaczego nie zginął natychmiast.

— Szedłem sobie trochę dalej — mówił — a potem jeszcze trochę dalej — aż wreszcie zaszedłem tak daleko, że nie wiem, jakim sposobem będę mógł kiedyś wrócić. Ale to nic. Czasu mam dosyć. Jakoś to będzie. Zabierajcie Kurtza prędko, prędko — już ja wam to mówię.

Czar młodości opromieniał jego różnokolorowe łachmany, jego nędzę, jego samotność i pustkę jego bezcelowych wędrówek. Przez miesiące, przez całe lata życie tego człowieka nie było warte i szeląga; a oto stał przede mną, pełen nieświadomej żywotności, odwagi, i — rzekłbyś — niezniszczalny, jedynie przez swą młodość i odruchowe męstwo. Ogarnęło mnie coś jak podziw, jak zazdrość. Złudny czar gnał go naprzód — złudny czar go ochraniał. Ów młodzik nie żądał z pewnością od dziczy nic prócz przestrzeni, aby móc oddychać i posuwać się naprzód. Potrzebą jego było istnieć i dążyć przed siebie z możliwie

największym ryzykiem, wśród jak najcięższego niedostatku. Tym młodzieńcem pokrytym łatami władał absolutnie czysty, bezinteresowny i najmniej praktyczny z awanturniczych duchów, jakie kiedykolwiek rządziły ludzką istotą. Zazdrościłem mu prawie tego skromnego i jasnego płomienia. Zdawało się, że ów płomień pochłonął w nim tak doszczętnie każdą myśl samolubną, iż nawet gdy słuchałem o jego przygodach, zapominałem, że to właśnie on — ten człowiek stojący przede mną — przeszedł wszystkie te rzeczy. Nie zazdrościłem mu jednak uwielbienia dla Kurtza. Wcale się nad nim nie zastanawiał. Przyszło do niego i przyjął je z pewnego rodzaju żarliwym fatalizmem. Muszę powiedzieć, że to uczucie wydało mi się ze wszech miar największym chyba niebezpieczeństwem, jakie napotkał dotychczas.

Spotkanie tych ludzi było nieuniknione jak zetknięcie się dwóch okrętów ogarniętych ciszą, burta w burtę, i ocierających się w końcu o siebie. Kurtz potrzebował, widać, słuchacza, bo wiem, że przy pewnej okazji rozmawiali przez całą noc, rozłożywszy się obozem w lesie; a właściwie pewnie sam Kurtz tylko mówił.

— Rozmawialiśmy o wszystkim — rzekł jego wielbiciel, porwany tym wspomnieniem. — Zapomniałem, że sen w ogóle istnieje. Miałem wrażenie, że ta noc nie trwała i godziny. O wszystkim! O wszystkim!... A także i o miłości.

— Ach, więc mówił z panem o miłości! — rzekłem, mocno tym ubawiony.

— Nie tak, jak pan myśli! — wykrzyknął prawie namiętnie. — Mówił o miłości w ogóle. Odsłonił przede mną takie rzeczy — takie rzeczy...

Podniósł gwałtownie ramiona. Byliśmy wówczas na pokładzie i starszy wśród moich drwali, który się wałęsał w pobliżu, zwrócił na niego ociężałe, błyszczące oczy. Rozejrzałem się i nie wiem dlaczego, ale doprawdy nigdy, nigdy jeszcze ten kraj, ta rzeka, ta dżungla, nawet sklepienie tego jaśniejącego nieba nie wydały mi się tak beznadziejne i tak ponure, tak nieprzeniknione dla ludzkiej myśli, tak bezlitosne dla ludzkiej słabości.

— I odtąd, naturalnie, był pan z nim ciągle razem — rzekłem.

Okazało się, że nie. Stosunki ich ulegały częstym przerwom z wielu powodów. Pielęgnował Kurtza, jak mi oświadczył z dumą, podczas dwóch chorób (wspominał o tym niby o ryzykownym jakimś czynie), ale zazwyczaj Kurtz wędrował sam, daleko w głąb lasów.

— Przychodziłem tu często na stację i nieraz musiałem czekać wiele dni, zanim się zjawił — opowiadał. — Ach, warto było czekać! — niekiedy.

— A co Kurtz robił? Badał okolice czy co? — zapytałem.

— O tak, naturalnie — Kurtz odkrył bardzo wiele wsi, a także jezioro — wielbiciel jego nie wiedział dokładnie, w jakim kierunku — niebezpiecznie było zanadto się dopytywać — ale w tych wyprawach chodziło mu przeważnie o kość słoniową.

— Przecież nie miał już wówczas towarów do handlu — wtrąciłem.

— Spora ilość naboi została po dziś dzień jeszcze — odpowiedział, nie patrząc mi w oczy.

— Mówiąc bez ogródek, kupił po prostu kraj — rzekłem. Tamten skinął głową. — Z pewnością nie sam jeden! — Mruknął coś w odpowiedzi o wsiach wokół tego jeziora. — Kurtz namówił tamte plemiona, aby szły za nim, prawda? — poddałem[112]. Poruszył się niespokojnie.

— Oni go ubóstwiali — rzekł.

Ton jego słów był taki nadzwyczajny, że popatrzyłem na niego badawczo. Zaciekawiło mnie, z jaką skwapliwością, a zarazem rezerwą mówił o Kurtzu. Ten człowiek wypełniał jego życie, zaprzątał jego myśli, rządził jego wzruszeniami.

— Czemu pan się tak dziwi? — wybuchnął. — Przybył do nich z gromem i błyskawicą, rozumie pan — nigdy w życiu czegoś podobnego nie widzieli — i wzbudził w nich okrutny strach. On potrafi być bardzo straszny. Nie można go sądzić jak zwykłego człowieka. Nigdy w życiu. Otóż... niech tam, powiem to, żeby panu dać o nim wyobrażenie: raz to i mnie chciał zastrzelić — ale ja go sądzić nie będę.

— Zastrzelić pana! — wykrzyknąłem. — I za co?

— Miałem tam trochę kości słoniowej, którą mi dał naczelnik tej wsi koło mego domku. Widzi pan, strzelałem dla nich zwierzynę. No więc Kurtzowi zachciało się tej kości słoniowej i nie dał sobie przemówić do rozsądku. Oświadczył, że mnie zastrzeli, jeśli mu tych kłów nie dam i nie wyniosę się potem z kraju; że mnie zastrzeli, bo może

to zrobić i ma na to ochotę, i nic go na świecie nie powstrzyma od zabicia, kogo mu się żywnie podoba. To była prawda. Dałem mu tę kość słoniową. Cóż mi tam na niej zależało! Ale się nie wyniosłem. O nie! Nie mogłem go opuścić. Musiałem naturalnie być ostrożny, pókiśmy się znowu na pewien czas nie zaprzyjaźnili. Chorował właśnie wtedy po raz drugi. Potem trzeba było znów schodzić mu z oczu, ale nic sobie z tego nie robiłem. Mieszkał w tych wsiach nad jeziorem. Kiedy przychodził nad rzekę, to czasem mnie lubił, a czasem lepiej się było pilnować. Ten człowiek za wiele cierpiał. Nienawidził tego wszystkiego i jakoś nie mógł tego porzucić. Kiedy mi się trafiała sposobność, prosiłem go, żeby rzucił to wszystko, póki jeszcze czas; proponowałem, że wrócę z nim razem. Mówił: dobrze, a potem zostawał; wyruszał znów na poszukiwanie kości słoniowej; znikał na całe tygodnie; zapamiętywał się wśród tych ludzi — zapamiętywał się — rozumie pan.

— Przecież to wariat — rzekłem.

Zaprzeczył mi z oburzeniem. Gdzieżby Kurtz mógł być wariatem. Gdybym go słyszał mówiącego jeszcze przed dwoma dniami, nie śmiałbym napomykać o czymś podobnym... Wziąłem znów do ręki lunetę, podczas gdy tamten mówił, i patrzyłem na brzeg, wodząc szkłami po skraju lasu z obu stron domu i za nim. Niepokoiła mnie świadomość, że tam są ludzie w tym gąszczu, tacy cisi, tacy spokojni — równie spokojni i cisi jak walący się dom u szczytu wzgórza. Na obliczu natury nie było żadnego śladu tej zdumiewającej historii, której Rosjanin właściwie

mi nie opowiadał, napomykał mi tylko o niej wśród oderwanych okrzyków i wzruszania ramionami, wśród ułamków zdań i aluzji przechodzących w głębokie westchnienia. Las był nieporuszony jak maska — głuchy jak zamknięte więzienne drzwi — i patrzył na mnie z wyrazem tajonej wiedzy, niedostępnego milczenia, cierpliwego oczekiwania. Rosjanin wyjaśniał w dalszym ciągu, że Kurtz powrócił nad rzekę dopiero niedawno, prowadząc z sobą wszystkich wojowników tego ludu znad jeziora. Nie było go przez kilka miesięcy — pewno odgrywał rolę bóstwa — i zjawił się niespodzianie, zamierzając prawdopodobnie zrobić najazd na kraj za rzeką lub w dolnym jej biegu. Widać apetyt na kość słoniową zwyciężył w nim — jakże to nazwać? — mniej materialne dążenia. Lecz nagle bardzo mu się pogorszyło.

— Usłyszałem, że leży bez sił, więc wybrałem się tutaj, zaryzykowałem to — rzekł Rosjanin. — O, z nim jest źle, bardzo źle.

Skierowałem szkła ku domowi. Nie dostrzegłem tam żadnych oznak życia; zobaczyłem znowu walący się dach, długą ścianę z mułu wyglądającą znad trawy, z trzema małymi, kwadratowymi otworami okiennymi różnych rozmiarów; wszystko to znalazło się przede mną jak gdyby na odległość ramienia. Poruszyłem się nagle i jeden ze słupów, pozostałych po ogrodzeniu, które znikło, znalazł się w obrębie mych szkieł. Pamiętacie, mówiłem wam, że uderzyły mnie już z daleka pewne próby ornamentacji, dość szczególne wobec ruiny tego miejsca. Teraz zobaczyłem je

z bliska i pod pierwszym wrażeniem targnąłem głowę w tył jak przed ciosem. Potem przesuwałem szkła starannie od słupa do słupa i przekonałem się o swym błędzie. Owe okrągłe gałki to nie był ornament, lecz symbol; wyraziste i zagadkowe, uderzały i niepokoiły — jako pokarm dla myśli, a także dla sępów, gdyby się tam jakie znalazły i spojrzały spod nieba na ziemię; w każdym zaś razie był to pokarm dla mrówek, dość przemyślnych, by się wdrapać na słupy. Owe głowy na palach wywarłyby na mnie jeszcze większe wrażenie, gdyby ich nie obrócono twarzami ku szopie. Tylko jedna z nich, pierwsza, którą dostrzegłem, zwracała się w moją stronę. Nie zgorszyło mnie to tak dalece, jak byście mogli przypuszczać. Moje nagłe rzucenie się w tył było w gruncie rzeczy tylko odruchem zdziwienia. Widzicie, spodziewałem się, że znajdę kulę z drzewa. Wróciłem powoli do pierwszej głowy, którą dostrzegłem — i oto tkwiła tam, czarna, zeschła, zapadła, z zamkniętymi powiekami — zdająca się spać u szczytu tego pala, a ściągnięte jej, suche usta, ukazujące wąską i białą linię zębów, uśmiechały się, uśmiechały bez końca do jakiegoś nieustannego, żartobliwego snu wśród tej wieczystej drzemki.

Nie zdradzam żadnych handlowych sekretów. Faktem jest, że dyrektor mówił potem, iż metody Kurtza zrujnowały cały okręg. Nie mam w tej sprawie własnego zdania, ale chcę, abyście zrozumieli dokładnie: nic nikomu właściwie nie przyszło z tych głów tkwiących na palach. Świadczyły tylko o tym, że Kurtz nie miał żadnego hamulca

w nasycaniu różnych żądz, że czegoś w nim brakowało, jakiejś drobnej rzeczy, której nie można było odnaleźć pod jego wspaniałą wymową, gdy zaszła nagląca potrzeba. Czy wiedział sam o tym swoim braku, nie umiem powiedzieć. Myślę, że uświadomił go sobie w końcu — dopiero w samym końcu. Ale dzicz przejrzała Kurtza wcześnie i wywarła na nim straszliwą zemstę za nieprawdopodobne jego najście. Myślę, że szeptała mu rzeczy, których sam o sobie nie wiedział, rzeczy, o których nie miał pojęcia, póki mu ich nie podsunęła ta wielka samotność; a ów szept dziczy okazał się nieprzeparcie ponętny. Rozebrzmiał w Kurtzu głośnym echem, ponieważ wnętrze jego było puste... Opuściłem szkła i głowa, która wydawała mi się tak bliska, że można było do niej przemówić, odskoczyła zda się od razu na niedostępną odległość.

Wielbiciel Kurtza był nieco zbity z tropu. Zaczął mnie zapewniać prędko i niewyraźnie, że nie ośmielił się zdjąć tych — powiedzmy — symboli. Krajowców się nie obawia, oni nie ruszą się, póki Kurtz nie da hasła. Wpływ tego człowieka jest nadzwyczajny. Obozowiska dzikich są rozłożone wokoło, a wodzowie ich przychodzą dzień w dzień zobaczyć Kurtza. Czołgają się...

— Nie chcę nic wiedzieć o ceremoniach towarzyszących zbliżaniu się do Kurtza! — krzyknąłem. Ogarnęło mnie osobliwe uczucie, że takie szczegóły będą trudniejsze do zniesienia niż owe głowy suszące się na palach przed oknami. Ten widok był ostatecznie tylko dziki, podczas gdy tamto zdawało się mnie przenosić od razu w jakąś

bezświetlną krainę wyrafinowanych okrucieństw, gdzie czysta, nieskomplikowana dzikość przynosi istotną ulgę jako coś, co ma prawo istnieć — jawnie — w blasku słońca. Młody człowiek popatrzył na mnie ze zdumieniem. Przypuszczam, że nie przyszło mu na myśl, iż dla mnie Kurtz bóstwem nie jest. Zapomniał, że nie słyszałem żadnego z tych wspaniałych monologów — o czym to? o miłości, sprawiedliwości, linii wytycznej życia — czego tam nie było! Gdyby doszło do czołgania się przed Kurtzem, czołgałby się jak najdzikszy z tych wszystkich dzikusów. Oświadczył, że nie mam pojęcia o tamtejszych warunkach: te głowy są głowami buntowników. Roześmiałem się, gorsząc go niepomiernie. Buntownicy! Jakież określenie miałem jeszcze usłyszeć? Byli tam już wrogowie, zbrodniarze, robotnicy — a teraz znów buntownicy. Te buntownicze głowy wydały mi się bardzo uległe na palach.

— Pan nie wie, jak ciężko znieść tutejsze życie człowiekowi takiemu jak Kurtz — krzyknął ostatni jego zwolennik.

— No a pan? — zapytałem.

— Ja! Ja! Ja jestem prostym człowiekiem. Ja nie mam wielkich planów. Nic od nikogo nie potrzebuję. Jakże pan może mnie porównywać z...

Taki był przejęty, że nie mógł wyrazić słowami swych uczuć; nagle stracił panowanie nad sobą.

— Nie rozumiem — jęknął. — Zrobiłem, co mogłem, aby go utrzymać przy życiu, i na tym koniec. Nie mieszałem się do tego wszystkiego. Nie jestem wcale utalentowany. Już od

miesięcy nie ma tu ani kropli lekarstwa, ani odrobiny pożywienia odpowiedniego dla chorych. Opuszczono go haniebnie. Człowieka takiego jak on, człowieka o takich ideach. Haniebnie! Haniebnie! Ja... ja... nie spałem już dziesięć nocy...

Głos jego rozpłynął się w przedwieczornym spokoju. Długie cienie lasu zsunęły się ze wzgórza podczas naszej rozmowy daleko poza walącą się szopę, poza rząd symbolicznych pali. Zmierzch już ogarnął to wszystko, a my tam w dole znajdowaliśmy się jeszcze w blasku słońca; przestrzeń rzeki naprzeciw polanki gorzała[113] cichym, olśniewającym przepychem między obu mrocznymi, ocienionymi zakrętami w dole i w górze. Na brzegu nie było widać żywej duszy. Gąszcz nie szeleścił.

Nagle zza węgła domu ukazała się grupa ludzi jakby wyrosłych spod ziemi. Brodzili po pas w trawie zwartym oddziałem, dźwigając pośrodku zaimprowizowane nosze. Wśród pustki krajobrazu wzniósł się natychmiast przenikliwy krzyk i przebił spokojne powietrze jak ostra strzała mierząca wprost w serce kraju; a wówczas, jakby za sprawą czarów, strumienie ludzkich stworzeń — nagich ludzkich stworzeń — z włóczniami w rękach, z łukami, z tarczami, stworzeń o okrutnych spojrzeniach i dzikich ruchach, zaczęły spływać na polankę z mrocznego, zadumanego lasu. Gąszcz wstrząsał się, trawy się chwiały czas jakiś, a potem wszystko stanęło jak wryte w nieruchomej baczności.

— No, jeśli teraz nie powie im tego, co trzeba, to będzie po nas — rzekł Rosjanin u mego boku.

Grupa ludzi z noszami stanęła również jak skamieniała w pół drogi do parowca. Zobaczyłem ponad barkami tragarzy wychudłego człowieka na noszach, który usiadł i podniósł ramię.

— Miejmy nadzieję, że ten, który na ogół umie mówić tak dobrze o miłości, znajdzie teraz argument, by nas ocalić — rzekłem.

Rozgoryczało mnie idiotyczne niebezpieczeństwo naszego położenia, jak gdyby zależność od tego okrutnego widma była hańbiącą koniecznością. Nie mogłem pochwycić żadnego dźwięku, ale przez szkła widziałem chude ramię wyciągnięte władczo, widziałem, że dolna szczęka się rusza, a oczy połyskują mrocznie w głębi kościstej głowy kiwającej się w groteskowych podrzutach. Kurtz — Kurtz — to znaczy po niemiecku krótki, nieprawdaż? Otóż to nazwisko było równie prawdziwe jak wszystko inne w jego życiu i śmierci. Wydało mi się, że ten człowiek ma przynajmniej siedem stóp[114] długości. Nakrycie opadło z jego ciała, które się wynurzyło niby ze śmiertelnej koszuli, nędzne i przerażające. Spostrzegłem, że klatka piersiowa porusza się wraz z żebrami, że widmo kiwa kośćmi ramienia. Wyglądało to, jakby rzezany w starej kości słoniowej żywy wizerunek śmierci potrząsał groźnie ręką wobec tłumu nieruchomych ludzi z ciemnego, połyskliwego brązu. Widziałem, że otwierał szeroko usta — nadawało mu to wygląd niesamowicie żarłoczny, jakby

chciał połknąć całe powietrze i całą ziemię, i wszystkich ludzi przed sobą. Głęboki głos doszedł mnie słabo. Musiał widocznie krzyczeć. Wtem opadł na posłanie. Nosze wstrząsnęły się, gdy tragarze ruszyli znów naprzód, i prawie jednocześnie zauważyłem, że tłum dzikich znika bez żadnego dostrzegalnego ruchu, jak gdyby las, który raptem wyrzucił z siebie te stworzenia, wsysał je z powrotem, tak jak się wciąga powietrze w długim oddechu.

Niektórzy z pielgrzymów idących za noszami trzymali broń Kurtza — dwie krócice[115], ciężką strzelbę i lekki samoczynny karabin — gromy tego opłakanego Jupitera[116]. Dyrektor szedł tuż obok jego głowy i pochylił się nad nim szepcząc. Położyli go w jednej z małych kajut — było tam miejsce tylko na tapczan i parę składanych krzeseł, jak wiecie. Przywieźliśmy mu spóźnioną korespondencję; podarte koperty i otwarte listy pokrywały łóżko. Ręka jego błądziła powoli wśród tych papierów. Uderzyła mnie płomienność jego oczu przy spokojnym, znużonym wyrazie twarzy. Nie było to właściwie osłabienie chorobą. Zdawał się nie odczuwać żadnych cierpień. Odniosłem wrażenie, że cień ten nasycił się już i uspokoił, że wyczerpał do dna wszystkie wzruszenia.

Nagle zaszeleścił jednym z listów i spojrzał mi prosto w twarz, mówiąc:

— Bardzo mi przyjemnie.

Widać ktoś mu o mnie napisał. Znów te specjalne polecenia! Zdumiała mnie potęga głosu, którym władał bez

wysiłku, prawie nie zadając sobie trudu poruszania wargami. Co za głos! Uroczysty, głęboki, wibrujący — a zdawałoby się, że ten człowiek nie jest zdolny do szeptu. Miał w sobie jednak dość siły — z pewnością sztucznej — aby doprowadzić nas wszystkich prawie do zguby, jak zaraz usłyszycie.

Dyrektor ukazał się w drzwiach, milcząc; wyszedłem z kabiny natychmiast, a on zaciągnął za mną firankę. Rosjanin, na którego pielgrzymi zerkali z ciekawością, wpatrywał się w brzeg. Spojrzałem w kierunku jego wzroku.

W oddali można było rozróżnić ciemne ludzkie kształty migające niewyraźnie na tle mrocznego lasu, a blisko rzeki dwie brązowe, wojownicze postacie, wsparte na wysokich włóczniach, stały w blasku słońca spokojnie jak posągi; na głowach miały przybranie z fantastycznie upiętych, nakrapianych skór. A z prawej strony szła wzdłuż oświetlonego brzegu dzika i wspaniała postać kobieca.

Stąpała miarowym krokiem, owinięta w pasiastą szatę z frędzlami, depcząc dumnie ziemię wśród lekkiego brzęku i migotu barbarzyńskich ozdób. Trzymała głowę wysoko; włosy jej były upięte w kształt hełmu; na nogach miała mosiężne kółka aż do kolan, bransolety z mosiężnego drutu aż po łokcie, szkarłatną plamę na ciemnym policzku, nieprzeliczone naszyjniki ze szklanych paciorków u szyi; dziwaczne jakieś przedmioty, amulety, dary czarowników, które na niej wisiały, lśniły i drgały przy każdym kroku. Musiała mieć na sobie wartość kilku kłów. Była dzika

i przepyszna, płomiennooka i wspaniała; jej powolne posuwanie się naprzód miało w sobie coś złowieszczego. A wśród ciszy, która spadła nagle na całą tę smutną krainę, olbrzymi obszar puszczy, cały ogrom płodnego i tajemniczego życia zdawał się patrzeć w nią, zadumany, jakby patrzył na wizerunek swej własnej mrocznej i namiętnej duszy.

Znalazłszy się naprzeciwko parowca, kobieta zatrzymała się i zwróciła w naszą stronę. Długi jej cień sięgał wody. Jej twarz o tragicznym i dzikim wyglądzie wyrażała obłędny smutek i niemy ból, a zarazem niepokój jakiegoś nurtującego ją, na wpół dojrzałego postanowienia. Stała, patrząc na nas bez ruchu; zdawało się, że — jak sama puszcza — rozważa ponuro jakiś nieprzenikniony zamiar. Przeszła cała minuta; kobieta postąpiła krok naprzód. Rozległ się cichy brzęk, zabłysły żółte metale, powiały frędzle draperii — i zatrzymała się, jakby jej zabrakło odwagi. Młodzik obok mnie coś mruknął. Pielgrzymi szeptali za moimi plecami. Kobieta patrzyła na nas, jakby życie jej zależało od niezłomnej wytrwałości tego wzroku. Wtem otworzyła nagie ramiona i poderwała je sztywno w górę, jak owładnięta niepohamowanym pragnieniem, by dotknąć nieba — a w tejże chwili chybkie cienie wypadły na ziemię i ogarnęły rzekę, obejmując parowiec w mrocznym uścisku. Straszliwa cisza wisiała nad krajobrazem.

Kobieta odwróciła się z wolna, ruszyła wzdłuż brzegu i weszła w gąszcz na lewo. Raz tylko błysnęły ku nam jej oczy wśród mrocznych zarośli — i znikła.

— Gdyby chciała się dostać na statek, zdaje mi się doprawdy, że byłbym ją zastrzelił — powiedział nerwowo człowiek w łatach. — W ciągu ostatnich dwóch tygodni dzień w dzień narażałem życie, aby ją utrzymać poza obrębem domu. Wtargnęła raz i zrobiła awanturę o te nędzne gałgany, które pozbierałem w składzie, by sobie naprawić ubranie. Byłem już nieprzyzwoity. Przypuszczam, że jej chodziło o te skrawki, bo jak furia gadała do Kurtza przez jaką godzinę, wskazując na mnie od czasu do czasu. Nie znam narzecza tego ludu. Na szczęście dla mnie, zdaje się, że Kurtz był wówczas bardzo chory i wcale go to nie obeszło, inaczej zdarzyłoby się jakie nieszczęście. Nie rozumiem. Doprawdy — tego mi już było za wiele. No, teraz już to wszystko minęło.

W tej chwili usłyszałem głęboki głos Kurtza za firanką:

— Ocalić mnie! ocalić kość słoniową, chce pan powiedzieć. Niechże pan nie gada. *Mnie* ocalić! Jak to, przecież to ja was musiałem ratować! Psujecie mi teraz plany. Chory! Chory! Nie taki chory, jak byście pragnęli. Mniejsza z tym. Wykonam jeszcze swoje plany — powrócę. Pokażę wam, co można zrobić. Wy z tymi waszymi kramarskimi pojęciami przeszkadzacie mi tylko. Ja powrócę. Ja...

Dyrektor wyszedł z kajuty. Zaszczycił mnie ujęciem pod ramię i odprowadzeniem na bok.

— Bardzo, bardzo już źle z nim — powiedział. Tu uznał za stosowne westchnąć, ale nie utrzymał się konsekwentnie w smutnym nastroju. — Zrobiliśmy dla niego wszystko,

cośmy tylko mogli, nieprawdaż? Ale co tu ukrywać. Kurtz wyświadczył naszemu towarzystwu więcej złego niż dobrego. Nie zdawał sobie sprawy, że czasy nie dojrzały jeszcze do energicznej akcji. Ostrożność, ostrożność — oto moja zasada. Musimy być jeszcze ostrożni. Ten okręg jest na pewien czas dla nas zamknięty. Fatalne! Handel w ogóle na tym ucierpi. Nie przeczę, że znaleźliśmy tu znaczną ilość kości słoniowej, przeważnie kopalnej. Musimy ją w każdym razie ocalić, ale niech pan zważy, jak niepewna jest nasza pozycja — i dlaczego? Ponieważ metoda postępowania jest niezdrowa.

— Więc pan to nazywa „niezdrową metodą?" — zapytałem, patrząc na wybrzeże.

— Bez kwestii! — wykrzyknął gorąco. — A pan?

— To żadna metoda — mruknąłem po chwili.

— A właśnie, właśnie! — uradował się. — Przewidywałem to z góry. Ten człowiek wykazał zupełny brak wyrobienia. Obowiązkiem moim jest zaznaczyć to tam, gdzie trzeba.

— Ach — odpowiedziałem — tamten facet, jak to on się nazywa? ten ceglarz, wystosuje już dla pana raport jak się patrzy.

Wydał się zmieszany przez chwilę. Doznałem wrażenia, żem nigdy jeszcze nie oddychał atmosferą tak nikczemną, i w myśli zwróciłem się do Kurtza po ulgę, tak, dosłownie po ulgę.

— Mimo to wszystko uważam, że Kurtz jest wybitnym człowiekiem — rzekłem z naciskiem.

Drgnął, rzucił na mnie zimne, ciężkie spojrzenie i rzekł bardzo spokojnie.

— *Był* — i odwrócił się tyłem.

Godzina łaskawości dla mnie minęła; zostałem zaliczony do tej samej kategorii co Kurtz, jako zwolennik metod, do których czasy jeszcze nie dojrzały; uznano mnie za niepewnego! Ach, ale i to coś znaczyło, że mogłem dokonać wyboru między koszmarami.

W rzeczywistości zwróciłem się myślą do dziczy, a nie do Kurtza, który — nie miałem zamiaru temu przeczyć — był już niejako pogrzebany. I wydało mi się przez chwilę, jakbym też leżał w obszernym grobie, pełnym niewypowiedzianych tajemnic. Czułem nieznośny ciężar uciskający mi piersi, zapach wilgotnej ziemi, niewidzialną obecność zwycięskiego zepsucia, mrok nieprzeniknionej nocy... Rosjanin uderzył mnie po ramieniu. Usłyszałem, że mruczy coś pod nosem, jąkając się...

— Kolega marynarz zechciał ukryć wiadomości o rzeczach, które mogłyby zaszkodzić reputacji Kurtza.

Czekałem. Dla niego najwidoczniej Kurtz nie był jeszcze w grobie; przypuszczam, że należał w jego oczach do nieśmiertelnych.

— No! — rzekłem w końcu — niechże pan się wypowie. Tak się złożyło, że jestem — niejako — przyjacielem Kurtza.

Oznajmił mi na to w sposób wielce formalny, że gdybyśmy nie należeli do „tego samego zawodu”, byłby zachował tę całą sprawę dla siebie bez względu na

konsekwencje. Podejrzewa, że ci biali żywią w stosunku do niego jakieś złe zamiary...

— Pan ma słuszność — rzekłem, przypominając sobie pewną rozmowę, którą dawniej słyszałem. Dyrektor uważa, że powinno się pana powiesić.

Zaniepokoiła go ta wiadomość, co mnie z początku ubawiło.

— Lepiej zejść im spokojnie z drogi — rzekł z powagą. — Teraz nic już zrobić dla Kurtza nie mogę, a oni prędko by znaleźli jakiś pretekst. Cóż ich może powstrzymać? Placówka wojskowa jest stąd o trzysta mil.

— No, to doprawdy — rzekłem — może lepiej, aby pan nas opuścił, jeśli pan ma przyjaciół wśród dzikich w tej okolicy.

— Bardzo wielu — odpowiedział. — To prości ludzie — a pan wie, że ja nic nie potrzebuję. — Stał, gryząc wargi, i dodał: — Nie chciałbym, aby coś złego spotkało tutaj tych białych, ale myślałem naturalnie przede wszystkim o dobrej sławie Kurtza, przy tym pan jest kolegą marynarzem i...

— Dobrze — rzekłem po chwili. — Dobrej sławie Kurtza nie grozi z mojej strony żadne niebezpieczeństwo. — Nie wiedziałem, jak dalece moje słowa były prawdziwe.

Zniżywszy głos poinformował mnie, że to Kurtz kazał zaatakować parowiec.

— On czasem nie cierpiał myśli, że mogą go zabrać, a potem znów... Ale ja tych spraw nie rozumiem. Jestem prostym człowiekiem. Kurtz przypuszczał, że ten napad was odstraszy, że zaniechacie tego wszystkiego myśląc, iż nie

żyje. Nie mogłem go powstrzymać. Och, ten ostatni miesiąc był dla mnie okropny.

— Aha — rzekłem. — Ale teraz już z nim jest lepiej.

— Ta-a-a-k — odparł, widać nie bardzo o tym przekonany.

— Dziękuję — odrzekłem — będę miał oczy otwarte.

— Ale dyskretnie, prawda? — nalegał z niepokojem. — Byłoby zgubne dla jego opinii, gdyby ktoś z tutaj obecnych... — Obiecałem mu bardzo poważnie zupełną dyskrecję. — Mam tu czółno i trzech czarnych, którzy czekają nie bardzo daleko. No, już mnie nie ma. Nie mógłby mi pan dać trochę naboi Martini-Henry?

Mogłem to zrobić i zrobiłem w należytej tajemnicy. Mrugnął na mnie porozumiewawczo i wziął sobie garść mego tytoniu. — Między marynarzami — pan rozumie — dobry tytoń angielski... — Odwrócił się jeszcze od progu: — Proszę pana, czy pan nie ma pary zbywających trzewików? — Podniósł nogę. — Niech pan patrzy. — Podeszwy były przywiązane sznurkami jak sandały do bosych nóg. Wygrzebałem jakąś starą parę, na którą spojrzał z podziwem, nim ją wetknął pod lewe ramie. Jedna z jego kieszeni (jasnoczerwona) była wypchana nabojami, z drugiej (ciemnoniebieskiej) sterczały Towsona *Badania dotyczące* itd. Zdawał się uważać siebie za świetnie wyekwipowanego na nową walkę z puszczą.

— Ach! Nigdy, nigdy już takiego człowieka nie spotkam. Czemuż pan go nie słyszał deklamującego poezje, i to jego własne, powiedział mi to. Poezje! — Przewrócił oczami na

wspomnienie owych rozkoszy. — Jak ten człowiek rozszerzył mój horyzont!

— Do widzenia panu — rzekłem.

Uścisnął mi rękę i znikł wśród nocy. Zapytuję siebie czasami, czy go rzeczywiście widziałem — czy spotkanie z takim fenomenem było istotnie możliwe!...

Gdy się obudziłem wkrótce po północy, przyszła mi na myśl jego przestroga i wzmianka o niebezpieczeństwie, które wśród tego gwiezdnego mroku wydało mi się tak realne, że wstałem, aby rzucić okiem dokoła. Na wzgórzu paliło się wielkie ognisko, oświetlając od czasu do czasu krzywy węgieł stacyjnego budynku. Jeden z agentów wraz z kilku naszymi Murzynami, uzbrojonymi w tym celu, trzymał straż przy kości słoniowej; a daleko w głębi lasu czerwone, chwiejne błyski — które zdawały się wznosić z ziemi i opadać wśród mglistych kolumnowych kształtów o głębokiej czerni — wskazywały dokładnie miejsce obozowiska, gdzie czciciele Kurtza odbywali swe niespokojne wigilie[117]. Monotonne bicie w wielki bęben napełniało powietrze głuchymi uderzeniami i przeciągłą wibracją. Spokojny pomruk wielu ludzi, nucących każdy dla siebie jakieś niesamowite zaklęcia, płynął z czarnej, płaskiej ściany lasów jak brzęczenie pszczół z ula i wywierał dziwny, narkotyczny wpływ na moje wpół rozbudzone zmysły. Zdaje się, że drzemałem oparty o poręcz, póki nagły wybuch wrzasków, ogłuszający wybuch skupionego, tajemniczego szału nie zbudził mnie, oszołomionego zdumieniem. Ustał raptownie i cichy pomruk ciągnął się dalej, sprawiając

wrażenie słyszalnej i kojącej ciszy. Zajrzałem mimochodem do małej kajuty. Paliło się tam światło, lecz Kurtza nie było.

Sądzę, że byłbym krzyknął, gdybym wierzył swym oczom. Ale nie uwierzyłem z początku — wydało mi się to takie niemożliwe. Straciłem panowanie nad sobą, owładnięty prostym bezmyślnym strachem, czystym, bezprzedmiotowym przerażeniem, nie związanym z żadnym wyraźnym kształtem fizycznego niebezpieczeństwa. Moje wzruszenie było tak potężne wskutek — jakże mam to określić? — moralnego wstrząsu, któremu uległem, jakby spadło na mnie niespodzianie coś wręcz potwornego, nieznośnego dla myśli i przejmującego wstrętem duszę. Trwało to naturalnie najdrobniejszy ułamek sekundy, potem zaś pospolite uczucie zwykłego, śmiertelnego niebezpieczeństwa było zaiste pożądane i kojące; nie przejmowała mnie możliwość nagłego napadu i rzezi lub czegoś w tym rodzaju, co wisiało nad nami. Uspokoiłem się istotnie tak bardzo, że nie podniosłem alarmu.

O trzy stopy ode mnie siedział na krześle, na pokładzie, agent zapięty w ulster[118] po szyję i spał. Wrzaski go nie obudziły; chrapał lekko. Zostawiłem go śpiącego i wyskoczyłem na brzeg. Nie zdradziłem Kurtza — było mi sądzone, abym go nigdy nie zdradził — było zapisane, że mam pozostać wiernym do końca zmorze, na którą padł mój wybór. Pragnąłem koniecznie rozprawić się sam na sam z tym cieniem — i do dziś dnia nie wiem, dlaczego dbałem tak zazdrośnie o to, by nie dzielić się z nikim tym szczególnie posępnym przeżyciem.

Stanąwszy na brzegu zobaczyłem natychmiast ślad — szeroki ślad na trawie. Pamiętam uczucie tryumfu, z jakim powiedziałem do siebie: „Nie może chodzić — pełza na czworakach — mam go”. Trawa była mokra od rosy. Szedłem szybko wielkimi krokami, zacisnąwszy pięści. Majaczyło mi się — tak mi się zdaje — że wpadnę na niego i porządnie wygarbuję mu skórę. Zresztą nie wiem. Przychodziły mi do głowy różne głupie myśli. Stara kobieta z kotem robiąca coś na drutach prześladowała moją pamięć, jako najmniej odpowiednia do tego, by tkwić u drugiego końca podobnej historii. Widziałem także szereg pielgrzymów, tryskających ołowiem w powietrze ze strzelb trzymanych u biodra. Przyszło mi na myśl, że nigdy nie wrócę już na parowiec, i wyobraziłem sobie, iż będę żył samotnie w puszczy — bez żadnej broni — aż do podeszłego wieku. No, wiecie, takie różne głupstwa. I pamiętam, że bicie w bęben mieszało się z biciem mego serca i że mnie cieszył spokojny jego rytm.

Trzymałem się wciąż śladu — potem przystanąłem, by nasłuchiwać. Noc była bardzo jasna, ciemnobłękitna przestrzeń iskrzyła się od rosy i gwiazd; czarne jakieś kształty stały w niej bardzo spokojnie. Wydało mi się, że dostrzegam, jakby coś się ruszało przede mną. Dziwnie byłem pewien wszystkiego tej nocy. Rzuciłem po prostu ślad i pobiegłem szerokim półkolem (zdaje mi się doprawdy, że po drodze chichotałem do siebie), aby zabiec drogę temu czemuś, co się ruszało czy posuwało — jeśli tam coś istotnie

dostrzegłem. Podchodziłem Kurtza, jakby to była chłopięca zabawa.

Dopadłem go i gdyby nie usłyszał, że się zbliżam, byłbym się przewrócił o niego, ale podniósł się w porę. Dźwignął się niepewnie, długi, blady, niewyraźny jak opar wyzionięty przez ziemię, i chwiał się z lekka przede mną, mglisty i milczący; z tyłu za moimi plecami ognie majaczyły wysoko wśród drzew, a gwar licznych głosów szedł z lasu. Zabiegłem mu zręcznie drogę, ale gdy już przed nim stanąłem, wydało mi się, że odzyskuję przytomność: ujrzałem niebezpieczeństwo w całej jego grozie. Nie minęło jeszcze bynajmniej. Gdyby tak Kurtz zaczął wołać? Choć ledwie mógł się utrzymać na nogach, w głosie jego było jeszcze wciąż dużo siły.

— Niech pan odejdzie... niech pan się schowa — rzekł swym zwykłym, głębokim głosem.

To było bardzo straszne. Obejrzałem się. Znajdowaliśmy się o trzydzieści stóp od najbliższego ogniska. Czarna postać podniosła się i wielkim krokiem przeszła na długich nogach przez jasność padającą od ognia, machając długimi, czarnymi ramionami. Miała na głowie rogi — zdaje mi się, że antylopie. Był to z pewnością jakiś czarownik, jakiś zaklinacz: dość szatańsko na to wyglądał.

— Czy pan wie, co pan robi? — szepnąłem.

— Najzupełniej — odrzekł, podnosząc głos, aby wymówić to jedno słowo; zabrzmiało mi w uszach, niby dalekie, a jednak głośne. Miałem wrażenie, że Kurtz woła do mnie przez tubę. „Jeżeli zrobi awanturę, jesteśmy zgubieni” —

pomyślałem. Nie była to oczywiście okazja do walki na pięści, nie mówiąc już nawet o tym, że czułem bardzo naturalny wstręt do bójki z tym Cieniem — z tą wędrującą i udręczoną istotą.

— Pan się zgubi — rzekłem — zgubi się pan bezpowrotnie.

Czasem, wiecie, oświeci człowieka taki błysk natchnienia. Powiedziałem właśnie to, co należało powiedzieć, choć Kurtz nie mógł zaiste być bardziej nieodwołalnie zgubiony niż właśnie w owej chwili, gdy powstawała nasza zażyłość, która miała trwać i trwać... aż do końca... a nawet jeszcze dłużej.

— Miałem olbrzymie plany — mruknął niepewnie.

— Tak — odrzekłem — ale jeśli pan zacznie wołać, roztrzaskam panu głowę... — W pobliżu nie było nawet kija ani kamienia. — Zaduszę pana — poprawiłem się.

— Byłem już u progu wielkich rzeczy — błagał głosem pełnym takiej tęsknoty, że krew zlodowaciała mi w żyłach. — A teraz przez tego głupiego łotra...

— Pańskie powodzenie w Europie jest w każdym razie zapewnione — rzekłem spokojnie. Nie miałem najmniejszej ochoty go dusić, jak rozumiecie — przy tym przyniosłoby to zaiste bardzo małą korzyść realną. Usiłowałem rozproszyć czar — ciężki, niemy czar dziczy — który zdawał się przyciągać Kurtza do bezlitosnej piersi, budząc w nim zapomniane i brutalne instynkty, pojąc go wspomnieniami zaspokojonych, potwornych namiętności. Byłem przekonany, że to go jedynie gnało ku skrajowi lasu, ku

puszczy, w stronę blasku ognisk, dudnienia bębnów, niesamowitych zaklęć; tylko to znęciło jego pozbawioną hamulców duszę poza granice dozwolonych dążeń.
I uważacie, groza położenia nie na tym polegała, że można było w łeb dostać — choć czułem bardzo żywo i to niebezpieczeństwo — ale na tym, że miałem do czynienia z istotą, do której nie mogłem przemówić w imię niczego na ziemi — wzniosłego czy też niskiego. Musiałem, zupełnie tak jak Murzyni, wzywać Kurtza jak bóstwo — jego samego — wzywać jego własny, ostateczny, niewiarygodny upadek. Nie istniało dla niego nic nad nim ani też pod nim i ja o tym wiedziałem. Kopnął ziemię i odbił się od niej. Do licha z tym człowiekiem! Nawet ziemia rozpadła się od jego kopnięcia. Był sam, a ja, stojąc przed nim, nie wiedziałem, czy jestem na ziemi, czy też pływam w powietrzu. Powiedziałem wam, cośmy mówili — powtórzyłem wam zdania, któreśmy zamienili — lecz po co? Były to pospolite codzienne słowa, znane dźwięki bez znaczenia, które wymieniamy każdego powszedniego dnia w życiu. Ale cóż z tego? Tkwiła w nich — ja to czułem — straszliwa wyrazistość słów słyszanych we śnie, zdań wypowiadanych wśród nocnych majaków. Dusza! Jeśli kto zmagał się kiedy z duszą, to ja się zmagałem. A przy tym nie miałem do czynienia z szaleńcem. Możecie mi wierzyć lub nie, ale umysł Kurtza był zupełnie jasny — wprawdzie skupiony na własnych sprawach ze straszliwą intensywnością, lecz jasny; i w tym jedynie leżała moja ucieczka — wyjąwszy oczywiście możliwość zabicia go na miejscu, co nie było takie celowe

ze względu na nieunikniony hałas. Natomiast dusza jego uległa obłąkaniu. Znalazłszy się w samotności wśród dziczy, zajrzała w głąb samej siebie i przebóg! mówię wam, że oszalała. Sądzę, że za swoje grzechy musiałem przejść przez tę próbę i zajrzeć Kurtzowi do duszy. Niczyja wymowa nie mogłaby być tak zgubna dla wiary człowieka w ludzkość jak ten ostatni wybuch jego szczerości. A walczył także i z sobą. Widziałem to — słyszałem. Widziałem niepojętą tajemnicę duszy, która nie zna żadnego hamulca, żadnej wiary, żadnego lęku, a jednak walczy na oślep sama z sobą. Panowałem nieźle nad swymi nerwami, lecz gdy doprowadziłem wreszcie do tego, że Kurtz legł na tapczanie, obtarłem sobie czoło, a nogi się trzęsły pode mną, jakbym zszedł z tego wzgórza, dźwigając z pół tony na grzbiecie. A tymczasem tylko go podtrzymywałem; kościste ramię obejmowało mi szyję — niewiele był cięższy od dziecka.

Gdyśmy ruszyli z miejsca następnego dnia o południu, tłum — z którego obecności za kurtyną drzew zdawałem sobie wciąż dokładnie sprawę — wypłynął znów z lasu, zapełnił polankę, pokrył zbocze masą nagich, dyszących, rozedrganych, brązowych ciał. Skierowałem statek w górę, potem zawróciłem w dół rzeki, a dwa tysiące oczu śledziły obroty dzikiego rzecznego demona, który wśród plusku i głuchych uderzeń bił wodę straszliwym ogonem i ział czarnym dymem w powietrze. Przed pierwszym rzędem tłumu trzech ludzi, umazanych od stóp do głów jasnoczerwoną ziemią, kroczyło niespokojnie wzdłuż brzegu

tam i z powrotem. Gdyśmy znów zrównali się z nimi, obrócili się ku rzece, zaczęli tupać, kiwać głowami przybranymi w rogi, kołysać szkarłatnymi ciałami; potrząsali w stronę dzikiego demona rzeki pękiem czarnych piór i wyleniałą skórą z wiszącym ogonem, wyglądającą jak zasuszona tykwa; jednocześnie zaś wykrzykiwali co pewien czas chórem potoki zdumiewających słów, które nie były podobne do żadnych dźwięków ludzkiej mowy; a głęboki pomruk tłumu, urywający się nagle, brzmiał jak odpowiedzi jakiejś szatańskiej litanii.

Zanieśliśmy Kurtza do domku pilota; było tam więcej powietrza. Leżąc na tapczanie, patrzył przez otwartą okiennicę. W masie ciał ludzkich na brzegu utworzył się wir i kobieta o włosach upiętych w kształt hełmu, o ciemnych policzkach, zbiegła aż na skraj wody. Wyciągnęła ręce przed siebie, krzyknęła coś i cała ta dzika tłuszcza podjęła jej okrzyk wrzaskliwym chórem, skandując go szybko, bez tchu.

— Czy pan to rozumie? — zapytałem.

Patrzył wciąż ku brzegowi rozognionymi, spragnionymi oczami, z wyrazem pełnym tęsknoty i nienawiści. Nie odpowiedział, ale na jego bezbarwnych wargach zarysował się uśmiech — uśmiech o nieokreślonym znaczeniu, który po chwili ustąpił konwulsyjnemu skurczowi.

— Jakżebym nie rozumiał[119] — odrzekł powoli, chwytając ustami powietrze; zdawało się, że te słowa zostały mu wydarte przez jakąś nadnaturalną siłę.

Pociągnąłem sznur od gwizdawki, gdyż zauważyłem, że pielgrzymi na pokładzie wydobyli strzelby, a wyraz ich twarzy świadczył, iż cieszą się z góry jakimś dobrym kawałem. Niespodziewany gwizd wywołał ruch panicznej trwogi w zbitej masie ciał.

— Cicho, cicho! Pan ich wszystkich odstraszy! — krzyknął ktoś z pokładu strapionym głosem. Ciągnąłem za sznurek raz po raz. Rozsypywali się i biegli, skakali, pełzali, przechylali się, starając się ujść przed lotną grozą tego dźwięku. Trzech czerwonych drabów rozpłaszczyło się twarzami w dół, na brzegu, jakby ich ktoś zastrzelił. Tylko barbarzyńska, wspaniała kobieta nie drgnęła nawet i wyciągała za nami tragicznym ruchem nagie ramiona nad ponurą, iskrzącą się rzeką.

A potem tamta głupia czereda na dolnym pokładzie rozpoczęła swą miłą zabawę i dym nie pozwolił mi już nic dojrzeć.

Brunatny nurt płynął wartko z głębi ciemności, niosąc nas w dół ku morzu dwa razy szybciej niż przedtem w górę rzeki; a życie Kurtza biegło też szybko, odpływając i odpływając z jego serca ku morzu nieubłaganego czasu. Dyrektor był bardzo spokojny; nie miał już teraz powodu do istotnych obaw i ogarniał nas obu przenikliwym, zadowolonym spojrzeniem: cała historia skończyła się tak pomyślnie, jak tylko można było sobie życzyć. Widziałem, że zbliża się czas, kiedy z paczki zwolenników „niezdrowej metody” zostanę sam jeden. Pielgrzymi spoglądali na mnie niechętnie. Zostałem już, że tak powiem, zaliczony w poczet

nieboszczyków. To dziwne, jak się łatwo zgodziłem na to nieprzewidziane wspólnictwo, na ten wybór między koszmarami, narzucony mi w mrocznej krainie niepokojonej przez owe nędzne i chciwe widma.

A Kurtz rozprawiał. Jakiż on miał głos! Jaki głos! Dźwięczny, głęboki, aż do ostatniej chwili. Ten głos przeżył jego siły, aby skryć we wspaniałych zwojach elokwencji jałowy mrok jego serca. Och, jak ten człowiek walczył, jak walczył! Pustkę jego zmęczonego mózgu nawiedzały teraz mgliste obrazy — obrazy bogactwa i sławy, zjawiające się na zawołanie niewygasłego daru szlachetnej i wzniosłej wymowy. Moja narzeczona, moja stacja, moja kariera, moje pomysły — na te wszystkie tematy wypowiadał od czasu do czasu różne wzniosłe sentencje. Cień dawnego Kurtza stawał u łoża płytkiego pozera, którego losem był grób w pierwotnym czarnoziemie. Lecz zarówno szatańska miłość, jak nieziemska nienawiść Kurtza do tajemnic, które przeniknął, walczyły o posiadanie jego duszy nasyconej pierwotnymi wzruszeniami, goniącej za kłamliwą chwałą, fałszywymi zaszczytami, za wszelkim pozorem powodzenia i potęgi.

Czasami był dziecinny aż do śmieszności. Pragnął, aby spotykali go na stacjach królowie, gdy będzie wracał z jakiegoś upiornego Nigdzie po dokonaniu wielkich rzeczy.

— Trzeba pokazać, że się ma w sobie coś, co może innym przynieść pożytek, a wówczas spotyka człowieka bezgraniczne uznanie — mawiał. — Oczywiście należy

zawsze zwracać uwagę na pobudki... słuszne pobudki... zawsze.

Długie wodne przestrzenie pomiędzy kolanami[120] rzeki, identycznie do siebie podobne, monotonne zakręty nie wyróżniające się niczym, przesuwały się obok parowca, zarośnięte gąszczem stuletnich drzew patrzących cierpliwie w ślad za tym umorusanym sadzą fragmentem innego świata, zwiastunem zmian, podboju, handlu, rzezi, błogosławieństw. Patrzyłem naprzód, kierując statkiem.

— Niech pan zamknie okiennicę — rzekł kiedyś Kurtz znienacka — nie mogę znieść tego widoku. — Usłuchałem go. Zapadło milczenie. — Och, dobiorę ci się jeszcze do samego wnętrza[121]! — krzyknął ku niewidzialnej puszczy.

Statek się rozbił — jak tego oczekiwałem — i dla jego naprawy musieliśmy się zatrzymać u przylądka jakiejś wysepki. Dopiero ta zwłoka zachwiała po raz pierwszy ufnością Kurtza. Pewnego rana wręczył mi pakiet papierów i fotografię — wszystko razem związane sznurowadłem.

— Niech pan to dla mnie zachowa — rzekł. — Ten szkodliwy bałwan (miał na myśli dyrektora) gotów szperać w moich kufrach, kiedy nie patrzę.

Widziałem go znów po południu. Leżał na wznak z zamkniętymi oczami; cofnąłem się po cichu, ale usłyszałem, jak mruczał:

— Żyć sprawiedliwie, umierać... umierać...

Nadstawiłem ucha. Nic już nie usłyszałem. Czy powtarzał przez sen jakąś mowę? A może fragment zdania z dziennikarskiego artykułu? Pisywał dawniej do gazet

i znów miał zamiar to robić „dla rozpowszechniania idei; to obowiązek”.

Ten człowiek tkwił w nieprzeniknionym mroku. Patrzyłem na niego, jak się patrzy w dół na kogoś leżącego na dnie przepaści, gdzie słońce nigdy nie świeci. Ale nie mogłem mu poświęcać dużo czasu, bo pomagałem maszyniście przy rozbieraniu cieknących cylindrów, przy wyprostowywaniu zgiętego korbowodu[122] i innych tym podobnych sprawach. Żyłem w piekielnym rozgardiaszu wśród rdzy, opiłków, nakrętek, sworzniów[123], kluczy naśrubkowych, młotków, wiertarek — rzeczy, których nienawidzę, ponieważ nie umiem sobie z nimi poradzić. Zajmowałem się naszą małą kuźnią — mieliśmy ją na szczęście na statku; pracowałem ciężko wśród nędznego śmietniska — chyba że miałem za silne dreszcze, by się utrzymać na nogach.

Pewnego wieczoru, gdy wszedłem do Kurtza ze świecą, przestraszyłem się słysząc, że mówi trochę drżącym głosem:

— Leżę tu w ciemności i czekam na śmierć.

Światło znajdowało się o stopę od jego oczu. Zmusiłem się do szeptu: — Ale cóż znowu! — i stałem nad nim jak wrośnięty w ziemię.

Czegoś zbliżonego do zmiany, która zaszła w jego rysach, nigdy przedtem nie widziałem i mam nadzieję już nigdy nie ujrzeć. Och, nie czułem żadnego wzruszenia. Ale byłem wprost urzeczony. Zdawało mi się, że zdarto z jego twarzy zasłonę. Dostrzegłem kolejno na tym obliczu z kości słoniowej wyraz ponurej pychy, bezlitosnej siły,

przeraźliwego strachu, głębokiej i beznadziejnej rozpaczy. Czyżby przez tę ostatnią chwilę zupełnej samowiedzy przeżył na nowo swe życie ze wszystkimi szczegółami pragnień, pokus, poddania się? Wykrzyknął szeptem — zapewne na widok jakiegoś obrazu, jakiegoś widziadła — wykrzyknął po dwakroć szeptem, który nie był głośniejszy od tchnienia:

— Ohyda[124]! Ohyda!

Zdmuchnąłem świecę i wyszedłem z kajuty. Pielgrzymi siedzieli w jadalni przy obiedzie; zająłem zwykłe swe miejsce naprzeciw dyrektora, który podniósł na mnie pytający wzrok; zignorowałem to najzupełniej. Wówczas rozparł się w krześle z pogodą na twarzy i tym swoim szczególnym uśmiechem, pieczętującym bezdenną głębię jego pospolitości. Nieustanny deszcz drobnych muszek spływał na lampę, na obrus, na nasze ręce i twarze. Nagle *boy*[125] dyrektora wetknął przez drzwi bezczelną, czarną twarz i rzekł tonem obelżywej pogardy:

— Pan Kurtz... on umrzeć.

Wszyscy pielgrzymi wypadli, aby zobaczyć. Zostałem i jadłem dalej. Sądzę, że mnie uznano za brutalnie nieczułego. Nie jadłem jednak wiele. Tam wewnątrz paliła się lampa — wiecie, światło — na dworze było tak strasznie, strasznie ciemno. Już nie zbliżyłem się więcej do wybitnego człowieka, który wydał wyrok na ziemskie przygody swej duszy. Głos jego ucichł. Cóż tam było poza tym? Ale oczywiście wiedziałem, że pielgrzymi pochowali coś nazajutrz w błotnistej dziurze.

A potem — bardzo niewiele brakowało, by i mnie pochowano.

Jednakże, jak widzicie, nie poszedłem wówczas za Kurtzem. Nie. Zostałem, by prześnić ten koszmar do końca i by raz jeszcze wykazać swą lojalność w stosunku do tego człowieka. Przeznaczenie. Moje przeznaczenie! Śmieszna to rzecz, życie — owe tajemnicze kombinacje bezlitosnej logiki dla błahego celu. Co najwyżej można się spodziewać od życia odrobiny wiedzy o sobie samym — która przychodzi za późno i jest źródłem niewyczerpanych żalów. Zmagałem się wtedy ze śmiercią. To najmniej zajmująca walka, jaką sobie można wystawić. Człowiek prowadzi ją wśród nieuchwytnej szarzyzny, wśród pustki, bez gruntu pod nogami, bez widzów, bez wrzawy, bez chwały, bez wielkiego pragnienia zwycięstwa, bez wielkiej trwogi przed klęską, wśród chorobliwej atmosfery obojętnego sceptycyzmu, bez wielkiej wiary w słuszność własnej sprawy, a z mniejszym jeszcze przekonaniem o słuszności przeciwnika. Jeśli taka ma być najwyższa mądrość, to życie jest większą zagadką, niż przypuszczają niektórzy. Byłem o włos od owej chwili, kiedy człowiek może się wypowiedzieć po raz ostatni, i przekonałem się z upokorzeniem, że prawdopodobnie nie będę miał nic do powiedzenia. Dlatego właśnie twierdzę, iż Kurtz był wybitnym człowiekiem. On miał coś do powiedzenia. On to powiedział. Odkąd sam wyjrzałem poza krawędź, rozumiem lepiej jego wzrok, który nie mógł dostrzec płomienia świecy, lecz dość był dalekosiężny, by objąć cały wszechświat, dość przenikliwy, by przejrzeć

wszystkie serca bijące w ciemności. Kurtz zsumował — osądził: „Ohyda!” Był to człowiek wybitny. Ostatecznie jego wyrok stanowił pewnego rodzaju wyznanie wiary; były w nim szczerość i przekonanie, była drgająca nuta buntu w owym szepcie, było przerażające oblicze prawdy ujrzanej w przelocie — osobliwe połączenie żądzy i nienawiści. I pamiętam najlepiej wcale nie swoją własną mękę — ową wizję bezkształtnej szarzyzny, przesiąkniętej fizycznym bólem i niedbałą pogardą dla znikomości wszelkich rzeczy — nawet dla tegoż samego bólu. Nie! Mnie się wydaje, że to jego śmiertelną mękę przeżyłem. Prawda, że on zrobił ów krok ostatni, że krawędź przestąpił, podczas gdy mnie dozwolono cofnąć wahającą się stopę. I może na tym polega cała różnica; może wszystka mądrość i wszystka prawda, i wszystka szczerość skupiają się właśnie w owej nieuchwytnej chwili, kiedy przekraczamy próg niewidzialnego. Może! Wolę przypuszczać, że nie byłbym zawarł swego stosunku do życia w słowie niedbałej pogardy. Lepszy jest okrzyk Kurtza — o wiele lepszy. Było to twierdzenie, moralne zwycięstwo okupione niezliczonymi klęskami, ohydnym przerażeniem, ohydnym dosytem. Ale to było zwycięstwo! I właśnie dlatego pozostałem wierny Kurtzowi aż do samego końca, a nawet i poza koniec; aż do chwili, gdy w długi czas później usłyszałem raz jeszcze głos — już nie jego własny — lecz echo jego wspaniałej wymowy przekazane mi przez duszę przeźroczo czystą jak skała z kryształu.

Nie, nie pochowali mnie wówczas, choć jest pewien okres czasu, który widzę niby przez mgłę, wzdrygając się ze zdumieniem, jakbym wspominał przejście przez jakiś świat niepojęty, wyzuty z nadziei i pragnień. Znalazłem się znów w mieście grobów, podrażniony widokiem ludzi spieszących ulicami, aby zwędzić jeden drugiemu trochę pieniędzy, aby pożerać haniebnie przyrządzone posiłki, łykać niezdrowe piwo, snuć głupie i błahe marzenia. Narzucali się natrętnie moim myślom. Wiedza tych intruzów o życiu była dla mnie irytującym pozorem, ponieważ czułem z całą pewnością, że nie mogą wiedzieć tego, co ja wiedziałem. Ich zachowanie, które było po prostu zachowaniem pospolitych indywiduów zaprzątniętych interesami i przekonanych o swym zupełnym bezpieczeństwie, drażniło mnie jako niesłychana chełpliwość głupoty w obliczu groźnych okoliczności, których owa głupota nie jest w stanie zrozumieć. Nie chciało mi się bynajmniej uświadamiać tych ludzi, ale wstrzymywałem się z pewną trudnością od parskania śmiechem w ich twarze, tak pełne tępego zarozumialstwa. Może nie czułem się wówczas bardzo dobrze. Chodziłem po ulicach chwiejnym krokiem — musiałem pozałatwiać różne sprawy — strojąc gorzkie miny wobec różnych wielce szanownych osób. Przyznaję, że moje obejście było nie do darowania, ale też i temperaturę rzadko miewałem normalną w tych czasach. Wysiłki mej drogiej ciotki, usiłującej mnie podtrzymać na siłach, mijały się zupełnie z celem. To nie moje siły potrzebowały pokrzepienia; należało ukoić moją wyobraźnię. Przechowywałem paczkę

papierów powierzonych mi przez Kurtza, nie wiedząc właściwie, co z nimi zrobić. Matka jego umarła niedawno, pielęgnowana, jak mi opowiadano, przez jego narzeczoną. Jakiś człowiek w złotych okularach, starannie ogolony i odznaczający się bardzo oficjalnym obejściem[126], odwiedził mnie pewnego dnia i rozpytywał — z początku podchodząc do tej sprawy z daleka, a potem nalegając ze słodyczą — o to, co mu się podobało nazwać „pewnymi dokumentami”. Nie zaskoczył mnie tym, ponieważ jeszcze w Afryce miałem na ów temat dwie kłótnie z dyrektorem. Odmówiłem wówczas wydania najmniejszego skrawka z tej paczki i pozostałem przy swoim stanowisku wobec człowieka w okularach. Uciekł się w końcu do niejasnych gróźb i jął[127] bardzo gorąco dowodzić, że spółka ma prawo do każdej bez wyjątku informacji o swych „terytoriach”.

— Wiedza Kurtza o tych niezbadanych jeszcze okolicach — powiedział — musiała być z konieczności rozległa i szczególnie dokładna, dzięki jego wielkim zdolnościom i opłakanym warunkom, w których się znalazł; dlatego też...

Zapewniłem go, że wiedza Kurtza, aczkolwiek rozległa, nie dotyczyła zagadnień handlu lub administracji. Wówczas wezwał na pomoc naukę. „Byłoby stratą wprost niepowetowaną, gdyby” itd., itd. Wręczyłem mu raport o *Tępieniu dzikich obyczajów* oddarłszy przedtem postscriptum. Wziął go skwapliwie, a potem prychnął nań z pogardą.

— To nie jest to, czego mieliśmy prawo oczekiwać — zauważył.

— Nie oczekujcie nic innego — odrzekłem. — Reszta to tylko prywatne listy.

Wyszedł, zagroziwszy mi sądem, i już nie zobaczyłem go więcej; natomiast inny jakiś facet, mianujący się kuzynem Kurtza, ukazał się w dwa dni później i chciał koniecznie usłyszeć wszystkie szczegóły o ostatnich chwilach drogiego krewniaka. Mimochodem dał mi do zrozumienia, że Kurtz był właściwie wielkim muzykiem.

— Były w nim możliwości rokujące olbrzymie powodzenie — rzekł ów człowiek, organista, jak mi się zdaje; gładkie, siwe jego włosy spływały na zatłuszczony kołnierz surduta[128]. Nie miałem powodu wątpić o jego twierdzeniu; i do dziś dnia nie umiem powiedzieć, jaki był zawód Kurtza, czy w ogóle miał jakikolwiek, i który z jego talentów górował nad innymi. Wziąłem go z początku za malarza, który pisywał do gazet, czy za dziennikarza umiejącego malować — lecz nawet jego kuzyn (zażywający tabakę podczas rozmowy) nie umiał określić ściśle zawodu Kurtza. Był to uniwersalny geniusz — zgodziłem się co do tego ze starym jegomościem, który wytarł nos hałaśliwie wielką bawełnianą chustką i wyszedł w starczym podnieceniu, unosząc kilka rodzinnych listów i jakieś mało ważne notatki. Wreszcie pojawił się u mnie dziennikarz pragnący dowiedzieć się czegoś o losie „drogiego kolegi”. Poinformował mnie, że właściwą dziedziną Kurtza powinna była się stać polityka w „zakresie popularnym”. Ów gość miał krzaczaste, proste brwi, monokl[129] na szerokiej wstążce, ostrzyżony był krótko na jeża i wyznał mi

w przystępie szczerości, że Kurtz w gruncie rzeczy wcale pisać nie umiał — ale dalibóg! jak ten człowiek umiał mówić! Potrafił zelektryzować duże zgromadzenie. „Była w nim wiara — rozumie pan? — była w nim wiara. Potrafił wmówić w siebie wszystko — wszystko. Byłby został wspaniałym liderem skrajnej partii”.

— Ale jakiej? — zapytałem.

— Jakiejkolwiek — odrzekł. — To był człowiek... człowiek... krańcowy. Czy pan tego nie uważa? — Przytaknąłem mu.

— A czy pan wie — zapytał z nagłym przebłyskiem zaciekawienia — z jakiego właściwie powodu wybrał się do Afryki?

— Wiem — odrzekłem i podałem mu natychmiast znamienity *Raport* dodając, że może go opublikować, jeśli to uzna za stosowne. Przejrzał go pośpiesznie, mrucząc coś ciągle pod nosem, uznał, że „to wystarczy”, i wyniósł się wraz ze swą zdobyczą.

Tak oto w końcu zostałem z cienką paczką listów i fotografią dziewczyny. Wydawała mi się piękna — a raczej wyraz jej twarzy uderzył mnie swoją pięknością. Wiem, że i blask słońca może stać się narzędziem kłamstwa, ale czuło się, iż żadna gra światła, żadna poza nie mogłaby nadać tym rysom tak subtelnego odcienia szczerości. Zdawało się, że ta dziewczyna gotowa jest słuchać bez żadnego zastrzeżenia, bez podejrzeń, bez cienia myśli o sobie. Wreszcie postanowiłem pójść do niej, aby jej oddać fotografię i te listy. Ciekawość? Tak; a może jeszcze jakieś

inne uczucie. Wszystko, co należało do Kurtza, przeszło przez moje ręce: jego dusza, jego ciało, jego stacja, jego plany, jego kość słoniowa, jego kariera. Pozostawała już tylko pamięć o nim i jego narzeczona — a pragnąłem niejako przekazać to również przeszłości — wydać wszystko, co po nim zostało, na pastwę zapomnienia, które jest ostatnim słowem naszego wspólnego losu. Nie bronię się. Nie miałem jasnego pojęcia, o co mi chodzi właściwie. Może powodowała[130] mną nieświadoma lojalność, a może było to wypełnienie owej ironicznej konieczności, która się czai w zdarzeniach ludzkiego życia. Nie wiem. Nie zdaję sobie sprawy. Ale poszedłem.

Myślałem, że wspomnienie o Kurtzu podobne jest do wspomnień o innych zmarłych, które gromadzą się w życiu każdego człowieka — jako niejasne odbicie w mózgu cieniów[131], co padły nań przelotnie a nieodwołalnie; lecz u wielkich, ciężkich podwoi, wśród wysokich domów ulicy równie cichej i porządnej jak dobrze utrzymana cmentarna aleja, ujrzałem wizję człowieka na noszach, otwierającego usta żarłocznie, jakby chciał pożreć całą ziemię wraz z całą ludzkością. Ożył w mych oczach, ożył jak najrealniej — ów cień niestety wspaniałych pozorów i straszliwej rzeczywistości; cień mroczniejszy od cieniów nocy, udrapowany okazale w zwoje pysznej wymowy. Zdawało mi się, że ta wizja wchodzi do domu wraz ze mną: nosze, ludzie dźwigający marę, dziki tłum karnych czcicieli, mrok lasów, połysk rzeki wśród ponurych zakrętów, łoskot bębna, miarowy i głuchy jak bicie serca — serca zwycięskiej

ciemności. Była to chwila tryumfu dziczy, gwałtowne jej, mściwe najście, które — tak mi się zdawało — musiałem sam odeprzeć dla zbawienia czyjejś duszy. A wspomnienie o tym, co Kurtz mówił mi tam daleko — gdy rogate postacie poruszały się w blasku ognisk za mymi plecami, pośród cierpliwych lasów — wspomnienie owych urywanych zdań wróciło do mnie; usłyszałem znów słowa Kurtza w ich złowrogiej, przerażającej prostocie. Uprzytomniłem sobie znów nędzne jego prośby, nędzne pogróżki, olbrzymi zakres jego nikczemnych pragnień, podłość, mękę, burzliwe cierpienia jego duszy. I wydało mi się, że słyszę znów słowa, które wypowiedział kiedyś spokojnie i apatycznie:

„Ten transport kości należy w gruncie rzeczy do mnie. Towarzystwo za niego nie zapłaciło. Zebrałem go sam, narażając się na ogromne ryzyko. Obawiam się jednak, że będą się go domagali jako swojej własności. Hm. To jest trudna sprawa. Jak pan myśli, co mam robić, upierać się przy swoim? Co? Ja chcę tylko sprawiedliwości...”

Chciał tylko sprawiedliwości — nic więcej; tylko sprawiedliwości. Zadzwoniłem u mahoniowych drzwi na pierwszym piętrze i czekałem, a on zdawał się patrzeć we mnie z błyszczącej mahoniowej tafli — patrzeć tym dalekosiężnym i wszechogarniającym wzrokiem, który obejmował, nienawidził, potępiał cały świat. Wydało mi się, że słyszę, jak wykrzykuje szeptem:

„Ohyda! Ohyda!”

Zapadał zmierzch. Czekałem w wysokim salonie o trzech długich oknach, sięgających od posadzki do sufitu, oknach,

które wyglądały jak trzy jaśniejące, udrapowane kolumny. Wygięte, pozłacane nogi i oparcia mebli lśniły niewyraźnie krzywymi liniami. Wyniosły marmurowy kominek miał zimną, monumentalną białość. Masywny fortepian stał w rogu; płaska jego powierzchnia połyskiwała mrocznie jak ciemny, polerowany sarkofag. Wielkie drzwi otworzyły się — zamknęły. Wstałem z miejsca.

Zbliżyła się, cała w czerni; blada jej głowa płynęła ku mnie w zmierzchu. Była w żałobie. Więcej niż rok upłynął od jego śmierci, więcej niż rok od czasu, gdy przyszła o tym wiadomość; zdawało się, że ta kobieta będzie go zawsze pamiętać i opłakiwać. Ujęła obie moje ręce, szepcząc:

— Uprzedzono mnie o pańskim przyjściu.

Zauważyłem, że nie była bardzo młoda — to znaczy nie wyglądała na dziewczątko. Czuło się w niej dojrzałą zdolność do wierności, do zaufania, do cierpienia. Miałem wrażenie, iż pociemniało w pokoju, jakby całe światło chmurnego popołudnia schroniło się na jej czole. Te jasne włosy, ta blada twarz, to czyste czoło były, rzekłbyś, otoczone szarą jak popiół aureolą, z której patrzyły ku mnie ciemne oczy. Spojrzenie ich było otwarte, głębokie, spokojne i ufne. Trzymała swą bolejącą głowę, jakby była dumna ze swego bólu, jakby chciała powiedzieć: ja — ja jedna umiem opłakiwać tego człowieka tak, jak on na to zasługuje. Lecz w chwili, gdy nasze dłonie trwały jeszcze w uścisku, wyraz strasznej rozpaczy pojawił się na jej twarzy i pojąłem, że ta kobieta należy do istot, które nie są igraszką czasu. Dla niej on umarł zaledwie wczoraj.

I zaiste! to wrażenie było takie potężne, że i mnie się również wydało, iż umarł zaledwie wczoraj — nie, w tej oto chwili. Ujrzałem i ją, i jego w tej samej minucie — jego śmierć i jej boleść — ujrzałem jej ból w momencie jego śmierci. Rozumiecie? Widziałem ich razem — słyszałem ich razem. Rzekła z głębokim westchnieniem:

— Przeżyłam go — a mój wytężony słuch zdawał się słyszeć wyraźnie, obok jej głosu pełnego rozpaczliwej żałości, szept, w którym Kurtz zawarł wieczyste swe potępienie.

Zapytałem siebie, po co tu się właściwie znalazłem, i ogarnęła mnie taka panika, jak gdybym był zabłądził i trafił do miejsca pełnego okrutnych i bezsensownych tajemnic, których ludzka istota oglądać nie powinna.

Wskazała mi krzesło. Usiedliśmy. Położyłem paczkę delikatnie na małym stoliku, a ona nakryła ją dłonią...

— Pan go znał dobrze — szepnęła po chwili żałobnego milczenia.

— Ludzie tam się prędko zbliżają — rzekłem. — Znałem go o tyle, o ile człowiek może poznać drugiego człowieka.

— I podziwiał go pan — rzekła. — Niepodobna było go znać i nie podziwiać, prawda?

— Był to wybitny człowiek — rzekłem niepewnie. I zniewolony nieruchomym, wymownym jej wzrokiem, który zdawał się śledzić dalsze słowa na moich ustach, dodałem: — Niepodobna go było...

— Nie kochać — dokończyła żarliwie; oniemiałem z przerażenia. — Jaka to prawda! Jaka prawda! Ale niech

pan pomyśli, że nikt go nie znał tak jak ja! Jego szlachetna dusza ufała mi bez granic. Ja go znałam najlepiej.

— Pani go znała najlepiej — powtórzyłem.

I może tak było istotnie. Lecz z każdym wymówionym słowem pokój się stawał mroczniejszy; tylko jej czoło, gładkie i białe, jaśniało niewyczerpanym światłem wiary i miłości.

— Pan był jego przyjacielem — ciągnęła. — Przyjacielem — powtórzyła trochę głośniej. — Pan musiał być jego przyjacielem, jeśli panu to powierzył, jeśli pana do mnie przysłał. Czuję, że mogę z panem mówić — i — och, muszę z panem mówić! Chcę, aby pan — pan, który słyszał jego ostatnie słowa — wiedział, że byłam godna tego człowieka... To nie jest duma... Chociaż — tak! Jestem dumna z tej świadomości, że rozumiałam go lepiej niż ktokolwiek inny na ziemi — sam mi to powiedział. A odkąd jego matka umarła, nie mam nikogo, nikogo — aby... aby...

Słuchałem. Ciemność się pogłębiała. Nie byłem nawet pewien, czy Kurtz dał mi właściwą paczkę. Podejrzewam raczej, że chciał mi powierzyć inny plik papierów, które widziałem po jego śmierci w rękach dyrektora przeglądającego je pod lampą. A dziewczyna mówiła dalej, dając ulgę swemu bólowi w przekonaniu, że jej współczuję; mówiła tak, jak człowiek spragniony pije. Wspominano mi, że jej rodzina sprzeciwiała się zaręczynom z Kurtzem. Nie był dosyć bogaty czy też coś w tym rodzaju. I rzeczywiście nie jestem pewien, czy nie cierpiał niedostatku przez całe życie. Były pewne podstawy do przypuszczenia, że miał już

dosyć tej względnej biedy i że właśnie to go wygnało tam daleko.

— ...Czy można było nie stać się jego przyjacielem, jeśli go się choć raz słyszało — ciągnęła dalej. — Pociągał ludzi ku sobie tym, co w nich było najlepsze. — Patrzyła we mnie usilnie. — To właściwość ludzi wielkich — mówiła, a jej niskiemu głosowi zdawały się towarzyszyć wszystkie dźwięki, które tam daleko słyszałem, dźwięki pełne tajemnicy, rozpaczy i smutku — szmer rzeki, szum drzew miotanych wiatrem, pomruk tłumów, słaby dźwięk niezrozumiałych słów krzykniętych z oddali, szept głosu odzywającego się zza progu wieczystej ciemności.

— Ale pan go słyszał! Pan wie! — zawołała.

— Tak, wiem — odrzekłem, czując w sercu coś na kształt rozpaczy, lecz pochyliłem głowę przed wiarą, która była w tej dziewczynie, przed jej wielkim i zbawczym złudzeniem, błyszczącym nieziemską jasnością wśród mroku, wśród tryumfującego mroku, przed którym nie byłbym mógł jej obronić — przed którym nie mogłem obronić nawet samego siebie.

— Co za strata dla mnie... dla nas! — poprawiła się ze szlachetną wspaniałomyślnością, po czym dodała szeptem: — Dla świata.

W ostatnich przebłyskach mierzchnącego[132] dnia widziałem blask jej oczu pełnych łez — łez, które spłynąć nie chciały.

— Byłam bardzo szczęśliwa... bardzo hojnie obdarowana przez los... bardzo dumna — mówiła dalej. — Zbyt hojnie

obdarowana. Zbyt szczęśliwa przez krótką chwilę. A teraz jestem nieszczęśliwa... na całe życie.

Podniosła się; jasne jej włosy zdawały się chwytać wszystko pozostałe światło i lśnić złotem. Wstałem także.

— A z tego wszystkiego — ciągnęła żałośnie — ze wszystkiego, co zapowiadał, z całej jego wielkości, z jego wspaniałomyślnej duszy, jego szlachetnego serca nie zostało nic — nic prócz wspomnienia. Pan i ja...

— Będziemy go zawsze pamiętać — rzekłem pospiesznie.

— Nie! — krzyknęła. — Niepodobna, aby to wszystko przepadło — aby takie życie zostało poświęcone, nie zostawiając po sobie nic prócz bólu. Pan wie, jakie rozległe miał plany. Wiedziałam o nich także — nie mogłam ich może zrozumieć — ale inni o nich wiedzieli. Coś musi pozostać. Jego słowa przynajmniej nie umarły.

— Jego słowa pozostaną — rzekłem.

— I jego przykład — szepnęła do siebie. — Ludzie podziwiali go, dobroć jego jaśniała w każdym czynie. Jego przykład...

— To prawda — rzekłem. — Został też jego przykład. Tak, jego przykład. Zapomniałem o tym.

— Ale ja nie zapominam. Nie mogę — nie mogę uwierzyć — jeszcze nie mogę. Nie mogę uwierzyć, że nigdy go już nie zobaczę, że nikt go już nie zobaczy — nigdy, nigdy, nigdy.

Wyciągnęła ramiona jakby za cofającą się postacią, wyciągnęła czarne ramiona ze splecionymi białymi dłońmi na tle światła mierzchnącego w wąskich oknach. Nigdy go już nie zobaczy. A ja widziałem go jednak wyraźnie. Będę

widział to wymowne widmo, póki żyję, i ją będę widział także jako tragiczny i bliski Cień — podobny w tym geście do innego Cienia — również tragicznego, co pokryty bezsilnymi amuletami wyciągnął nagie, brunatne ramiona nad połyskliwą, piekielną rzeką, rzeką mroku. Odezwała się nagle bardzo cicho:

— Umarł, jak żył.

— Jego śmierć — rzekłem czując, że wzbiera we mnie głuchy gniew — była pod każdym względem godna jego życia.

— A mnie przy nim nie było — szepnęła.

Gniew mój ustąpił uczuciu niezmiernej litości.

— Wszystko, co tylko dało się zrobić… — mruknąłem.

— Ach, ale ja w niego wierzyłam więcej niż ktokolwiek na ziemi — więcej niż jego własna matka, więcej niż… on sam. Potrzebował mnie! Mnie! Była bym przechowała każde jego westchnienie, każde słowo, każdy znak, każde spojrzenie.

Poczułem jakby zimny ucisk na piersi.

— Niech pani przestanie — rzekłem stłumionym głosem.

— Przepraszam pana. Ja… ja tak długo opłakiwałam go w milczeniu — w milczeniu… Pan z nim był — do ostatka? Myślę o jego samotności. Nie miał przy sobie nikogo, kto by go rozumiał tak, jak ja go rozumiałam. Może nie było nikogo, kto by usłyszał…

— Byłem przy nim aż do ostatniej chwili — rzekłem drżącym głosem. — Słyszałem jego ostatnie słowa… — Zamilkłem, przerażony.

— Niech pan mi je powtórzy — szepnęła rozdzierająco. — Potrzebuję — potrzebuję — czegoś — aby — aby — z tym żyć.

O mało co jej nie krzyknąłem: czyż pani tych słów nie słyszy? Zmierzch powtarzał je naokoło uporczywym szeptem, szeptem, który zdawał się wzbierać groźnie jak szmer zrywającego się wiatru: „Ohyda! Ohyda!”

— Ostatnie jego słowa... abym miała z czym żyć — prosiła. — Czy pan nie rozumie, że ja go kochałam — kochałam — kochałam!

Opanowałem się i wyrzekłem powoli:

— Ostatni wyraz, jaki wymówił, to było — pani imię.

Usłyszałem lekkie westchnienie i naraz[133] stanęło mi serce, zatrzymane przez straszliwy krzyk uniesienia, krzyk niepojętego tryumfu i niewypowiedzianego bólu:

— Wiedziałam — byłam pewna!...

Wiedziała. Była pewna. Słyszałem, jak płakała z twarzą ukrytą w dłoniach. Miałem wrażenie, że dom runie, nim zdołam uciec, że niebiosa zwalą mi się na głowę. Ale nic się nie stało. Niebiosa nie zapadają się dla takiej drobnostki. Ciekawym, czy by się zapadły, gdybym oddał Kurtzowi sprawiedliwość, na jaką zasłużył. Czyż nie powiedział, że pragnie tylko sprawiedliwości? Ale nie mogłem. Nie mogłem jej powiedzieć: byłoby się zrobiło za ciemno — beznadziejnie ciemno...

Marlow umilkł i siedział na uboczu, niewyraźny i milczący, w pozie zadumanego Buddy. Nikt się nie poruszył przez jakiś czas.

— Straciliśmy początek odpływu — rzekł nagle dyrektor.

Podniosłem głowę. Otwarte morze było zagrodzone czarną ławą chmur, a spokojny wodny szlak, wiodący do najdalszych krańców ziemi, ciągnął się, mroczny, pod zasępionym niebem, zdając się prowadzić w głąb niezmierzonej ciemności.

U kresu sił

I

Gdy parowiec „Sofala” skręcił ku lądowi, niskie błotniste wybrzeże jeszcze długi czas wyglądało jak smuga ciemności ciągnąca się za pasem rozjarzonego blasku. Promienie słońca, padając z siłą na spokojne morze, rozbijały się o diamentową powierzchnię w migotliwy pył, w olśniewającą, świetlistą mgłę, która oślepiała oczy i nużyła mózg ruchliwym blaskiem.

Kapitan Whalley nie patrzył na morze. Siedział w obszernym trzcinowym fotelu, wypełniając go całkowicie swoją osobą; gdy serang[134] zbliżył się i powiedział zniżonym głosem, że trzeba zmienić kurs, kapitan podniósł się natychmiast i stał z twarzą zwróconą ku przodowi, podczas gdy dziób statku obracał się o ćwierć koła. Kapitan nie odzywał się ani słowem, nie wydał nawet sternikowi rozkazu, aby utrzymać ten sam kurs. Zamiast kapitana wymruczał rozkaz serang, podeszły wiekiem, zwinny, drobny Malaj o bardzo ciemnej skórze. A Whalley znów zasiadł powoli w fotelu na mostku kapitańskim i utkwił oczy w pokładzie.

Nie spodziewał się ujrzeć nic nowego na owym morskim szlaku. Pływał wzdłuż tych brzegów już od trzech lat. Od Low Cape do Malantanu odległość wynosiła pięćdziesiąt mil; stary parowiec odbywał tę drogę w sześć godzin z prądem albo siedem przeciw prądowi. Potem sterowało

się prosto na ląd i wkrótce trzy palmy ukazywały się na widnokręgu, wysokie i smukłe, stykające się rozczochranymi głowami, jakby powierzały sobie plotki o ciemnych zaroślach mangrowych[135]. Dziób „Sofali” obracał się ku ciemnemu pasowi lądu; w pewnej chwili, gdy statek zbliżał się doń ukośnie, ukazywało się na wybrzeżu kilka jasnych, jakby lustrzanych odłamków; było to ujście rzeki, napełnione wodą po brzegi. Potem statek sunął przez brunatną ciecz — złożoną w trzech czwartych z wody i jednej czwartej z czarnej ziemi — między niskimi brzegami, złożonymi w trzech czwartych z czarnej ziemi i w jednej czwartej ze słonawej wody; dążył naprzód mozolnie, jak to czynił co miesiąc przez ostatnich siedem lat lub więcej, na długi czas zanim kapitanowi Whalleyowi przyszło na myśl, że będzie miał coś wspólnego z tym parowcem i jego podróżami nie podlegającymi nigdy zmianom.

Stary statek powinien był znać drogę lepiej niż jego załoga, z której nikt tak długo na „Sofali” nie służył; lepiej niż wiemy *serang* zabrany przez Whalleya z jego poprzedniego statku (zadaniem *seranga* było trzymanie wachty kapitańskiej); lepiej niż sam kapitan, który dowodził „Sofalą” zaledwie przez trzy ostatnie lata. Można było ufać parowcowi, że z kursu nie zejdzie. Jego kompas nie zawodził. W podróży nie było nigdy z tym statkiem kłopotu, jak gdyby jego sędziwy wiek dał mu wiedzę, mądrość i spokój. Przybijał do brzegu, nie odchylając się ani trochę od swego kierunku i trzymał się wyznaczonego czasu

prawie co do minuty. Czy kapitan siedział na mostku z oczami wbitymi w pokład, czy leżał bezsennie w łóżku, mógł zawsze powiedzieć, gdzie się statek znajduje, oznaczyć dokładnie jego miejsce na szlaku, po prostu obliczywszy dni i godziny. Znał dobrze ten monotonny objazd handlowego parowca, w górę i w dół przez cieśniny; znał jego rozkład, towarzyszące mu widoki, spotykanych po drodze ludzi. Najpierw Malakka; statek wchodził do portu w dzień i wychodził o zmierzchu, a potem przecinał niezmiennym fosforyzującym szlakiem ten wielki trakt Dalekiego Wschodu. Mrok i błyski na wodzie, jasne gwiazdy na czarnym niebie, czasem światła parowca w drodze do kraju, sunące w prostej linii środkiem traktu, to znów nieuchwytny cień tubylczego statku o żaglach z mat, mijający „Sofalę” szybko i cicho — rano zaś, po drugiej stronie cieśniny, płaskie wybrzeże. W następnym miejscu postoju, o południu, owe trzy palmy nad ospałą rzeką. Jedyny biały mieszkający w tej osadzie był człowiekiem młodym, dawnym marynarzem, z którym Whalley zaprzyjaźnił się w ciągu licznych podróży. Sześćdziesiąt mil dalej parowiec zatrzymywał się znów w głębokiej zatoce z paru domami na brzegu. I tak dalej w kółko; statek przybijał do brzegu i płynął w dalszą drogę, brał tu i ówdzie ładunek, a na zakończenie płynął spokojnie jakieś sto mil przez labirynt drobnych wysepek aż do rozległego miasta zamieszkanego przez krajowców. Stary parowiec wypoczywał tam trzy dni, zanim wyruszał w odwrotnym kierunku, oglądając te same brzegi ze strony przeciwnej,

słysząc te same głosy w tych samych miejscowościach, aż do swego macierzystego portu na wielkim wschodnim szlaku; w tym porcie statek zakotwiczał się prawie naprzeciwko ogromnej kamiennej budowli — urzędu portowego — i czekał na chwilę wyruszenia w ten sam objazd długości tysiąca sześciuset mil, objazd trwający dni trzydzieści.

Niewiele było w tym życiu rozmachu jak na kapitana Whalleya — Henryka Whalleya, zwanego Harrym Śmiałkiem — z „Kondora", słynnego ongiś klipra[136]; niewiele rozmachu jak na człowieka, który obsługiwał sławne firmy, dowodził sławnymi statkami (kilka z nich było jego własnością); który dokonał sławnych podróży, był pionierem nowych dróg i nowych gałęzi handlu; który sterował po nie zbadanych jeszcze szlakach mórz Południa i oglądał wschód słońca z wysp nie oznaczonych na mapie.

Pięćdziesiąt lat służby marynarskiej, z czego czterdzieści na wschodnich morzach („terminowałem dość gruntownie", mawiał z uśmiechem) sprawiło, że był zaszczytnie znany całemu pokoleniu armatorów i kupców we wszystkich portach, począwszy od Bombaju aż hen, tam gdzie Wschód stapia się z Zachodem na wybrzeżach obu Ameryk. Jego sława została uwieczniona — niezbyt wielkimi, lecz wyraźnymi głoskami — na mapach admiralicji. Była tam przecież, gdzieś między Australią a Chinami, wyspa Whalleya i rafa „Kondora". Na tę niebezpieczną formację koralową słynny kliper nadział się kiedyś i tkwił tam przez trzy dni; kapitan na czele załogi jedną ręką wyrzucał

ładunek za burtę, a drugą odpierał od statku całą flotyllę wojennych łodzi z dzikimi tubylcami. Ani wyspa, ani rafa nie istniały wówczas oficjalnie. W jakiś czas potem oficerowie jej królewskiej mości z parowca „Fusilier”, wysłani, aby tamten szlak zbadać, wybrali owe dwie nazwy w dowód uznania dla przedsiębiorczości człowieka i solidności statku. Poza tym każdy, kogo to interesuje, może stwierdzić w Skorowidzu Powszechnym (tom II str. 410), że opis „szlaku Malotuor Whalley” zaczyna się od słów: „Wygodna droga, odkryta w 1850 r. przez kapitana Whalleya na statku «Kondor»” itd., a kończy się gorącym poleceniem tej drogi skierowanym do żaglowców, wychodzących z portów chińskich w czasie od grudnia do kwietnia włącznie i kierujących się na południe.

Był to najczystszy zysk, jaki Whalley w życiu osiągnął. Nic nie mogło mu odebrać zdobytej sławy. Przebicie Kanału Sueskiego, jak wysadzenie tamy, wypuściło na Wschód roje nowych statków, nowych ludzi i nowe metody handlu. Zmieniło oblicze wschodnich mórz, a nawet ich ducha, tak że dawne doświadczenia kapitana Whalleya straciły wartość dla nowej generacji marynarzy.

W tamtych zamierzchłych czasach obracał kapitan Whalley wielu tysiącami funtów — własnych, i należących do jego mocodawców; zajmował się uczciwie, jak się tego od kapitana wymaga, sprzecznymi interesami armatorów, dzierżawców statków i akcjonariuszy. Nie stracił nigdy okrętu i nie zgodził się ani razu na niewyraźną transakcję; był jeszcze w pełni sił, przeżywszy okoliczności, które

pomogły mu do zdobycia sławy. Pochował żonę (w zatoce Peczili), wydał córkę za człowieka, którego niefortunnie wybrała i stracił majątek więcej niż średni wskutek bankructwa słynnego Towarzystwa Bankowego Travancore and Deccan, którego upadek wstrząsnął Wschodem jak trzęsienie ziemi. A teraz miał już sześćdziesiąt pięć lat.

II

Dźwigał swoje lata dzielnie, a bankructwa się nie wstydził. Nie on jeden wierzył w trwałość Towarzystwa Bankowego. Ludzie, którzy w sprawach finansowych byli równie biegli jak on w sprawach nawigacji, pochwalali przezorność, z jaką rozporządził swymi kapitałami, i sami stracili wiele pieniędzy w olbrzymim krachu. Na tym jedynie polegała różnica między Whalleyem a tamtymi, że on stracił wszystko. A jednak nie wszystko. Pozostał mu z przepadłego majątku bardzo ładny mały bark[137] „Piękne Dziewczę”; kapitan kupił go, aby mieć jakieś zajęcie, gdy się wycofa z pracy — kupił go „dla zabawy” — jak to sam określał.

Na rok przed wydaniem córki za mąż oświadczył jej najformalniej, że ma morza dosyć. Ale gdy młoda para osiadła w Melbourne, doszedł do przekonania, iż nie może czuć się szczęśliwy na lądzie. Był urodzonym kapitanem marynarki handlowej i żeglarstwo dla rozrywki nie mogło go zaspokoić. Musiał żyć w złudzeniu, że prowadzi wciąż interesy, a kupno „Pięknego Dziewczęcia” zabezpieczyło ciągłość jego życia na morzu. Przedstawiał bark znajomym w różnych portach jako twoje „ostatnie dowództwo”. Kiedy już będzie zbyt stary, żeby prowadzić statek, wycofa bark z obiegu i uda się na ląd oczekując śmierci, w testamencie zaś poleci, aby w dzień jego pogrzebu wyholowano statek

na głębię i tam zatopiono go z honorami. Córka nie będzie miała o to żalu, że nie chciał, aby ktoś obcy dowodził po nim ostatnim jego statkiem. Wobec majątku, który miał jej zostawić, wartość pięćsettonowego barku nie miała żadnego znaczenia. Krzepki starzec opowiadał to wszystko znajomym z żartobliwym błyskiem w oku; miał za wiele żywotności, aby oddawać się sentymentalnym żalom, czuło się jednak w tych słowach trochę smutku, gdyż kapitan wrósł mocno w życie; czerpał prawdziwą przyjemność w rozmaitym jego odczuwaniu i z jego darów, z wysokiego szacunku, jakim się cieszył, z bogactwa, z miłości do córki i z obcowania ze swym statkiem, rozrywką samotnych, bezczynnych dni.

Urządził sobie kajutę zgodnie ze swym wyobrażeniem o komforcie na morzu. Duża półka na książki (lubił bardzo czytać) zajmowała jedną ścianę; naprzeciw łóżka wisiał portret jego nieboszczki żony, płaskie malowidło olejne ciemne w kolorze; przedstawiało profil młodej kobiety o długim czarnym loku. Trzy chronometry[138] tykały Whalleyowi na dobranoc i witały go przy obudzeniu, współzawodnicząc z sobą szybkością rytmicznych głosików.

Wstawał co dzień o piątej. Oficer z nocnej wachty, pijąc wczesną filiżankę kawy na rufie obok steru, wysłuchiwał przez duży otwór mosiężnego wentylatora wszystkich plusków, sapań i parskań zwierzchnika przy myciu. Potem następował przeciągły, basowy pomruk Modlitwy Pańskiej recytowanej głośno, z powagą. Po upływie pięciu minut głowa i barki kapitana Whalleya wyłaniały się z wejściówki.

Przystawał zawsze chwilę na stopniach, rozglądając się po widnokręgu; patrzył w górę na ustawienie żagli i wdychał głębokimi haustami świeże powietrze. Dopiero wówczas wstępował na tylny pokład, odpowiadając na rękę podniesioną do daszka czapki majestatycznym i łaskawym: „Dzień dobry panu”.

Chodził po pokładzie sumiennie aż do ósmej. Z rzadka, nie częściej niż dwa razy na rok, musiał się posługiwać grubą laską podobną do maczugi; dolegała mu sztywność w biodrze — lekka reumatyczna przypadłość, jak sądził.

Poza tym nie znał żadnych cielesnych dolegliwości. Na odgłos dzwonka wzywającego na śniadanie schodził, aby nakarmić kanarki, nakręcić chronometry i zająć pierwsze miejsce za stołem. Naprzeciw tego miejsca wisiały wielkie fotografie córki kapitana, jej męża i dwojga małych dzieci o tłuściutkich nóżkach — jego wnuków; wszystkie fotografie były w czarnych ramkach wpuszczonych w klonową gródź kajuty. Po śniadaniu kapitan ścierał własnoręcznie ściereczką pył z tych fotografii i odkurzał olejny portret żony miotełką z piór, wiszącą zawsze na małym mosiężnym haczyku obok ciężkiej złotej ramy. Następnie zamykał drzwi od kajuty oficerskiej i zasiadał na kanapce pod portretem, aby przeczytać rozdział z grubej Biblii kieszonkowej — *jej* Biblii. Ale trafiały się dnie, kiedy zamiast czytać siedział jakie pół godziny z zamkniętą Biblią na kolanach, z palcem wsuniętym między kartki. Może przypominał sobie nagle, jak bardzo żona lubiła żeglować.

Była prawdziwym marynarzem i prawdziwą kobietą. Kapitan uważał po prostu za artykuł wiary, że nie istniało nigdy i nigdzie, ani na lądzie, ani na morzu, weselsze i milsze ognisko domowe niż właśnie to pod tylnym pokładem „Kondora”; wielka kajuta oficerska jaśniała bielą i złotem, uwieńczona niewiędnącymi nigdy girlandami kwiecia jakby na wieczne święto. W środku każdej z drewnianych płyt grodzi kapitanowa wymalowała pęk kwiatów ojczystych, a ta praca pełna miłości zajęła jej cały rok.

Dla kapitana pozostało to na zawsze cudem sztuki, najwyższym osiągnięciem gustu i techniki malarskiej; co się zaś tyczyło starego Swinburne’a, pierwszego oficera, za każdym razem, gdy schodził na posiłki, stawał przejęty zachwytem nad postępującą wciąż pracą kapitanowej. „Po prostu chciałoby się powąchać te róże” — oświadczał, wciągając nosem lekki zapach terpentyny, przenikający w owych czasach jadalnię; z powodu tego zapachu (jak się później Swinburne przyznał) stary oficer zabierał się do jedzenia trochę mniej ochoczo niż zwykle.

Ale nic nie przeszkadzało rozkoszować się śpiewem pani Whalley.

— Pani kapitanowa to istny słowik, panie kapitanie — orzekał Swinburne z miną znawcy, wysłuchawszy do końca pieśni, którą się rozkoszował w skupieniu, pochylony nad lukiem świetlnym.

W piękną pogodę, podczas drugiej krótkiej wachty obaj mężczyźni słuchali trylów i rulad rozlegających się

w kajucie przy akompaniamencie pianina. W dzień swoich zaręczyn kapitan napisał do Londynu po pianino, ale już przeszło rok byli po ślubie, gdy dotarło do nich, okrążywszy Przylądek Dobrej Nadziei. Przyszło w wielkiej pace stanowiącej część pierwszego frachtu wysłanego bezpośrednio z Londynu do Hong-Kongu i zostało wyładowane w porcie — a było to wydarzenie, które ludziom krzątającym się dziś po ruchliwych bulwarach tego miasta wydaje się równie odległe i mgliste jak zamierzchłe wieki historii. Ale kapitan Whalley potrafił w ciągu półgodzinnej samotności przeżyć całe swe życie wraz z jego romantyzmem, jego idyllą i jego smutkiem. Musiał sam zamknąć żonie oczy. Odeszła spod sztandaru jak żona marynarza i w głębi ducha była marynarzem. Kapitan odczytał nad nią pogrzebowe modlitwy z jej własnej książki do nabożeństwa i głos nie załamał mu się ani razu. Podniósłszy oczy znad książki, zobaczył naprzeciw siebie starego Swinburne’a z czapką przyciśniętą do piersi; poorana, schłostana przez wichry, nieporuszona twarz oficera ociekała kroplami wody jak złom czerwonego granitu wśród ulewy. Stary wilk morski mógł sobie na płacz pozwolić, lecz kapitan musiał doczytać modlitwę do końca. Rozległ się plusk; a potem Whalley niewiele już pamiętał z tego, co się działo przez kilka najbliższych dni. Stary marynarz z załogi, władający dobrze igłą, uszył dla dziecka żałobną sukienkę z czarnej sukni matki.

Nie wyglądało na to, aby kapitan mógł kiedy zapomnieć — lecz życia przegrodzić tamą nie można, jak się

przegradza ospały strumień. Życie wystąpi z brzegów i popłynie nad ludzką zgryzotą, zamknie się nad smutkiem jak morze nad martwym ciałem, bez względu na to, ile miłości poszło na dno. Ale świat nie jest zły. Ludzie okazali kapitanowi wiele dobroci, szczególnie pani Gardner, żona starszego wspólnika z firmy Gardner, Pattason i Sp., do której „Kondor” należał. Pani Gardner zaproponowała, że zajmie się małą, i we właściwym czasie zabrała ją do Anglii (była to wówczas podróż nie lada — nawet pocztą lądową) razem z własnymi córeczkami, aby dopełnić jej wychowania. Upłynęło dziesięć lat, zanim kapitan Whalley znów zobaczył córkę.

Już jako malutka dziewczynka nie bała się złej pogody i prosiła ojca, aby ją brał na pokład; umieszczał ją na piersi pod nieprzemakalnym płaszczem, skąd się przyglądała, jak wielkie bałwany walą się na „Kondora”. Kotłowanina i huk fal zdawały się napełniać jej duszyczkę niewypowiedzianą rozkoszą. „Marnuje się, powinna być chłopcem” — żartował kapitan Whalley. Nazwał ja Ivy[139] ze względu na dźwięk tego słowa; pociągnęła go także jakaś niewyraźna asocjacja. Ivy oplotła się mocno wokół jego serca; pragnął, aby wspierała się zawsze na ojcu jak na potężnym filarze, i zapominał, póki była malutka, że z natury rzeczy Ivy wybierze sobie pewnie kogoś innego, aby wesprzeć się na nim. Ale tak kochał życie, że nawet kiedy ta chwila nadeszła, potrafił wyciągnąć zeń pewne zadowolenie, niezależnie od głębokiego poczucia straty.

Kupił bark „Piękne Dziewczę” chcąc zapełnić czymś swoją samotność i wkrótce potem wziął niezbyt korzystny ładunek do Australii tylko po to, aby zobaczyć córkę w jej własnym domu. Nie czuł się tam dobrze, lecz nie dlatego, że Ivy wspierała się teraz na kimś innym; po prostu przekonał się, iż wybrana przez nią podpora wygląda przy bliższym zbadaniu na „dość słabą tyczkę” — nawet pod względem zdrowia. Sztuczna uprzejmość zięcia jeszcze mniej przypadła Whalleyowi do gustu niż sposób, w jaki zięć obracał pieniędzmi, które Ivy dostała w posagu. Ale nie zdradził się ze swymi obawami. Tylko w dniu wyjazdu, gdy stał już przy otwartych drzwiach hallu trzymając ręce córki i patrząc spokojnie w jej oczy, powiedział:

— Ty wiesz, kochanie, że wszystko, co mam, należy do ciebie i twoich bąków. Pamiętaj, żebyś zawsze pisała do mnie otwarcie.

Odpowiedziała mu prawie nieznacznym skinieniem głowy. Podobna była do matki z barwy oczu, z charakteru, a także i z tego, że rozumiała go prawie bez słów.

Oczywiście była zmuszona do niego się zwrócić, a przy czytaniu niektórych jej listów kapitan Whalley podnosił białe brwi wysoko. Zresztą uważał, że możność zaspokajania wszystkich życzeń Ivy jest najpiękniejszą nagrodą jego życia. Pierwszy raz od śmierci żony odczuł pewną radość. Charakterystyczne było dla kapitana, że na skutek ciągłych niepowodzeń zięcia powziął dlań na odległość coś w rodzaju sympatii. Ten człowiek rozbijał się o brzeg tak nieustannie, iż byłoby po prostu

niesprawiedliwością przypisywać to wyłącznie niedbałemu prowadzeniu statku. Tak, tak! Kapitan wiedział dobrze, jak się rzecz miała. Był to pech. Sam Whalley cieszył się szczęściem wprost niebywałym, ale widywał bardzo wielu dzielnych ludzi — nie tylko marynarzy — idących na dno jedynie dlatego, że mieli pecha, i dzięki temu umiał się poznać na złych symptomach. Z tych względów kapitan zaczął głęboko się zastanawiać, w jaki sposób zabezpieczyć najlepiej wszystko, co posiadał, gdy po wstępnej fali pogłosek (dosięgły go najpierw w Szanghaju) przyszedł wstrząs wielkiego bankructwa; minęły kolejne fazy osłupienia, niedowierzania, gniewu i kapitan musiał pogodzić się z faktem, że właściwie nie zostawi po sobie żadnego majątku.

I właśnie wówczas pechowiec w dalekim Melbourne, jakby czekał tylko na tę katastrofę, zaprzestał rujnujących go interesów i osiadł na lądzie — jako beznadziejnie chory w dodatku. „Nigdy już nie będzie mógł chodzić” — pisała jego żona. Po raz pierwszy w życiu lęk targnął Whalleyem.

Bark „Piękne Dziewczę” musiał teraz pracować z twardej konieczności. Nie chodziło już o utrzymanie na wschodnich morzach żywej pamięci o Harry’m Śmiałku ani o zaopatrzenie starego człowieka w pieniądze kieszonkowe i ubranie, z dodatkiem paruset pierwszorzędnych cygar, na które przysyłano rachunek z końcem roku. Trzeba było zebrać wszystkie siły i wyzyskać statek, ile się tylko dało, wydzielając mu skąpo pozłoty na okazałe, lecz tandetne rzeźby zdobiące dziób i rufę.

Ta konieczność otworzyła oczy kapitana na zasadnicze zmiany, jakie dokonały się w świecie. Z dawnego życia Whalleya pozostały tylko tu i ówdzie znane mu nazwiska, ale przeminęło już wszystko, co znał dawniej — i rzeczy, i ludzie. Firma Gardner, Patteson i Sp. widniała jeszcze wciąż na ścianach składów wzdłuż nabrzeża, na mosiężnych tabliczkach i szybach w handlowej dzielnicy niejednego wschodniego portu, ale w spółce nie było już ani Gardnera, ani Pattesona. I nie było też dla kapitana Whalleya fotela i życzliwego powitania w prywatnym gabinecie; nie proponowano mu dobrego interesu jako dawnemu przyjacielowi, przez pamięć na usługi, które kiedyś wyświadczył. Mężowie panien Gardner siedzieli przy biurkach w tym samym pokoju, do którego kapitan mógł zawsze wejść za czasów poprzedniej dyrekcji, choć już od dawna rzucił posadę w firmie. Statki spółki miały teraz żółte kominy z czarnym obramieniem i nie przymierzając jak tramwaje stosowały się do rozkładu wyznaczonych z góry podróży. Wiatry grudniowe i czerwcowe nic tych parowców nie obchodziły; kapitanowie ich, dzielni młodzieńcy (Whalley nie wątpił o tym), byli na pewno obznajmieni z wyspą Whalleya, ponieważ w ostatnich latach rząd umieścił latarnię morską o białym świetle u północnego krańca tej wyspy (z sektorem czerwonym nad rafą Kondora), ale większość z nich byłaby się zdumiała słysząc, że istnieje jeszcze Whalley z krwi i kości — starzec, który się błąka po świecie, usiłując wynaleźć tu i ówdzie ładunek dla swego małego barku.

I wszędzie było to samo. Znikli ludzie, którzy pokiwaliby głową z uznaniem, słysząc jego nazwisko, i którym honor nakazywałby coś uczynić dla Harry’ego Whalleya Śmiałka. Znikły okazje, które umiałby chwycić w lot; a wraz z nimi przepadło białoskrzydłe stado kliprów, co żyły wśród burzliwych, niepewnych wichrów, wyławiając wielkie fortuny z morskiej piany. W tym nowym świecie obcinano zarobki do ostateczności, nękano kablogramami zbiedniałych dzierżawców statków na trzy miesiące przed terminem i obliczano dwa razy dziennie pustą przestrzeń w ładowniach; gdzież tu były szanse powodzenia dla człowieka błąkającego się na los szczęścia wraz z małym barkiem — taki człowiek ledwie miał prawo istnieć!

Z każdym rokiem życie stawało się trudniejsze. Whalley cierpiał bardzo, że nie może posyłać córce więcej pieniędzy. Przestał w owym czasie palić dobre cygara, a nawet palenie lichszych cygar ograniczył do sześciu sztuk na dzień. Nie mówił Ivy nigdy o swych kłopotach, a ona nie rozwodziła się przed nim nad trudnościami walki o byt. Zaufanie, jakie czuli do siebie, nie potrzebowało wyjaśnień; głębokie porozumienie między ojcem a córką trwało wciąż, bez zapewnień o wdzięczności i bez wymówek. Raziłoby kapitana, gdyby nagle przyszło Ivy do głowy otwarcie ojcu dziękować; natomiast uznał za najzupełniej naturalne, gdy go zawiadomiła, że potrzebuje dwustu funtów.

Wprowadził bark pod balastem do portu macierzystego „Sofali”, aby starać się o jakiś ładunek, i tam go doszedł list córki. Nie ma co prawdy ukrywać, pisała Ivy. Jedynym dla

niej ratunkiem byłoby otworzenie pensjonatu, który ma, zdaje się, dobre widoki. Dlatego też zdecydowała się szczerze ojcu powiedzieć, że z dwustu funtami w ręku mogłaby już coś rozpocząć. Kapitan rozerwał szybko kopertę na pokładzie, odebrawszy pocztę przesłaną przez okrętowego kupca; wręczono mu ją właśnie w chwili, gdy się zakotwiczał. Przeraził się po raz drugi w życiu i stał jak wryty u drzwi kabiny z listem w drżących rąkach. Ivy chce otworzyć pensjonat! Dwieście funtów na początek! Jedyny ratunek! A on nie rozporządzał i dwustu pensami.

Przez całą tę noc kapitan Whalley chodził po rufie swego zakotwiczonego barku, zupełnie jakby miał przybić do lądu w złą pogodę, niepewny pozycji statku po wielu chmurnych dniach bez widoku słońca, księżyca i gwiazd. Wśród czarnej nocy migotały światła orientacyjne i nieruchome, proste linie latarni na wybrzeżu; naokoło zaś „Pięknego Dziewczęcia” padały na wodę redy[140] drżące pasemka od świateł kotwicznych. Ale kapitan Whalley żadnych świateł nie widział, o świcie zaś przekonał się, że jego ubranie przemokło na wskroś od obfitej rosy.

Bark był już obudzony. Kapitan stanął, przesunął ręką po mokrej brodzie i znużonymi krokami zszedł tyłem z drabiny pomostu. Pierwszy oficer, wałęsający się sennie po pokładzie, zobaczył zwierzchnika właśnie w chwili, gdy ziewał szerokim przedrannym ziewnięciem, i ze zdumienia zapomniał zamknąć usta.

— Dzień dobry panu — wyrzekł uroczyście kapitan Whalley, idąc do swojej kajuty. Lecz w drzwiach przystanął

i nie oglądając się, powiedział: — Ale, ale, powinna tam być w schowku pusta drewniana paka. Chyba jej nie porąbali — co?

Oficer zamknął usta i spytał jakby w osłupieniu:

— Drewniana paka, panie kapitanie?

— Tak, duża płaska paka od tego obrazu, co wisi w moim pokoju. Niech pan każe ją wynieść na pokład i powie cieśli, żeby ją obejrzał. Może wkrótce będzie mi potrzebna.

Pierwszy oficer stał jak skamieniały, póki nie usłyszał, iż drzwi od kajuty kapitana się zatrzaskują. Kiwnął wówczas palcem na drugiego oficera i powiedział mu, że „coś się święci”.

Gdy zadzwoniono na drugie śniadanie, władczy głos kapitana Whalleya zahuczał przez zamknięte drzwi:

— Siadajcie, panowie, proszę na mnie nie czekać.

Zdumieni oficerowie usiedli na swych miejscach, zamieniając nad stołem spojrzenia i szepty. Jak to? Nie będzie jadł drugiego śniadania? A w dodatku całą noc włóczył się po pokładzie! Nie ma dwóch zdań, że coś się święci. Pod lukiem nad ich głowami, schylonymi poważnie każda nad swym talerzem, trzy druciane klatki skrzypiały, kołysząc się od skakania niespokojnych, głodnych kanarków. Z kajuty „starego” dochodziły odgłosy świadczące, że kapitan krząta się po niej spokojnie. Nakręcił metodycznie chronometry, odkurzył portret nieboszczki żony, wydobył z szuflady czystą koszulę i przygotowywał się w swój dokładny, nieśpieszny sposób do

wyjścia na brzeg. Tego ranka nie mógłby nic przełknąć. Postanowił sprzedać swój bark.

III

Właśnie o tym samym czasie Japończycy poszukiwali na wszystkie strony statków europejskiej konstrukcji i kapitan Whalley nie miał trudności w znalezieniu nabywcy-spekulanta, który targował się ząb za ząb, ale zapłacił gotówką za „Piękne Dziewczę”, spodziewając się, że odprzeda statek z korzyścią. I tak się to stało, że kapitan Whalley schodził pewnego popołudnia ze stopni prowadzących do jednego z największych urzędów pocztowych Wschodu i trzymał w ręku niebieskawy pasek papieru. Był to kwit na list polecony, zawierający dwustofuntowy czek wysłany do Melbourne. Kapitan Whalley wetknął kwit do kieszeni w kamizelce, wyjął laskę spod pachy i ruszył w dół ulicą.

Szedł niedawno otwartym, nie uporządkowanym jeszcze traktem o prymitywnych chodnikach i miękkim pokładzie kurzu, który zaścielał całą szerokość jezdni. Ów trakt dotykał z jednego końca nędznej uliczki biegnącej wśród chińskich sklepów blisko portu, a z drugiego ciągnął się na przestrzeni paru mil przez niezabudowane tereny, pokryte miejscami roślinnością właściwą dżungli; dochodził aż do bramy wiodącej na dziedziniec Zjednoczonej Spółki Dokowej. Pospolite fronty nowych budynków rządowych przeplatały się z czarnym ogrodzeniem pustych parceli, a widok nieba zdawał się dodawać przestrzeni szerokiej

ulicy. Była pusta; krajowcy unikali jej po godzinach pracy, jakby spodziewając się, że któryś z tygrysów, gnieżdżących się w sąsiedztwie nowych wodociągów na wzgórzu, przybiegnie galopka środkiem traktu, aby schwytać sobie na kolację chińskiego sklepikarza.

Idąc pustką wspaniale zarysowanej alei, kapitan Whalley nie wydawał się pomniejszony. Miał na to zbyt piękną prezencję. Jego samotna postać o wielkiej białej brodzie jak u pielgrzyma dążyła widać do jakiegoś określonego celu; w ręku trzymał grubą laskę podobną do maczugi. Z jednej strony ulicy stał nowy gmach sądu o niskim portyku bez ozdób, zaopatrzony w przysadziste kolumny na wpół ukryte za kilku starymi drzewami, które tam pozostawiono. Z drugiej strony boczne skrzydła nowego gmachu skarbowego kolonii dochodziły aż do chodnika. Kapitan Whalley, który nie miał teraz ani okrętu, ani domu, przypomniał sobie przechodząc, że na tym samym miejscu — kiedy pierwszy raz przyjechał z Anglii — była wieś rybacka: kilka szałasów zbudowanych z mat wznosiło się na palach między błotnistą zatoką o poziomie wody zależnym od przypływu i odpływu a bagnistą ścieżką, która biegła dalej, wijąc się wśród splątanego gąszczu, gdzie nie było żadnych doków ani też wodociągów.

Kapitan Whalley nie posiadał już statku — a zatem i domu. A biedna jego Ivy tam daleko również domu nie posiadała. Pensjonat nie jest domem, choć może być środkiem utrzymania. Uczucia kapitana były dotkliwie urażone projektem pensjonatu. Stanowisko społeczne

Whalleya dało mu to usposobienie prawdziwie arystokratyczne, nacechowane pogardą dla snobizmu i uprzedzeniem do niektórych zajęć jakoby uwłaczających ludzkiej godności. Osobiście wolał zawsze służbę na statku handlowym (gdyż jest to zajęcie uczciwe) niż kupno i sprzedaż towarów, zawód polegający w gruncie rzeczy na tym, aby kogoś nabrać przy targu — co w najlepszym razie jest próbą sprytu pozbawioną godności. Ojciec kapitana, emerytowany pułkownik ze Wschodnio-Indyjskiej Kompanii, posiadał bardzo małe środki poza swoją pensją, ale bardzo wysokie stosunki. Kapitan pamiętał z chłopięcych lat, jak często kelnerzy w gospodach, wiejscy przekupnie i różni inni ludzie tej kategorii mówili do starego żołnierza „panie hrabio”, sądząc z jego wyglądu.

Sam kapitan Whalley (byłby wstąpił do marynarki wojennej, gdyby ojciec go nie odumarł jako trzynastoletniego chłopca) wyglądał imponująco, niby stary admirał okryty sławą. Mimo to zgubił się — jak słomka w wirze strumienia — wśród roju brunatnych i żółtych ludzi zapełniających przecznicę, która przez kontrast z opuszczoną przez kapitana szeroką i pustą aleją wydawała się wąska jak ścieżka i kipiąca życiem. Ściany domów były niebieskie; chińskie sklepy rozwierały się niby jaskinie; stosy nieokreślonych towarów wysypywały się z mroku pod długim rzędem arkad, a ognisty, pogodny zachód słońca przesycał żarem środek ulicy przez całą jej długość niby odblask pożogi. Ten odblask padał na jasne ubiory i ciemne twarze bosego tłumu, na bladożółte plecy

półnagich przepychających się kulisów[141], na strój wysokiego kawalerzysty Sikha[142] o rozdzielonej brodzie i zabójczych wąsach, stojącego na straży przed bramą policyjnego budynku. Przepełniony tramwaj górował wysoko nad tłumem w czerwonej mgle pyłu, płynąc ostrożnie wśród ludzkiego potoku, i trąbił bez przerwy, niby parowiec szukający drogi wśród mgły.

Kapitan Whalley wyłonił się jak nurek po drugiej stronie ulicy i w zacienionej pustce między ścianami zamkniętych składów zdjął kapelusz, aby ochłodzić czoło. Ze stanowiskiem gospodyni pensjonatu łączyła się pewnego rodzaju niesława. Mówiono o kobietach tego zawodu, że są chciwe, niesumienne, niegodne zaufania; kapitan ani myślał potępiać jakąkolwiek kategorię bliźnich — uchowaj Boże! — ale uważał, iż nie godzi się, aby ktoś z rodu Whalleyów był narażony na tego rodzaju podejrzenia. Lecz nie odmawiał córki od jej projektu. Wierzył, że Ivy podziela jego uczucia, i było mu jej żal; polegał na jej zdaniu, a przy tym uważał za łaskawe zrządzenie losu, że raz jeszcze może jej pomóc; ale w głębi arystokratycznego ducha czuł, iż łatwiej by mu przyszło pogodzić się z tym, że jego córka zostanie szwaczką. Przypominał sobie coś niecoś z przeczytanego przed laty wzruszającego wiersza pod tytułem *Piosenka o koszuli*. Dobrze to komu pisać wiersze o ubogich kobietach. Wnuczka pułkownika Whalleya właścicielką pensjonatu! Brr! Włożył z powrotem kapelusz, przeszukał kieszenie i zatrzymawszy się, aby przytknąć zapałkę do

końca taniego cygara, dmuchnął z goryczą obłokiem dymu na świat zawierający takie niespodzianki.

Jednego był kapitan pewien, mianowicie tego, że Ivy jest nieodrodnym dzieckiem mądrej matki. Teraz, kiedy już miał poza sobą rozdzierające pożegnanie ze statkiem, widział jasno, iż sprzedaż barku była krokiem nieuniknionym. Może poczucie konieczności od dawna już wzrastało w nim nieświadomie. Ale ona, hen tam daleko, odczuła widać intuicją ową konieczność i miała odwagę nie tylko stawić czoło prawdzie, lecz ją wypowiedzieć; dzięki tym samym zaletom matka jej dawała tak doskonałe rady.

Do tego dojść w końcu musiało. Całe szczęście, że Ivy przynagliła ojca do decyzji. Jeszcze parę lat i sprzedaż na nic by się już nie przydała. Z roku na rok kapitan wpadał w coraz gorsze tarapaty chcąc się przy statku utrzymać. Czuł się bezbronny wobec podstępów złego losu, którego jawnym atakom umiałby się przeciwstawić; podobny był do skały opierającej się niewzruszenie otwartym napadom morza, a jednocześnie ignorującej wyniośle fakt, że fale ją podmywają zdradliwie od podstaw. Teraz zaś, po uregulowaniu wszystkich zobowiązań i po zadosyćuczynieniu prośbie córki, została kapitanowi z tej transakcji suma pięciuset funtów, ulokowana bezpiecznie. Prócz tego miał przy sobie czterdzieści kilka dolarów — dość, aby zapłacić hotelowy rachunek, jeśli nie będzie mieszkał zbyt długo w skromnym pokoju, który zajmował.

Ów pokój o woskowanej posadzce, skąpo umeblowany, otwierał się na jedną z bocznych werand. Niesymetryczny

budynek z cegły, przewiewny jak klatka, rozbrzmiewał łopotem zasłon z rotanu[143], targanych przez wiatr bez ustanku. Zasłony te wisiały między bielonymi kwadratowymi filarami frontu zwróconego do morza. Pokoje były wysokie, po sufitach pomykały błyski słońca odbitego w wodzie. Tłumy turystów z pasażerskich statków zawijających do portu przebiegały raz po raz mroczne, omiatane wiatrem pokoje, napełniając je zgiełkiem obcych głosów; zaludniały hotel na krótko jak gromady wędrownych cieniów, skazanych na krążenie z zawrotną szybkością naokoło ziemi bez zostawiania po sobie śladów. Gwar tych najazdów ulatniał się równie szybko, jak powstawał; turyści znikali z leżaków na werandach i z przewiewnych korytarzy, po których biegali gorączkowo w pogoni za widokami; a kapitan Whalley, krzepki, majestatyczny, zostawał prawie sam w wielkim hotelu po każdym z tych beztroskich najazdów i czuł się coraz bardziej jak rozbitek-turysta nie mający przed sobą celu — jak zbłąkany, bezdomny podróżnik.

W samotności swego pokoju palił zamyślony, patrząc na dwie marynarskie skrzynki, zawierające wszystko, co na tym świecie mógł nazwać swoją własnością. Gruby zwój map okrytych pokrowcem z żaglowego płótna stał w kącie pokoju, a płaska paka z olejnym portretem i trzema matowymi fotografiami znajdowała się pod łóżkiem.

Kapitan Whalley czuł się znużony omawianiem warunków, asystowaniem przy oglądaniu statku, całym zwykłym przebiegiem takiej transakcji. To, co dla jego

kontrahentów było po prostu sprzedażą statku, stanowiło dla niego wielkie wydarzenie, pociągając za sobą radykalną zmianę życia. Wiedział, że po tym statku nie będzie już miał żadnego innego, a przecież wszystkie nadzieje jego młodości, możność wykonywania swego zawodu, wszystkie uczucia i czyny jego męskich lat były nierozdzielnie związane ze statkiem. Służył na statkach; bywał właścicielem statków; a nawet te lata, kiedy zerwał z morzem, osładzała mu jedynie myśl, że niech tylko wyciągnie rękę pełną pieniędzy, a będzie znowu miał statek. Mógł z łatwością się łudzić, że posiada wszystkie statki na świecie. Sprzedaż tego ostatniego przyszła mu bardzo ciężko, a gdy „Piękne Dziewczę” przestało już być jego własnością, kiedy podpisał ostatnie pokwitowanie, doznał wrażenia, że wszystkie okręty znikły naraz ze świata, zostawiając go na brzegu niedostępnych oceanów z siedmiuset funtami w kieszeni.

Szedł nieśpiesznie bulwarem, stawiając duże, stanowcze kroki i odwracał wzrok od redy tak dobrze mu znanej. Dwa pokolenia marynarzy, urodziły się od czasu, gdy spędził pierwszy dzień na morzu; dwa pokolenia stały między nim a tymi zakotwiczonymi statkami. Jego statek był sprzedany. Kapitan zadał sobie pytanie: „Co dalej?”

Z tego uczucia samotności, wewnętrznej pustki i bólu — bo miał wrażenie, że wyrwano mu duszę z ciała — wynikło przede wszystkim pragnienie, aby jechać natychmiast do córki.

— Oto mój ostatni grosz — powie jej — weź go, kochanie. I oto twój stary ojciec: musisz go także wziąć.

Wzdrygnął się w duchu, jakby przerażony uczuciem kryjącym się na dnie tego popędu. Poddać się? Nigdy! Kiedy człowiek jest zmęczony bez granic, różne głupstwa przychodzą mu do głowy. Ładny byłby to dar dla biednej kobiety, te siedemset funtów obciążone czerstwym starcem, który według wszelkiego prawdopodobieństwa mógł jeszcze żyć długie lata. Przecież kapitan potrafi umrzeć na posterunku nie gorzej od któregokolwiek z młodzików dowodzących tamtymi zakotwiczonymi statkami. Czuł się również silny jak dawniej.

Ale kto mu da pracę? To była zupełnie inna sprawa. Gdyby zaczął chodzić i szukać miejsca drugiego oficera — ze swym wyglądem i swą przeszłością — nie braliby go ludzie poważnie; a gdyby zdołał ich przekonać, że potrzebuje zarobku, wzbudziłby może litość — co równałoby się zwleczeniu ubrania, aby się dać obić. Nie miał ochoty podjąć się pracy za psie pieniądze. Nie chciał przyjmować niczyjej litości. Ale z drugiej strony trudno było oczekiwać, aby dowództwo — jedyne stanowisko, o jakie mógł się ubiegać nie naruszając zwykłej przyzwoitości — czyhało na niego za zakrętem najbliższej ulicy. W dzisiejszych czasach dowództwa nie sypią się jak z rękawa. Od chwili kiedy wysiadł na ląd, aby przeprowadzić transakcję sprzedaży, nadstawiał wciąż ucha, ale nie doszła go żadna wiadomość o wakującym dowództwie. A nawet gdyby coś się znalazło, cała świetna

przeszłość kapitana stałaby mu na przeszkodzie. Zbyt długo był swym własnym zwierzchnikiem. Jedyne zaświadczenie, jakie mógł przedstawić, było to świadectwo całego życia. Czy można wymagać lepszego polecenia? Ale czuł niejasno, że ten jedyny dokument będzie uważany za osobliwy archaizm wschodnich wód, za świstek zapisany przestarzałymi wyrazami — w na wpół zapomnianym języku.

IV

Obracając w głowie te myśli, wałęsał się wzdłuż bariery bulwaru; szerokie jego plecy ani trochę nie były pochylone, jakby nie uczuły nigdy ciężarów, które człowiek musi dźwigać między kolebką a grobem. Spokojnych rysów kapitana nie szpeciła żadna zmarszczka, oznaka przebytych zgryzot. Twarz jego była okrągła i wcale nie opalona; górna jej część pełna spokoju wyłaniała się ze spływającej srebrzystej brody. Cerę miał jasną, uderzająco delikatną i szerokie, potężne czoło. Pierwsze spojrzenie Whalleya padało na interlokutora niewinne i szybkie jak u chłopca, lecz dzięki nastrzępionej śnieżnobiałej strzesze brwi grzeczna jego uwaga nabierała cech bystrej badawczości. Z wiekiem trochę utył, powiększył swoją objętość jak stare drzewo, nie zdradzające żadnych oznak rozkładu; i nawet obfite fale białych włosów na jego piersi wydawały się oznaką niewyczerpanej żywotności i siły.

Był ongi dość dumny z wielkiej siły fizycznej i nawet ze swego wyglądu; świadom tego, co jest wart, nieugięty w prawości, zachował na zawsze, niby dziedzictwo po dawnych świetnych czasach, spokojny sposób bycia człowieka, który sprostał pod każdym względem wybranemu przez siebie życiu.

Szedł spokojnym i pewnym krokiem; jego stara szerokoskrzydła panama[144] o wąskiej czarnej wstążce miała

niską główkę przeciętą głęboką fałdą od przodu aż do tyłu. Dzięki temu niezniszczalnemu, trochę spłowiałemu nakryciu głowy kapitan Whalley łatwo był dostrzegalny na zatłoczonych nabrzeżach i wśród ulicznego tłoku. Nie uznawał białych hełmów korkowych, które weszły w modę. Nie lubił ich kształtu i miał nadzieję, że do końca życia utrzyma się w formie bez pomocy tych wszystkich wynalazków ułatwiających higieniczną wentylację. Włosy strzygł krótko, bieliznę miał zawsze niepokalanej białości; ubranie z cienkiej popielatej flaneli, znoszone, lecz wyczyszczone starannie, spływało wzdłuż potężnych członków kapitana, powiększając luźnym krojem jego objętość. Wiek złagodził wesołą, spokojną śmiałość młodych jego lat, przeistaczając ją w beztroską pogodę; swobodny stuk okutej żelazem laski, uderzającej o płyty chodnika, towarzyszył jego krokom odgłosem zdradzającym pewność siebie. Niepodobna[145] było przypuszczać, aby człowiek o tak pięknej prezencji i niezmąconej pogodzie miał coś wspólnego z małostkowymi troskami, które wynikają z ubóstwa; zdawało się, iż całe życie Whalleya maluje się w jego postaci — życie łatwe, prowadzone na szeroką skalę, równie wygodne jak okrywające kapitana ubranie.

Nierozsądny lęk, aby nie naruszyć pięciuset funtów na osobiste wydatki w hotelu, mącił spokojną równowagę Whalleya. Nie było czasu do stracenia. Rachunek rósł coraz bardziej. Kapitan żywił nadzieję, że nawet gdyby go wszystko zawiodło, mógłby może z pomocą tych pięciuset funtów dostać jakąś pracę, a ta praca, dając mu środki

utrzymania (niewiele by na nie wydawał), pozwoliłaby mu przyjść córce z pomocą. W swoim wyobrażeniu obracał jej, Ivy, pieniędzmi, nie zaś własnymi, i to wyłącznie dla jej korzyści. Kiedy dostanie pracę, będzie oddawał córce większą część zarobków; czuł się na siłach pracować jeszcze przez dobrych kilka lat, a cała ta historia z pensjonatem — rozważał — baz względu na to, jak się w przyszłości rozwinie, nie może być od razu kopalnią złota.

Ale jaką on pracę dostanie? Gotów był podjąć się każdego uczciwego zajęcia, byle tylko zacząć prędko zarabiać, albowiem owe pięćset funtów trzeba zachować nietknięte na wszelki wypadek. To było najważniejsze. Posiadając całe pięćset funtów czuł jakiś grunt pod nogami; lecz wydawało się kapitanowi, że jeśli pozwoli, aby jego kapitalik zmniejszył się do czterystu pięćdziesięciu, a nawet czterystu osiemdziesięciu funtów, pieniądze stracą całą skuteczność, jakby w okrągłości sumy była zawarta siła magiczna. Ale jakiego rodzaju pracę zdobędzie?

Pytanie to prześladowało go jak niespokojny duch, na którego nie ma egzorcyzmu. Kapitan Whalley zatrzymał się nagle na środku stromego mostka łączącego dwa granitowe brzegi uregulowanego potoku. Morskie prau[146] malajskie o spuszczonych rejach, zacumowane między kwadratowymi blokami kamienia, tkwiło na wodzie na wpół ukryte pod murowanym łukiem; na pokładzie, zasłoniętym od dziobu do rufy matami z liści palmowych, nie było śladu życia. Kapitan zostawił za sobą nagrzane chodniki obrzeżone kamiennymi barierami, które niby prostopadłe ściany skał

wyginały się zależnie od linii bulwaru; rozległa przestrzeń starannie utrzymanego parku roztaczała przed nim wielkie płaty strzyżonej trawy jak gładkie zielone dywany rozpięte na gwoździach — oraz długie rzędy drzew, uszeregowanych w olbrzymie kolumnady ciemnych trzonów o sklepieniu z gałęzi.

Niektóre z tych alei ciągnęły się aż do morza. Wybrzeże opadało tarasami, a dalej, na gładkiej wodnej przestrzeni, głębokiej i połyskliwej jak spojrzenie ciemnobłękitnych oczu, ukośny pas nakrapiany purpurą ciągnął się w nieskończoność przez otwór dzielący dwie zielone bliźnie wysepki. Hen daleko, na zewnętrznej redzie, maszty i reje kilku statków o niewidocznych kadłubach wznosiły się prosto z wody delikatną plątaniną różowych linii, rysujących się na cienistej smudze wschodniego brzegu. Kapitan Whalley ogarnął je długim spojrzeniem. Statek, który dawniej był jego własnym, stał tam również na kotwicy. Okropna była myśl, że nie mógł już teraz wsiąść z bulwaru do łódki i kazać się wieźć do niego, gdy wieczór zapadnie. Nie mógł już kazać się wieźć na żaden statek. I tak będzie pewno zawsze. Przed zakończeniem sprzedaży, póki nie odebrał jeszcze pieniędzy, spędzał co dzień kilka godzin na pokładzie „Pięknego Dziewczęcia”. Pieniądze wypłacono mu dziś rano i nagle poczuł, że nie ma na świecie statku, na którym by mógł znaleźć się każdej chwili; nie ma już statku, który by potrzebował jego obecności, żeby wykonywać swoją pracę — żeby żyć. Wydało mu się, iż taki stan rzeczy jest niewiarygodny, zbyt dziwaczny, aby

mógł trwać. A morze pełne było statków wszelakiego rodzaju. Oto tutaj prau stoi bez ruchu, spowite w osłonę z plecionych liści palmowych — ono ma także swego człowieka, który jest dlań niezbędny. Żyją z siebie nawzajem, ten Malaj, którego kapitan Whalley nie widział nigdy na oczy, i ten stateczek o wysokiej rufie, zdający się wypoczywać po długiej podróży. A ze wszystkich statków na widnokręgu, i bliskich, i dalekich, każdy był zaopatrzony w człowieka, bez którego najpiękniejszy okręt jest rzeczą martwą, kłodą unoszącą się na wodzie bez celu.

Rzuciwszy na redę jedno jedyne spojrzenie, kapitan Whalley szedł dalej, ponieważ nie miał dokąd wracać, a trzeba było jakoś zabić czas. Aleje wielkich drzew biegły prosto przez Esplanadę, przecinając się pod różnymi kątami; pnie, wyglądające od dołu jak kolumny, rozrastały się bujnie. Splecione w górze gałęzie zdawały się drzemać; żaden listek nie drgnął nad głową; wysokie, smukłe latarnie z lanego żelaza, pozłacane jak berła i zmniejszające się w długiej perspektywie, stały na środku jezdni dźwigając kule z białej porcelany; wyglądało to niby prymitywna dekoracja ze strusich jaj ustawionych rzędem. Rozpłomienione niebo zapalało drobną purpurową iskrę w każdej z połyskliwych, szklistych kul.

Kapitan Whalley szedł z głową trochę schyloną; ręce jego splecione na plecach trzymały laskę, która żłobiła cienki falisty ślad za jego stopami. Rozmyślał o tym, że jeżeli statek bez człowieka jest jak ciało pozbawione duszy, marynarz bez statku niewiele więcej znaczy na tym świecie

niż zbędna kłoda rzucona morskim falom na igraszkę. Taka kłoda może być zdrowa, krzepka, odporna na zniszczenie — ale cóż z tego! I nagle poczucie nieodwołalnej bezczynności zaciążyło stopom kapitana jak wielkie zmęczenie.

Rząd otwartych pojazdów toczył się nad morzem po świeżo zbudowanym bulwarze. Poprzez rozległe gazony widać było wibrujące dyski szprych. Jasne kopuły parasolek kołysały się lekko nad powozami jak rozkwitłe kwiaty wychylone z brzegów wazonu; na tle spokojnej, ciemnoniebieskiej tafli morza, przeciętej pasem purpury, wirowały koła i konie przebierały szybko nogami, a głowy służących Hindusów, wzniesione ponad linię horyzontu, sunęły po bledszym błękicie nieba. Wśród otwartej przestrzeni w pobliżu małego mostka każdy z powozów, jadąc szybkim kłusem, zataczał szeroki łuk i oddalał się od zachodzącego słońca, po czym stangret ściągał lejce i wjeżdżał w główną aleję. Pojazdy tworzyły długi rząd, który sunął powoli, zostawiając poza sobą rozległą, cichą czerwień nieba.

Pnie potężnych drzew miały czerwone piętna z jednej strony, powietrze zdawało się gorzeć pod wysokim listowiem, nawet ziemia deptana końskimi kopytami była czerwona. Koła toczyły się uroczyście; jedna po drugiej parasolki opadały, zwijając swe barwy jak wspaniałe kwiaty zamykające kielichy u schyłku dnia. W tym półmilowym korowodzie ludzkich istot nie rozległo się żadne wyraźne słowo wśród lekkiego, głuchego gwaru, który mieszał się ze słabym pobrzękiwaniem uprzęży, a nieruchome głowy

i barki mężczyzn i kobiet siedzących parami wyłaniały się obojętne, jakby drewniane, z opuszczonych bud pojazdów.

Jakiś spóźniony powóz parokonny nie dołączył się do szeregu. Sunął szybko na bezszelestnych kołach, lecz u wjazdu do alei jeden z ciemnych gniadoszów parsknął, wygiął szyję i skoczył w bok, napierając na dyszel o stalowym końcu; płat piany padł z wędzidła na atłasową pierś konia, a ciemna twarz stangreta natychmiast pochyliła się nad cuglami, ściągając je mocniej. Było to długie, ciemnozielone lando[147] kołyszące się godnie i lekko na mocno wygiętych resorach; wyróżniało się pewnego rodzaju urzędowym majestatem i wyszukaną elegancją. Było jakby obszerniejsze niż zwykłe lando, konie wyglądały na trochę większe, zaprząg zbliżał się o włos bardziej do doskonałości, służący siedzieli wyżej na koźle. Suknie trzech kobiet — dwóch młodych, ładnych oraz damy w wieku dojrzałym, pięknej i zażywnej — rzekłbyś, wypełniały po brzegi płytkie pudło wehikułu. Czwarta twarz, męska, blada i dystyngowana, o ciężkich powiekach, odznaczała się ciemnym, gęstym, stalowosiwym wąsem oraz bródką napoleońską, które dziwnym sposobem wyglądały jak dodatki wykonane z czegoś twardego. Jego ekscelencja gubernator...

Ten sunący szybko wehikuł sprawił, że wszystkie inne wydały się czymś poślednim, jakby były przyćmione jego świetnością i skazane na mozolne pełzanie na kształt ślimaków. Lando wyprzedziło cały korowód, sunąc niby w pośpiechu, twarze siedzących w nim osób zatarły się,

zostawiając wrażenie nieruchomych spojrzeń i obojętnej bezmyślności; a po zniknięciu landa, rzekłbyś, w pędzie ucieczki, choć długi szereg pojazdów objeżdżał zakręt stępa, perspektywa wysokiej alei wydała się pusta, bez życia, jakby pogrążona we wzniosłej samotności.

Kapitan Whalley podniósł głowę, aby spojrzeć na lando, i wyrwany z zadumy, zwrócił się myślą do spraw pozbawionych wagi (jak to często się zdarza), rozpamiętując je ze zdziwieniem. Uderzył go fakt, że do tego samego portu, w którym sprzedał ostatni swój statek, przybył na pierwszym własnym okręcie, z głową rojącą się od planów; chciał nawiązać nowe stosunki handlowe z odległą częścią archipelagu. Ówczesny gubernator zachęcał go do tego gorąco. Nie był ekscelencją ów pan Denham, dostojnik o zachowaniu pełnym prostoty, człowiek, który czuwał dzień i noc nad rozwijającą się pomyślnie osadą, oddany jej jak piastunka ukochanemu dziecku. Był to człowiek samotny, żył jakby w obozie z nieliczną służbą i trzema psami; mieszkał w tak zwanej wówczas willi rządowej — budowli o niskim dachu, stojącej wśród przetrzebionego lasu na pochyłości wzgórza; przed willą tkwił nowy maszt do chorągwi, a na werandzie przesiadywał dyżurny policjant.

Kapitan Whalley przypomniał sobie, jak szedł na audiencję, wspinając się mozolnie zboczem wzgórza pod piekącym słońcem; pamiętał pokój bardzo skąpo umeblowany, chłodny i zacieniony; pamiętał długi stół, na którego jednym końcu znajdowały się stosy papierów, na

drugim zaś dwie strzelby, mosiężny teleskop, buteleczka oliwy z wetkniętym w nią piórkiem; pamiętał także pochlebny szacunek, z jakim go przyjął człowiek dzierżący władzę. Kapitan Whalley przyszedł opowiedzieć o przedsięwzięciu bardzo ryzykownym, lecz dwudziestominutowa rozmowa w willi rządowej na wzgórzu ułatwiła mu wszystko od samego początku. A gdy kapitan odchodził, Denham, siedząc już nad papierami, zawołał do niego:

— W przyszłym tygodniu „Dido” wyruszy na objazd w tamte strony; polecę kapitanowi urzędowo, aby do pana zajrzał i zobaczył, jak się tam panu powodzi.

„Dido” była jedną z pięknych fregat krążących po morzach Chin. Tak, trzydzieści pięć lat to porządny szmat czasu; przed trzydziestu pięciu laty przedsięwzięcie takie jak kapitana Whalleya miało dla kolonii tyle znaczenia, że zasługiwało na opiekę ze strony fregaty jej królewskiej mości. Dawno to już, dawno. Jednostki coś wtedy znaczyły. Ludzie tacy jak on i jak na przykład biedny Evans o czerwonej twarzy, kruczych bokobrodach i niespokojnych oczach — Evans, który założył pierwszą stocznię do naprawy małych statków na skraju lasu, nad samotną zatoką, trzy mile za osadą. Denham zachęcał go również do tego przedsięwzięcia, a jednak skończyło się jakoś na tym, że biedny Evans umarł w kraju w ostatniej nędzy. Mówiono, że jego syn zarabia na życie tłocząc olej z orzechów kokosowych na jakiejś zatraconej wysepce Oceanu Spokojnego; ale z tej to właśnie stoczni nad samotną lesistą

zatoką wywiodły się warsztaty Zjednoczonej Spółki Dokowej z trzema basenami do czyszczenia okrętów, wykutymi w szczerej skale, z molami, bulwarami, elektrownią i olbrzymim dźwigiem. Ten dźwig mógł podnieść największe z ciężarów przewożonych wodą, a jego wierzchołek, podobny do szczytu dziwacznego białego pomnika, sterczał zza porośniętych krzakami przylądków i piaszczystych cyplów, gdy się podchodziło do Nawago Portu od strony zachodniej.

W tamtych czasach liczono się z ludźmi; nie spotykało się wtedy tak wielu pojazdów w kolonii, choć zdaje się, że Denham miał kabriolet. I naraz wydało się kapitanowi, że z wielkiej alei porywa go w przeszłość wir duchowego odpływu. Wspomniał błotniste wybrzeże, port bez bulwarów, jedyne drewniane molo sterczące koślawo (zbudowane ze składek publicznych), pierwsze szopy na węgiel, wzniesione na Małpim Przylądku, szopy, które się zapaliły w jakiś tajemniczy sposób i tliły całymi dniami, tak że zdumione statki wchodziły na redę pełną siarczanego dymu, a słońce o południu było krwawoczerwone. Wspomniał różne rzeczy, różne twarze i jeszcze coś innego poza tym — jakby nikły smak czary do dna wychylonej, jakby musujące subtelnie powietrze, którego już dzisiaj nie znaleźć.

Podczas tej ewokacji, szybkiej i szczegółowej, wywołanej jakby błyskiem magnezjowego światła rzuconego do mrocznej kaplicy wspomnień, kapitan Whalley oglądał rzeczy mające dawniej znaczenie — wysiłki maluczkich,

rozrost wielkiego miasta — lecz teraz pozbawione wagi wobec wielkich osiągnięć i jeszcze większych nadziei; a wspomnienia te dały mu przez chwilę taki prawie fizyczny kontakt z czasem, takie zrozumienie niezmiennych ludzkich uczuć, że stanął jak wryty, uderzył laską o ziemię i wykrzyknął w duchu:

— Co ja u diabła tu robię!

Zapadł jakby w oszołomienie; ale posłyszał czyjś zasapany głos, wołający go po nazwisku raz, drugi — i z wolna się odwrócił.

Spostrzegł, że staromodnie ubrany mężczyzna, wyglądający na reumatyka, sunął ku niemu z władczą miną, przewalając się z boku na bok; włosy miał równie białe jak kapitan, kwitnące jego policzki były wygolone; sztywne końce krawatki, prawie tak dużej jak szalik, wystawały z dwóch stron daleko poza szczęki; cała postać o okrągłych nogach, okrągłych rękach, okrągłym korpusie, okrągłej głowie, wyglądała, jakby ją wydęto za pomocą pompy ssąco-tłoczącej, tak że szwy ubrania naciągnęły się do ostateczności. Był to komendant portu. Komendant portu, wyższy rangą od kapitana portu, to na Wschodzie osobistość mająca w swojej sferze znaczenie; jako funkcjonariusz rządowy na obszarze wód portowych posiada rozległą, lecz ściślej nieokreśloną władzę dyscyplinarną nad marynarzami wszelkiego rodzaju. Mówiono, że ów właśnie komendant portu uważał swoją władzę za bardzo niedostateczną, ponieważ nie obejmowała prawa życia i śmierci. Była to jednak żartobliwa przesada.

Kapitan Eliott czuł się zadowolony ze swego stanowiska i nie miał nadmiernego wyobrażenia o przysługującej mu władzy. Ale jego zarozumiałość i skłonność do tyranii nie pozwalały, aby ta władza marniała mu w rękach bezużytecznie. W gruncie rzeczy lękano się go wskutek hałaśliwej, wybuchowej szczerości jego komentarzy o charakterze i zachowaniu ludzi. W rozmowach niektórzy udawali, że nic przeciw niemu nie mają, inni uśmiechali się kwaśno, gdy wymieniano jego nazwisko, a byli nawet tacy, którzy śmieli go nazywać „starym wścibskim brutalem”. Lecz prawie dla wszystkich wybuchy złości kapitana Eliotta były niemal tak przykre do zniesienia jak poczucie zagrażającej zguby.

V

Podszedłszy tuż do Whalleya, kapitan Eliott wygłosił burkliwie:

— Co ja słyszę, Whalley! Czy to prawda, że sprzedajesz swój bark?

Kapitan Whalley odwrócił wzrok od Eliotta i powiedział, że to się już stało — pieniądze zostały wypłacone dziś rano. Eliott pochwalił gorąco krok tak rozsądny. Wyjaśnił, że jedzie do domu na obiad; po drodze wysiadł z dwukółki, aby rozprostować nogi. Sir Fryderyk wygląda dobrze, choć kończy już swoją karierę. Prawda?

Kapitan Whalley nie miał o tym żadnego zdania; zauważył tylko, że wyminęło go lando.

Komendant portu, zagłębiwszy ręce w kieszeniach alpakowej kurtki, krótkiej i czarnej, nieodpowiedniej dla człowieka w jego wieku i o jego wyglądzie, kroczył godnie, z lekka utykając, przy czym głowa jego sięgała ledwie do ramienia kapitanowi Whalleyowi, który szedł swobodnie, patrząc prosto przed siebie. Byli dawniej w zażyłych stosunkach koleżeńskich, prawie w przyjaźni. W czasach, kiedy Whalley dowodził odnowionym „Kondorem”, Eliott był kapitanem na „Gołębiu”, statku niemal równie sławnym, należącym do tych samych armatorów; a gdy powstał urząd komendanta portu, Whalleya uważano za jedynego poważnego kontrkandydata Eliotta. Ale kapitan Whalley,

wówczas w pełni męskich lat, był zdecydowany służyć tylko własnej sprzyjającej mu fortunie. W dalekich stronach świata, gdzie nie zasypiał gruszek w popiele, ucieszył się z wiadomości o powodzeniu kolegi. Jego zdaniem szorstki Ned Eliott miał w sobie pewną światową giętkość, która mogła mu się przysłużyć na tego rodzaju urzędowym stanowisku. A w gruncie rzeczy tak się zawsze od siebie różnili, że gdy idąc z wolna znaleźli się przed katedrą u końca alei, kapitanowi Whalleyowi nie przeszło nawet przez głowę, iż mógłby zajmować miejsce tego człowieka i mieć byt zapewniony do końca swych dni.

Świątynia stała w uroczystym odosobnieniu, umieszczona wśród zbiegających się alei olbrzymich drzew, jakby po to, aby ludziom zażywającym odpoczynku nasuwać poważne myśli o niebie; jej gotycki portal o zamkniętych drzwiach zwrócony był do blasków i wspaniałości zachodu. Szkła w rozecie nad łukiem żarzyły się jak pałające węgle w głębokich wyżłobieniach kamiennego koła. Dwaj mężczyźni stanęli naprzeciw siebie.

— Powiem ci, co teraz powinni zrobić — burknął nagle kapitan Eliott.

— No?

— Powinni tu przysłać prawdziwego lorda z krwi i kości, kiedy sir Fryderyk ustąpi. Jak myślisz?

Kapitan Whalley rzekł obojętnie, że jego zdaniem lord z krwi i kości może być równie odpowiedni na tym stanowisku jak i ktokolwiek inny. Lecz Eliott był innego zdania.

— Nie, nie. Tutaj wszystko idzie jak w zegarku. Nikt nic popsuć nie może. Akurat dla lorda — burczał krótkimi zdaniami. — Popatrz na wszystkie zmiany, jakie zaszły w ciągu naszego życia. Potrzeba tu lorda. W Bombaju lorda już mają.

Raz albo dwa razy na rok bywał Eliott na obiedzie w pałacu rządowym — wielookiennym gmachu z arkadami, zbudowanym na wzgórzu wśród ogrodów i alei. A niedawno obwoził księcia krwi swoją motorówką komendanta portu i pokazywał ulepszenia portowe. Przedtem zaś „pofatygował się" osobiście, aby wybrać dogodne miejsce dla książęcego jachtu. Zaproszono go na jacht, na drugie śniadanie. Uczestniczyła w nim sama księżna — wysoka kobieta o czerwonej twarzy i skórze spalonej przez słońce; cera zupełnie zniszczona, dużo wdzięku i uprzejmości. Płynęli tędy do Japonii...

Wykrzykiwał te szczegóły ku zbudowaniu kapitana Whalleya, milknąc od czasu do czasu, aby wydąć policzki, jakby w poczuciu własnego znaczenia; wysuwał raz po raz grube wargi, przy czym tępy, purpurowy koniec jego nosa zdawał się nurzać w mleku wąsów. Tak, wszystko idzie jak w zegarku; byle jaki lord mógłby z tym sobie poradzić; żadnych kłopotów poza wydziałem marynarki — poza wydziałem marynarki, powtórzył i prychnął głośno; potem zaczął opowiadać, jak to przed paru dniami konsul generalny jej królewskiej mości we francuskiej Kochinchinie[148] telegrafował do niego urzędowo, prosząc, aby znalazł wykwalifikowanego człowieka na dowódcę

okrętu z Glasgow, ponieważ kapitan tego okrętu umarł w Sajgonie.

— Posłałem o tym słówko do oficerskich kwater w Domu Marynarza — ciągnął dalej, kulejąc, rzekłbyś, coraz wyraźniej, w miarę jak irytacja wzrastała w jego głosie. — Pełno w tym Domu Marynarza, że ani szpilki wetknąć. Dwa razy więcej ludzi niż posad w tutejszej marynarce handlowej. A wszyscy ostrzą sobie zęby na jakąś łatwą pracę. Dwa razy więcej ludzi niż posad — i — co ty na to powiesz, Whalley...

Urwał; jego zaciśnięte pięści wyprężyły się tak silnie w kieszeniach, że, zdawało się, przebiją je lada chwila. Kapitan Whalley westchnął mimo woli.

— Co ty na to powiesz? Pomyślałby kto, że będą sobie tę posadę wydzierać. Otóż nic podobnego. Oni boją się wracać do kraju. Miło jest leżeć tu sobie w cieple na tarasie i wyglądać jakiejś pracy. A ja tymczasem siedzę i czekam w biurze. Pies z kulawą nogą nie przyszedł! Co oni sobie wyobrażali? Że w dalszym ciągu będę siedział jak jaki bałwan nad telegramem konsula? Jeszcze czego! Przejrzałem ich listę, wysłałem parę słów do Hamiltona — najgorszy wałkoń z nich wszystkich — i po prostu kazałem mu jechać. Zagroziłem, że każę stewardowi z Domu Marynarza wyrzucić go na zbity łeb. I — proszę ja ciebie — oświadczył mi, że posada nie jest dla niego dość dobra. A ja mu na to: „Mam tu parę notatek o panu. Przybył pan przed osiemnastu miesiącami; przez ten czas nie pracował pan i sześciu miesięcy. Zadłużył się pan w Domu Marynarza

i pewno liczy pan na to, że w końcu wydział marynarki rachunek zapłaci. Nieprawdaż? I tak się też stanie; ale jeśli pan nie skorzysta z tej okazji, odeślę pana do Anglii za bezpłatnym biletem na pierwszym lepszym parowcu, jaki się nawinie. Żebrak z pana po prostu. A my tu białych żebraków nie potrzebujemy”. Napędziłem mu strachu. Ale pomyśl tylko, ile musiałem się nakłopotać.

— Nie miałbyś żadnego kłopotu — rzekł Whalley prawie mimo woli — gdybyś był posłał po mnie.

Kapitana Eliotta ogromnie to ubawiło; szedł i trząsł się po prostu od śmiechu. Lecz nagle spoważniał. Przemknęło mu przez myśl niejasne jakieś wspomnienie. Czy nie opowiadano podczas krachu Travancore and Deccan Comp., że biedny Whalley został do cna spłukany? „Musi mu się kiepsko powodzić”, pomyślał i natychmiast rzucił spod oka spojrzenie na towarzysza.

Lecz Whalley patrzył prosto przed siebie, uśmiechając się powściągliwie z głową podniesioną wysoko, co jest niedopuszczalne u człowieka, który nie ma grosza przy duszy. Eliott uspokoił się. Bzdury. Nie mógł stracić wszystkiego. Ten statek był tylko jego namiętnością. I przyszło Eliottowi na myśl, że człowiek, który mówi, iż rano zainkasował znaczną chyba sumę pieniędzy, nie wyjedzie z prośbą o jakąś drobną pożyczkę. Kapitan Eliott do reszty się uspokoił. Zapadło jednak długie milczenie; nie wiedząc, jak nawiązać rozmowę, Eliott burknął półgłosem:

— My starzy powinniśmy już sobie odpocząć.

— Niejeden wolałby umrzeć na posterunku — rzekł niedbale kapitan Whalley.

— Terefere! Czyżbyś nie miał dość tej całej parady? — wymruczał Eliott z kwaśną miną.

— A ty?

O tak. Kapitan Eliott ma już tego po uszy. Ale trzyma się tak długo swego urzędu, bo chciałby dostać możliwie wysoką emeryturę, nim wróci do kraju. Choć i tak będzie to wprost niedostatek — emerytura zaledwie uchroni go przed przytułkiem. I przecież on ma rodzinę. Trzy córki, Whalley wie o tym. Tu Eliott dał „kochanemu Harry'emu" do zrozumienia, że te trzy córki są dla niego źródłem największych trosk i kłopotów. Ledwie człowiek nie zwariuje.

— Dlaczego? Cóż one takiego robią? — zapytał z roztargnieniem trochę rozśmieszony Whalley.

— Robią? Właśnie, że nic nie robią. W tym cała rzecz. Tenis i czytanie głupich romansów od rana do wieczora.

Gdybyż choć jedna była chłopcem! Ale same córki! I jakby na złość ma się wrażenie, że przyzwoici młodzi ludzie znikli z powierzchni ziemi. Kiedy rozejrzeć się w klubie, widzi się bandę zarozumiałych świszczypałów, egoistów, którym ani w głowie uszczęśliwić porządną dziewczynę. Skrajne ubóstwo zagląda Eliottowi w oczy z powodu całej tej bandy, którą będzie miał na karku. Rozkoszował się dawniej myślą, że wybuduje sobie na wsi mały domek — w hrabstwie Surrey — aby dożyć tam swoich dni, ale zdaje się, że nic z tego…

Wytrzeszczone oczy Eliotta spojrzały w górę na twarz kolegi z wyrazem takiego stroskania i niepokoju, że kapitan Whalley litościwie pokiwał nad nim głową raz po raz, powstrzymując jakąś niezdrową ochotę do śmiechu.

— Sam chyba wiesz, co to jest, Harry. Od tych córek głowa człowiekowi puchnie.

— Hm! A mojej córce powodzi się dobrze — wyrzekł powoli kapitan Whalley, wpatrzony w perspektywę alei.

Kapitan Eliott oświadczył, że miło mu to słyszeć. Ogromnie miło. Pamięta ją dobrze. Ładna była dziewczyna.

Kapitan Whalley, idąc niedbałym krokiem, potwierdził jakby we śnie:

— Tak. Była ładna.

Korowód pojazdów zaczął się rozpraszać.

Jeden po drugim opuszczały szereg i odjeżdżały kłusa, wprowadzając do wspaniałej alei ruch i ożywienie; lecz wkrótce majestatyczna samotność znów owładnęła prostą, szeroką ulicą. Indyjski chłopak stajenny w białym ubraniu stał przy burmańskim kucu, zaprzężonym do lakierowanej dwukółki czekającej u zakrętu; a wszystko to razem nie wydawało się większe niż dziecinna zabawka zapomniana pod wyniosłymi drzewami. Kapitan Eliott pokusztykał w stronę tego zaprzęgu, jakby chciał wejść do dwukółki, ale się rozmyślił; trzymając lekko rękę na dyszlu, porzucił temat swej pensji, swych córek i swego niedostatku, przechodząc na drugi jedynie interesujący temat pod słońcem — na wydział marynarki, na ludzi i statki w porcie.

Wyliczał w dalszym ciągu wszystko, czego się od niego domagają; gruby jego głos brzmiał sennie w cichym powietrzu jak uporczywe brzęczenie olbrzymiego trzmiela. Kapitan Whalley nie wiedział, jaka siła czy też słabość powstrzymuje go od pożegnania się z Eliottem. Był jakby zanadto zmęczony, aby zdobyć się na ten wysiłek. Dziwne to. Dziwniejsze niż wszystkie wywody Neda. A może poczucie bezczynności tak Whalleya obezwładniło, że stoi i przysłuchuje się tym historiom? Rzeczy naprawdę istotne nie obchodziły nigdy Neda Eliotta; i stopniowo wydało się kapitanowi, że odkrywa w grubym, zasapanym, dudniącym basie coś z czystego, wesołego głosu młodego kapitana „Gołębia”. Whalley był ciekaw, czy on także zmienił się do tego stopnia, i nagle odniósł wrażenie, że głos jego dawnego kolegi nie zmienił się tak dalece — że i człowiek jest ten sam co dawniej.

Nie był złym chłopcem ten miły, wesoły, życzliwy Ned Eliott; znał dobrze swój fach i zawsze trochę blagował. Kapitan Whalley pamiętał, że Ned śmieszył bardzo jego żonę. Czytała w nim jak z nut. Gdy się zdarzyło, że „Kondor” i „Gołąb” znalazły się w tym samym porcie, mówiła często mężowi, aby przywiózł kapitana Eliotta na obiad. Od tamtych dawnych czasów rzadko się spotykali. Może najwyżej raz na pięć lat.

Kapitan Whalley patrzył spod białych brwi na tego człowieka i nie mógł się zdobyć na zwierzenie mu się w tej ciężkiej chwili, a tymczasem tamten wylewał wciąż przed

nim najpoufniejsze uczucia, równie daleki od swego kolegi, jakby się znajdował na szczycie wzgórza odległego o milę.

Okazało się, że kapitan Eliott jest w sytuacji dość kłopotliwej z powodu parowca „Sofala”. W ostatnich czasach wszystkie trudności w porcie spadały mu na kark. Jak oni dadzą sobie radę, gdy kapitan Eliott odejdzie stąd po upływie półtora roku! Pewno dostaną na jego miejsce jakiegoś dymisjonowanego oficera marynarki, który nie będzie się na niczym znał i o nic nie zadba. „Sofala” jest statkiem przybrzeżnym utrzymującym handlowe stosunki z miejscowościami leżącymi na północ, aż do Tenasserim włącznie; ale cała trudność w tym, że nie można znaleźć kapitana, który by go poprowadził. Nikt nie chce się podjąć dowództwa. Kapitan Eliott nie może oczywiście rozkazać, aby ten czy ów człowiek podjął się jakiejś pracy. Można nadużyć raz swojej władzy na żądanie konsula generalnego, ale...

— Cóż temu statkowi brakuje? — przerwał kapitan Whalley spokojnym głosem.

— Ależ nic. To porządny stary parowiec. Jego właściciel był dziś u mnie w biurze i włosy sobie z głowy wyrywał.

— To człowiek biały? — spytał Whalley z zainteresowaniem.

— Tak twierdzi — odrzekł kapitan Eliott z pogardą — ale nawet jeśli jest biały, to tylko po wierzchu. Powiedziałem mu to w żywe oczy.

— Więc kto to taki?

— On jest mechanikiem na tym swoim parowcu. Teraz widzisz, jak sprawa stoi!

— Tak — rzekł kapitan Whalley w zamyśleniu. — Mechanik. Rozumiem.

Jak się stało, że ów człowiek był jednocześnie właścicielem parowca, to cała historia. Przybył jako trzeci mechanik na statku angielskim przed niespełna piętnastu laty — kapitan Eliott pamiętał to dobrze — i został wydalony wskutek paskudnej kłótni ze swym szyprem i ze starszym mechanikiem. Na statku byli wprost zachwyceni, że się go pozbyli, bo pragnęli tego dopiąć za wszelką cenę. Typ buntownika. No i pozostał tutaj. Nudziarz straszliwy; ledwie się zaokrętował, już był znowu z powrotem w porcie, nie mógł nigdzie zagrzać miejsca: przeszedł chyba przez maszynownie wszystkich statków należących do kolonii.

— No i zgadnij, co się w końcu stało, Harry! — rzekł nagle kapitan Eliott.

Kapitan Whalley, który był zatopiony w myślach, jakby coś w pamięci obliczał, drgnął z lekka. Nie, doprawdy, że zgadnąć nie może. Ochrypły głos Eliotta zabrzmiał głucho i dobitnie: człowiek ten wygrał drugi z rzędu wielki los na manilskiej loterii. Wszyscy mechanicy i oficerowie ze statków grali na tej loterii. Na tym punkcie mieli wprost bzika.

Każdy się teraz spodziewał, że ten bałwan zabierze się do kraju ze swymi pieniędzmi i na koniec pójdzie do diabła. Ale gdzież tam. Zdarzyło się, iż parowiec „Sofala”, zbyt mały i nie dość nowoczesny na handel, którym się zajmował,

został wystawiony na sprzedaż, a jego właściciele zamówili nowy statek w Europie. Wówczas ów mechanik zdecydował się w mig i kupił „Sofalę”. Dopiero gdy już miał własny statek, przewróciło mu się w głowie (bywa tak, jeśli na człowieka spadnie większa suma pieniędzy), choć dotychczas żadnych oznak tego rodzaju nie zdradzał. Oszalał po prostu; wywijając laseczką wpadł w kapeluszu na bakier do wydziału marynarki w sprawie jakiegoś transportu i rozpowiadał każdemu urzędnikowi z osobna, że nikt go już ze statku wyrzucić nie może. Teraz przyszła kolej na niego! Nie ma nad sobą żadnego zwierzchnika i nigdy już zwierzchnika mieć nie będzie. Puszył się, spacerował buńczucznie między biurkami i trząsł się przy tym jak liść, a mówił tak głośno, że nikt nie mógł pracować i wszyscy w dużym pokoju patrzyli z otwartymi ustami na jego błazeństwa. Potem widywano go, jak biegał z rozognioną twarzą po bulwarach w ciągu najgorętszych godzin dnia, przypatrując się z różnych punktów swemu statkowi; zdawało się, iż będzie zatrzymywał wszystkich znajomych tylko po to, aby oznajmić, że nie ma już nad sobą nikogo; nabył statek i nikt na świecie nie wyrzuci go z jego własnej maszynowni.

Choć kupno „Sofali” było interesem korzystnym, pochłonęło prawie wszystkie pieniądze z wygranej. Massy nie zostawił sobie kapitału, którym by mógł obracać. Nie miało to jednak większego znaczenia, albowiem dobrze się wówczas działo przybrzeżnym parowcom handlowym; nie istniały jeszcze lokalne floty kolonialne, założone później

przez kilka angielskich firm armatorskich dla obsługi głównych linii. Później owe floty wybierały oczywiście wszystkie rodzynki z ciasta, niebawem zaś banda obmierzłych statków niemieckich skierowała się na wschód od Kanału Sueskiego i zgarnęła wszystkie okruchy. Myszkowała, obniżając frachty[149], wzdłuż wybrzeży i między wyspami jak stado rekinów czyhające, aby im coś spadło do paszcz.

Wówczas stare dobre czasy minęły bezpowrotnie; już od lat parowiec „Sofala” ledwie wiązał koniec z końcem. Kapitan Eliott uważał za swój święty obowiązek pomagać angielskiemu statkowi, by nie pracował ze stratą; ale było jasne, że jeśli z powodu braku kapitana „Sofala” zacznie opuszczać podróże, straci bardzo prędko swój handel. A cała trudność leżała w tym, że z Massym niepodobna było wytrzymać.

— Od razu przewróciło mu się we łbie — wyjaśnił Eliott. — Robił się coraz nieznośniejszy. Przez trzy ostatnie lata zmienił jedenastu szyprów; wypróbował ich tu wszystkich co do jednego, poza kapitanami regularnych linii. Przestrzegałem go, że sobie nawarzy piwa. A teraz, oczywiście, nikt nie chce nawet spojrzeć na „Sofalę”. Wezwałem paru szyprów do biura i mówiłem z nimi, ale odpowiedzieli, że nie ma celu zaciągać się na statek tylko po to, żeby przez miesiąc prowadzić psie życie i zostać wylanym u końca pierwszej podróży. Massy oświadczył mi naturalnie, że wszystko to bzdury, że już od lat intrygowano przeciwko niemu, a teraz spisek wybuchł. Ta wstrętna

banda marynarzy z portu sprzysięgła się, żeby go upokorzyć, ponieważ jest mechanikiem

Kapitan Eliott zachichotał chrypliwie:

— I rzeczywiście, niech on opuści jeszcze parę podróży, a nie będzie miał już w ogóle po co się fatygować. Nie dostanie żadnego ładunku od dawnych klientów. W dzisiejszych czasach zbyt wielka jest konkurencja; ludzie nie pozwolą, aby ich towar poniewierał się dlatego, że jakiś statek nie przychodzi, kiedy go oczekują. Widoki są złe dla Massy'ego. Przysięga, że się zamknie w swojej kajucie i raczej umrze z głodu, niż sprzeda statek — nawet gdyby kupiec się trafił. A to wcale nie jest prawdopodobne. Nawet Japończycy nie daliby za ten parowiec sumy, na którą jest ubezpieczony. To zupełnie co innego niż sprzedaż żaglowca. Parowce nie tylko się niszczą, ale i starzeją się pod względem konstrukcji.

— Musiał sobie odłożyć dobry kawał grosza — zauważył spokojnie kapitan Whalley.

Dowódca portu wydął purpurowe policzki do zdumiewających rozmiarów:

— Ani szeląga, Harry. A-ni sze-lą-ga.

Czekał; a gdy kapitan Whalley, przesuwając z wolna ręką po brodzie, patrzył w ziemię bez słowa, Eliott klepnął go po ramieniu, podniósł się na czubki palców i rzekł ochrypłym szeptem:

— Manilska loteria go wykończyła.

Zmarszczył się trochę i kiwał potakująco głową drobnymi, szybkimi ruchami. Wszyscy oni na to lecieli;

jedna trzecia pensji wypłacanych oficerom marynarki „w moim porcie”, prychnął, szła do Manili. To była po prostu mania. Massy uległ jej od pierwszej chwili jak wszyscy inni; a kiedy już raz wygrał, wyobraził sobie, że niech tylko kupi bilet, na pewno wygra znów grubą sumę. Od tamtego czasu brał tuzinami bilety na każde ciągnienie. Toteż wskutek tego nałogu i braku pojęcia o interesach brakowało mu ciągle pieniędzy, raz mniej, raz więcej — od chwili, gdy kupił parowiec.

Zdaniem kapitana Eliotta była to dobra sposobność, aby jakiś rozgarnięty marynarz z paru funtami w kieszeni wmieszał się do sprawy i ocalił tego głupca od skutków jego szaleństwa. Massy był wprost zwariowany na punkcie kłótni ze swymi kapitanami. Miewał na pokładzie naprawdę dzielnych ludzi, którym by ani w głowie postało go rzucać, gdyby im zostać pozwolił. Ale gdzież tam. Widać uważał, że nie jest właścicielem statku, jeśli nie wypędził rano jednego kapitana i nie pokłócił się wieczorem z jego następcą. Czego Massy’emu było potrzeba, to szypra z jakimiś paruset funtami, który by przystąpił do spółki na odpowiednich warunkach. Nie odprawia się człowieka, który nic nie zawinił, tylko dla przyjemności powiedzenia mu, aby pakował manatki i wynosił się — gdy wiadomo, że trzeba będzie odkupić jego udział w interesie. Z drugiej strony jeśli ktoś włoży w statek pieniądze, to nie rzuci roboty wskutek kłótni o jakąś drobnostkę. Kapitan Eliott wyłożył to wszystko Massy’emu. Rzekł mu: „Panie Massy, tak postępować nie można. W wydziale marynarki mamy

pana po uszy. Musi się pan teraz postarać, aby jakiś marynarz wszedł z panem w spółkę. Zdaje się, że to dla pana jedyna droga”.

— I wiesz co, Harry, to była dobra rada.

Kapitan Whalley, wsparty na lasce, stał jak wryty, a jego ręka, znieruchomiawszy podczas gładzenia brody, obejmowała ją pełną garścią. — I cóż on odpowiedział? Ten drab wybuchnął gniewem na kapitana Eliotta. Zareagował na jego radę z najwyższą czelnością.

— Nie przyszedłem tu na pośmiewisko — krzyknął. — Zwróciłem się do pana jako Anglik i właściciel statku, bo stoję nad przepaścią, i to przez pańskich podłych marynarzy, co przeciw mnie spiskują; a pan raczył mi tylko powiedzieć, żebym sobie szukał wspólnika!

I bałwan pozwolił sobie tupnąć z wściekłością w podłogę gabinetu Eliotta. — Gdzie mam szukać wspólnika? — zawołał. — Widać bierze mnie pan za idiotę! Z całej tej nędznej bandy w Domu Marynarza żaden nie ma i złamanego szeląga. Wiedzą o tym nawet psia ich mać krajowcy w bazarze...

— On miał rację, Harry — burknął świadom rzeczy kapitan Eliott. — Jestem pewien, że ci oficerowie są jeden w drugiego zadłużeni u Chińczyków z Denham Road na ubrania, które mają na grzbiecie. Więc ja mu na to: „No, panie Massy, moim zdaniem zanadto pan się rozbija. Żegnam pana”. A on trzasnął za sobą drzwiami; ośmielił się trzasnąć moimi drzwiami, ten bezczelny zuchwalec!

Naczelnik wydziału marynarki aż zatchnął się z oburzania, ale wkrótce jakby się opamiętał.

— Ja tu z tobą gadu gadu i skończy się na tym, że się spóźnię na obiad. Moja żona tego nie lubi.

Wgramolił się z trudem do dwukółki i dopiero wtedy, wychyliwszy się bokiem, spytał, zasapany, co też w ostatnich czasach Harry porabiał. Już od długich lat nie widzieli się ani razu, dopiero tamtego dnia, kiedy kapitan Eliott spostrzegł go nagle w biurze...

Co też Harry...

Kapitan Whalley jakby uśmiechnął się do siebie pod białym zarostem.

— Świat jest szeroki — rzekł ogólnikowo.

Eliott, niby chcąc sprawdzić to twierdzenie, rozejrzał się z kozła. Na Esplanadzie panowała zupełna cisza: tylko z daleka — bardzo daleko od brzegu — zza trawników, zza długich rzędów drzew dochodził słaby odgłos elektrycznego tramwaju, który ruszył sprzed opustoszałej kolumnady Biblioteki Publicznej i miał się toczyć przez trzy mile aż do Nowych Doków Portowych.

— Robi się trochę ciasno na świecie — burknął kapitan Eliott — odkąd ci Niemcy wszędzie wchodzą nam w drogę. W naszych czasach było inaczej.

Popadł w głębokie zamyślenie, oddychając chrapliwie, jakby drzemał z otwartymi oczami. Może i on ze swej strony dopatrzył się w tym milczącym, podobnym do pielgrzyma człowieku — który stał obok dwukółki — ukrytych rysów młodego kapitana „Kondora”. Zacny chłop ten Harry

Whalley, ale był zawsze milczący; nie wiedziało się nigdy, co ma na myśli. Przy tym nie ceremoniował się zbytnio z ludźmi zajmującymi wysokie stanowiska i często się mylił oceniając postępki bliźnich. Właściwie to miał o sobie zbyt dobre wyobrażenie. Kapitan Eliott chętnie by go wziął i zawiózł do domu na obiad. Ale trudno przewidzieć... Żona nie byłaby z tego rada[150].

— Jak to dziwnie pomyśleć, Harry — podjął znów jednostajnym, zgłuszonym basem — że ze wszystkich ludzi na świecie chyba tylko ja i ty pamiętamy, jak tu wyglądało dawniej w tej części świata...

Już, już zapadał w słodycz sentymentalnego nastroju, gdy nagle uderzyło go, że kapitan Whalley stoi bez ruchu i bez słowa, jakby na coś czekał; może się spodziewa, że... Kapitan Eliott zebrał natychmiast lejce i wybuchnął urywanym pomrukiem, szorstkim a serdecznym:

— Ha! Mój stary... Kogośmy nie znali — czegośmy nie dokazali — a te wszystkie statki, którymi dowodziliśmy...

Kucyk rzucił się naprzód — chłopiec stajenny odskoczył w bok. Kapitan Whalley podniósł rękę.

— Do widzenia.

VI

Słońce zaszło. A gdy kapitan Whalley ruszył z miejsca, wywierciwszy laską głęboką dziurę w żwirze, noc zgromadziła już pod drzewami zastępy cieniów. Zapełniły wschodni kraniec alei, jakby oczekując tylko hasła do gromadnego ataku na otwarte przestrzenie świata; zbierały się także nad wodą głębokiego kanału o brzegach wyłożonych kamiennymi płytami.

Prau[151] malajskie na wpół ukryte pod arkadą mostka nie zmieniło pozycji nawet o ćwierć cala. Przez długi czas kapitan Whalley patrzył w dół znad balustrady, aż wreszcie spowity w maty stateczek, tkwiący na wodzie tak nieruchomo, zaczął mu się wydawać czymś zagadkowym i niepokojącym. Zmierzch zsunął się z zenitu; znikły odbijające się w dole przebłyski nieba i woda kanału obróciła się jakby w smołę. Kapitan Whalley przeszedł ponad nią.

Do hotelu skręcało się na prawo drogą biegnącą o kilka kroków dalej. Whalley przystanął znów (wszystkie domy zwrócone frontem do morza były zamknięte, a bulwary puste, ledwie paru krajowców przechodziło w oddali) i zaczął obliczać, ile wyniesie rachunek. Tyle a tyle dni w hotelu po tyle a tyle dolarów. Porachował dni na palcach i zatopił rękę w kieszeni, pobrzękując kilku srebrnymi pieniędzmi. Wystarczy jeszcze na trzy dni; a później, jeśli

się nie znajdzie żadna posada, będzie zmuszony naruszyć owe pięćset funtów — pieniądze Ivy — ulokowane u jej ojca. Doznał wrażenia, że udławiłby się pierwszym posiłkiem kupionym za te pieniądze... tak, z pewnością. Rozsądek nie miał tu nic do powiedzenia. Była to kwestia uczucia. A uczucia kapitana Whalleya nie zawodziły go nigdy.

Nie zwrócił się na prawo. Szedł przed siebie, jakby tam, na redzie, znajdował się jeszcze wciąż okręt, do którego wieczorem mógł kazać się zawieźć. Daleko, hen za domami, na zboczu błękitnego przylądka zamykającego widok, wysmukły słup, komin jakiejś fabryki, dymił spokojnie prosto w górę w czystym powietrzu. Pół tuzina sampanów[152] unosiło się na wodzie przy końcu mola; Chińczyk, zwinięty w kłębek na rufie jednego z nich, dostrzegł kiwającą rękę. Porwał się na nogi, obwinął szybko warkocz dokoła głowy, dwoma szybkimi ruchami zakasał wysoko szerokie, ciemne spodnie na żółtych udach i bezszelestnym, jakby skrzelowym ruchem wioseł przesunął sampan pod schodki ze swobodą i precyzją płynącej ryby.

— „Sofala” — rzucił z góry kapitan Whalley, a Chińczyk, widać nowoprzybyły emigrant, spojrzał w górę z wytężoną uwagą, rzekłbyś, chcąc zobaczyć dziwne słowa padające z ust białego. — „Sofala” — powtórzył kapitan Whalley i nagle zabrakło mu odwagi. Przystanął. Brzegi, wysepki, wyniosłości, niziny, wszystko było ciemne; widnokrąg stał się też ciemny, a na tle wschodniego brzegu biały obelisk, znaczący przystań przy kablu telegraficznym, stał jak blady

duch przed dzielnicą krajowców — ciemną przestrzenią nierównych dachów pomieszanych z palmami.

— „Sofala”. Rozumieć? „So-fa-la”, John.

Tym razem Chińczyk rozróżnił tę dziwną nazwę i wymruczał potwierdzenie nieokrzesanym dźwiękiem zrodzonym w głębi nagiej gardzieli.

Z pierwszym żółtym migotem gwiazdy, która ukazała się jak główka szpilki wbitej głęboko w gładką, bladą, migotliwą tkaninę nieba, ostrze dojmującego chłodu jak gdyby rozcięło ciepłe powietrze ziemi. Lekki dreszcz przebiegł kapitana Whalleya w chwili, gdy wstępował do sampana, aby kazać się wieźć na parowiec „Sofalę”, o którego dowództwo miał zabiegać.

Gdy po powrocie wysiadł znów na bulwarze, Wenus, niby drogocenny kamień osadzony nisko na rąbku nieba, rzucała nikły ślad na redę gładką jak posadzka z jednolitej, czarnej płyty polerowanego granitu. Wyniosłe sklepienia alei były czarne — wszystko w górze było czarne — a porcelanowe klosze latarni przypominały perły kształtu jaj, olbrzymie i jaśniejące, ustawione w rząd, którego przeciwległy koniec opuszczał się hen daleko do poziomu kolan kapitana.

Whalley splótł dłonie na plecach. Teraz musiał rozpatrzyć spokojnie, czy decyzja, jaką powziął, jest właściwa, zanim da jutro ostateczną odpowiedź. Żwir zgrzytał głośno pod jego stopami… Czy postąpił właściwie? Łatwiej byłoby mu się zorientować, gdyby miał coś innego do wyboru. Uczciwość jego zamiarów była bezwzględna, miał najlepsze chęci w stosunku do tego Massy’ego. Cień kapitana to

padał wyraźnie na bliskie pnie alei, to na trawnikach wydłużał się w nieskończoność, ukośny i mętny, powtarzając krok w krok jego ruchy.

Czy postąpił właściwie? Ależ on nie miał wyboru. Wydało mu się, że stracił już jakąś cząstkę samego siebie; że pod naciskiem zachłannego upiora poświęcił coś ze swej prawdy i godności — aby żyć. Lecz jego życie jest komuś potrzebne. Niech bieda znęca się nad kapitanem, niech pobiera okup poniżeń. Wiedział już teraz, że Ned Eliott oddał mu niechcący przysługę, o którą on, Whalley, prosić by nie mógł. Kapitan Whalley miał nadzieję, że Ned go nie posądzi o to, iż podstępnie ukrył swoje zamiary, że zrozumie go usłyszawszy, co się stało — a może tylko pomyśli, że Whalley jest głupim starym dziwakiem. Zwierzenie się Nedowi nie przydałoby się na nic, tak samo jak wyjechanie z całą sprawą przed Massym. Kapitan rozporządza pięciuset funtami — niech Massy użyje ich, jak będzie umiał najlepiej. I niech sobie myśli o tym, co chce. „Pan potrzebuje kapitana, ja potrzebuję statku. To wystarcza”. Brrr! Jakie przykre wrażenie zrobił na nim ten pusty, ciemny parowiec rozbrzmiewający głośnym echem.

Zacumowany statek parowy jest bezsprzecznie czymś martwym. Żaglowiec każdej chwili może się rzucić w wir życia za podmuchem nieśmiertelnych niebios; lecz statek parowy o zgaszonych paleniskach — rozmyślał kapitan Whalley — bez ciepłych kłębów powietrza wydostających się z dołu na pokład, bez syku pary i brzęków żelaza w swym wnętrzu — jest zimny i pozbawiony pulsu jak trup.

W samotnej alei, czarnej u góry i oświetlonej od dołu, kapitan Whalley, rozpamiętując swoją decyzję, natknął się jakby przypadkiem na myśl o śmierci. Odsunął ją z niechęcią i wzgardą. Powitał ją niemal śmiechem i w poczuciu niewyczerpanej swej żywotności pomyślał z pewnym tryumfem, jak mało mu do życia potrzeba. Krzepkie ciało ojca nie było dla córki złą lokatą. A poza tym — na wszelki wypadek — układ z Massym musiał być jasno sformułowany: w razie czego cała suma miała być wypłacona Ivy w przeciągu trzech miesięcy. W całości. Co do grosza. Kapitan nie myślał napoczynać pieniędzy córki, choć gotów był wiele rzeczy poświęcić — trochę własnej godności, nieco szacunku dla samego siebie. Nie dopuszczał dotychczas nigdy, aby ktoś miał o nim fałszywe wyobrażenie. Ale niech już tak będzie — kapitan ścierpi to dla niej. Zresztą nic przecież nie „powiedział”, co by nie było zgodne z prawdą; pomyślawszy to Whalley uznał się za na wskroś zepsutego. Uśmiechnął się pogardliwie ze swego wyrachowania. Oczywiście nie było wskazane zwierzać się ze wszystkiego człowiekowi w rodzaju Massy’ego i to człowiekowi, z którym miał pozostawać w osobliwym stosunku. Ten Massy nie podobał mu się. Nie podobały mu się i jego napady łaszącej się gadatliwości, i wybuchy mściwego oburzenia. Koniec końców — biedak. Kapitan nie chciałby być w jego skórze. W gruncie rzeczy ludzie nie są źli. Nie podobały się również kapitanowi wylizane włosy Massy’ego, a także dziwny sposób, w jaki stawał do człowieka bokiem zadarłszy nos i patrzył przez ramię. Tak.

Właściwie to ludzie nie są źli — są tylko głupi lub nieszczęśliwi.

Kapitan Whalley rozprawił się już z wątpliwościami co do swego postanowienia — i oto całą długą noc miał przed sobą. W pełnym świetle obfita jego broda połyskiwała jak srebrny napiersnik okrywający serce; w półmroku między latarniami wielka postać Whalleya wydawała się mniej wyraźna — olbrzymia, tułacza, pełna tajemniczości. Tak: niewiele jest prawdziwego zła w ludziach. A z lewej strony towarzyszył ciągle kapitanowi ukośny cień — co na Wschodzie uważa się za zły omen.

*

— *Serangu*[153], czy już dostrzegasz kępę palm? — zapytał kapitan Whalley z fotela na mostku „Sofali", gdy statek zbliżał się do mielizny Batu Beru.

— Nie, tuanie[154]. Zobaczyć zaraz.

Stary Malaj, ubrany w granatowy garnitur z grubego indyjskiego perkalu[155], stał mocno na kościstych ciemnych nogach pod płóciennym dachem mostka; założył ręce w tył i patrzył ku przodowi spomiędzy niezliczonych zmarszczek zbiegających się w kącikach oczu.

Kapitan Whalley siedział bez ruchu i nie podniósł oczu, by spojrzeć. Trzy lata; trzydzieści sześć razy. Przepłynął obok tych palm już trzydzieści sześć razy od południa. Teraz także ukażą się we właściwym czasie. Bogu dzięki, stary

statek odbywał swoje podróże, jedną po drugiej, punktualny jak zegarek. W końcu kapitan mruknął znów:

— Już widać?

— Słońce rzuca bardzo wielki blask, tuanie.

— Pilnuj dobrze, *serangu*.

— *Ja*, tuanie.

Jakiś biały człowiek wspiął się bez szelestu po drabinie i wysłuchał spokojnie tej krótkiej rozmowy. Potem wszedł na mostek; zaczął chodzić po nim tam i na powrót, trzymając w podniesionej ręce cybuch długiej fajki z wiśniowego drzewa. Jego czarne, rzadkie włosy zaczesane na łysinę lepiły się do niej długimi kosmykami; czoło miał poradlone, cerę żółtą i gruby, bezkształtny nos. Rzadkie bokobrody nie zasłaniały konturów szczęk. Ponura troska malowała się na twarzy tego człowieka. Ssał czarny wygięty ustnik, a profil jego, o grubych, wydatnych rysach, pobudzał czasem nawet seranga do refleksji na temat brzydoty niektórych białych ludzi.

Kapitan Whalley wcale na jago przyjście nie zareagował, choć jakby zebrał się w sobie na krześle. Przybysz wypuszczał kłęby dymu i nagle rzekł:

— Nie mogę ani rusz zrozumieć nowej pana manii — nie rozstaje się pan z tym Malajem, jakby był pana cieniem.

Kapitan Whalley dźwignął z krzesła imponującą swą postać i skierował się w poprzek mostka w stronę kompasu, krocząc naprzód tak nieugięcie, że biały musiał cofnąć się śpiesznie i stał jakby onieśmielony z fajką w drżącej ręce. —

Teraz znów włazi prosto na mnie — mruknął w zdziwieniu i pomieszaniu. Potem rzekł powoli i wyraźnie:

— Ja — nie — jestem — błotem. — I dodał wyzywająco: — Jak pan zdaje się myśleć.

Serang wykrztusił:

— Palmy widzieć teraz, tuanie.

Kapitan podszedł wielkimi krokami do poręczy, lecz jego oczy, zamiast spojrzeć tam, gdzie należało, pewnym siebie, bystrym wzrokiem marynarza, błądziły niepewnie w przestrzeni; zdawało się, że Harry Whalley, odkrywca nowych szlaków, zagubił się na tym ciasnym morzu.

Drugi biały, oficer, wspiął się na mostek. Był wysoki, młody, chudy; wąsy miał jak u kawalerzysty i coś złośliwego w spojrzeniu. Stanął obok mechanika. Kapitan Whalley, zwrócony do nich tyłem, zapytał:

— Ile na logu?

— Osiemdziesiąt pięć — odrzekł szybko oficer trąciwszy łokciem mechanika.

Muskularne dłonie Whalleya ściskały żelazną poręcz z niesłychaną siłą; patrzył przed siebie, wytężając wzrok do ostateczności; brwi jego były ściągnięte, pot ciekł spod kapelusza. Szepnął słabym głosem:

— Trzymaj kierunek, *serangu*, kiedy statek znajdzie się na kursie.

Milczący Malaj odstąpił w tył, chwilę poczekał i wzniósł rękę, ostrzegając sternika. Koło obróciło się szybko odpowiednio do ruchu parowca. Oficer trącił znów mechanika. Ale Massy obruszył się na niego.

— Panie Sterne — rzekł gwałtownie — jako właściciel statku muszę panu powiedzieć, że dureń z pana skończony.

VII

Sterne zszedł na pokład, butny i widać wcale nie zbity z tropu, ale mechanik Massy został i krążył po mostku, pewny siebie, choć niespokojny. Wszyscy na statku byli jego podwładnymi — wszyscy bez wyjątku. Płacił im pensje i żywił ich. Jedli więcej jego chleba i brali od niego więcej pieniędzy, niż byli warci; przy tym nie mieli żadnych kłopotów, podczas gdy on, Massy, musiał się porać[156] ze wszystkimi trudnościami wynikającymi z posiadania statku. Gdy rozpatrywał położenie w całej jego grozie, wydawało mu się, że już od lat jest pastwą bandy pasożytów: toteż już od lat patrzył krzywo na wszystkich, co mieli jakiś związek z „Sofalą” — wyjąwszy może chińskich palaczy, za których sprawą statek posuwał się naprzód. Pożytek z nich był oczywisty; stanowili niezbędną część mechanizmu, którego Massy był władcą.

Chodząc po pokładzie, potrącał brutalnie tych, których mijał, ale Malaje umieli już usuwać mu się z drogi. Był zmuszony ich tolerować z powodu nieuniknionej pracy fizycznej na statku, pracy, którą należało wykonać. On sam musiał także borykać się i głowić, i szukać różnych sposobów, aby dostarczyć parowcowi roboty — i co miał za to? Nie okazywali mu nawet należytego szacunku. Ale pod tym względem nigdy by nie potrafili go zaspokoić, nawet gdyby wszystkie ich myśli i wszystkie czyny zmierzały do

tego jednego celu. Próżność wynikająca z posiadanla statku, chełpienie się własną potęgą opuściły już wówczas Massy’ego; pozostały tylko kłopoty materialne, lęk przed utraceniem pozycji — jak się okazało nie zasługującej na tyle zachodów — i niepokój myśli, którego żadne, choćby najbardziej nikczemne płaszczenie się podwładnych nie mogło ukoić.

Chodził po mostku tam i na powrót. Przecież mostek był jego własnością. Zapłacił za niego. Od czasu do czasu z cybuchem fajki w ręku stawał, aby przysłuchiwać się z głęboką, skupioną uwagą głuchemu rytmowi maszyn (jego własnych maszyn) i lekkiemu zgrzytaniu łańcuchów sterowych na tle cichego, nieustannego szumu wody wzdłuż burt parowca. Ale pomimo tych dźwięków statek wydawał się zupełnie nieruchomy, rzekłbyś, przycumowany do brzegu i taki cichy, jakby żywej duszy na nim nie było; tylko brzeg, niski, błotnisty, porośnięty zaroślami mangrowymi[157], z grupą trzech palm w głębi, występował powoli coraz wyraźniej długą, prostą linią pozbawioną wszelkich cech, które mogłyby przyciągnąć uwagę.

Pasażerowie „Sofali”, krajowcy, leżeli porozkładani na matach pod płóciennym dachem; dym z komina wydawał się jedyną oznaką życia statku i łączył się w jakiś tajemniczy sposób z gładkim jego ruchem.

Kapitan Whalley stał, trzymając lornetkę, w asyście małego malajskiego seranga — niby starzec-olbrzym z pomarszczonym pigmejem u boku — i prowadził statek przez płytką wodę mielizny.

Trudna była do przebycia ta podwodna ławica błota, wydarta przez prąd z miękkiego dna rzeki i rzucona daleko od ujścia na otwarte dno morza. Aluwialny[158] brzeg nie miał żadnych cech odrębnych; sunąc nad ławicą, trzeba było się orientować według kształtu gór w głębi lądu. O kierunku wnioskowało się z dwóch szczytów: jeden był spłaszczony i nierówny z wierzchu jak ząb trzonowy, drugi gładki, podobny w konturze do siodła — a trzeba było ich szukać wśród rozjarzonego, bezchmurnego blasku, który zdawał się falować i płynąć jak suchy, płomienny opar przepełniający powietrze; wznosił się z wody, przesłaniał dal, palił oczy. W tej świetlistej mgle tylko bliski skraj brzegu odcinał się, czarny niemal jak sadza, matowy, masywny, nieruchomy. Ząbkowany łańcuch gór w głębi lądu, oddalony o trzydzieści mil od wybrzeża, ciągnął się wzdłuż horyzontu błękitnym cieniowanym konturem, nikłym i drżącym jak tło malowane na powiewnym paśmie pajęczyn, na zasłonie rozedrganej i nieuchwytnej, która sięgała płaskiego napływowego gruntu; jaśniejące bielą otwory ujścia wyglądały jak płyty srebra, wpuszczone w czworokąty wycięte ostrym narzędziem z ciała lądu obrzeżonego mangrowiami[159].

Na przedniej części mostka olbrzym i pigmej pomrukiwali do siebie raz po raz spokojnym głosem. Za nimi stał bokiem Massy z wyrazem twarzy pełnym napięcia i lekceważenia. Jego wypukłe oczy były zupełnie nieruchome; zdawało się, że zapomniał o długiej fajce, którą trzymał w ręku.

Poniżej mostka, na przednim pokładzie przesłoniętym stromymi białymi zboczami płóciennego dachu, młody marynarz krajowiec przelazł przez barierę. Wsunął szybko pod pachy szeroki pas żaglowego płótna, oparł się o niego piersiami i wychylił tors nad wodę. Jego cienka bawełniana koszula, o rękawach odciętych wysoko, odkrywała brązowe krągłe ramiona obciągnięte skórą atłasową jak u kobiety. Rozkołysał wyprężone ramię groźnym ruchem procarza i czternastofuntowy ciężar śmignął, kołując, w powietrze, potem nagle poleciał naprzód aż do wygięcia dziobu. Mokra linka szeleściła jak rozdzierany jedwab, sunąc przez ciemne palce marynarza, a nurkująca tuż przy burcie sonda utworzyła niknącą srebrzystą bliznę na złotym blasku. Po chwili głos młodzieńca, wysoki i przeciągły, oznajmił głębokość wody w malajskim języku.

— *Tiga stengah* — wołał Malaj raz po raz, w chwilę po każdym plusku i przyciągał szybko linkę przed następnym rzutem. *Tiga stengah* znaczy trzy sążnie[160] i pół. Przez jakąś milę mniej więcej głębokość wody nad ławicą była jednakowa. „Trzy i pół! Trzy i pół! Trzy i pół!” — powtarzał się przeciągły okrzyk Malaja, powolny i jednostajny niby krzyk ptaka; zdawał się odpływać w dal wśród blasku słońca, niknąc w cichej przestrzeni pustego morza i martwego brzegu, widocznych na północ i południe, na wschód i zachód, bez cienia najmniejszej chmurki, bez dźwięku innych głosów poza głosem Malaja.

Właściciel i mechanik „Sofali” stał nieruchomo za dwoma marynarzami różnej rasy, wiary i koloru; za

Europejczykiem, starcem o krzepkiej budowie urągającej czasowi, i za drobnym Malajem, również starym, lecz szczupłym i pomarszczonym jak zwiędły liść zagnany wichrem w potężny cień kapitana. Zajęci rozpatrywaniem lądu, nie mieli oczu dla niczego innego; a tymczasem Massy, świdrując ich z tyłu wzrokiem, zdawał się brać ich skupienie w pracy za pogardę dla swojej osoby. Nie miało to żadnego sensu, ale Massy żył już od lat w stworzonym przez siebie świecie urojonych żalów.

Przygładził wilgotną dłonią rzadkie kosmyki szorstkich, skąpych włosów na wierzchu żółtej łysiny i zaczął z wolna mówić:

— Sonda panu potrzebna! Chyba po to, żeby naśladować duże parowce. Czy pan rozum stracił, przecież i powinien pan rozeznać według brzegu, gdzie się pan znajduje! No, ja to nie pływałem i roku, a już umiałem sobie z tym radzić, choć jestem tylko mechanikiem. Ja stąd mogę panu pokazać, gdzie jest mielizna, i powiedziałbym panu w dodatku, że jak nic zaryje się pan w błoto za jakie pięć minut — ale tego nie powiem, bo pan by powiedział, że się wtrącam. A to byłoby sprzeczne z naszą spisaną umową; stoi tam przecież wyraźnie, że wtrącać mi się nie wolno.

Głos jego ucichł. Kapitan Whalley, nie zmieniając surowego spokoju twarzy, poruszył wargami, aby mruknąć szybko:

— Jak blisko jesteśmy, *serangu*?

— Już bardzo blisko, tuanie — odszepnął prędko Malaj.

— Wolno naprzód — wydał rozkaz kapitan głośnym, stanowczym tonem.

Serang chwycił rękojeść od telegrafu. W dole zabrzmiał gong. Massy odszedł z pogardliwym chichotem i wetknął głowę w luk od maszynowni.

— Jack — wrzasnął — możesz się spodziewać takiej hecy z maszynami, że aż ha.

Maszynownia, do której zaglądał, leżała głęboko, pełna mroku; siwe błyski stali tam w dole wydawały się chłodne po oślepiającym blasku morza. Lecz powietrze, co wionęło stamtąd na twarz mechanika, było lepkie i gorące. Z dna podniósł się głucho krótki okrzyk, ale nic nie można było z niego wymiarkować[161]: to drugi mechanik odpowiedział swemu szefowi.

Był to mężczyzna lat średnich, roztargniony i tak zaprzątnięty milczącą troską o swe maszyny, że poniekąd zapomniał mówić. Gdy zwracano się do niego bezpośrednio, odpowiadał tylko pomrukiem lub okrzykiem, stosownie do odległości. Przez lata całe, które przebył na „Sofali”, nie powiedział ani razu dzień dobry żadnemu z kolegów. Zdawał się nie spostrzegać krzątania się ludzi po świecie; zdawał się ich wcale nie widzieć. I rzeczywiście nigdy na lądzie kolegów nie poznawał. Przy stole (czterej biali na statku jadali razem) siedział i patrzył obojętnie w talerz, ale przy końcu posiłku zrywał się i pędził na dół, jakby jakaś nagła myśl kazała mu biec i przekonać się, czy ktoś nie ukradł maszyn podczas obiadu. W porcie u końca podróży dzień w dzień chodził na ląd, ale nikt nie wiedział ani gdzie,

ani w jaki sposób spędza wieczory. Wśród miejscowej floty nadbrzeżnej krążyła nieprawdopodobna i bezładna opowieść o jego zadurzeniu się w żonie sierżanta służącego w oddziale irlandzkiej piechoty. Ale ów oddział stał garnizonem w porcie już przed wiekami; został przeniesiony gdzieś na drugi koniec świata i słuch o nim zaginął.

Dwa lub może trzy razy na rok drugi mechanik upijał się. Wracał wówczas na statek wcześniej niż zwykle i przebiegał przez pokład, chwiejąc się z rozpostartymi ramionami jak tancerz na linie; zamknąwszy drzwi swej kajuty, rozprawiał i spierał się z sobą przez calusieńką noc w tonach dziwnie różnorodnych: wymyślał, szydził, narzekał płaczliwie z niewyczerpaną wytrwałością. Massy, leżąc w sąsiedniej kajucie, słuchał wsparty na łokciu; przekonywał się, że jego drugi mechanik pamięta nazwiska wszystkich białych, jacy przesunęli się przez „Sofalę” od długiego szeregu lat. Pamiętał nazwiska tych, co umarli, co wrócili do kraju, co udali się do Ameryki; pamiętał po pijanemu nazwiska ludzi, których związek ze statkiem był tak krótki, że Massy zapomniał prawie, w jakich to się działo okolicznościach, i ledwie mógł sobie uprzytomnić ich twarze. Pijacki głos po drugiej stronie grodzi obgadywał tych marynarzy z niezwykle pomysłową jadowitością. Wszyscy jakoby obrazili go w taki lub inny sposób, a on w zamian przeniknął ich co do jednego. Pomrukiwał niewyraźnie, śmiał się szyderczo, ścierał ich w proch jednego za drugim; tylko o swym szefie, Massym, plótł z zazdrosnym i naiwnym

podziwem. Sprytny łajdak, bo sprytny! Takich jak on ze świecą szukać. Dość na niego popatrzeć. Ha! Człowiek potężny! Posiada własny statek. Ten szelma żadnego byka nie strzeli — nie ma strachu.

Massy przysłuchiwał się z uśmiechem zadowolenia tym prostodusznym hołdom składanym jego wielkości, a w końcu zaczynał krzyczeć, waląc w gródź obu pięściami:

— Milczeć tam, durniu! Ty wariacie, spać przez ciebie nie mogę!

Lecz półuśmiech dumy błąkał się po jego ustach. Na pokładzie samotny malajski marynarz, wyznaczony do trzymania wachty podczas postoju w porcie — może młodzik przybyły świeżo z leśnej osady — stał nieruchomo w mroku, słuchając niekończącej się pijackiej paplaniny. Serce mu waliło, strach wobec białych zapierał dech w piersiach — strach wobec tych upartych despotów, którzy dążą nieugięcie do swych niezrozumiałych celów, wobec tych istot o dziwacznych głosach, istot które doznają niepojętych uczuć i kierują się niezbadanymi przyczynami.

VIII

Chwilę jeszcze po odzewie drugiego mechanika Massy błąkał się ponuro nad maszynownią. Kapitan Whalley — który dzięki pięciuset funtom utrzymał się przy dowództwie w ciągu trzech lat — zachowywał się tak, jakby nigdy przedtem nie widział tego wybrzeża. Zdawało się, iż nie jest w stanie oderwać od oczu lornetki, rzekłbyś, przylepionej pod ściągniętymi brwiami. Zmarszczone czoło nadawało twarzy Whalleya surowy wyraz nieugiętej sprawiedliwości, ale jego podniesiony łokieć drżał lekko i pot spływał mu spod kapelusza, jakby drugie słońce zajaśniało nagle w zenicie obok tkwiącej tam nieruchomej, rozjarzonej kuli, w której oślepiająco białym żarze ziemia wirowała i świeciła jak pyłek.

Od czasu do czasu kapitan Whalley, trzymając wciąż lornetkę przy oczach, podnosił drugą rękę, aby obetrzeć twarz zalaną kroplami potu, które toczyły się po policzkach i spadały niby deszcz na białą brodę. Nagle kapitan, jakby wiedziony podświadomym, niespokojnym impulsem, wyciągnął dłoń i ujął rękojeść telegrafu do maszynowni.

W dole zabrzmiał gong. Ustała równomierna wibracja statku płynącego najmniejszą szybkością i wszelki dźwięk na parowcu zamarł wraz z jego drganiem, jakby wielka cisza panująca na wybrzeżu wkradła się poprzez żelazne burty statku do jego wnętrza i zawładnęła najgłębszymi

zakamarkami. Złudzenie absolutnego bezruchu spłynęło na „Sofalę” ze świetlistej, nieskazitelnej kopuły błękitu sklepionego nad płaskim morzem zastygłym w martwocie. Leciutka bryza wywołana ruchem statku zamarła, jakby powietrze stało się nagle zbyt gęste, aby drgnąć; ustał nawet lekki syk wody u dziobu. Wąski, długi kadłub sunął, nie wzniecając zmarszczek na wodzie i zdawał się zbliżać ukradkiem do płytkiej wody nad mielizną. Plusk sondy i towarzyszący mu ponury, machinalny okrzyk laskara[162] rozlegał się coraz rzadziej, a ludzie na mostku jak gdyby wstrzymali oddech. Malaj przy sterze nie odwracał oczu od kompasu; kapitan i serang wpatrywali się w wybrzeże.

Massy odszedł od luku na swych płaskich stopach i wrócił po cichu na mostek do tego samego miejsca, gdzie stał poprzednio. Głupawy uśmiech obnażył jego wielkie i równe białe zęby, połyskujące w cieniu płóciennego dachu jak klawiatura pianina w mrocznym pokoju.

W końcu rzekł niezbyt głośno niby to do siebie, udając wielkie zdumienie:

— Teraz znów zatrzymał maszyny. Ciekawym, co będzie dalej?

Czekał, zgarbiony, ze spuszczoną głową i patrzył spod oka. Potem rzekł odrobinę głośniej:

— Gdybym się ośmielił zrobić głupią uwagę, powiedziałbym, że pan nie może się odważyć na...

Lecz duch wrzaskliwego podniecenia — niby oszalały upiór błąkający się wśród rozległej ciszy wybrzeża — opanował ciało laskara[163] rzucającego sondę. Monotonia

jego leniwego przyśpiewu zmieniła się w szybki, ostry krzyk. Ciężar wylatywał po jednym obrocie ramienia, lina świszczała, plusk następował po plusku. Woda stawała się coraz płytsza i laskar, zamiast snuć senną opowieść o sążniach, wykrzykiwał w stopach rezultaty sondowania:

— Piętnaście stóp! Piętnaście, piętnaście! Czternaście, czternaście...

Kapitan Whalley spuścił rękę trzymającą lornetkę. Opadła powoli niby pod wpływem własnego ciężaru, lecz wielka jego postać ani drgnęła, a żarliwe, ostrzegawcze krzyki następujące szybko po sobie zdawały się go nie dosięgać, jakby był głuchy.

Massy stał spokojnie, nadstawiając ucha, i wpatrywał się w srebrzystą głowę starca, krótko ostrzyżoną i nieruchomą. Mogło się wydawać, że statek jest też nieruchomy, gdyby nie to, że głębokość wody pod kilem[164] wciąż się zmniejszała.

— Trzynaście stóp... Trzynaście! Dwanaście! — krzyknął niespokojnie spod mostka Malaj rzucający sondę. I nagle bosy serang odstąpił w bok bezszelestnie, aby zerknąć ukradkiem za burtę.

Serang był odziany w garnitur z wyblakłego błękitnego perkalu oraz stary popielaty filcowy kapelusz wciśnięty na głowę; wąskie jego ramiona, chude członki i dołek w ciemnym karku sprawiały, że wyglądał z tyłu na czternastoletniego chłopca. Śledził z impulsywną ciekawością dziecka kłębienie się wielkich żółtawych zwojów, które wznosiły się z dna ku powierzchni niebieskiej

wody na kształt masywnych chmur sunących z wolna w górę po niezgłębionym niebie. Serang wcale się tym nie przestraszył; zerkając za burtę wiedział z góry, że kil „Sofali” dotyka już błota. Badawcze oczy Malaja, osadzone ukośnie w twarzy o chińskim typie — drobnej starej twarzy, niewzruszonej, jakby wyrzezanej w wiekowym brunatnym dębie — stwierdziły już dawno, że statek przebywa ławicę w miejscu nieodpowiednim.

Odprawiony z pokładu „Pięknego Dziewczęcia” razem z resztą załogi po sprzedaży barku, serang wałęsał się u wejścia do kapitanatu portu w swym wyblakłym granatowym ubraniu i zniszczonym popielatym kapeluszu; wreszcie pewnego dnia spostrzegł kapitana Whalleya poszukującego załogi dla „Sofali” i stanął spokojnie na jego drodze, boso, z nogami zanurzonymi w pyle, patrząc mu w oczy bez słowa. Wzrok dawnego dowódcy padł na Malaja przychylnie — był to widać dzień szczęśliwy — i zanim minęło pół godziny, biali ludzie w biurze zapisali w jakimś dokumencie jego imię jako seranga na buchającym ogniem statku „Sofala”. Od owego czasu widział wiele razy ujście tej rzeki i jej wybrzeże z tego oto mostka i z tej strony mielizny. Szczegóły dostępne wzrokowi przenikały za pośrednictwem oczu do prostego umysłu Malaja, utrwalając się tam, jakby padały przez soczewkę na czułą kliszę. Serang znał swój fach doskonale, a jednak gdyby przyszło zasięgnąć jego rady, a szczególniej gdyby go o coś zapytano w sposób bezpośredni i niepokojący, jak to jest w zwyczaju u białych, okazałby wahanie i brak orientacji. Faktów był

pewien — ale cóż taka pewność znaczy, gdy się nie wie, jaka odpowiedź zadowoli pytającego?

Przed pięćdziesięciu laty — we wsi ukrytej wśród dżungli — gdy *serang* liczył niespełna jeden dzień, ojciec jego (który umarł, nie zobaczywszy nigdy białej twarzy) kazał przepowiedzieć przyszłość syna mędrcowi biegłemu w astrologii; albowiem z rozmieszczenia gwiazd można wyczytać los człowieka aż do jego ostatnich chwil. Okazało się, że przeznaczeniem dziecka jest zdobyć powodzenie na morzu za sprawą łaski wielu białych ludzi. Młody Malaj zamiatał pokłady, trzymał ster, pilnował zapasów i w końcu wzniósł się na stanowisko seranga; lecz jego ospały umysł pozostał równie niezdolny do przeniknięcia najprostszych pobudek tych, którym służył, jak oni sami niezdolni byli przeniknąć przez skorupę ziemi tajemnicy jej wnętrza, które może jest ogniem, a może kamieniem.

Ale serang miał zupełną pewność, że statek „Sofala” zboczył z kursu przy mijaniu ławicy pod Batu Beru.

Błąd był nieznaczny. Parowiec posunął się zbyt daleko na północ, nie więcej niż o dwie własne długości; człowiek biały, zachodząc w głowę, dlaczego się tak stało (bo któż by mógł posądzić kapitana Whalleya o nieznajomość rzeczy, brak umiejętności lub też niedbalstwo), byłby skłonny nie dowierzać świadectwu własnych zmysłów. Massy znieruchomiał właśnie pod wpływem takich uczuć; grymas niepokoju wykrzywił mu twarz i obnażył zęby. Natomiast seranga nie nękały wcale intelektualne wątpliwości co do świadectwa jego zmysłów. Widać kapitan chciał dotknąć

błota — i wszystko w porządku. Malaj widywał już nieraz białych ludzi pozwalających sobie na równie dziwaczne wybryki. Bardzo go tylko interesowało, co z tego wyniknie. W końcu zadowolił, widać, swoją ciekawość, bo odsunął się od poręczy.

Nie uczynił najlżejszego szmeru, ale snadź[165] kapitan Whalley śledził ruchy swego seranga. Trzymając wciąż sztywno głowę, zapytał samym poruszeniem warg:

— Posuwa się wciąż naprzód, *serangu*?

— Bardzo powoli, tuanie — odpowiedział Malaj. Potem dodał obojętnie:

— Przejechać już mieliznę.

Sonda potwierdziła jego słowa; głębokość wody zwiększała się za każdym rzutem i duch podniecenia opuścił nagle laskara kołyszącego się w płóciennej pętli nad burtą „Sofali”. Kapitan Whalley spokojnie kazał wciągnąć sondę, puścić w ruch maszyny i odwróciwszy oczy od brzegu, wydał rozkaz, aby wziąć kurs na środek ujścia.

Massy plasnął dłonią w udo.

— Pan dotknął mielizny. Niech pan spojrzy za rufę, to się pan przekona. Niech pan spojrzy na ślad zostawiony przez statek. Jaki wyraźny! Słowo daję, byłem pewien, że pan dotknie mielizny. Dlaczego pan to zrobił? Po kiego licha pan to zrobił? Pan chce mnie chyba nastraszyć!

Mówił z wolna, jak gdyby ostrożnie, wlepiając wypukłe czarne oczy w kapitana. W rosnącym gniewie Massy’ego przebijała nuta z lekka żałosna, bo przede wszystkim wyraźne poczucie krzywdy kazało mu nienawidzić tego

człowieka, który za nędzne pięćset funtów żądał szóstej części zysków zgodnie z trzyletnim kontraktem. Gdy żal Massy'ego brał górę nad lękiem, jaki wzbudzał kapitan Whalley, mechanik po prostu skomlał z wściekłości:

— Pan nie wie, co wymyślić, żeby zatruć mi życie. Nigdy bym nie przypuścił, że taki człowiek jak pan poniży się do tego, aby...

Za każdym, choćby nieznacznym ruchem Whalleya siedzącego w fotelu Massy milkł, miotany na przemian nadzieją lub trwogą, jakby się spodziewał, że kapitan udobrucha go łagodnymi słowami lub rzuci się nań i spędzi go z mostka.

— Nic nie rozumiem — ciągnął dalej, szczerząc czujnie i ponuro wielkie zęby. — Nie mam pojęcia, co o tym myśleć. Pan chce mnie chyba nastraszyć. O mało co nie nadział pan statku na mieliznę co najmniej na dwanaście godzin — ładnie by wyglądały maszyny zapchane szlamem. W dzisiejszych czasach statek nie może sobie pozwolić na stratę dwunastu godzin w ciągu jednej podróży — co pan powinien wiedzieć i co pan z pewnością wie doskonale, tylko że pan...

Kapitan Whalley był nieczuły na tępą gadatliwość mechanika, jego wykręcanie głowy i gniewne spojrzenia spode łba. Patrzył w pokład ze zmarszczonymi surowo brwiami. Massy czekał przez chwilę, a potem zaczął grozić mu żałośliwie:

— Pan myśli, że mam ręce i nogi związane tą umową. Pan myśli, że może mnie pan dręczyć, ile się panu żywnie

podoba. Ale proszę pamiętać, że umowa wygasa dopiero za sześć tygodni. Mam czas odprawić pana, zanim te trzy lata się skończą. Jeszcze pan zmaluje coś, co pozwoli mi dać panu dymisję, a wtedy poczeka pan cały rok, zanim pan będzie mógł stąd się zabrać i wyciągnąć swoje pięćset funtów, i zostawić mnie bez grosza, bez możności kupienia nowych kotłów dla statku. Uśmiecha się to panu, co? Jestem pewien, że pan się rozkoszuje tą myślą. Mam wrażenie, żem sprzedał duszę za pięćset funtów i będę w końcu potępiony na wieki wieków...

Umilkł, na pozór spokojny, i podjął znów równym głosem:

— ...A kotły zniszczone na amen i inspekcja nastąpi lada dzień, kapitanie Whalley. Słyszy pan, kapitanie Whalley? Co pan robi ze swymi pieniędzmi? Musi pan gdzieś mieć całe kupy pieniędzy — taki człowiek jak pan musi mieć na pewno mnóstwo pieniędzy. To jasne jak słońce. Ja, uważa pan, głupi nie jestem — panie kapitanie Whalley — mój wspólniku.

Umilkł znów, jakby był skończył na dobre. Przesunął językiem po wargach i rzucił w tył spojrzenie na seranga, który kierował statkiem za pomocą spokojnych szeptów oraz nieznacznych poruszeń ręki. Od wirującej śruby rozchodziły się po wodzie drobne falki o ciemnych, spienionych grzywach i wbiegały na długi, płaski cypel z czarnego mułu. Parowiec „Sofala” wszedł na rzekę; ślad wzniecony nad mielizną pozostał już o milę za rufą i znikł z oczu, a gładkie, puste morze wzdłuż wybrzeża leżało w roziskrzonym okrutnie blasku słońca. Nisko z obu stron

statku gąszcz ciemnych poskręcanych mangrowi okrywał bagniste brzegi.

Nagle Massy zaczął znów mówić poprzednim tonem, niby pozytywka, z której dobywa się melodię za pomocą kręcenia korbą:

— Ale muszę powiedzieć, że tak jak pan to nigdy mnie nikt nie podszedł. Przyznaję się do tego. Słyszy pan? Przyznaję się! Czego pan jeszcze chce? Czy zaspokoiło to pana dumę, panie kapitanie Whalley? Objechał mnie pan od samego początku. Widzę to jak na dłoni, kiedy sobie wszystko przypomnę. Pozwolił mi pan włączyć zastrzeżenie co do nietrzeźwości, ani słowa pan nie pisnął; tylko zrobił pan minę pełną obrzydzenia, kiedy zażądałem, żeby wypisać to w kontrakcie czarno na białym. Skąd ja mogłem wiedzieć, jaka jest pana słaba strona? Bo każdy ma jakąś słabą stronę. I ot co się pokazało! Kiedy pan był już na statku, dowiedziałem się, że od lat pije pan tylko wodę.

Aroganckie, skomlące wymówki Massy’ego ustały. Pogrążył się w ponurym zamyśleniu, charakterystycznym dla ludzi przebiegłych i ograniczonych. Jego tępą, żółtą twarz powlekł wyraz głębokiego wstrętu; trudno było zrozumieć, że kapitan Whalley nie roześmiał się na ten widok. Ale kapitan nie podniósł wcale oczu i siedział nieruchomo w fotelu, znieważony, lecz pełen godności.

— Wiele mi z tego przyszło — podjął znów monotonnym głosem Massy — że włączyłem zastrzeżenie o nietrzeźwości! Przecież zawierałem kontrakt z człowiekiem, który nie bierze do ust nic oprócz wody.

A pan miał taką zmieszaną minę wtedy rano u adwokata, kiedy czytałem swój projekt kontraktu — taki pan był zgnębiony! Byłbym przysiągł, że utrafiłem w pana słabą stronę. Właściciel statku nie może być nigdy zanadto ostrożny w stosunku do swego kapitana. A pan przez cały czas musiał kpić ze mnie w duchu... Co? Co pan mówi?

Kapitan Whalley tylko poruszył z lekka nogami. Tępa wrogość przejawiła się w ukośnym spojrzeniu Masnego.

— Ale proszę pamiętać, że są jeszcze inne powody do dymisji. Na przykład ciągłe niedbalstwo równające się w skutkach nieumiejętności — karygodne i uporczywe zaniedbywanie obowiązków. Nie taki znów ze mnie kiep, za jakiego pan by chciał mnie uważać. W ostatnich czasach zaniedbuje się pan — spycha pan wszystko na seranga. Przecież widziałem na własne oczy, że ten stary dureń brał za pana kurs, jakby pan był zbyt wielki, żeby wypełniać to, co do pana należy. A ta głupia lekkomyślność, z jaką pan przebył mieliznę? Myśli pan, że zniosę coś podobnego?

Oparty łokciem o drabinę tuż pod mostkiem, Sterne, pierwszy oficer, usiłował dosłyszeć, co mówią, mrugając z daleka do drugiego mechanika, który wspiął się na pokład i stał w wejściówce od maszynowni. Wycierał ręce wiązką bawełnianych pakuł i rozglądał się obojętnie po obu brzegach rzeki sunących spokojnie w dal za rufą.

Massy zwrócił się wprost do fotela. W żałośliwej jego skardze zabrzmiała znów groźba:

— Niech się pan strzeże! Jeszcze mogę pana odprawić, a wtedy przez rok nie ujrzy pan ani grosza. Mogę.

Ale wobec surowego milczenia i bezruchu człowieka, którego pieniądze zjawiły się w samą porę, aby ocalić Massy’ego od ruiny, głos uwiązł mu w gardle.

— Nie mówię, że chciałbym się pana pozbyć — podjął po chwili milczenia tonem łaszącym się idiotycznie. — Niczego więcej nie pragnę jak żyć z panem w przyjaźni i odnowić nasz kontrakt, jeśli pan, kapitanie Whalley, zgodzi się dać jeszcze paręset funtów na kupno nowych kotłów. Już panu o tym wspominałem. Statek musi mieć nowe kotły; pan wie o tym równie dobrze jak ja. Czy pan już się nad tym zastanowił?

Czekał na odpowiedź. Z jego wydatnych warg zwisała pękata fajka na cienkim cybuchu. Fajka była zgaszona. Nagle wyjął ją z zębów i załamał ręce.

— Pan mi nie wierzy? — Wcisnął fajkę do kieszeni czarnej wyświechtanej kurtki. — Zupełnie jakbym z diabłem miał do czynienia — rzekł. — Dlaczego pan nic nie mówi? Z początku tak pan nosa zadzierał, że ledwie śmiałem pokazać się na własnym pokładzie. Teraz znów nie mogę z pana ani słowa wydobyć. Zupełnie jakby pan mnie nie dostrzegał. Co to ma znaczyć? Słowo daję, pan mnie przeraża tym udawaniem głuchoniemego. Co panu w głowie świta? Co pan knuje przeciw mnie tak zawzięcie, że nie można z pana ani słowa wycisnąć? Nigdy w życiu nie uwierzę, aby pan nie mógł znaleźć paruset funtów! Z pana winy przeklinam dzień, kiedy się urodziłem…

— Panie Massy — rzekł nagle kapitan Whalley, nie poruszając się wcale.

Mechanik drgnął gwałtownie.

— Wobec tego mogę tylko prosić pana o przebaczenie.

— Ster w prawo — mruknął *serang* do sternika i parowiec zaczął objeżdżać kolano rzeki.

— Brr! — wstrząsnął się Massy. — Aż mnie ciarki przechodzą. Co pana tu sprowadziło? Skąd się pan wziął wtedy wieczorem na pokładzie? Dlaczego pan tak przemawiał do mnie i kusił mnie swymi pieniędzmi? Nie mogłem nigdy zrozumieć pana pobudek. Przypiął się pan do mnie, żeby sobie ułatwić życie i utuczyć się moją krwią. Może nie? Twierdzę, że pan jest największym skąpcem na świecie, bo gdyby tak nie było…

— Nie. Ja po prostu nie mam pieniędzy — przerwał kamiennym głosem kapitan Whalley.

— Tak trzymać — mruknął *serang*.

Massy odwrócił się z brodą wspartą o ramię.

— Nie wierzę panu — rzekł apodyktycznie. Kapitan Whalley ani drgnął. — Siedzi pan tu jak obżarty sęp — zupełnie jak sęp.

Ogarnął bezmyślnym spojrzeniem środek rzeki i oba wybrzeża, po czym opuścił z wolna mostek.

IX

Odwracając się, aby zejść, Massy spostrzegł głowę pierwszego oficera, Sterne’a, wałęsającego się u stóp drabiny. Był to człowiek o przebiegłym, zarozumiałym uśmiechu, rudych wąsach i mrugających oczach; przed zaciągnięciem się na „Sofalę” służył jako drugi oficer w jednej z większych spółek armatorskich. Porzucił posadę, jak twierdził, „dla względów zasadniczych”. Żalił się, że awansował bardzo wolno; najwyższy czas wziąć się za siebie i pomyśleć o karierze. Zdawało się, że nikt nigdy w tej firmie nie umrze i nikt jej nie opuści; wszyscy trzymali się swoich miejsc i porastali pleśnią; Sterne zmęczył się oczekiwaniem, a przy tym wcale nie był pewien, czy w razie wakansu najlepsi pracownicy dostaną to, co im się należy. W dodatku kapitan, pod którym służył — nazwiskiem Provost — był człowiekiem nieobliczalnym i znienawidził go dla tych czy innych powodów. Może po prostu dlatego, że Sterne pracował więcej niż był obowiązany. Jeśli się zdarzyło, że naprawdę zawinił, umiał znieść wymówki po męsku, ale chciał, żeby traktowano go jak człowieka, gdy tymczasem zwracano się do niego zawsze jak do psa. Raz zapytał prosto z mostu kapitana Provosta, w czym on, Sterne, zawinił; kapitan odrzekł na to ze zjadliwą pogardą, że uważa go za doskonałego oficera, a jeśli mu nie dogadza

sposób, w jaki się do niego odnoszą, to ot tam jest schodnia — może wynieść się na brzeg choćby zaraz.

Ale każdy wie, jakiego to rodzaju człowiek ten kapitan Provost. Nie warto było chodzić ze skargą do biura. Kapitan Provost zbyt wielkie ma wpływy. Mimo to musieli dać Sterne’owi dobre świadectwo, bo nikt nie mógł mu nic zarzucić. Otóż Sterne posłyszał o wypadku z pierwszym oficerem „Sofali” (ów oficer musiał tego ranka pójść do szpitala z powodu słonecznego udaru) i przyszło mu na myśl, że trzeba się zgłosić; a nuż zostanie przyjęty?

Stawił się przed kapitanem Whalleyem, prostując chudą pierś, świeżo ogolony, czerwonolicy, szczupły; wyrecytował swoją opowieść z męską otwartością i pewnością siebie. Od czasu do czasu powieki mu drgały nieznacznie, a ręka podnosiła się ukradkiem do płomiennych wąsów; brwi miał proste, krzaczaste, koloru kasztana, śmiałość jego spojrzenia zatrącała czelnością.

Kapitan Whalley zaangażował go czasowo, gdy zaś poprzednik Sterne’a został wysłany do kraju przez doktorów, Sterne pozostał na następną podróż, a potem znów na jeszcze jedną. Miał więc już stałą posadę i wypełniał swe obowiązki z miną pełną szczerego przejęcia się i powagi. Kiedy się do niego zwracano, uśmiechał się natychmiast uprzejmie i wyrażając całą postawą wielki szacunek; ale w jego oczach mrugających szybko i nieustannie błyskało coś drwiącego, jakby był wtajemniczony w jakiś pyszny kawał wywodzący w pole

cały wszechświat — kawał niedostępny dla reszty śmiertelników.

Uśmiechając się z godnością, śledził, jak Massy schodzi z mostka stopień za stopniem; gdy pierwszy mechanik stanął na pokładzie i odwrócił się, znaleźli się oko w oko. Dobrani wzrostem, lecz krańcowo różni, stali naprzeciw siebie, jakby ich dzielił nie tylko jasny pas słonecznego blasku, który padał przez szeroką szparę w płóciennym dachu, przecinał wąskie deski pokładu i kładł się między nimi jak strumień: dzieliło ich coś głębokiego i subtelnego, a nieuchwytnego, niby tajna wspólnota w złem, ukryta podejrzliwość lub nieokreślony lęk.

Wreszcie Sterne, mrugając osadzonymi głęboko oczami i wysuwając gładką, wygoloną brodę, równie czerwoną jak reszta twarzy, mruknął:

— Widział pan? Statek dotknął mielizny! Widział pan?

Massy odparł pogardliwie takim samym tonem, nie podnosząc żółtej, nalanej twarzy:

— Możliwe. Ale gdyby pan był na miejscu Whalleya, siedzielibyśmy teraz w błocie.

— Bardzo pana przepraszam, lecz pozwolę sobie zaprzeczyć. Naturalnie, że właściciel statku może mówić, co mu się żywnie podoba na swoim rodzonym pokładzie, i to jest w porządku; pozwolę sobie jednak…

— Proszę mi zejść z drogi.

Sterne drgnął z lekka — może był to odruch tłumionego gniewu — lecz nie odstąpił. Massy rozejrzał się w prawo i lewo po deskach pokładu, jakby wszędzie naokoło

Sterne’a leżały jaja, których potłuc nie wolno, i jakby szukał niecierpliwie pustych miejsc, gdzie by mógł stawiać nogi w ucieczce. Ale i on się nie poruszył, choć swobodnie mógł przejść obok Sterne’a.

— Słyszałem, co pan tam mówił na górze — ciągnął dalej oficer — i ma pan zupełnie rację, zawsze coś jest nie w porządku...

— Na przykład, jeśli się podsłuchuje tak jak pan, panie Sterne.

— Gdyby pan mógł poświęcić mi łaskawie chwilę uwagi, to bym...

— Pan jest donosicielem — przerwał Massy gwałtownie i zdążył nawet powtórzyć: — zwykłym donosicielem — gdy Sterne wtrącił porozumiewawczym tonem:

— Więc, panie szefie, czego pan właściwie chce? Pan chce...

— Chcę — chcę — jąkał się Massy, wściekły i zdziwiony — ja chcę? Skąd pan wie, że ja czegoś chcę? Jak pan śmie! Co pan sobie myśli? O co panu chodzi...

— O awans — przerwał mu Sterne z zuchwałą szczerością.

Okrągłe, miękkie policzki mechanika wciąż jeszcze drżały, lecz odrzekł dość spokojnie:

— Pan tylko zawraca mi głowę.

Sterne odparł na to z zarozumiałym uśmieszkiem:

— Jeden mój znajomy handlowiec (zdobył sobie świetne stanowisko) twierdził zawsze, że to jest właśnie najlepszy sposób postępowania ze zwierzchnikiem. „Trzeba chwytać

byka za rogi” — mawiał. „Niech pan zawsze pcha się zwierzchnikowi przed oczy. Niech pan się wtrąca do rozmowy przy każdej sposobności. Niech pan pokazuje, co pan umie. Póty niech go pan nudzi, póki pan nie ściągnie jego uwagi”. Takie mi dawał rady. A ja poza panem nie uznaję żadnego zwierzchnika. Pan jest właścicielem statku i tylko z pana sobie coś robię. Rozumie pan? Ja chcę się wybić! Wcale nie ukrywam, że należę do tych, którzy postanowili się wybić; właśnie takimi ludźmi trzeba się posługiwać. Pan zna chyba dobrze te sprawy, bo przecież pan zrobił karierę.

— Nudzić zwierzchnika dla dostania awansu? — powtórzył Massy, jakby porażony zuchwałą oryginalnością tego pomysłu. — Nie zdziwiłbym się wcale, gdyby się okazało, że zarząd Blue Anchor za to właśnie pana wylał. I pan to nazywa robieniem kariery? Taką samą karierę zrobi pan tutaj, jeśli się pan nie będzie pilnował — mogę pana zapewnić.

W odpowiedzi na to Sterne zwiesił głowę i zamyślił się, mrugając oczami utkwionymi w pokładzie. Wszystkie jego usiłowania, aby nawiązać poufne stosunki z właścicielem statku, prowadziły w ostatnich czasach tylko do niejasnych gróźb dymisji; a groźba dymisji przyprawiała Sterne’a natychmiast o niepewność i milczenie, jakby nie umiał rozstrzygnąć, czy nadszedł już czas, aby stawić czoło pogróżkom. Wobec tej ostatniej groźby zdawało się wprost, że zapomniał języka w gębie; Massy ruszył z miejsca i mijając Sterne’a ciężkim krokiem, na próżno usiłował go

potrącić, bo Sterne w porę się usunął. Potem odwrócił się szybko za Massym i otworzył usta bardzo szeroko, jakby chciał coś za nim krzyknąć, lecz się widać rozmyślił.

Sterne węszył zawsze za jakąś okazją do awansu (jak się szczerze przyznawał) i stało się to w nim po prostu instynktowne, że śledził postępowanie swych bezpośrednich zwierzchników, starając się wykryć coś, „do czego by się można przyczepić”. Wierzył niezłomnie, że nie ma na świecie kapitana, który by choć jeden dzień utrzymał się przy dowództwie, gdyby właściciele statku wiedzieli, „co w trawie piszczy”. Ta fantastyczna i naiwna teoria przyprawiła go już o wiele kłopotów, lecz pozostał niepoprawny; a nielojalność była mu tak dalece wrodzona, że za każdym razem, gdy obejmował nowe obowiązki, miał w głębi ducha zamiar wyrugować z posady swego dowódcę i zająć jego miejsce. W wolnych chwilach marzył o tym na jawie, obmyślając starannie różne plany i odkrycia kompromitujące zwierzchników, a sny jego roiły się od szczęśliwych zbiegów okoliczności i sprzyjających okazji. Przecież zdarzało się, iż kapitanowie chorowali i umierali na morzu; trudno sobie wyobrazić lepszą sposobność dla pierwszego oficera, który może wówczas pokazać w pełni wszystkie swe walory. Bywa też, że kapitanowie wpadają do morza; Sterne słyszał o jednym czy dwóch takich wypadkach. Inni znów... A przy tym Sterne wierzył instynktownie, że żaden kapitan nie wytrzymałby próby, gdyby go poddać czujnej obserwacji człowieka „do rzeczy”, człowieka, który potrafi „zwąchać pismo nosem”.

Dochrapawszy się stałej posady na „Sofali”, Sterne pozwolił wybujać swym uporczywym nadziejom. Więc najpierw okoliczność bardzo pomyślną stanowił poważny wiek kapitana; co więcej, z natury rzeczy można się było spodziewać, że człowiek tego rodzaju co Whalley porzuci niebawem swoje stanowisko dla tej lub innej przyczyny. Tymczasem Sterne bardzo się zmartwił spostrzegłszy, że kapitan wcale nie wygląda na człowieka, który wkrótce nie będzie mógł podołać swej pracy. Ale starzy ludzie załamują się często w jednej chwili. Drugą okoliczność pomyślną stanowiła ciągła obecność właściciela, na którym można było wywrzeć korzystne wrażenie gorliwością i zimną krwią. Sterne nie wątpił o swych oczywistych zaletach (był to naprawdę doskonały oficer), tylko że w dzisiejszych czasach bezbłędne wykonywanie obowiązków nie prowadzi szybko na szczyty. Człowiek musi umieć się pchać i być wciąż w pogotowiu, żeby się w odpowiedniej chwili wysunąć. Sterne postanowił, że w razie czego on odziedziczy dowództwo parowca; nie uważał wprawdzie, aby komenda „Sofali” była wielkim osiągnięciem, lecz niezmiernie ważną jest rzeczą, aby zrobić początek — szczególnie na Wschodzie — a jedno dowództwo prowadzi do drugiego.

Przede wszystkim Sterne obiecał sobie, że będzie postępował bardzo ostrożnie; ponure i kapryśne usposobienie Massy’ego onieśmielało go, ponieważ nigdy się z czymś podobnym na morzu nie spotkał; był jednak dość inteligentny na to, aby prawie od pierwszej chwili

zrozumieć, iż ma przed sobą sytuację wyjątkową. Jego wścibska badawczość przeniknęła to szybko; poczucie, że jest w powietrzu coś, czego on nie może uchwycić, podnieciło jego żądzę awansu.

Tymczasem skończyła się jedna podróż, potem druga i zaczęła się trzecia, a Sterne wciąż jeszcze nie widział żadnej okazji do skutecznego wystąpienia. Wszystko to było bardzo dziwaczne i bardzo zawikłane; coś działo się tuż obok Sterne'a, coś jakby oddzielonego przepaścią od zwykłego życia na „Sofali" i od okrętowej rutyny, a to życie i ta rutyna były zupełnie takie same jak na wszystkich innych parowcach tej kategorii.

Aż tu pewnego dnia Sterne uczynił odkrycie.

Przyszło po długich tygodniach bacznych obserwacji i niepewnych domysłów, przyszło niby długo poszukiwane rozwiązanie zagadki, olśniewające jak błyskawica — nie narzuciło się jednak Sterne'owi z taką samą pewnością. Wielki Boże! Czyż to możliwe? Przez parę sekund Sterne był spiorunowany, ale potem starał się pozbyć tych myśli z uczuciem wzgardy dla samego siebie, jakby były wytworem niezdrowej skłonności do rzeczy niewiarogodnych, niewytłumaczonych, niesłychanych — do obłędu!

Ów błysk przenikliwości olśnił Sterne'a w ciągu poprzedniej podróży, podczas drogi powrotnej. Parowiec opuścił właśnie osadę Pangu na kontynencie i wychodził z zatoki. Na wschodzie masywny przylądek zamykał perspektywę; pochyłe krawędzie skalnych warstw wyzierały

spod rzadkiej roślinności złożonej z wybujałych krzewów i kolczastych pnączy. Wiatr zaczął nucić w osprzęcie; morze wzdłuż wybrzeża, zielone i jakby trochę nabrzmiałe ponad linię horyzontu, zdawało się raz po raz przelewać leniwą, grzmiącą falą w cień podwietrznego przylądka; przez szeroką cięciwę zatoki widać było grupę drobnych wysepek, z których najbliższa leżała skąpana w mglistej żółtości wietrznego wschodu słońca; jeszcze dalej okrągłe wierzchołki innych wysepek sterczały nieruchomo nad wodą dzielących je przesmyków, smaganych gwałtownie przez bryzę.

Zwykły szlak „Sofali” wiódł w jedną i w drugą stronę przez obszar usiany rafami na przestrzeni kilku mil. Statek płynął szerokim wodnym traktem, wymijając jeden po drugim okruchy lądu przypominające grupę hulków[166] pozbawionych osprzętu i rozrzuconych bezładnie po zdradzieckim dnie, pełnym skał i mielizn. Niektóre z tych fragmentów ziemskiej skorupy wydawały się zaiste nie większe niż rozbity statek, inne, zupełnie płaskie, leżały na wodzie jak przycumowane tratwy, ciężkie, czarne tratwy z kamienia, a kilka okrągłych wysepek zarośniętych gęsto lasem wynurzało się z morza przysadzistymi kopułami ciemnozielonych liści. Owe liściaste kopuły drżały tajemniczo przy lotnych dotknięciach cieni rzucanych przez obłoki posłuszne nagłym podmuchom deszczowej pory. Przybrzeżne burze rozpętywały się często nad grupą wysepek i wówczas cień je powlekał w całości; stawały się jakby ciemniejsze i bardziej nieruchome wśród igrania

błyskawic, jakby cichsze i bardziej tajemnicze wśród huku grzmotów; zatarte kontury całej grupy to nikły, rozpuszczając się chwilami doszczętnie w ulewnym deszczu, to znów przy burzliwym świetle odcinały się czarnymi, ostrymi sylwetami na szarym tle chmur, rozsypane po okrągłej łupkowej tablicy morza. Nie uszkodzone przez sztormy, opierające się działaniu czasu, obojętne na walkę świata, leżały oto, niezmienne, jak owego dnia przed czterystu laty, kiedy oczy ludzi z Zachodu ujrzały je po raz pierwszy z pokładu karaweli [167] o wysokiej rufie.

Było to jedno z tych zacisznych miejsc, jakie spotyka się na ruchliwym morzu, podobnie jak na lądzie spotyka się czasem zbite w gromadkę chaty wioski nie tkniętej przez ludzki niepokój, przez ludzkie potrzeby, myśli — i jakby przez sam czas zapomnianej. Niezliczone pokolenia mijały obojętnie te wysepki, a chmary morskiego ptactwa śpieszyły ku nim ze wszystkich stron horyzontu, aby znaleźć nocleg na przybrzeżnych skałach grupy i zataczały kręgi w długich ciemnych wstęgach rozpostartych na gorejącym tle nieba. Rozedrgana chmura skrzydeł wznosiła się i opadała nad szczytami skał, nad skałami smukłymi jak dzwonnice i przysadzistymi jak okrągłe wieże obronne; nad trójkątnymi stosami podobnymi do ruin, nad szeregami łysych głazów wyglądających jak mur zburzony i osmalony przez błyskawice — mur pełen szczerb, w których połyskiwała senna, przejrzysta woda. Zgiełk nieustannych, gwałtownych ptasich krzyków wypełniał powietrze.

Parowiec „Sofala”, dążący z Batu Beru, napotykał w ciche wieczory ten wrzaskliwy zgiełk, tę bezlitosną, dziką wrzawę zgłuszoną przez oddalenie, wrzawę morskich ptaków sadowiących się na nocleg u schyłku dnia i walczących o miejsce. Nikt z załogi parowca nie zwracał na to szczególnej uwagi; był to odgłos towarzyszący przybiciu do brzegu, które następowało nieodwołalnie przy końcu stumilowego etapu podróży. Parowiec przebywał pomyślnie tę część drogi i we właściwej chwili punktualne wysepki — ostre szczyty skał, kopce ziemi — zaczynały wyłaniać się jedna za drugą... a nad nimi unosiła się chmura ptaków — ruchliwa chmura wydająca dziki, okrutny wrzask nieodłączny od znanego widoku, stanowiący żywą część pokruszonej ziemi, rozpostartego szeroko morza i wyniosłych niebios bez skazy.

Ale gdy się zdarzyło, że statek przybijał do lądu po zachodzie słońca, wszędzie panowała już wielka cisza pod płaszczem nocy. Wszystko było nieruchome, nieme, prawie niewidzialne, tylko konstelacje osadzone nisko na niebie chowały się kolejno za niewyraźne masywy wysepek, których zarysy były dla oczu nieuchwytne na tle ciemnych przestworów nieba; a trzy światła statku — jedno czerwone, drugie zielone, a nad nimi białe — podobne do trzech gwiazd-towarzyszek wędrujących po ziemi, dążyły prosto ku przesmykowi u południowego krańca grupy. Czasem ludzkie oczy śledziły stamtąd zbliżanie się trzech świateł, które sunęły gładko przez ciemną próżnię — oczy nagiego rybaka w czółnie unoszącym się nad rafą. Rybak rozmyślał sennie:

„A! to ten buchający ogniem statek, który raz jeden w księżycu wchodzi do zatoki Pangu i wraca na morze”. Nic więcej o parowcu nie wiedział. I właśnie w chwili, gdy chwytał uchem nikły rytm śruby wzburzającej spokojną wodę w odległości półtorej mili, parowiec zmieniał kurs, światła odwracały od rybaka potrójny promień — i nikły.

Kilka nędznych, półnagich rodzin — coś w rodzaju plemienia wyrzutków złożonego z długowłosych i chudych ludzi o dzikim spojrzeniu — walczyło ciężko o byt wśród głuchej pustki tych wysepek, przypominających opuszczone szańce u wrót zatoki. Wśród krętych zaułków skał, na spokojnej wodzie przejrzystszej niż kryształ, tkwiły koślawe, przeciekające czółna rybaków, wyżłobione niezdarnie w pniach; kształty na dnie falowały lekko przy zanurzeniu wiosła, a ludzie zdawali się wisieć nad ziemią w ciemnym, nasiąkłym wodą pniu i łowili cierpliwie ryby jakby w przejrzysto-zielonym powietrzu nad mieliznami, powietrzu dziwacznym i niespokojnym.

Czatowali na zdobycz brunatni i wychudli, rzekłbyś wysuszeni przez słońce; życie upływało im w milczeniu; chaty, gdzie się urodzili, gdzie wypoczywali i umierali — marne szałasy z trzcin i szorstkiej trawy, uzupełnione podartymi matami, były niewidoczne z pełnego morza. Gdy ślepa noc otoczyła wysepki, żar domowych ognisk nie rozniecał nigdy czerwonych światełek dla wzroku marynarza, a cisza, która często ogarniała wybrzeże, płomienna, długa cisza właściwa okolicom równika, kamienna, skupiona cisza, podobna do głębokiego

zamyślenia namiętnej przyrody, ciążyła okrutnie przez długie tygodnie nad niezmiennym dziedzictwem tych wyspiarzy; aż w końcu kamienie, rozpłomienione jak żar, parzyły nagie podeszwy, aż woda — ciepła, mdląca i jakby zgęstniała — lepiła się do nóg chudych ludzi z przepaskami wokół bioder, ludzi brodzących po uda w blasku płytkiego morza. Niekiedy zdarzało się, że parowiec „Sofala”, przetrzymany z jakiegoś powodu w jednym z portów, ukazywał się w pobliżu wysepek dopiero około południa, dążąc ku zatoce Pangu.

Najpierw pojawiał się niewyraźny obłoczek, a potem przejrzysta mgła dymu zaczynała wznosić się tajemniczo z jakiegoś punktu na czystej linii morza i nieba. Milczący rybacy wśród skał wyciągali chude ramiona ku pełnemu morzu, a brunatne postacie schylone na malutkich plażach, brunatne postacie mężczyzn, kobiet i dzieci rozgrzebujących piasek w poszukiwaniu żółwich jaj, prostowały się i podnosiły zgięte łokcie, ocieniając oczy rękami, aby śledzić to comiesięczne zjawisko, które sunęło prosto na wyspy, obchodziło je łukiem i oddalało się. Uszy rybaków chwytały szybki oddech statku, oczy ich szły za nim śledząc, jak przechodził największym pędem między dwoma cypelkami lądu, jakby się spodziewał, że dotrze bez przeszkód do samego jądra ziemi.

W takie świetliste dni morze nie zdradzało wcale niebezpieczeństw czyhających z obu stron okrętowego szlaku. Wszystko tkwiło w bezruchu, zmiażdżone przytłaczającą siłą światła; a cała grupa wysepek, ciemna

wśród blasku słońca — skały podobne do wieżyczek, skały podobne do dzwonnic, skały podobne do ruin; wysepki podobne do uli lub do kretowisk; wysepki przypominające stogi lub pokryte bluszczem wieże — wszystko to odbijało się na odwrót w gładkiej wodzie jak wyrzezane z hebanu zabawki, ustawione na srebrzystej płycie zwierciadła.

Pierwsze uderzenie wiatru spowijało całą grupę w pianę nawietrznych bałwanów jak w obłok pary, a przejrzysta woda zaczynała się po prostu gotować we wszystkich przesmykach. Wzburzone morze obrysowywało dokładnie gniewną pianą szeroką podstawę grupy: podmorską płaszczyznę zasłaną gruzem i odpadkami z budowy pobliskiego wybrzeża, płaszczyznę wysuwającą daleko w głąb cieśniny niebezpieczne podwodne rafy, najeżoną mnóstwem złośliwych cyplów, długich nieraz na milę — śmiertelnych pułapek z piany i głazów.

A nawet choćby to była tylko ostra bryza — jak owego ranka w ciągu poprzedniej podróży, kiedy parowiec opuścił zatokę Pangu o wczesnej godzinie i kiedy odkrycie Sterne’a miało się rozwinąć z drobnego nasionka instynktownych podejrzeń jak złowrogi, niewiarogodny kwiat — nawet taka bryza miała dość siły, aby zedrzeć spokojną maskę z lic morza. Dla Sterne’a, który patrzył przed siebie obojętnie, było rewelacją, gdy ujrzał po raz pierwszy niebezpieczeństwa oznaczone tak wyraźnie syczącymi białymi płatami, jakby je kto wyrysował na mapie. Przyszło mu na myśl, iż tego rodzaju dzień sprzyja najbardziej marynarzowi nie obznajmionemu z okolicą — dzień

pogodny, lecz dosyć wietrzny, kiedy morze rozbija się o każdą rafę i jakby rozmieszcza boje wzdłuż całego szlaku; natomiast podczas ciszy nie można polegać na niczym prócz kompasu i doświadczonego oka. A przecież kapitanowie zmieniający się na statku musieli nieraz prowadzić go tędy nocą. W dzisiejszych czasach nie można sobie pozwolić na zmarnowanie sześciu lub siedmiu godzin czasu parowca. Nie ma o tym mowy. Ale przyzwyczajenie jest drugą naturą i przy należytej uwadze... Szlak był szeroki i dość bezpieczny; chodziło przede wszystkim o to, aby znaleźć go od razu w ciemności — bo gdyby się człowiek dostał w ten labirynt spienionych wód, nie wyplątałby się zeń z nietkniętym statkiem — o ile by się w ogóle wyplątał.

Takie oto myśli snuł Sterne bezpośrednio przed swym wielkim odkryciem. Dopilnował właśnie zamocowania kotwicy i ociągał się jeszcze na dziobie. Kapitan znajdował się na mostku. Ogarnąwszy wzrokiem morze, Sterne odwrócił się ziewając z lekka i oparł się plecami o barierę.

Właściwie mówiąc, były to jego ostatnie chwile spokoju na pokładzie „Sofali”. Cały okres, który potem nastąpił, był brzemienny różnymi projektami i pełen napięcia trudnego do wytrzymania. Leniwe rozmyślania bez celu należały do przeszłości, odkrycie Sterne’a stało się dla niego torturą; czasem po prostu żałował, że nie był na tyle głupi, aby nic nie zauważyć. A przecież, jeśli możliwości jego awansu zależały od odkrycia czegoś, co „nie było w porządku”, nie mógł się spodziewać szczęśliwszego zbiegu okoliczności.

X

Odkrycie przedstawiało się naprawdę zbyt niepokojąco. Było tam istotnie coś „nie w porządku” — i to jeszcze jak — a ta pewność wydała się Sterne’owi przerażająca. Spoglądał ku rufie w nastroju tak leniwym, że wyjątkowo o nikim źle nie myślał. Kapitan na mostku znajdował się oczywiście w obrębie jego wzroku. Jakże błaha, jak przypadkowa myśl doprowadziła do odkrycia — niby przygodna iskra, która zapala nabój straszliwej miny!

Wydęty przez bryzę dach płócienny na przednim pokładzie z wolna opadał, a nad ciężkim łopotem płótna popielata luźna marynarka Whalleya trzepotała bez przerwy wkoło jego ramion i tułowia. Kapitan był zwrócony twarzą do wiatru i słońca; potężny wicher rozpłaszczył wielką brodę o jego piersi. Gęste brwi Whalleya zwisały znad ciemnych zagłębień oczu, które zdawały się spoglądać bystro ku przodowi. Sterne ledwie dostrzegał podwójny błysk białek poruszających się pod łukami krzaczastych brwi. Mimo całej uprzejmości kapitana oczy jego zdawały się przenikać człowieka na wskroś, gdy patrzył z bliska. Sterne nie mógł się obronić przed tym wrażeniem, kiedy wypadło mu z kapitanem rozmawiać. Nie było to wrażenie przyjemne. Whalley wydawał się wielki i tęgi w zestawieniu z tym małym pokurczem serangiem, który go nie odstępował — co było rzeczą zwykłą na tym dziwnym

parowcu. Idiotyczny zwyczaj. Irytowało to Sterne’a. Przecież stary mógłby doglądać statku bez pomocy malajskiego wałkonia. Sterne wzruszył ramionami z niesmakiem. Co to jest właściwie? Opieszałość czy co?

Stary szyper na pewno rozleniwił się z wiekiem. Wszyscy się rozleniwiają na Wschodzie (Sterne zdawał sobie sprawę bardzo dokładnie ze swej niezrównanej pracowitości), wszyscy stają się opieszali. Ale wielka postać tkwiła bardzo prosto na mostku, a niziutko u jej boku — jakby małe dziecko wyglądało zza stołu — sterczała nad białym płótnem bariery brunatna twarz *seranga* pod starym filcowym kapeluszem.

Malaj znajdował się oczywiście bardziej w głębi, bliżej koła, lecz wielka różnica we wzroście tych postaci tak blisko siebie stojących bawiła Sterne’a, jak gdyby obserwował jakiś dziwaczny fakt w przyrodzie. Nie tylko w głębi morza spotyka się dziwne stwory.

Spostrzegł, że kapitan Whalley odwrócił szybko głowę, aby powiedzieć coś *serangowi*; wiatr targnął w bok białym gąszczem jego brody. Kapitan na pewno kazał serangowi spojrzeć na kompas. Oczywiście! Za wielka to fatyga zrobić krok i popatrzeć. Pogarda Sterne’a dla rozleniwienia, które ogarnia białych na Wschodzie, zwiększyła się po chwili namysłu. Niektórzy z białych byliby zupełnie bezradni, gdyby nie mieli krajowców na zawołanie; robią się po prostu bezwstydni. On, Sterne, Bogu dzięki jest zupełnie inny. Ani mu w głowie uzależniać się w pracy od jakiegoś malajskiego wyskrobka. Jakby można było w czymkolwiek

zaufać tym głupim krajowcom! Ale chytry starzec jest widać innego zdania. Zawsze są blisko siebie, nigdy się nie rozstają; ta para przywodzi na myśl starego wieloryba w towarzystwie małej rybki zwanej pilotem.

Dziwaczność tego porównania rozśmieszyła Sterne'a. Wieloryb z nieodstępną rybką pilotem! Otóż to właśnie; nie można bowiem powiedzieć, aby stary przypominał rekina, choć pan Massy tak go nazywa. Ale pan Massy wygaduje Bóg wie co, kiedy wpadnie we wściekłość. Sterne uśmiechnął się do siebie i stopniowo owładnęły nim myśli pobudzone wyobrażeniem rybki pilota i dźwiękiem tego słowa, myśli o pomocy, o wskazówkach upragnionych i otrzymanych; słowo pilot wzbudziło w Sternie uczucie zaufania, zależności, wywołało obraz bystrookiej pomocy udzielonej marynarzowi, który dąży po omacku w stronę lądu, który wymacuje drogę wśród mgły, który wymacuje drogę wśród burz, co napełniają powietrze słonym oparem zdmuchniętym z morza, zmniejszając ze wszystkich stron widoczność i przybliżając horyzont jak gdyby na odległość ramienia.

Pilot widzi lepiej niż człowiek nie obeznany z okolicą, ponieważ jego wiedza lokalna — jak bystrzejszy wzrok — dopełnia zarysów rzeczy dostrzeganych na chwilę, przenika zasłony oparów rozpostartych nad lądem przez morskie sztormy, określa z niezawodną pewnością kontury wybrzeża leżącego pod całunem mgły oraz kształty znaków nawigacyjnych, na wpół ukrytych w bezgwiezdnej nocy jak w płytkim grobie. Pilot widzi, bo zna okolicę. Żąda

pewności nie tyle od swego przenikliwego wzroku, co od swej gruntowniejszej wiedzy; żąda pewności, gdzie się statek znajduje, tej pewności, od której może zależeć dobre imię człowieka, spokój jego ducha, usprawiedliwienie okazanego mu zaufania, a także i jego życie, którym rzadko ma prawo rozporządzać jako swoją własnością — obok jego życia zaś także skromne żywoty innych ludzi, może związane dalekimi uczuciami i wobec ciężaru oczekującej wszystkich tajemnicy równie ważkie jak życia królów.

Wiedza pilota przynosi dowódcy statku ulgę i pewność; natomiast *serang* — w wyobrażeniu Sterne'a rybka-pilot towarzysząca wielorybowi — nie mógł być w żaden sposób pomawiany o gruntowniejszą wiedzę. Skąd żeby ją nabył? Ci dwaj ludzie, biały i brunatny, zaczęli podróże na „Sofali" jednocześnie, w tym samym dniu; a każdy biały oczywiście nauczy się więcej w tydzień niż najzdolniejszy z krajowców w przeciągu miesiąca. *Serang* został przyuczony do pętania się obok szypra, jakby mu był na coś potrzebny — mówią, że i rybka-pilot potrzebna jest wielorybowi. Ale na czym polega pomoc *seranga* — bardzo wyraźna — na czym może polegać? Rybka-pilot... pilot... Ponieważ nie chodzi tu o żadną gruntowniejszą wiedzę, więc chyba o...

Odkrycie Sterne'a stało się rzeczą dokonaną. Przejęło wstrętem jego wyobraźnię, uraziło jego poczucie uczciwości, wstrząsnęło jego opinią o ludzkim rodzaju. Potworność tego odkrycia podważyła zapatrywania Sterne'a na możliwości naszego świata; było to tak, jakby na przykład słońce się stało niebieskie i rzuciło nieznane,

złowieszcze światło na ludzi i przyrodę. W pierwszej chwili zrobiło się Sterne’owi naprawdę słabo, niby od ciosu wymierzonego w brzuch; nawet barwa morza wydała się jego błędnym oczom dziwna i zmieniona; we wszystkich członkach poczuł przelotny brak równowagi, jak gdyby ziemia zaczęła się kręcić w stronę przeciwną.

Po tym wstrząsie ogarnęły Sterne’a bardzo zrozumiałe wątpliwości, co mu przyniosło pewną ulgę. Odetchnął głęboko, uczucie zgrozy minęło. Ale w ciągu całego dnia nachodziło go wśród zajęć zdumienie. Zatrzymywał się i potrząsał głową. Bunt przeciw ogarniającym go podejrzeniom minął prawie równie szybko jak pierwszy wstrząs odkrycia i przez następne dwadzieścia cztery godziny Sterne nawet oka nie zmrużył.

Było to niepożądane. W czasie posiłków (siedział u końca stołu, który ustawiano dla białych na pomoście) nie mógł się powstrzymać od wpatrywania się w kapitana siedzącego naprzeciwko i zupełnie się w tym zapamiętywał. Śledził jego ręce, które podnosiły się z wolna; starzec kładł pożywienie do ust w taki sposób, jakby wcale się nie spodziewał, że chleb powszedni będzie mu smakował, jakby wcale nie czuł, że się pożywia. Jadł jak lunatyk.

„Straszny widok” — pomyślał Sterne i tak długo nie odwracał oczu od kapitana, siedzącego w ponurym, milczącym bezruchu, z wielką, brunatną, na wpół zamkniętą dłonią leżącą obok talerza, póki nie spostrzegł, że obaj mechanicy po prawej i lewej stronie patrzą na niego zdziwieni. Zamykał wówczas usta w pośpiechu i spuszczał

wzrok na talerz, szybko mrugając. Okropnie było patrzeć, jak stary kapitan tam siedzi; okropnie było pomyśleć, że Sterne mógł jak nic trzema słowami wysadzić kapitana w powietrze. Gdyby zabrał głos i wymówił jedno krótkie zdanie... ale ta zwykła czynność wydawała mu się tak niemożliwa do wykonania jak wysadzenie z posad słońca na niebie. Starzec jadł w sposób przerażająco machinalny, ale Sterne nie mógł nic jeść z podniecenia, a w każdym razie nie mógł jeść owego wieczoru.

Upłynęło sporo czasu i Sterne przyzwyczaił się do napięcia panującego w ciągu posiłków. Nie byłby w to nigdy uwierzył. Ale można się ze wszystkim oswoić i tylko wielkość sukcesu powstrzymywała Sterne’a od uczuć pokrewnych uniesieniu. Czuł się jak człowiek, który poszukując nabitej strzelby, potrzebnej mu w wędrówce przez świat, natknął się na torpedę z druzgocącym ładunkiem w jednym końcu i ciśnieniem wielu atmosfer w drugim. Jest to broń, która może istotnie przyprawić właściciela o troskę i zdenerwowanie. Sterne nie miał ochoty wylecieć w powietrze; a nie mógł pozbyć się myśli, że w pewnej mierze musiałby także ucierpieć od wybuchu.

Ta niejasna obawa powstrzymywała go z początku. Mógł teraz jeść i spać z tą straszliwą bronią u boku, z nieustanną świadomością jej potęgi. Nie za pomocą rozmyślań dokonał swego odkrycia, olśniło go nagle, a potem upewnił się o jego trafności, obserwując mnóstwo drobnych faktów, na które nie zwracał przedtem należytej uwagi. Niepewne tony w głębokim głosie kapitana; milczenie, które przywdziewał

jak zbroję; powolne, rzekłbyś, ostrożne gesty; długie okresy bezruchu, które wyglądały jakby człowiek śledzony przez Sterne'a lękał się zakłócić spokój powietrza; każdy ruch znany Sterne'owi, każde słowo dochodzące jego uszu, każde usłyszane westchnienie nabierały szczególnej doniosłości, potwierdzając jego domysły.

Dnie przeżywane na „Sofali" wydawały mu się teraz przepełnione dowodami — i to niezbitymi. W nocy, kiedy Sterne nie trzymał wachty, wykradał się w pidżamie ze swej kajuty (w poszukiwaniu nowych dowodów) i nieraz stał boso pod mostkiem chyba z godzinę, równie nieruchomy jak najbliższy stojak podtrzymujący dach płócienny. W okolicach, gdzie nawigacja jest łatwa, kapitan nie przebywa zwykle na pokładzie przez cały czas swojej wachty. Utarło się, że zastępuje go serang; na otwartym morzu przy prostym kursie powierza się zazwyczaj *serangowi* pieczę nad statkiem. Ale wyglądało na to, że ten starzec nie mógł spokojnie usiedzieć w swojej kajucie. Widocznie nie mógł spać. Nic dziwnego. To było również dowodem. Wśród ciszy statku, dyszącego na nieruchomym, ciemnym morzu, Sterne słyszał nieraz nad sobą cichy, nerwowy okrzyk:

— *Serangu*!

— Tuanie!

— Pilnujesz dobrze kompasu?

— Pilnuję, tuanie.

— Statek jest na właściwym kursie?

— Tak, tuanie. Idzie bardzo prosto.

— Dobrze. I pamiętaj, serangu, jaki wydałem rozkaz: masz pilnować sternika i trzymać wachtę bardzo starannie, tak jakby mnie nie było na pokładzie.

Po odpowiedzi seranga zniżone głosy na mostku milkły i wszystko wokół Stenne’a wydawało się jeszcze bardziej nieruchome i ciche. Sterne, trochę zziębnięty, z plecami zdrętwiałymi od długiego bezruchu, skradał się z powrotem do swego pokoju umieszczonego po lewej stronie pokładu.

Od dawna już nie miał żadnych wątpliwości; z pierwotnych jego uczuć, wywołanych wstrząsem odkrycia, pozostały tylko ślady lęku. Nie był to lęk przed kapitanem — wystarczyłoby kilka słów Sterne’a, aby Whalley wyleciał — było to raczej pełne zgrozy oburzenie na bezwzględne, wynaturzone skąpstwo (bo cóż by to mogło być innego?), na obłędną i ponurą determinację, z którą ten człowiek dla kilku dolarów więcej zdawał się przekreślać prawa sumienia i walczyć przeciw wyrokom opatrzności.

Drugiego takiego człowieka nie znalazłoby się Bogu dzięki na całym świecie. Była jakaś piekielna odwaga w tego rodzaju oszustwie, coś, co człowieka obezwładniało.

Inne jeszcze względy — dyktowane przezornością — skłaniały z dnia na dzień Sterne’a do trzymania języka za zębami. Zdawało mu się teraz, że byłby mógł łatwiej wyjawić wszystko w pierwszych chwilach po dokonaniu odkrycia. Żałował prawie, że nie podniósł gwałtu od razu. Ale ta potworność ujawnionej prawdy... Przecież sam ledwie ją śmiał stwierdzić, a cóż dopiero wyjawiać komuś innemu! Przy tym z desperatem tego rodzaju nie można nigdy nic

wiedzieć. Sterne nie zamierzał wysadzić kapitana z posady (to było już tak jak zrobione), tylko chciał dostać się na jego miejsce. Choć takie przypuszczenie wyglądało dziwacznie, kto wie, czy by się kapitan nie opierał. Człowiek zdolny do podobnego oszustwa mógł się zdobyć na wszelką bezczelność — taki człowiek przeciwstawiał się niejako samemu Bogu. Potwór wręcz niebywały; mógł jak nic wywołać skandal i wyszczuć Sterne'a ze statku, uniemożliwiając mu na zawsze karierę w tej części Wschodu. Ale jeśli się chce coś osiągnąć, trzeba ryzykować. Czasem przychodziło Sterne'owi na myśl, że zawinił przez brak odwagi, odkładając działanie na później; a co gorzej, doszło do tego, że i teraz zdawał się nie wiedzieć, jaką powziąć decyzję.

Wściekła ponurość Massy'ego była bardzo kłopotliwa. Stanowiła czynnik zupełnie nieobliczalny. Nie podobna było odgadnąć, co się kryje za tą obelżywą dzikością. Jak można zaufać człowiekowi o podobnym usposobieniu? Sterne Massy'ego się nie bał, ale truchlał na myśl, że mechanik zwichnie mu karierę.

Sterne oczywiście przypisywał sobie niezwykłe zdolności obserwacyjne, lecz obcował już zbyt długo ze swym odkryciem. Nie dostrzegał nic innego poza tym i wreszcie pewnego dnia przyszło mu na myśl, że zauważony przez niego fakt bije w oczy i każdy musi go widzieć.

Na pokładzie „Sofali" znajdowało się wszystkiego czterech białych. Jack, drugi mechanik, był zbyt tępy, aby zauważyć coś, co się działo poza obrębem jego

maszynowni. Pozostawał Massy, osoba najbardziej zainteresowana, właściciel, którego różne troski doprowadzały niemal do obłędu. Sterne widział i słyszał na statku wiele rzeczy; wiedział, co trapi zwierzchnika, lecz rozjątrzenie Massy'ego zdawało się czynić go głuchym na ostrożne napomknienia. Gdybyż Massy wiedział, co się święci! Przecież to woda na jego młyn. Ale jak się układać z człowiekiem tego rodzaju? Groziłoby to tym samym, co wejście do jaskini tygrysa z kawałem surowego mięsa w ręku. Jedynym podziękowaniem za fatygę byłoby rozszarpanie ofiarodawcy. I rzeczywiście Massy nie szczędził swemu oficerowi pogróżek, a konieczność szybkiego działania połączona z nieuniknionym ryzykiem sprawiały, że Sterne, leżąc bezsennie w swoim pokoju, przewracał się na koi i mruczał coś godzinami, jakby go paliła gorączka.

Fakty w rodzaju przebycia owej mielizny pod Batu Beru były bardzo niebezpieczne dla jego planów. Nie chciał, aby wszystko przepadło z powodu jakiejś nagłej katastrofy. Przypuszczał, że wskutek obecności Massy'ego na mostku Whalley zrobił wszystko, co mógł, aby się popisać. Ale z kapitanem było już bardzo źle, coraz gorzej — tak dalece, że nawet Massy ośmielił się tym razem robić mu wymówki. Sterne, stojąc u stóp drabiny, słyszał jego płaczliwe i naiwne oskarżenia. Na szczęście ten hycel bardzo jest tępy i nie mógł zrozumieć, o co chodzi. Trudno mu to wziąć za złe, tylko człowiek zręczny mógł odgadnąć właściwą

przyczynę. Ale najwyższy czas na coś się zdecydować. Stary nie potrafi długo prowadzić swojej gry.

— Mogę jak nic przypłacić życiem to zwlekanie — nie mówiąc już o karierze — mruknął Sterne gniewnie pod nosem, gdy zgarbione plecy pierwszego mechanika znikły za rogiem luku świetlnego. — Tak, z pewnością — rozmyślał. Ale wyrwanie się ze swoim odkryciem nie zwiększyłoby możliwości awansu, nawet przekreśliłoby go całkowicie. Bał się nowych niepowodzeń. Miał niejasne poczucie, że nie cieszy się sympatią kolegów w tej części świata; to doprawdy niepojęte, bo nikomu nic złego nie zrobił. Na pewno wchodzi tu w grę zazdrość. Ludzie napadają zawsze na człowieka zdolnego, który nie kryje się z tym, że postanowił zajść wysoko. Byłoby istnym szaleństwem, gdyby Sterne spełnił swój obowiązek, licząc na wdzięczność tego bydlęcia Massy’ego. To człowiek podły. I tchórz! Złośliwa bestia. Bydlę! Bydlę pozbawione ludzkich uczuć, pozbawione nawet zwykłej ciekawości, bo w przeciwnym razie byłby przecież jakoś zareagował na wszystkie te napomknienia swego oficera… Tak wielka obojętność była wprost tajemnicza. Zdaniem Sterne’a nieustanne rozjątrzenie Massy’ego obałwaniło go do tego stopnia, że przerastał głupotą przeciętnych armatorów.

Sterne, rozmyślając nad troskami wynikającymi z tępoty Massy’ego, zapamiętał się zupełnie. Utkwił nieruchomy, kamienny wzrok w deskach pokładu.

Lekkie drganie przenikające cały statek było bardziej uchwytne na cichej rzece, ocienionej i spokojnej jak leśna

ścieżka. Parowiec, sunąc równo naprzód, minął już dawno pas wybrzeża z mułu i mangrowii. Brzegi wznosiły się coraz wyżej pochyłymi stokami, a wielki las schodził aż na skraj wody. Tam, gdzie powódź podmyła brzegi, widać było strome brunatne wyrwy, obnażające gąszcz korzeni skłębionych jakby w zaciekłej walce podziemnej; a nad ziemią powikłane konary, związane i obciążone pnączami, walczyły w dalszym ciągu o byt, splatając się gałęźmi w masywną ścianę z listowia. Z tej ściany wystrzelał gdzieniegdzie olbrzymi kształt ciemnego wyniosłego słupa lub też otwierały się w niej strzępiaste wyrwy jakby od kuli armatniej, odsłaniając nieprzenikniony mrok w głębi kniei, odwieczny, nienaruszony cień dziewiczego lasu. Huk maszyn odbijał się miarowo od brzegów jak uderzenia metronomu wystukującego rytm głębokiej ciszy; cień zachodniej ściany padał w poprzek na rzekę, a dym buchający z komina płynął wstecz i rozsnuwał wiotki ciemny welon nad mroczną wodą, która jak gdyby zastygła na całym tym obszarze, osadzona w miejscu przez przypływ.

Ciało Sterne’a, niby wrośnięte w pokład, drgało leciutko od stóp do głów na skutek wewnętrznej wibracji statku; spod nóg oficera dochodził niekiedy nagły brzęk żelaza lub hałaśliwy okrzyk. Na prawym brzegu liście wierzchołków chwytały promienie zachodzącego słońca; zdawały się jaśnieć własnym złotozielonym światłem mieniącym się wokół najwyższych gałęzi, które odcinały się czarno na gładkim błękitnym niebie, opadającym ku łożysku rzeki niby dach namiotu.

Pasażerowie jadący do Batu Beru klęczeli na deskach, zwijając pracowicie swe posłania z mat; okręcali sznurami tłumoki, zatrzaskiwali zamki drewnianych skrzynek. Dziobaty przekupień norymberskich towarów przechylił głowę w tył, aby wlać do gardła ostatnie krople z glinianej butelki, którą miał zapakować w zwój kołder. Podróżujący kupcy stali grupkami na pokładzie i rozmawiali po cichu; dworzanie jakiegoś pomniejszego radży[168] znad morza, prostoduszni szerokolicy młodzieńcy w białych spodniach, w okrągłych białych bawełnianych czapkach, z barwnymi sarongami[169] zwiniętymi i przerzuconymi przez brązowe plecy, siedzieli w kucki na luku żując betel[170], który barwił im usta czerwienią, jakby pokosztowali krwi. Włócznie, złożone na stos wewnątrz kręgu utworzonego przez ich bose nogi, wyglądały jak wiązka suchych bambusów. Chudy, wybladły Chińczyk włożył zawczasu pod pachę pękatą paczkę zawiniętą w liście i spoglądał niecierpliwie ku przodowi; wędrowiec z plemienia Klingów płukał zęby i tarł je kawałeczkiem drzewa, przy czym woda lała mu się z ust za burtę jasnym strumieniem; tłusty radża drzemał w obszarpanym pokładowym leżaku — a przy każdym zakręcie ukazywały się znów obie ściany z liści, biegnące równolegle wzdłuż brzegów; nieprzenikniony ich masyw rozpływał się u szczytu w mglisty opar z niezliczonych cieniutkich witek, które rosły swobodnie — z młodych kruchych odrośli, które strzelały w górę od najwyższych konarów sędziwych pni — i ze spiczastych pędów lian, sterczących w górę bez ruchu jak delikatne srebrzyste

gałązki. Nigdzie nie było śladu polanki lub też ludzkiej osady, tylko raz ukazały się na pustym końcu niskiego przylądka, pod samotną grupką smukłych drzewiastych paproci, potrzaskane, skłębione szczątki starego szałasu na palach; szczątki te wyglądały, jakby je kto rozwalił pałką, co jest charakterystyczne dla zniszczonych ścian bambusowych.

Nieco dalej ukazało się czółno na wpół ukryte pod zwisającymi krzakami; siedzieli w nim mężczyzna i kobieta obok tuzina orzechów kokosowych złożonych na kupkę; czółno kołysało się bezradnie po przejściu „Sofali”, niby pływacki sprzęt jakichś przedsiębiorczych owadów — na przykład podróżujących mrówek, a dwie szkliste fałdy, rozchodzące się od obu stron rufy w poprzek całej rzeki, biegły gładko za „Sofalą”, wzniecając brunatną, szemrzącą pianę u błotnistego podnóża obu brzegów.

„Muszę zrobić porządek z tym bydlęciem Massym — rozważał Sterne. — Sytuacja staje się niemożliwa. Tam na mostku siedzi w głębi fotela kapitan — mógłby równie dobrze leżeć w grobie, taki sam byłby z niego pożytek — a serang dowodzi statkiem. Bo tak jest naprawdę; statkiem dowodzi serang. Zajmuje miejsce, które według prawa mnie się należy. Muszę zrobić porządek z tym wściekłym bydlakiem. I to zaraz…”

Sterne poruszył się gwałtownie; wzbudziło to paniczny strach w brązowym, półnagim chłopczyku o wielkich czarnych oczach i szyjce opasanej amuletami nawleczonymi na sznurek. Malec zajadał banan; upuścił go i rzucił się do

kolan ciemnoskórego, poważnego Araba w luźnych szatach, iście biblijnej postaci, wyglądającej jak anachronizm na żółtym blaszanym kufrze obwiązanym kręconą liną z rotanu[171]. Ojciec wyciągnął rękę z niewzruszonym spokojem i poklepał opiekuńczo chłopczyka po ogolonej główce.

XI

Sterne poszedł w ślad za Massym na przeciwległą stronę pokładu. Jack, drugi mechanik, schodząc tyłem po drabinie do maszynowni i wciąż wycierając ręce, uśmiechnął się krzywo do Sterne’a z niezrozumiałego powodu, błysnąwszy białymi zębami w brudnej, zaciętej twarzy. Massy’ego nigdzie nie było widać. Sterne zastukał leciutko w drzwi i rzekł, przykładając usta do rozety wentylatora:

— Muszę z panem pomówić. Niech pan poświęci mi parę minut.

— Jestem zajęty. Proszę odejść od moich drzwi.

— Ja bardzo pana proszę, ja…

— Proszę odejść! Słyszy pan? Proszę się wynieść na drugi koniec statku, byle dalej — głos wewnątrz kajuty przycichł — do diabła.

Sterne milczał przez chwilę i rzekł bardzo spokojnie:

— Tu chodzi o coś pilnego. Jak pan myśli, kiedy będzie pan miał trochę czasu?

— Nigdy — zabrzmiała rozwścieczona odpowiedź. Na to Sterne prędko nacisnął klamkę, przybierając wyraz twarzy bardzo stanowczy.

Kajuta Massy’ego, wąska, o jednej koi, pachniała mocno mydłem; zamieciona czyściutko, okurzona, była obrazem schludności nie tyle ubogiej, co bezdusznej, nie tyle surowej, co martwej i pozbawionej indywidualnego

charakteru, niby sala szpitalna lub raczej (ze względu na mały rozmiar) czyste schronienie osoby rozpaczliwie biednej, lecz wzorowej. Ani jedna fotografia nie zdobiła grodzi; żadna część ubrania — nawet zapasowa czapka — nie wisiała na mosiężnych haczykach. Całe wnętrze było pomalowane na pospolity kolor bladoniebieski; dwie duże skrzynie marynarskie w pokrowcach z żaglowego płótna, zaopatrzone w żelazne kłódki, wypełniały dokładnie puste miejsce pod koją. Jednym spojrzeniem można było ogarnąć wyszorowane deski podłogi o czterech kątach niczym nie zasłoniętych. Uderzał brak kanapki; umywalnia z tekowego[172] drzewa wydawała się hermetycznie zamknięta, zarówno jak wieko biurka, które sterczało z przepierzenia u stóp koi; pościel składała się z materaca grubości naleśnika, wytartego koca ozdobionego wyblakłym czerwonym pasem i zwiniętej siatki od moskitów, używanej podczas nocy spędzanych w porcie. Nigdzie nie było widać ani trzewików na podłodze, ani najmniejszego skrawka papieru, ani w ogóle żadnych śmieci; nie dostrzegało się nawet śladu popiołu z fajki, co u nałogowego palacza było wręcz niemoralne, niby objaw krańcowej obłudy. Siedzenie starego drewnianego fotela (jedyny mebel, na którym można było usiąść), wygładzone od długoletniej służby błyszczało, jakby je odpoliturowano. Zasłona z listowia sunęła przed okrągłym otworem iluminatora, rzekłbyś, odwijając się bez końca, i zasnuwała kajutę migotliwą siecią świateł i cieni.

Sterne, trzymając jedną ręką klamkę, wsunął przez drzwi głowę i ramiona. Wobec tego zdumiewającego wtargnięcia Massy, który siedział i nic nie robił, zerwał się oniemiały.

— Tylko niech mi pan nie wymyśla — mruknął spiesznie Sterne. — Wypraszam to sobie. Ja chcę tylko pana dobra.

Nastąpiła pauza, jakby wypełniona niezmiernym zdziwieniem. Obaj zapomnieli języka w gębie. Oficer odezwał się pierwszy dyskretnie i płynnie:

— Pan nie ma najlżejszego pojęcia, co się dzieje na pańskim statku. Nic podobnego nie przyszłoby panu do głowy. Pan jest za dobry, za... za prawy, aby kogoś podejrzewać o tego rodzaju... Po prostu włosy stają człowiekowi na głowie.

Obserwował, jakie to wywarło wrażenie: Massy wyglądał na oszołomionego, zdawał się nic nie rozumieć. Przesunął ręką po czarnych jak węgiel kosmykach przylepionych do ciemienia. Sterne mówił spiesznie dalej przybrawszy ton poufny i śmiały:

— Niech pan nie zapomina, że już za sześć tygodni kończy się... — Massy patrzył w niego osłupiałym wzrokiem. — Więc tak czy owak będzie pan wkrótce potrzebował kapitana dla statku.

Dopiero wówczas Massy drgnął, jakby te słowa przypiekły go niczym rozpalone żelazo; zdawało się, że krzyknie. Opanował się z wielkim wysiłkiem.

— Będę... potrzebował... kapitana? — powtórzył z wolna i obelżywie. — Ja mam potrzebować kapitana? Pan śmie mi powiedzieć, że potrzebuję któregoś z was, kiepskich

marynarzy, żeby prowadził mi statek? Tuczycie się moją krwią już od lat. Wolałbym rzucać pieniądze za burtę. Obżartuchy, nicponie, oszuści. Mój stary parowiec potrafi tyle, co najlepsi z was. — Kłapnął głośno zębami i warknął: — Że też to głupie prawo wymaga kapitana!

Tymczasem Sterne nabrał odwagi.

— Głupi agenci od ubezpieczeń wymagają także kapitana — rzekł lekkim tonem. — Ale mniejsza z tym. Chcę tylko zapytać o jedno: czy ja bym się panu nie nadał? Przecież wiem doskonale, że pan potrafiłby prowadzić statek równie dobrze jak każdy z nas, marynarzy. Nie będę udawał przed panem, że to jest wielka sztuka... — Parsknął poufale krótkim, głuchym śmiechem. — Nie ja stworzyłem to prawo, ale cóż robić, istnieje, i koniec; a ze mnie jest człowiek energiczny; zgadzam się z pana zapatrywaniami i znam już pana usposobienie. Ja bym nie przybierał takich min jak tamten stary próżniak na mostku.

Wypowiedział dobitnie ostatnie zdanie, aby zmylić ślad, w razie gdyby Massy... ale teraz już nie wątpił, że mu się uda. Pierwszy mechanik miał minę załapaną jak niedojda, któremu każą schwytać puszczonego w ruch bąka.

— Czego pan potrzebuje, to człowieka, który ma dobrze w głowie i który rad zostanie pańskim kapitanem. I słusznie. Umiem sobie radzić równie dobrze jak tamten serang. A właściwie o nic więcej nie chodzi. Bo czy pan wie, panie szefie, że to ta psiakrew małpa malajska dowodzi pana statkiem — a nie kto inny? Niech pan posłucha, jak jego nogi plaskają tam w górze po mostku — to on jest

oficerem na służbie. To on prowadzi statek w górę rzeki, podczas gdy wielki człowiek wyleguje się w fotelu — może i śpi; a jeśli śpi, sytuacja niewiele przez to się zmienia, daję panu słowo.

Spróbował wsunąć się dalej do kajuty. Massy stał nieporuszony ze spuszczoną głową, ściskając w ręku oparcie fotela.

— Pan myśli, panie szefie, że ten człowiek trzyma pana w garści z powodu kontraktu. — Massy podniósł na te słowa rozzłoszczoną, tępą twarz. — Przecież na statku niepodobna o tym nie słyszeć. To żaden sekret. Na lądzie mówią już o tym od lat; niektórzy porobili zakłady. A tymczasem, panie szefie, to pan go trzyma w garści, a nie on pana. Powie pan na to, że za gnuśność nie może go pan oddalić, że trudno dowieść tego w sądzie i tak dalej. To jest prawda. Ale jeśli pan na to się zgodzi, panie szefie, powiem panu coś takiego o jego gnuśności, że będzie pan miał prawo natychmiast go wylać i powierzyć mnie dowództwo na resztę tej podróży — tak, panie szefie, jeszcze zanim opuścimy Batu Beru — i zmusić go do płacenia dolara dziennie za wikt aż do naszego powrotu, jeśli się panu spodoba. Cóż pan o tym myśli? No, panie szefie! Niechże pan się na to zgodzi. Doprawdy, że dobrze pan na tym wyjdzie, a mnie pana słowo wystarczy. Wyraźne oświadczenie z pana strony będzie miało dla mnie wagę kontraktu.

Oczy Sterne’a zaczęły błyszczeć. Nalegał w dalszym ciągu; wystarczy zwykłe oświadczenie. A w duchu myślał

sobie, że potrafi utrzymać się na statku tak długo, jak będzie mu to odpowiadało. Uczyni się na „Sofali” niezbędnym; a że parowiec miał w porcie złą opinię, łatwo będzie odstraszyć wszystkich kolegów. Massy będzie go musiał zatrzymać.

— Wyraźne oświadczenie z mojej strony panu wystarczy — powtórzył z wolna Massy.

— Tak, panie szefie. Wystarczy.

Sterne podniósł głowę wesoło i mrugając spojrzał z bliska na mechanika z tą bezwiedną czelnością, która rozwścieczała Massy’ego najbardziej.

Mechanik rzekł dobitnie:

— Więc niech pan mnie słucha uważnie, panie Sterne: nie dałbym — słyszy pan? — nie dałbym złamanego szeląga za wszystko, co mi pan może powiedzieć.

Odrzucił z siłą ramię Sterne’a i złapawszy klamkę, zatrzasnął drzwi. Rozległ się ogłuszający huk; kajuta ściemniała w oczach Massy’ego, jakby po olśniewającym wybuchu. Opadł natychmiast na krzesło.

— Ani myślę! Nic z tego! — wyszeptał słabym głosem.

Statek musiał w tym miejscu otrzeć się tak blisko o brzeg, że olbrzymia ściana z liści przysunęła się do iluminatora jak okiennica; mrok dziewiczego lasu wpłynął do pustej kabiny wraz z zapachem butwiejących liści i rozmokłego gruntu — z silnym zapachem żywej ziemi parującej po ustąpieniu powodzi. Gąszcz ocierał się, chrzęszcząc, o burtę statku; w górze rozlegały się raz po raz trzaski i gęsty deszcz drobnych połamanych gałązek

spadał na pomost; liana z głośnym szelestem zaczepiła o szczyt żurawika, a długi, bujny zielony pęd wpadł przez otwarty iluminator i wypadł z powrotem, zostawiając kilka poszarpanych liści, które nagle osiadły na kołdrze Massy’ego. Potem parowiec skierował się ku środkowi rzeki; światło dnia wracało, ale przyćmione, bo słońce było już bardzo nisko i coraz gęstszy mrok, rączy poprzednik nocy, ogarniał rzekę snującą się krętym biegiem wśród mnóstwa odwiecznych drzew, jakby na dnie stromego wąwozu.

— Ani myślę, nic z tego! — wyszeptał znowu mechanik.

Usta jego drżały prawie nieznacznie, jak również i ręce; chcąc się uspokoić, otworzył biurko, rozpostarł arkusz cienkiego szarawego papieru pokrytego mnóstwem drukowanych cyfr i jął[173] pilnie im się przyglądać — przynajmniej po raz dwudziesty w ciągu tej podróży.

Rozstawiwszy łokcie i objąwszy głowę rękami, wyglądał jak zatopiony w zawiłym zadaniu matematycznym. Była to lista numerów, które wygrały podczas ostatniego ciągnienia wielkiej loterii, tej samej, co przez tyle lat stanowiła jedyny elektryzujący fakt w życiu Massy’ego. Nie mógł już sobie wyobrazić egzystencji bez tego ukazującego się periodycznie arkusza, podobnie jak ktoś inny — zależnie od swego charakteru — nie byłby w stanie zrozumieć świata bez świeżego powietrza, bez pracy lub bez uczuć przywiązania. Stos cienkich arkuszy powiększał się z latami w biurku Massy’ego; parowiec „Sofala”, obsługiwany przez wiernego Jacka, zużywał swoje kotły, płynąc tam i na

powrót przez cieśninę Malakka od przylądka do przylądka, od rzeki do rzeki, od zatoki do zatoki, a Massy, dzięki znojowi spracowanego, przemęczonego statku, gromadził te dokumenty pokryte czarnymi cyframi. Trzymał je pod kluczem, niby skarby. Był w nich — jak we wszystkim, co wiąże się z życiem — czar nadziei, było podniecenie płynące z na wpół odgadniętej tajemnicy, była tęsknota za na wpół ziszczonym pragnieniem.

W czasie podróży Massy zamykał się w kajucie i obcował całymi dniami z tą listą wygranych; głuche odgłosy pracujących maszyn pulsowały w jego uszach; wytężał mózg, ślęcząc nad rzędami cyfr uszeregowanych bez związku, oszałamiających swą przypadkowością podobną do przypadkowości samego losu. Miał przekonanie, że w wynikach trafu musi się kryć jakaś logika. Zdawało mu się, że ją dostrzega. W głowie mu się kręciło; członki go bolały; pociągał machinalnie dym z fajki; drętwa kontemplacja łagodziła jego drażliwość jak bierny spokój ciała wywołany przez narkotyk, lecz mózg pracował dalej z natężeniem. Dziewięć, dziewięć, zero, cztery, dwa. Zanotował coś. Następny wielki los padł na numer czterdzieści siedem tysięcy pięć. Te numery trzeba będzie w przyszłości omijać, pisząc do Manili po bilety. Mruczał z ołówkiem w ręku: „Czterdzieści siedem tysięcy pięć. No, no...” Zwilżał palec; arkusze szeleściły. Ach! Cóż to znowu ma znaczyć? Przed trzema laty we wrześniowym ciągnieniu wielki los padł na numer dziewięć zero, cztery, dwa. To nadzwyczajne. Jest w tym przebłysk pewnego określonego

prawa. Massy obawiał się, aby mu nie uszła jakaś skomplikowana zasada ukryta wśród oszałamiającego bogactwa materiału, który posiadał. Na czym mogłaby ta zasada polegać? I przez pół godziny siedział w zupełnym bezruchu, schylony nisko nad biurkiem. Za jego plecami gęsty dym wypełniał kajutę, jakby wpadła tam bomba, której Massy nie zauważył i nie usłyszał.

W końcu zamykał biurko ze stanowczością płynącą z niewzruszonej wiary, zrywał się i wychodził. Spacerował szybko tam i na powrót po tej części przedniego pokładu, która nie była zajęta przez pasażerów krajowców i ich rupiecie. Owi pasażerowie przeszkadzali bardzo, ale stanowili źródło dochodu, którego nie można było lekceważyć. Każdy pens z zarobków „Sofali” potrzebny był Massy’emu na loterię. Bogiem a prawdą, dochody jego nie były znaczne. Niepewnością wygranej wcale się Massy nie martwił, ponieważ jakimś sposobem doszedł do przekonania, że z biegiem lat każdy numer wygrać musi. Była to po prostu kwestia czasu i nabycia możliwie największej ilości biletów — toteż Massy kupował ich na każde ciągnienie, ile tylko mógł. Zwykle brał ich nawet więcej, niż mógł; wszystkie zarobki parowca szły na to, a także i pensja, którą wyznaczył sobie jako pierwszemu mechanikowi.

Pensji wypłacanych podwładnym zazdrościł z żalem wyrozumowanym, a przy tym namiętnym. Patrzył krzywo na laskarów zamiatających pokład, na bosmanów trących mosiężne poręcze tłustymi gałganami, porywał się z pięścią

i wykrzykiwał przekleństwa z kiepska po malajsku na cieślę nieboraka — nieśmiałego, chorowitego, otumanionego przez opium Chińczyka, który za całe ubranie miał granatowe spodnie; Chińczyk rzucał swoje narzędzia i uciekał z rozwianym warkoczem, trzęsąc się ze strachu przed gniewem tego „diabła”.

Ale Massy’emu robiło się po prostu słabo z wściekłości, gdy podniósł oczy na mostek; sterczał tam zawsze jeden z tych oszustów marynarzy, co z nakazu prawa prowadzili jego statek. Miał wstręt do nich wszystkich. Był to spór zastarzały, sięgający czasów, gdy Massy znalazł się po raz pierwszy w maszynowni — jako młody szczeniak z wielkim wyobrażeniem o sobie. Ileż prześladowań musiał znieść od tych wszystkich szyprów, od tych przekreślonych zer, które na parowcu nie mają właściwie nic do powiedzenia. A teraz, kiedy udało mu się zostać właścicielem statku, byli jeszcze wciąż plagą dla niego; musiał wypłacać mnóstwo pieniędzy bezużytecznym, zarozumiałym próżniakom — jak gdyby wykwalifikowany mechanik, a przy tym właściciel statku, nie był w stanie wziąć na siebie pełnej odpowiedzialności za prowadzenie parowca. Wprawdzie umiał dać im się porządnie we znaki, ale niewielka to była pociecha. Doszło do tego, że zaczął nienawidzić także i „Sofali” — za reperacje, których statek potrzebował, za węgiel, który trzeba było kupować, za marne opłaty frachtowe, które parowiec zarabiał. Chodząc po pokładzie, Massy zaciskał pięść i raptem uderzał z wściekłością w barierę, jakby statkowi można było zadać ból. A jednak nie mógł bez niego

się obejść; potrzebował go; musiał trzymać się go zębami i pazurami, aby nie pójść na dno — póki nie zjawi się upragniony przypływ fortuny i nie wyniesie go zdrowego i całego na wysoki brzeg jego ambicji.

A jego ambicją było teraz nic, ale to nic nie robić i mieć na to mnóstwo pieniędzy. Zakosztował władzy, i to w formie najwyższej, jaką ograniczona jego wyobraźnia zdolna mu była podsunąć — władzy przysługującej właścicielowi statku. Co za rozczarowanie zgotowała mu ta władza! Marność nad marnościami! Zdumiewał się nad swoim szaleństwem. Odrzucił rzecz istotną, goniąc za cieniem. O przyjemnościach płynących z bogactwa wiedział zbyt mało, aby podniecać się wizjami przepychu. I skądżeby miał o nich wiedzieć — on, dziecko pijaka kotlarza, on, który przeszedł prosto z warsztatu ojca do maszynowni węglowego statku z północy! Lecz pojęcie zupełnej bezczynności, jaką daje bogactwo, było mu najzupełniej dostępne. Rozkoszował się nim, aby zapomnieć o swych kłopotach; wystawiał sobie, że chodzi po ulicach Hull (będąc chłopcem znał dobrze ich rynsztoki) z kieszeniami pełnymi funtów szterlingów w złocie. Kupi sobie dom; jego zamężne siostry, szwagrowie, jego dawni kompani z warsztatu będą mu składać czołobitne hołdy. Nie będzie kłopotał się o nic. Jego słowo będzie prawem. Nim wygrał na loterii, był długi czas bez pracy i pamiętał, jak Carlo Mariani (zwany grubym Charleyem), Maltańczyk — właściciel hotelu położonego przy tej części Denham Street, gdzie ulica przechodzi w nędzny zaułek — łasił się przed

nim radośnie w ów wieczór, gdy nadeszła wiadomość o wygranej. Nieborak Charley zarabiał na życie pośrednicząc w zaspokajaniu różnych wstrętnych nałogów, ale żywił na kredyt niejednego białego wykolejeńca. Rozkoszował się naiwnie myślą, że jego dawne rachunki zostaną uregulowane, i liczył niezawodnie na szereg hulanek w swym podziemnym szynku podobnym do jaskini. Massy przypominał sobie zaciekawione, pełne szacunku spojrzenia różnych zgromadzonych tam białych rozbitków życiowych. Serce rosło mu w piersiach. Porzucił z wyniosłą miną ohydną norę Charleya, gdy spostrzegł, jakie możliwości otwierają się przed nim. Później wspomnienie tych służalczych pochlebstw stało się dla niego źródłem wielkiej goryczy.

Oto prawdziwa siła pieniędzy — przy tym człowiek nie ma żadnych trosk i nie potrzebuje myśleć o niczym. Myślenie szło Massy’emu opornie, ale czuł bardzo żywo; wyobrażał sobie w tępej mózgownicy, że zagadnienia wynikające z każdego regularnego trybu życia znalazły się na jego drodze, ciężkie i okrutne, tylko wskutek jawnej ludzkiej nieżyczliwości. Z chwilą gdy został armatorem, wszyscy sprzysięgli się przeciw niemu, aby mu nie dać się wybić. Jak mógł być takim skończonym idiotą, żeby kupić ten przeklęty statek? Nabrano go w sposób ohydny i nabierano go w dalszym ciągu; trudności wynikłe z jego nieopatrznej ambicji napierały nań coraz silniej i zaczął naprawdę nienawidzić wszystkich, z którymi kiedykolwiek się zetknął. Usposobienie porywcze i zadziwiająca

wrażliwość na własne prawa uczyniły w końcu z jego życia coś na kształt piekła, gdzie jak potępieniec wydany był na pastwę obłędnych rozmyślań.

Ale najbardziej ze wszystkich nienawidził tego starca, który zjawił się przed nim pewnego wieczoru, aby go uratować od ostatecznej zguby — od spisku nędznych marynarzy. Zdawało się, że spadł z nieba na pokład. Kroki jego rozlegały się echem po pustym parowcu, a dziwny głos o głębokim brzmieniu powtarzał raz po raz: „Czy zastałem pana Massy'ego? ” Wstrząsnęło to Massym jak cud. Wspiął się na pokład z głębi wyziębłej maszynowni, gdzie błąkał się zgnębiony ze świecą w ręku wśród olbrzymich cieniów rzucanych na wszystkie strony przez szkielety maszyn — i oniemiał na widok tego wspaniałego starca o piersi okrytej brodą jak srebrnym pancerzem — na widok tej wyniosłej postaci stojącej wśród zmierzchu, który się rozpalił ponuro od gasnących promieni zachodu.

— Pan ma do mnie interes? Jaki interes? Ja żadnych interesów nie prowadzę. Czy pan nie widzi, że statek jest nieczynny?

Ścigany przez szyderczy los Massy był w położeniu bez wyjścia. Nie chciał wierzyć własnym uszom, usłyszawszy, o co chodzi temu starcowi. Do czego on zmierza? Takie rzeczy się nie zdarzają. To sen. Massy obudzi się za chwilę i ów człowiek rozwieje się jak mgła. Powaga, dostojność, stanowczy i uprzejmy głos nieznajomego atletycznego starca uczyniły na Massym wielkie wrażenie. Czuł się prawie zalękniony. Ale to nie był sen. Pięćset funtów to nie

jest sen. Nagle zaczął coś podejrzewać. Co ta propozycja właściwie ma znaczyć? Naturalnie, że trzeba jej się chwycić jak deski ratunku. Ale co się może pod tym kryć?

Postanowili, że nazajutrz wczesnym rankiem spotkają się u adwokata. Zanim jeszcze się pożegnali, Massy zadał sobie pytanie: „Co on w tym ma za cel?” Całą noc obmyślał w pocie czoła punkty umowy, która była czymś jedynym w swoim rodzaju; jej treść przeniknęła między ludzi, stając się w porcie tematem rozmów i budząc zdumienie.

Massy’emu chodziło o to, aby zapewnić sobie możliwie najwięcej sposobów pozbycia się wspólnika bez obowiązku spłacenia od razu jego kapitału. Natomiast kapitan Whalley skierował wszystkie wysiłki do tego, żeby zabezpieczyć swoje pieniądze. Czyż to nie były pieniądze Ivy — część jej majątku, którego drugim aktywem był stary ojciec, wyzywający czas odpornością potężnego organizmu? Whalley, pewien swej cierpliwości płynącej z przywiązania do córki, przyjął ze spokojem i pogodą idiotycznie chytre warunki Massy’ego — który chciał się zabezpieczyć przed brakiem kompetencji kapitana, przed jego nieuczciwością, przed jego pijaństwem — przyjął te warunki w zamian za inne surowe punkty obowiązujące Massy’ego. Po upływie trzech lat wolno było Whalleyowi wycofać się ze spółki i zabrać swoje pieniądze. Zrobiono odpowiednie zastrzeżenie, aby zabezpieczyć sumę potrzebną na tę spłatę. Ale gdyby Whalley opuścił „Sofalę” przed określonym terminem, i to z jakiegokolwiek powodu

(wyjąwszy śmierć), Massy mógł go spłacić dopiero po upływie roku.

— No a w razie choroby — podsunął adwokat, młody człowiek, przybyły świeżo z Europy i pracą nie przeciążony; bawiło go układanie tego kontraktu.

Massy zaczął skomleć przypochlebnie:

— Któż by mógł się po kapitanie Whalleyu spodziewać...

— A niech tam — rzekł Whalley z niewzruszonym zaufaniem do wytrzymałości swego ciała. — Wszystko w ręku Boga — dodał. Śmierć czyha na nas na każdym kroku, lecz Whalley pokładał niezłomną wiarę w swym Stwórcy, który znał jego myśli, jego ziemskie przywiązania i jego pobudki. Bóg wiedział, jaki użytek Whalley robi ze swego zdrowia i jak bardzo zdrowia potrzebuje... — Ufam, że moja pierwsza choroba będzie zarazem ostatnią. Nie przypominam sobie, abym kiedy chorował — zauważył. — Niech tak zostanie.

Ale Whalley wzbudził niechęć Massy'ego już w tym wczesnym okresie ich znajomości, ponieważ nie chciał wnieść do spółki sześciuset funtów zamiast pięciuset.

— Tego zrobić nie mogę — rzekł z prostotą, lecz zarazem z tak wielką stanowczością, że Massy przestał od razu nalegać, choć pomyślał w duchu:

— Nie może! Stary sknera. *Nie chce*! Ma z pewnością kupę pieniędzy, ale gdyby to było możliwe, wolałby dostać za darmo taką dogodną komendę i szóstą część dochodów w dodatku.

W ciągu tych lat niechęć Massy’ego wzrastała, powściągana czymś w rodzaju strachu. Prostota Whalleya wydawała mu się niebezpieczna. Ale kapitan zmienił się ostatnimi czasy, wydawał się mniej groźny i stracił wiele na żywotności, jakby mu dolegała jakaś ukryta rana. Pozostał jednak wciąż równie niezrozumiały w swej prostocie, w swej odwadze, w swej prawości. A gdy się Massy dowiedział, że z chwilą gdy kontrakt wygaśnie, Whalley zamierza opuścić „Sofalę” i zostawić go oko w oko z zagadnieniem zużytych kotłów — niechęć jego przemieniła się w ukrytą nienawiść.

Nienawiść ta uczyniła go tak przenikliwym, że już od dłuższego czasu Sterne nie mógł mu powiedzieć nic, czego by Massy nie wiedział. Mechanik zużywał wiele sił na terroryzowanie tego łaszącego się szelmy i zmuszanie go do milczenia; chciał uporać się sam z sytuacją i — choć to wydawało się Sterne’owi niepojęte — nie wyrzekał się jeszcze nadziei, iż skłoni znienawidzonego starca do pozostania. Uważał, że innego wyjścia nie ma, że to jedyny sposób, aby się wyratować.

Lecz teraz, od chwili przebycia mielizny pod Batu Beru, wszystko zdawało się zmierzać szybko ku końcowi. Massy do tego stopnia się niepokoił, że studia nad wygrywającymi numerami przestały koić jego wzburzenie.

Ponury mrok w kajucie pogłębiał się coraz bardziej. Massy odłożył listę, mrucząc raz jeszcze pod nosem:

— Nic z tego, mój ptaszku. Już ja w tym, że nic nie wskórasz.

Ani myślał dopuścić, aby ten szpieg, ten blagier przyśpieszył jego działanie. Objął znów głowę rękami; jego bezruch i samotność w tej ciemnej zamkniętej komórce jakby wyodrębniały go z otoczenia i odcinały zupełnie od ruchu i dźwięków na pokładzie.

Słyszał je; pasażerowie zaczynali w podnieceniu szwargotać; ktoś wlókł ciężką skrzynię obok jego drzwi. Z góry doszedł głos kapitana Whalleya:

— Stop, panie Sterne.

Gdzieś na przednim pokładzie rozległa się odpowiedź:

— Rozkaz, panie kapitanie.

— Zacumujemy się tym razem dziobem w górę rzeki; odpływ się zaczął.

— Tak, panie kapitanie.

— Dopilnuje pan tego, panie Sterne.

Odpowiedź zagłuszył władczy dźwięk gongu z maszynowni. Śruba kręciła się coraz wolniej: raz, dwa, trzy; raz, dwa, trzy — z przestankami, jakby się namyślała przy obrotach. Gong dźwięczał raz po raz, a woda, ubijana przez skrzydła śruby to w jedną, to w drugą stronę, burzyła się hałaśliwie wzdłuż burt. Massy ani drgnął. Na przeciwległym brzegu oddalonym o ćwierć mili światło latarni, nie większe od małej gwiazdki, przeciągnęło z wolna w poprzek iluminatora. Z nabrzeża Van Wyka odpowiedziały głosy na okrzyki z pokładu; rzucono liny, które chybiły i zostały rzucone ponownie; chwiejny płomień pochodni wiezionej w dużym sampanie, przybyłym uroczyście po radżę znad morza, rzucił do kajuty Massy’ego

nagły, rumiany blask, który oświetlił jego postać. Massy ani drgnął. Po kilku ostatnich ciężkich obrotach maszyny zatrzymały się i przeciągły dźwięk gongu oznajmił, że już swoje zrobiły. Mnóstwo łódek i czółen wszelkich rozmiarów przybiło do zewnętrznej burty „Sofali”. Po jakimś czasie zgiełk, pluski, krzyki, szuranie stóp, łoskot rzucanych pakunków, gwar oddalających się pasażerów krajowców — wszystko to z wolna ucichło. Na wybrzeżu tuż obok parowca rozległ się kulturalny, z lekka nakazujący głos:

— A przywieźliście mi pocztę tym razem?

— Tak, panie Wyk — padła poprzez burtę odpowiedź wygłoszona przez Sterne’a z szacunkiem i serdecznością. — Czy mam ją panu przynieść?

Ale głos spytał znowu:

— Gdzie kapitan?

— Zdaje się, że jest jeszcze na mostku. Siedzi w fotelu. Czy mam…

Głos z brzegu przerwał niadbale:

— Przyjdę na pokład.

— Proszę pana — wybuchnął Sterne ze skwapliwością — czy pan zachce łaskawie…

Ruszył szybko ku schodom. Zapadło milczenie. Massy ani drgnął w ciemności.

Nie drgnął nawet wtedy, gdy posłyszał, że ktoś przechodzi leniwie, powłócząc nogami, koło drzwi jego kajuty, tylko wrzasnął przez zamknięte drzwi:

— Hej tam — Jack!

Kroki wróciły bez pośpiechu; klamka zgrzytnęła i drugi mechanik ukazał się w otwartych drzwiach, ciemny na tle jasności padającej przez luk za jego plecami; twarz jego wyglądała równie czarno jak reszta postaci.

— Podróż trwała bardzo długo tym razem — warknął Massy, nie zmieniając pozycji.

— A czegóż innego mógł się pan spodziewać? W rurach od kotła jest masa dziur i trzeba je uszczelniać — bronił się gadatliwie drugi mechanik.

— Stul pysk!

— Mam po uszy pana parszywych kotłów — odgryzł się wierny podwładny chrypliwie i obojętnie. — Niech pan zejdzie tam na dół i puści pełną parę, jeśli pan się ośmieli, bo ja nie.

— Więc jesteś do niczego — rzekł Massy. Mechanik parsknął z lekka śmiechem, który mógł być również warknięciem.

— Lepiej iść wolno niż stanąć w środku drogi — upomniał wielbionego zwierzchnika. Massy ruszył się wreszcie. Obrócił się na krześle i zazgrzytał zębami:

— Niech diabli wezmą i ciebie, i statek! Niech idzie na dno! A wówczas będziesz musiał umrzeć z głodu.

Zausznik szefa zamknął po cichu drzwi.

Massy nasłuchiwał. Zamiast udać się do łazienki, gdzie powinien był pójść się umyć, mechanik wszedł do swojej kajuty, która sąsiadowała z kajutą Massy’ego. Massy zerwał się z krzesła i czekał. Rozległ się zgrzyt zamykanej zasuwki.

Massy wypadł na korytarz i kopnął gwałtownie drzwi mechanika.

— Zamykasz kajutę, żeby się strąbić — zawołał.

Po chwili doszła go stłumiona odpowiedź:

— Wolnoć Tomku w swoim domku.

— Wyleję cię na zbity łeb, jeśli będziesz pił w czasie podróży — krzyknął Massy.

Po tej groźbie zapadło uporczywe milczenie. Massy oddalił się stroskany. Na brzegu ukazały się dwie postacie i podeszły do schodni. Massy usłyszał głos o pogardliwym odcieniu:

— Nie bardzo mi się chce temu wierzyć. Ale pomówię z nim na pewno.

Drugi głos, który należał do Sterne’a, odrzekł tonem grzecznego ubolewania:

— Dziękuję panu. O to mi właśnie chodzi. Muszę spełnić swój obowiązek.

Massy zdziwił się bardzo. Niska, zwinna postać skoczyła lekko na pokład i o mało co nie wpadła na niego, gdyż stał poza kołem światła latarni wiszącej u trapu. Gdy postać skierowała się ku mostkowi, mówiąc mu spiesznie „Dobry wieczór”, Massy rzekł cierpko do Sterne’a, który szedł powoli za Van Wykiem:

— Cóż to znów za podlizywanie się Van Wykowi?

— Nic podobnego, panie szefie. Pan Van Wyk nie uważa mnie za równego sobie. Zresztą mam wrażenie, że i pana też. Do kapitana Whalleya odnosi się inaczej. Poszedł zaprosić go na obiad.

I mruknął złowrogo pod nosem:
— Mam nadzieję, że się kapitan dobrze zabawi.

XII

Van Wyk, jedyny biały w Batu Beru, były oficer marynarki wojennej, który dla znanych sobie tylko powodów odrzucił zapowiedź wspaniałej kariery, aby krzewić uprawę tytoniu w tej odległej części wybrzeża, polubił bardzo Whalleya. Wygląd nowego kapitana przyciągnął jego uwagę. Nie można było sobie wyobrazić kogoś mniej podobnego do różnych typów, jakie za pamięci Van Wyka przesunęły się przez mostek „Sofali".

W owym czasie Batu Beru nie było tym, czym stało się później: centrum kwitnącego okręgu poświęconego uprawie tytoniu, tropikalną, jakby podmiejską osadą o domkach położonych przy jedynej ulicy, długiej i ocienionej dwoma rzędami drzew. Ta osada, otoczona bujnie rozkwitłym parkiem — przeciętym długą na trzy mile aleją dla popołudniowych spacerów — była siedzibą rezydenta pierwszej klasy i jego tłustej, wesołej żony, przewodzącej towarzystwu złożonemu z żonatych administratorów plantacji oraz młodych kawalerów zatrudnionych w wielkich spółkach.

Do owego rozkwitu było jeszcze daleko; pomyślny rozwój plantacji obchodził tylko Van Wyka, zagospodarowanego na lewym brzegu rzeki, na głębokiej polance wyciętej w lesie, który poniżej i powyżej uprawnych pól schodził na sam skraj wody. Samotna willa Van Wyka znajdowała się

naprzeciw domków sułtana stojących z drugiej strony rzeki; ów sułtan był starym władcą niespokojnym i melancholijnym, który skończył już z miłością i wojną i dla którego życie straciło wszelki urok (zajmowały go tylko złe wróżby), a czas nie posiadał nigdy wartości. Sułtan bał się śmierci, ale miał nadzieję, że umrze, zanim biali zdążą zabrać mu kraj. Przeprawiał się często przez rzekę (w orszaku przynajmniej dziesięciu łódek zatłoczonych ludźmi) pod wpływem tęsknej nadziei, że wyciągnie trochę informacji na temat polityki od swojego białego człowieka.

Sułtan zajmował na werandzie zawsze to samo krzesło, dworscy dygnitarze siadali w kucki na dywanach i skórach wśród mebli, pośledniejsi zaś członkowie orszaku ustawiali się na gazonie[174] między rzeką a domem, wzdłuż frontu, we trzy albo cztery rzędy.

Nierzadko wizyta zaczynała się o świcie. Van Wyk tolerował te najścia. Kiwał głową na powitanie, stojąc w oknie sypialni ze szczotką do zębów lub brzytwą w ręku, czasem w kąpielowym płaszczu przechodził przez tłum dworaków. Ukazywał się i znikał, nucąc jakąś melodię, polerował z uwagą paznokcie, wycierał wodą kolońską ogolone policzki, pił ranną herbatę, wychodził, aby rzucić okiem na swych kulisów przy pracy; wracał, przeglądał papiery na biurku, czytał parę stron jakiejś książki lub siedział przed fortepianem z wyciągniętymi rękami i palcami na klawiszach, przechylając się lekko z boku na bok. Kiedy już musiał coś odpowiedzieć, dawał uspokajające, mętne wyjaśnienia po prostu przez litość;

może to samo uczucie skłaniało go do tak hojnego częstowania gości napojami musującymi, że nieraz musiał obchodzić się z tydzień bez wody sodowej. Stary sułtan pozwolił mu swego czasu zająć tyle ziemi, ile Van Wykowi spodobało się wykarczować; wynosiło to ni mniej ni więcej tylko wielki majątek.

Może Van Wyk gonił za majątkiem, a może chciał tylko odciąć się od swoich bliźnich, ale nie mógł lepiej trafić. Parowce subsydiowanego towarzystwa, odwiedzające nawet grupki lepianek o dachach z liści palmowych, omijały daleko na pełnym morzu ujście rzeki, nad którą leżało Batu Beru. Kontrakt owego towarzystwa dawno był sporządzony; za kilka lat, po wygaśnięciu kontraktu, Batu Beru miało pewnie zostać włączone do miejsc obsługiwanych przez parowiec, ale na razie cała poczta Van Wyka była adresowana do Malakki, a jego agent wysyłał ją na „Sofali” raz na miesiąc. Wynikało stąd, że gdy Massy znajdował się w pieniężnych tarapatach (kupiwszy za wiele biletów na loterię) lub nie mógł znaleźć kapitana, Van Wyk był pozbawiony listów i dzienników. Dlatego właśnie obchodził go los „Sofali”. Chociaż Van Wyk uważał się za pustelnika (widać nie był to kaprys przemijający, skoro trwał już osiem lat), lubił wiedzieć, co się dzieje na świecie.

Na werandzie stała podręczna półka orzechowa (przybyła w zeszłym roku na „Sofali” — wszystko przybywało na „Sofali”), gdzie leżały pod brązowymi przyciskami różne tygodniki: stos dodatku tygodniowego „The Times”, wielkie arkusze „Rotterdam Courant”, „The Graphic” w znanych na

całym świecie zielonych okładkach, jakaś nieoprawna książka holenderska z ilustracjami, kilka numerów niemieckiego przeglądu w okładkach koloru „Bismarck malade”. Leżały tam również zeszyty z najnowszymi nutami, choć fortepian (przyjechał przed laty na „Sofali”), był zwykle rozstrojony pod wpływem wilgotnego leśnego powietrza. Czasem przez sześćdziesiąt dni z rzędu Van Wyk bywał odcięty od świata bez możności dowiedzenia się, dlaczego „Sofala” tak się opóźnia, i to dokuczało mu srodze. A gdy parowiec ukazywał się znów, Van Wyk schodził ze stopni werandy i ze zmarszczką na białym czole szedł z wolna przez trawnik aż na brzeg wody.

— Widać zdarzył się jakiś wypadek i statek był niezdolny do użytku?

Zwracał się z tym pytaniem w stronę mostka, ale nim zdążył kto odpowiedzieć, Massy przełaził przez barierę i zbliżał się szybko ze splecionymi dłońmi, pochylając gładką głowę o łysym ciemieniu, jakby oklejonym czarnymi nićmi i tasiemkami. Konieczność usprawiedliwiania się tak go rozwścieczała, że zaczynał bełkotać w sposób po prostu żałosny, a jednocześnie usiłował przywołać uśmiech na grube wargi.

— Nie, proszę pana. To jest wprost nie do wiary, ale nie mogłem skłonić żadnego z tych łotrów do objęcia dowództwa. Ani jeden próżniak nie chciał dać się namówić, a jak pan wie, prawo wymaga…

Żalił się długi czas i tłumaczył; z jego gadaniny wybijały się słowa: spisek, sprzysiężenie, zawiść, wypowiadane

bardziej dobitnie. Van Wyk, oglądając z lekkim skrzywieniem ust swoje wypielęgnowane paznokcie, mówił: „Hm, to bardzo przykre”, i odwracał się do Massy’ego plecami.

Wytworny, inteligentny, trochę sceptyk, przywykły do najlepszego towarzystwa (na rok przed porzuceniem swego zawodu i Europy zajmował w ministerstwie marynarki stanowisko bardzo ponętne), taił żar uczuć i wrażliwość na cudzą niedolę pod wyniosłą, z lekka arbitralną obojętnością, którą sobie przyswoił od bardzo młodych lat. W tym zatajaniu się pomagała Van Wykowi pewna cecha jego wyglądu, jakby wypaczone echo dawnej elegancji, coś co by jego wróg określił mianem fircykowatości. Potrafił utrzymywać posłuch prawie wojskowy wśród pracujących u siebie kulisów, których powyciągał z gąszczów i mroku dżungli. Co wieczór ubierał się w białą koszulę o nakrochmalonym, błyszczącym gorsie i sztywnym kołnierzyku, jakby chcąc zachować ceremonialny obrządek wieczorowego stroju, lecz przepasywał biodra grubą czerwoną szarfą, robiąc tym ustępstwo dla dziczy, która była dawniej jego przeciwnikiem, obecnie zaś pokonanym towarzyszem. Przy tym szarfa stanowiła higieniczny środek ostrożności. Plecy i ramiona Van Wyka okrywała krótka kurtka z powiewnego jedwabiu, szeroko otwarta na przedzie. Jego puszyste, jasne włosy, przerzedzone na ciemieniu, wiły się z lekka u skroni; wypielęgnowane wąsy, łysawe czoło, połysk lakierowanych pantofli wyglądających spod szerokich prostych spodni, skrojonych z tego samego

co kurtka materiału o zwiewności pajęczej, dopełniały stroju Van Wyka. Przepasany szarfą, przypominał korsarskiego wodza z powieści, a także łysawego wytwornisia, który żyje w samotności, folgując[175] swemu upodobaniu do fantastycznych ubiorów.

Był to jego strój wieczorowy. Parowiec przybywał zwykle do Batu Beru godzinę przed zachodem; Van Wyk wyglądał malowniczo, a jednak bardzo poprawnie, chodząc po brzegu na tle zbocza pokrytego trawnikiem; u szczytu tego zbocza stała niska, długa willa o niezmiernie stromym dachu z liści palmowych, obrośnięta kwitnącymi pnączami aż do okapu. Czekając na zacumowanie „Sofali”, Van Wyk przechadzał się przed wejściem na pokład w cieniu kilku drzew pozostawionych obok przystani. Biali z parowca nie należeli do sfery Van Wyka. Stary sułtan odpowiadał już o wiele bardziej jego wybrednemu gustowi, choć wizyty władcy spragnionego informacji niezmiernie Van Wyka nudziły. Ale tamci byli jednak ludźmi białymi; przy tym periodyczne odwiedziny statku urozmaicały pracowitą jednostajność dnia, nie naruszając domowego zacisza Van Wyka. Co więcej, odwiedziny „Sofali” były pożądane z punktu widzenia interesów; a że w naturze Van Wyka leżała pewna dokładność, irytowało go, kiedy parowiec nie zjawiał się w oznaczonym czasie.

Powód tych opóźnień był wręcz idiotyczny; Van Wyk uważał Massy’ego za durnia i nicponia. Gdy po zawarciu układu z Whalleyem parowiec ukazał się na rzece, wyłaniając się spoza zakrętu, Van Wyk prawie już był stracił

nadzieję zobaczenia kiedykolwiek „Sofali”. Ogarnął go taki gniew, że nie zszedł od razu do przystani. Służba przybiegła z wiadomością o przybyciu parowca; Van Wyk przysunął fotel do frontowej poręczy werandy, rozstawił łokcie, oparł brodę na rękach i ze złością patrzył nieruchomo w statek, który cumował się na wprost jego domu. Mógł rozróżnić z łatwością wszystkie białe twarze na pokładzie. Cóż to u diabła za patriarcha, który tam sterczy na mostku?

W końcu zerwał się i poszedł w dół żwirowaną ścieżką. Właściwie to nawet żwir na jego ścieżkach został sprowadzony na „Sofali”. Van Wyk taki był zły, że porzucił zwykły swój wyniosły spokój i nie patrząc ani w prawo, ani w lewo, zwrócił się od razu do Massy’ego w sposób tak stanowczy, iż zaskoczony tym mechanik jął bąkać coś niezrozumiale. Słychać było tylko słowa:

— Proszę pana... ależ proszę pana... naprawdę że... na przyszłość...

Krew uderzyła Massy’emu do głowy i jego wielka twarz o żółciowej cerze przybrała nienaturalny odcień pomarańczowy, na którego tle wystraszone, czarne jak węgiel oczy świeciły niezwykłym blaskiem.

— Tego już nadto. Mam pana po uszy... Cóż to za czelność! Przybija pan do mojej przystani, jakbym ją zbudował tylko dla pana.

Massy usiłował przeczyć żarliwie. Van Wyk bardzo był zły. Oświadczył, że ma wielką ochotę zaproponować tej niemieckiej farmie... tej z Malakki — jakże oni się nazywają? Statki ich mają zielone kominy. Będą

zachwyceni, jeśli się im zaproponuje, aby puścili tędy który ze swych małych parowców. Ach prawda, ten Niemiec nazywa się Schnitzler, Jacob Schnitzler. On przyśle w mig parowiec. Van Wyk postanowił napisać do niego bez zwłoki.

Wzburzony Massy złapał fajkę, która wypadła mu z ust.

— Pan chyba nie mówi tego na serio! — zawołał.

— A pan nie powinien psuć sobie interesów w taki śmiesznie niezdarny sposób.

Van Wyk zawrócił na pięcie. Trzej biali na mostku ani drgnęli. Massy zaczął chodzić szybko od burty do burty, wydymał policzki, po prostu się dusił.

— Nadęty Holender!

I wybełkotał gorączkowo cały szereg pretensji. Ileż on się przez tych kilka lat namozolił, aby temu człowiekowi dogodzić. I tak mu się za to odpłaca. A to ananas! Grozi, że napisze do Schnitzlera — że wpuści na rzekę parowce o zielonych kominach — że zrujnuje Massy’ego za pośrednictwem starego Żyda z Hamburga. To po prostu śmieszne... Massy zaniósł się pół śmiechem, pół łkaniem... Ha-ha-ha! I prawdopodobnie Van Wyk każe Massy’emu zawieźć ten list na „Sofali”.

Potknął się o kratę i zaklął. Wyrzuci bez wahania za burtę korespondencję Holendra — całą tę, psiakrew, paczkę. Nie liczył mu nigdy ani grosza za przewóz poczty. Ale nowy wspólnik Massy’ego, kapitan Whalley, nie pozwoli pewno listów wyrzucić; zresztą to by tylko odwlokło fatalny dzień. Co się tyczy jego, Massy’ego, skoczy raczej do wody, niż ścierpi, aby zielone kominy zniweczyły jego handel.

Bredził wciąż głośno. Chińscy posługacze ociągali się z półmiskami u stóp drabiny. Wrzasnął z mostka, w dół ku pokładowi: „Czy dziś wcale żarcia nie dostaniemy?”, i zwrócił się z wściekłością do kapitana Whalleya, który czekał przy stole, poważny i cierpliwy, gładząc od czasu do czasu brodę spokojnym ruchem.

— Pana nic nie obchodzi, co się ze mną dzieje. Czy pan nie rozumie, że to równie dobrze pański interes, jak mój? Tu nie ma żartów.

Usiadł u końca stołu, pomrukując coś pod nosem.

— Chyba że pan ma kilka odłożonych tysięcy. Ja nie mam ani grosza.

Van Wyk jadł obiad w oświetlonej wspaniale willi jarzącej się wśród mroku polanki nad ciemnym wybrzeżem. Potem zasiadł do fortepianu. Podczas pauzy w grze usłyszał powolne kroki na ścieżce biegnącej wzdłuż frontu. Deski trzasnęły pod ciężkimi krokami; Van Wyk odwrócił się nieco na taburecie i nasłuchiwał nie odejmując palców od klawiatury. Mały jego foksterier zaszczekał gwałtownie, cofając się w głąb werandy. Rozległ się głęboki głos, przepraszający z powagą za „to najście”. Van Wyk podszedł szybko do brzegu werandy.

U szczytu schodów stała patriarchalna postać, wyniosła i nieruchoma; był to najwidoczniej nowy kapitan „Sofali”. Van Wyk widział okrągły tuzin owych kapitanów, ale żaden nie był podobny do tego ostatniego. Piesek szczekał wciąż; uskoczył w bok i ucichł dopiero wówczas, gdy Van Wyk

machnął na niego chustką. Kapitan Whalley nawiązał rozmowę, lecz zetknął się ze sprzeciwem bardzo stanowczym, choć ujawnionym z wyszukaną grzecznością.

Prowadzili dyskusję stojąc w tym samym miejscu, gdzie znaleźli się naprzeciw siebie. Van Wyk przyglądał się gościowi z uwagą. W końcu rzekł, jakby go coś zmusiło do wyzbycia się powściągliwości:

— Dziwi mnie, że pan się wstawia za takim skończonym idiotą.

Ten wybuch był prawie komplementem, jak gdyby Van Wyk chciał powiedzieć: „Że też taki człowiek jak pan wstawia się za nim.

Kapitan Whalley puścił to mimo uszu. Mogło się zdawać, że nic nie usłyszał. Mówił dalej, wyjaśniając, że załagodzenie sporu z Massym obchodzi go osobiście. Osobiście...

Ale Van Wyk, uniesiony prawdziwym wstrętem do Massy’ego, rzekł bardzo ostro:

— Jeśli mam być szczery, to nie uważam, aby jego charakter zasługiwał na szacunek lub zaufanie...

Kapitan Whalley, wyprostowany jak zawsze, stał się jakby o cal wyższy i szerszy; zdawało się, że objętość jego piersi powiększyła się pod rozpostartą brodą.

— Proszę pana, chyba pan nie przypuszcza, że przyszedłem tu dyskutować nad charakterem człowieka, który jest moim — moim — hm — wspólnikiem.

Przez chwilę trwało coś na kształt uroczystego milczenia. Wreszcie kapitan Whalley zaznaczył, że nie ma zwyczaju

dopraszać się czyjejkolwiek łaski, ale waga, jaką przywiązuje do tej sprawy, skłoniła go do podjęcia usiłowań... Van Wyk, na którym kapitan zrobił dodatnie wrażenie, zmiękł pod wpływem nagłej ochoty do śmiechu i przerwał Whalleyowi:

— Niech już będzie, jak pan chce, ponieważ pan stawia to jako kwestię osobistą; ale musi pan usiąść choćby na chwilę i wypalić ze mną cygaro.

Po krótkim wahaniu kapitan Whalley wszedł ciężkim krokiem na werandę. Oświadczył, że w przyszłości bierze na siebie odpowiedzialność za regularną obsługę; nazywa się Whalley — może dla marynarza (bo przecież mówi do marynarza?) to nazwisko brzmi niezupełnie obco. Jest tam na wyspie morska latarnia... Może nawet Van Wyk osobiście...

— Ach, tak! Doprawdy! — podchwycił natychmiast Van Wyk. Wskazał Whalleyowi krzesło. Jakież to zajmujące. Van Wyk pełnił służbę podczas ostatniej wojny w Atjeh[176], ale nigdy nie zapędził się aż tak daleko na Wschód. Wyspa Whalleya? Ależ naturalnie. To bardzo zajmujące. Iluż zmian kapitan musiał być świadkiem od tamtych czasów!

— Pamiętam nawet jeszcze dawniejsze dzieje — sprzed lat pięćdziesięciu.

Kapitan Whalley trochę się rozkrochmalił. Ujął go smak dobrego cygara (była to jego słabość), a uprzejmość młodego człowieka brała za serce. W przypadkowym ich spotkaniu było coś, za czym kapitan stęsknił się w ciągu tych lat walki.

Cofnięta w głąb frontowa ściana domu tworzyła kwadratową wnękę umeblowaną jak pokój. Lampa o mlecznym kloszu, zawieszona pod pochyłym, wysokim dachem u końca mosiężnego łańcucha, rzucała jasne koło światła na stolik i leżącą na nim otwartą książkę oraz nóż z kości słoniowej. Naokoło widać było w przejrzystym cieniu jeszcze inne stoliki, fotele różnych kształtów i mnóstwo skór dzikich zwierząt, rozrzuconych po tikowej podłodze werandy. W powietrzu unosił się zapach kwitnących pnączy. Ich liście wystrzyżone przy słupach werandy tworzyły jakby kilka ram z gęstego, nieruchomego listowia, w którym światło odbijało się zielonym blaskiem. Kapitan mógł widzieć przez otwór z boku trapową latarnię na „Sofali", palącą się mętnie u brzegu, niewyraźny zarys miasta za połyskliwą, mroczną przestrzenią odsłoniętej rzeki i — jakby zawieszony wzdłuż wystającego okapu — wąski czarny pas nocnych niebios jarzących się gwiazdami. Whalley czuł się dobrze ze świetnym cygarem w ręku.

— Drobnostka. Ktoś musi utorować drogę — mówił. — Pokazałem tylko, że to jest możliwe; ale wy, młodzi, przyzwyczajeni do posługiwania się parą, nie możecie zrozumieć, jak ważna była odrobina mojej przedsiębiorczości dla ówczesnego handlu ze Wschodem. Przecież nowa droga zmniejszała przeciętny czas podróży na południe o jedenaście dni, a można było tej drogi używać więcej niż przez pół roku. O całych jedenaście dni! To jest zapisane w książkach. Ale ponieważ mam do czynienia

z marynarzem, opowiem panu, co w tym najciekawsze. Otóż...

Mówił dobrze, fachowo, nie wysuwając na pierwszy plan własnej osoby. Potężny głos, którym władał bez najmniejszego wysiłku, napełniał willę, docierając do pustych pokojów głębokim, czystym dźwiękiem i jakby uciszał wszystko naokół; Van Wyk był zaskoczony pogodnym tonem tego głosu, który uosabiał męską łagodność. Holender założył na kolano swą małą stopę w jedwabnej skarpetce, w lakierku, i objął ją dłonią; bawił się znakomicie. Zdawało mu się, że nikt by już dziś tak mówić nie potrafił, a pogoda ducha Whalleya, ocienione brwiami jego oczy, sfalowana biała broda, potężna budowa — cały zespół cech tego człowieka był zadziwiającym przeżytkiem z czasów przedhistorycznych, przeżytkiem, który stanął przed Van Wykiem, wyłoniwszy się z morza.

Kapitan Whalley był również swego czasu pionierem handlu w zatoce Pe-czi-li. Znalazł sposobność, aby nadmienić Van Wykowi, że pochował tam swoją „drogą żonę” przed dwudziestu sześciu laty. Van Wyk, słuchając z twarzą nieporuszoną, mimo woli zastanowił się szybko, jakiego rodzaju kobieta byłaby odpowiednia dla tego człowieka. Czy stanowili dobraną parę dwojga ludzi rozmiłowanych w przygodach? Chyba nie. Bardzo możliwe, że pani Whalley była drobna, szczupła, z pewnością bardzo kobieca — a najprawdopodobniej należała do typu kobiet przeciętnych, zupełnie nijakich kwoczek domowych. Lecz kapitan Whalley nie miał w sobie nic z gadatliwego

nudziarza; potrząsnął głową, jakby chciał rozproszyć przelotną chmurę, która osiadła na jego pięknej twarzy, i napomknął coś uprzejmie o samotności Van Wyka.

Van Wyk zapewnił, że miewa czasem więcej towarzystwa, niżby pragnął. Wspomniał z uśmiechem o stosunkach ze „swoim sułtanem", podkreślając ich osobliwe strony. Sułtan składał mu wizyty wraz z liczną świtą. Ludzie z orszaku władcy niszczyli trawnik przed domem (pod tropikami nie łatwo utrzymać coś w rodzaju trawnika), a ostatnim razem połamali kilka rzadkich krzewów, które Van Wyk tam posadził. A kapitan Whalley przypomniał sobie natychmiast, że w roku czterdziestym siódmym ówczesny sułtan, „dziadek obecnego", znany był jako gorliwy opiekun korsarskich flot lub pojedynczych prau z dalszego Wschodu; wszystkie miały bezpieczne schronienie na rzece pod Batu Beru. Sułtan popierał finansowo najwydatniej wodza plemienia Balinini imieniem hadżi Daman. Kapitan Whalley poruszył znacząco krzaczastymi białymi brwiami i powiedział, że miał sposobność odczuć to na własnej skórze. Świat zrobił postępy od tamtych czasów.

Van Wyk zaprzeczył z niespodzianą cierpkością.

Świat zrobił postępy? Ale w czym? Van Wyk chciałby to wiedzieć.

No przecież w poznaniu prawdy, w moralności, w sprawiedliwości, w porządku — a także i w uczciwości, bo jeśli ludzie szkodzą sobie nawzajem, to raczej przez nieświadomość. W końcu kapitan wypowiedział dziwaczną konkluzję, że przyjemniej teraz żyć na świecie.

Van Wyk oświadczył na to przekornie, że nie uważa, aby na przykład Massy miał charakter milszy niż piraci z plemienia Balinini. Rzeka zyskała niewiele na zamianie. Piraci na swój sposób nie ustępowali w uczciwości Massy'emu. On jest na pewno mniej okrutny niż hadżi Daman, ale...

— No a pan, kochany panie? — zaśmiał się kapitan Whalley głębokim, cichym śmiechem. — Przecież obecność pana tutaj jest niewątpliwym postępem — ciągnął żartobliwie. Milej człowiekowi wypalić dobre cygaro niż dostać po łbie, a nic innego nie byłoby spotkało Whalleya, gdyby się tu zjawił na rzece przed czterdziestu lub pięćdziesięciu laty. Kapitan pochylił się trochę naprzód i spoważniał. Mówił dalej, że owi piraci, rzekłbyś, nienawidzili całej ludzkości — oprócz siebie i pokrewnych sobie plemion morskich cyganów — niepojętą, krwiożerczą nienawiścią. Rabunki ich zostały ukrócone i co z tego wynikło? Nowe pokolenie, nastrojone pokojowo i osiadłe w kwitnących wsiach, żyje w zgodzie z prawem. Kapitan mówi to z własnego doświadczenia. A nawet nieliczni przedstawiciele dawnych czasów, obecnie już ludzie starzy, zupełnie się zmienili i nie byłoby ładnie pamiętać, że kiedyś podrzynali gardła. Kapitan Whalley ma na myśli szczególnie jednego z nich; jest to majestatyczny, czcigodny naczelnik pewnej wielkiej nadbrzeżnej wsi, położonej jakie sześćdziesiąt mil na południe od Tampasaku. Widok owego naczelnika i jego słowa po prostu głaszczą człowieka po sercu. A swego czasu był może okrutnym dzikusem. Ludzie

potrzebują, aby ich trzymać w ryzach przewagą wyższej inteligencji, wyższej wiedzy, a także i wyższej siły — tak, siły danej od Boga i uświęconej przez posługiwanie się nią zgodnie z objawioną Jego wolą. Kapitan Whalley wierzył, że skłonność do dobrego istnieje w każdym człowieku, nawet choćby świat nie był na ogół przybytkiem szczęścia. Co się zaś tyczy ludzkiej mądrości, Whalley mniejsze miał do niej zaufanie.

Przyznawał, że skłonność do dobrego trzeba czasem podtrzymywać w ludziach bardzo energicznie. Ludzie są głupi, uparci, nieszczęśliwi, ale nie są z natury źli. W gruncie rzeczy są nieszkodliwi.

— Tak pan sądzi? — podchwycił cierpko Van Wyk.

Kapitan Whalley roześmiał się na to z humorem, jaki daje wyrozumiałość i przeświadczenie o własnej słuszności. Podkreślił, że spogląda wstecz na pół stulecia. Dym cygara sączył się spokojnie przez biały zarost osłaniający jego dobroduszne usta.

— Bądź co bądź — podjął po chwili — cieszę się, że ludzie nie mieli jeszcze czasu wyrządzić panu wiele złego.

Ta aluzja do względnej młodości Van Wyka nie obraziła go; wstał i wzruszył ramionami z zagadkowym półuśmiechem. Złączeni przyjaznym porozumieniem, wyszli razem w gwiaździstą noc, zmierzając ku rzece. Kroki ich rozlegały się nierówno po ciemnej ścieżce. Przy końcu schodni, u brzegu, latarnia uczepiona nisko poręczy oświetlała jasno białe nogi i wielkie czarne stopy Massy’ego, który czekał miotany niepokojem. Od pasa

w górę tkwił w ciemności, tylko rząd guzików połyskiwał aż do niewyraźnego zarysu podbródka.

— Może pan kapitanowi Whalleyowi podziękować — rzekł sucho Van Wyk i ruszył z powrotem ku willi.

Lampy na werandzie rzucały poprzez słupy trzy długie czworokąty światła daleko na trawę. Nietoperz pomykał przed twarzą Van Wyka jak kołujący płatek aksamitnej czerni. Wzdłuż jaśminowego szpaleru nocne powietrze było aż ciężkie od opadającej wonnej rosy; kwietne rabaty biegły brzegiem ścieżki, strzyżone krzewy występowały tu i ówdzie przed domem ciemnymi, zaokrąglonymi masywami; przez zwarte listowie pnączy, wzdłuż frontu, sączyło się światło lamp łagodnym blaskiem, a blisko i daleko wszystko trwało w bezruchu, w wielkiej słodyczy.

Van Wyk, który przed kilku laty został skrzywdzony przez kobietę (w jego pojęciu nikt nigdy tak wielkiej krzywdy nie doznał), czuł dla optymizmu kapitana Whalleya lekceważenie człowieka, co dawniej sam był łatwowierny. Jego wstręt do świata (przez pewien czas owa kobieta wypełniała mu świat całkowicie) przybrał formę pracy w odosobnieniu, bo mimo zdolności do wielkiej głębi uczuć Van Wyk miał wiele energii i odznaczał się praktycznością. Ale w tym niezwykłym starym marynarzu, który otarł się o pracowitą samotność Van Wyka, było coś, co przykuło sceptyczną uwagę Holendra. Nawet prostota Whalleya (dość zabawna) była jakby delikatnym wyrafinowaniem prawego charakteru. Uderzająca godność obejścia mogła być tylko wyrazem czegoś zasadniczo szlachetnego

w człowieku zdegradowanym przez życie do tak skromnego stanowiska. Przy całej swej wierze w ludzkość nie był głupi; pogoda, której nie stracił po tak wielu przeżytych latach i która najoczywiściej nie wypływała z powodzenia, robiła wrażenie głębokiej mądrości. Van Wyk bawił się nią czasami.

Nawet rysy fizyczne starego kapitana „Sofali”, potężna budowa, spokojny wyraz twarzy, inteligentna, piękna twarz, wielkie ręce i nogi, dobroduszna uprzejmość, odcień szorstkiej surowości w krzaczastych brwiach składały się na osobistość pełną uroku. Van Wyk nie znosił małostkowości wszelakiego gatunku, a w tym człowieku nie było jej ani śladu; w ciągu wielu podróży „Sofali” — wzorowo punktualnych — nawiązała się między nimi zażyłość, uczucie prawdziwie ciepłe, ukryte pod uprzejmymi, pełnymi godności formami, które odpowiadały wykwintnym upodobaniom Van Wyka.

Zachowali obaj swoje odrębne zapatrywania na sprawy tego świata. Poza tym kapitan Whalley nie wtrącał się nigdy do poglądów Van Wyka. Różnica wieku była jakby jeszcze jednym łączącym ich węzłem. Raz, kiedy Whalley pomawiał Van Wyka o niewyrozumiałość właściwą młodemu wiekowi, Holender ogarnął wzrokiem potężne wymiary kapitana i odciął się przyjazną drwiną:

— Oho, jeszcze pan zmieni zdanie. Ma pan mnóstwo czasu. Proszę nie mówić o swojej starości: pan wygląda, jakby pan miał żyć okrągłych sto lat.

Ale nie umiał pohamować swej ostrej ciętości i dodał, łagodząc ją uśmiechem niemal serdecznym:

— A wówczas zapragnie pan śmierci po prostu ze wstrętu.

Kapitan Whalley uśmiechnął się również i potrząsnął głową:

— Niechże Bóg broni!

Przyszło mu na myśl, że zasługuje może na coś lepszego niż na śmierć wśród uczuć tego rodzaju. Oczywiście śmierć nadejść musi, lecz wierzył, że Stwórca pozwoli mu umrzeć w sposób, którego Whalley nie będzie potrzebował się wstydzić. Zresztą miał nadzieję, że dożyje i stu lat, jeśli zajdzie potrzeba; inni także stu lat dożywali, nie byłby to cud. Whalley cudów się nie spodziewał.

Stanowczy, przekonywający ton jego głosu sprawił, że Van Wyk podniósł głowę i spojrzał przeciągle na kapitana. Whalley patrzył przed siebie z wyrazem uniesienia, jakby widział pomyślny wyrok swego Stwórcy wypisany na ścianie tajemniczymi głoskami. Przez parę sekund siedział zupełnie bez ruchu, a potem tak gwałtownie dźwignął na nogi potężne swe ciało, że Van Wyk drgnął, zaskoczony.

Whalley uderzył się mocno w wyprężoną pierś i wyciągnął poziomo wielkie ramię, które sterczało nieruchomo jak konar drzewa w bezwietrzny dzień.

— Ani śladu choroby czy bólu. Widzi pan, moja ręka wcale nie drży!

Jego cichy, ufny głos był w zdumiewającym kontraście z wyrazistą gwałtownością ruchów. Nagle Whalley siadł

z powrotem.

— Nie mówię tego dla przechwałki. Jestem niczym — rzekł swym potężnym głosem, który płynął bez wysiłku, naturalnie, jak płynie rzeka. Podjął niedopałek cygara, które odłożył, i dodał spokojnie, kiwnąwszy z lekka głową: — Tak się złożyło, że moje życie jest potrzebne; nie należy do mnie — o nie — i Bóg wie o tym.

Odzywał się już rzadko przez resztę wieczoru, lecz kilka razy Van Wyk dostrzegł nieznaczny, pewny siebie uśmiech przewijający się pod gęstym wąsem.

Przy dalszych spotkaniach kapitan Whalley przyjmował niekiedy zaproszenie na obiad „w willi”. Czasem nawet dawał się namówić na wypicie kieliszka wina.

— Kochany panie, niech pan nie myśli, że się wina boję — tłumaczył. — Przestałem je pić z pewnej ważnej przyczyny.

Przy innej sposobności zauważył, rozparłszy się wygodnie w fotelu:

— Pan zawsze odnosił się do mnie bardzo... bardzo po ludzku, drogi panie, i to od pierwszej chwili.

— Przyzna pan chyba, że mam w tym pewną zasługę — podsunął chytrze Van Wyk. — Wspólnik tego zacnego Massy’ego... No, no, drogi kapitanie, ani słowa już o nim nie powiem.

— To by się na nic nie przydało — stwierdził Whalley nieco markotnie. — Mówiłem już panu, że moje życie — moja praca — jest nie tylko dla mnie potrzebna. Nic innego mi nie pozostaje. — Urwał, obracając w dłoni kieliszek. — Mam jedyne dziecko — córkę.

Szeroki gest jego ręki, która opadła na stół, zdawał się odnosić do małej dziewczynki przebywającej gdzieś bardzo daleko.

— Ufam, że zobaczę ją jeszcze przed śmiercią. A tymczasem wystarcza mi świadomość, że ona mnie ma, zdrowego i całego — Bogu dzięki. Pan nie może zrozumieć, jakie to uczucie. Krew z mojej krwi, kość z mojej kości; istny obraz mojej nieboszczki żony. Otóż ona…

Umilkł znów i wyrzekł ze stoicyzmem:

— Ona walczy ciężko o byt.

Głowa opadła mu na piersi; trwał tak ze zmarszczoną brwią, jakby rozmyślając nad czymś z wysiłkiem. Lecz zwykle jego dusza promieniowała pogodą i wiarą bez granic w nadziemską potęgę. Van Wyk zadawał sobie czasem pytanie, ile z tej wiary Whalley zawdzięcza wspaniałej swej żywotności, sile ciała, która zdawała się i duszy udzielać. Polubił bardzo kapitana Whalleya.

XIII

Z tej właśnie przyczyny poufna wiadomość, której Sterne udzielił Van Wykowi na brzegu, pod burtą ciemnego, cichego statku, zakłóciła spokój Holendra. Wiadomość ta była czymś tak niezrozumiałym, nieoczekiwanym i do tego stopnia wytrąciła z równowagi Van Wyka, że zapomniał zupełnie o swoich listach i wbiegł szybko po drabinie na statek.

Dwóch „boyów” z warkoczami ustawiało do obiadu przenośny stół na lewo od koła sterowego; jak zwykle warczeli na siebie przy tej robocie, a tymczasem trzeci Chińczyk, przypominający Massy’ego, smętny, tęgi i bardzo żółty, czekał apatycznie z serwetą pod pachą, trzymając przy piersiach stos grubych talerzy. Zwykła kajutowa lampa — ale bez klosza — przyniesiona z dołu, wisiała u drewnianej podpory podtrzymującej płócienny dach, a wszystkie boczne zasłony były spuszczone. Kapitan Whalley wypełniał swoją osobą głęboki fotel koszykowy; odnosiło się wrażenie, że siedzi otępiały w płóciennym, jaskrawo oświetlonym namiocie przeznaczonym na skład sprzętów okrętowych; było tam odrapane koło od steru, powyginany mosiężny kompas na ciężkiej mahoniowej podstawie, dwa brudne pasy ratunkowe, stary korkowy odbijacz leżący w kącie, roztrzęsione skrzynie pokładowe zaopatrzone w pętle z drutu zamiast rękojeści.

Kapitan otrząsnął się z pozornego odrętwienia, aby odwzajemnić niezwykle żywe powitanie Van Wyka, lecz zapadł znowu w apatię. Musiał ponownie zdobyć się na wysiłek — i to bardzo wyraźny — aby przyjąć serdeczne zaproszenie na obiad „w willi”. Zaniepokojony Van Wyk splótł ramiona na piersiach, oparł się plecami o poręcz i wysunąwszy drobne stopy w czarnych, lśniących trzewikach, przypatrywał się kapitanowi spod oka.

— Zauważyłem w ostatnich czasach, że pan jest jakiś nieswój, drogi mój przyjacielu.

Nadał ostatnim słowom dźwięk serdecznej łagodności. Nigdy jeszcze istotna bliskość ich stosunku nie została zaznaczona tak wyraźnie.

— Ale cóż znowu!

Pleciony fotel skrzypnął głośno.

— Jest zdenerwowany — pomyślał Van Wyk i rzekł niedbale, odchodząc: — Więc będę pana oczekiwał za pół godziny.

— Za pół godziny — powtórzył za jego plecami Whalley jakby na wpół przytomnie; jego srebrzysta głowa ani drgnęła.

Poniżej na śródokręciu dwa głosy rozmawiały z sobą tuż przy maszynowni, jeden gniewny i powolny, drugi żwawy:

— Mówię panu, że to bydlę zamknęło się w kajucie, aby się spić.

— Nic się na to nie poradzi, panie szefie. Właściwie to człowiek ma pełne prawo zamknąć się u siebie w czasie wolnym od pracy.

— Ale nie po to, żeby się spić.

— Słyszałem, jak mówił, że ma okropne trudności z kotłami i że na jego miejscu każdy by szukał ucieczki w trunkach — rzekł Sterne złośliwie.

W odpowiedzi Massy wysyczał, iż weźmie i rozwali drzwi do kajuty drugiego mechanika. Van Wyk, chcąc ich wyminąć, przeszedł w ciemności na drugą stronę opustoszałego pokładu. Potem deski małego mola zaskrzypiały słabo pod jego spiesznymi krokami.

— Proszę pana! Proszę pana!

Van Wyk szedł dalej; ktoś biegł za nim ścieżką.

— Pan zapomniał wziąć swoją pocztę.

Sterne dopędził go z plikiem papierów w ręku.

— Ach prawda, dziękuję.

Ale gdy Sterne szedł wciąż u jego boku, Van Wyk przystanął. Zwisający okap opadał nisko na oświetlony front willi i rzucał czarny, wyraźnie zarysowany cień w głąb nocy. Wielka cisza panowała naokół. Słychać było pobrzękiwanie noży i lekki dźwięk szkła. Służba Van Wyka krzątała się po werandzie, nakrywając do stołu na dwie osoby.

— Zdaje się, że pan nie ufa wcale moim dobrym intencjom co do sprawy, o której panu mówiłem — rzekł Sterne.

— Ja po prostu nie mogę pojąć, o co panu chodzi.

— Kapitan Whalley jest człowiekiem bardzo śmiałym, ale musi zrozumieć, że przegrał sprawę. Z nikim więcej o tym mówić nie będę. Niech mi pan wierzy, że postępuję z wielką względnością[177], lecz obowiązek jest obowiązkiem. Nie

chcę robić z tego awantury. Ja tylko pana proszę jako jego przyjaciela: niech mu pan powie ode mnie, że musi dać za wygraną. To wystarczy.

Van Wyk poczuł lęk przed tym dziwnym i odrażającym przywilejem przyjaźni. Nie chciał się poniżać żądaniem choćby najmniejszych wyjaśnień, a jednocześnie nie uważał za bezpieczne pozbyć się oficera w sposób obelżywy — na to zawsze jeszcze będzie czas. Pewność siebie tego Sterne'a była zdumiewająca. „Któż może powiedzieć, co się pod tym kryje?" pomyślał Holender. Czuł dla Whalleya szacunek — trwały jak wszystkie uczucia bezinteresowne — i nie zdradził się z pogardą, ulegając swemu zmysłowi praktycznemu.

— Domyślam się, że chodzi o jakąś ważną sprawę.

— Bardzo ważną — potwierdził uroczyście Sterne, zachwycony tym, że wywarł w końcu należyte wrażenie. Chciał jeszcze dodać z wylaniem[178], jak bardzo nad tym boleje, iż „nieubłagana konieczność" itd., ale Van Wyk przerwał rozmowę, zresztą bardzo uprzejmie.

Znalazłszy się na werandzie, włożył ręce do kieszeni i rozstawił nogi szeroko, przyglądając się skórze czarnej pantery leżącej na podłodze przed fotelem.

„Coś mi się zdaje, że ten drab nie ma odwagi zagrać w otwarte karty" — pomyślał.

Była to prawda, Sterne, po ostatnim zwymyślaniu go przez mechanika, nie śmiał wyjawić swego odkrycia. Dążył po prostu do tego, żeby dostać komendę parowca i jakiś czas ją zatrzymać. Massy nie przebaczyłby mu nigdy, gdyby

się Sterne narzucił, ale jeśli kapitan Whalley opuści statek z własnej woli, dowództwo siłą rzeczy przypadnie oficerowi na resztę podróży; dlatego to właśnie Sterne powziął świetną myśl, aby kapitana zastraszyć. Niejasna pogróżka lub zwykłe napomknienie wystarczy, aby położyć kres jego bezczelności; z dziwną domieszką współczucia Sterne pomyślał, że wygodniej będzie Whalleyowi ponieść porażkę w Batu Beru. Kapitan wysiądzie spokojnie na brzeg i zostanie z tym swoim Holendrem. Czyż się nie zwąchali od razu? I po zastanowieniu błysnęło Sterne'owi, że można by całą rzecz przeprowadzić za pośrednictwem tego przyjaciela Whalleya. To był drugi genialny pomysł. Sterne miał wrodzone zamiłowanie do metod okrężnych. W tym właśnie wypadku pragnął pozostać w cieniu, o ile się tylko da, by niepotrzebnie Massy'ego nie drażnić. Tylko żadnych awantur! Niech wszystko stanie się jakby samo przez się.

Van Wyk w ciągu całego obiadu miał poczucie osamotnienia, które nawiedza nas czasem podczas obcowania z bliskimi. Przykro było patrzeć, jak kapitan Whalley nie mógł nic przełknąć mimo wysiłków. Owładnęło nim dziwne roztargnienie. Ręka jego błądziła niepewnie pod stołem; zdawało się, że mózg, głęboko czymś zaprzątnięty, zostawił ją bez kierownictwa. Wśród wielkiej ciszy panującej na wybrzeżu Van Wyk słyszał z bardzo daleka idącego pod górę kapitana i zauważył chwiejność jego chodu. Doszedłszy do werandy Whalley uderzył czubkiem trzewika o najniższy stopień, jakby szedł głęboko zamyślony z podniesioną głową. Gdyby kapitan „Sofali" był

innego rodzaju człowiekiem, Van Wyk mógłby sądzić, że wchodzi tu w grę starość Whalleya. Ale wystarczyło rzucić na niego wzrokiem. Czas istotnie naznaczył go swoim piętnem, lecz pozostawił mu całą jego sprawność, a prosta wiara Whalleya dopatrywała się w tym łaski zesłanej od Boga.

„Jakże ja zdołam go ostrzec? — zapytywał siebie Van Wyk, jakby kapitan Whalley znajdował się gdzieś daleko i był dla wszelkiego zła niedostępny. Na myśl o Sternie wstręt ogarniał Van Wyka. Wspomnieć o pogróżkach Sterne'a człowiekowi takiemu jak Whalley byłoby wręcz nieprzyzwoicie. W tego rodzaju napomknieniach jest coś bardziej niecnego i obelżywego niż w wyraźnym zarzucie zbrodni, jest coś, co ma poniżające znamię szantażu.

— To człowiek czysty. Co mógłby mu kto zarzucić? I w jakim celu? — rozmyślał Van Wyk. Potęga, której Whalley zaufał, uznała za stosowne odebrać mu wszystko, czego by zawiść mogła się imać[179], nie zostawiając kapitanowi nic poza suchym kawałkiem chleba.

— Może pan tego pozwoli — rzekł Van Wyk przysuwając Whalleyowi półmisek. Nagle przyszło mu do głowy, że kto wie, czy Sterne nie ostrzy sobie zębów na dowództwo „Sofali". Van Wyka zaskoczyła ta myśl, mimo jego mizantropii[180]; zdawało się stąd wynikać, że nikt nie może się uznać za bezpiecznego wśród bliźnich, chyba jeśli znajdzie się na samym dnie nędzy. Van Wyk sądził, iż nie trzeba się właściwie przejmować intrygą tego rodzaju, ale

ponieważ wchodził tu w grę człowiek tak niepomiernie głupi jak Massy, należało koniecznie przestrzec Whalleya.

W tej samej chwili kapitan Whalley, który siedział prosty jak struna, z głębokimi oczodołami zasłoniętymi przez krzaczaste brwi i dużymi, brunatnymi rękoma po obu stronach pustego talerza, rzekł nagle przez stół do Van Wyka:

— Proszę pana, pan odnosił się do mnie zawsze z serdeczną życzliwością i uznaniem.

— Drogi kapitanie, pan przywiązuje zbyt wiele wagi do tego, że po prostu nie jestem dzikusem. — Van Wyk, wzburzony myślą o zdradzieckim posunięciu Sterne'a, ciągnął dalej głośno i dobitnie, jakby oficer „Sofali" ukrywał się gdzieś w pobliżu: — Uznanie, jakie miałem sposobność panu okazać, należy się święcie charakterowi, który nauczyłem się cenić; mego szacunku dla pana nic naruszyć nie może.

Usłyszawszy lekki dźwięk szkła, Van Wyk oderwał oczy od kawałka ananasa, który krajał na talerzu w drobną kostkę. Kapitan Whalley poprawiając się na krześle przewrócił pustą szklankę.

Nie spojrzał w jej stronę; siedział bokiem i osłaniał dłonią czoło wspierając się na łokciu; drugą ręką szukał niepewnym ruchem przewróconej szklanki, lecz wkrótce tego zaniechał. Van Wyk otworzył szeroko oczy, jakby nagle wydarzyło się coś bardzo ważnego. Nie wiedział, dlaczego czuł się taki wstrząśnięty, ale przez chwilę zapomniał zupełnie o Sternie.

— Co? Co się stało?

A kapitan Whalley, na wpół odwrócony, wyszeptał głucho z niepokojem:

— Szacunek!

— I jeszcze coś więcej niż szacunek — wyrzekł z wolna Van Wyk, nie odwracając wzroku od kapitana.

— Dość! Niech pan zamilknie! — rzekł Whalley nie zmieniając pozy i nie podnosząc głosu. — Ani słowa więcej! — Ja się panu odwdzięczyć nie mogę. Nawet na to jestem teraz za biedny. A szacunek pana to coś bardzo cennego. Pan by się nie poniżył do oszukiwania najnędzniejszego z biedaków, pan by nie narażał na niebezpieczeństwo statku przy każdym jego wyjściu na morze.

Van Wyk, pochylony naprzód z twarzą oblaną pąsem, z nakrochmaloną serwetą na kolanach, nie dowierzał uszom, świadectwu zmysłów, władzom umysłowym gościa.

— Jak to? Dlaczego? Na miłość boską, co to ma znaczyć? Jaki statek? Nie rozumiem, o kim…

— Więc świadczę się Bogiem, że mówię o sobie: statek jest w niebezpieczeństwie, gdy jego kapitan niedowidzi. Ja tracę wzrok.

Van Wyk drgnął lekko i przez parę sekund siedział bez ruchu; potem wspomniawszy słowa Sterne’a: „Będzie musiał dać za wygraną”, schylił się pod stół, aby podnieść serwetę, która zsunęła mu się z kolan. A więc o to chodziło! W tej samej chwili stłumiony głos kapitana Whalleya rozległ się nad nim:

— Oszukałem ich wszystkich. Nikt nie wie o niczym.

Van Wyk podniósł się z rozognioną twarzą. Kapitan Whalley, nieruchomy pod pełnym blaskiem lampy, ciągle osłaniał twarz ręką.

— Pan zdobył się na tę odwagę?

— Niech pan to nazwie, jak pan chce. Ale pan jest człowiekiem ludzkim, pan jest... dżentelmenem, panie Van Wyk. Mógłby się pan spytać, co się stało z moim sumieniem.

Zdawał się rozmyślać, pogrążony w milczącym, posępnym bezruchu.

— Uniesiony pychą, wdałem się w machinacje z sumieniem. Kiedy człowiek traci wzrok, zaczyna dostrzegać wiele rzeczy. Nie umiałem być szczery nawet z dawnym swoim kolegą. I z Massym nie byłem szczery — byłem niezupełnie z nim szczery. Wiedziałem, że mnie bierze za pomylonego marynarza, bogacza, i nie wyprowadziłem go z błędu. Chciałem podnieść swoje znaczenie — bo chodziło o moją biedną Ivy — moją córkę. Dlaczego spekulowałem na jego nieszczęściu? Spekulowałem na jego nieszczęściu przez wzgląd na swoją córkę. A teraz jakiej litości mógłbym się po nim spodziewać? Spekulowałby na mojej niedoli, gdyby o niej wiedział. Znając sprawki starego oszusta, nie wypuściłby pieniędzy przed upływem roku. Pieniędzy należących do Ivy. A ja ani pensa dla siebie nie zachowałem. Z czego bym żył przez rok? Przez cały rok! Za rok nie będzie już słońca na niebie dla ojca mojej Ivy.

Głęboki jego głos wydawał się straszliwie stłumiony, jakby zwały osuwającej się ziemi przygniotły Whalleya i jakby wypowiadał myśli nawiedzające w grobach umarłych. Zimny dreszcz przebiegł Van Wyka.

— A jak dawno pan już...? — zapytał.

— Minęło dużo czasu, nim zdołałem uwierzyć w ten... ten dopust.

Kapitan Whalley mówił ponuro i cierpliwie spod zakrywającej twarz dłoni. Uważał, że nie zasługuje na to nieszczęście. Z początku łudził się z dnia na dzień, z tygodnia na tydzień. Miał przy sobie seranga — starego sługę. Przychodziło to stopniowo, a kiedy już nie mógł się łudzić...

Głos jego zamarł prawie zupełnie.

— Zamiast poświęcić córkę, zacząłem wszystkich was oszukiwać.

— To niewiarygodne — szepnął Van Wyk.

Okropny szept Whalleya płynął dalej:

— Nawet znak bożego gniewu nie zdołał mnie zmusić do zapomnienia o Ivy. Jakże ją mogłem opuścić, kiedy czułem wciąż swoją żywotność — czułem gorącą krew w żyłach. Nie mniej gorącą niż u pana. Zdaje mi się, że — jak oślepiony Samson — znalazłbym dość siły, aby zwalić na siebie świątynię. Ivy walczy ciężko o byt — to moje dziecko, nad którym często modliliśmy się razem, moja nieboszczka żona i ja. Pamięta pan tamten dzień, kiedy mówiłem do pana mniej więcej w te słowa: wierzę, że Bóg pozwoli mi dożyć stu lat — ze względu na nią... Czy to jest grzech, jeśli

się kocha swoje dziecko? Czy pan widzi w tym grzech? Dla niej byłem gotów żyć wiecznie. I wierzyłem prawie, że tak będzie. A teraz modlę się o śmierć. Ach, ty zarozumiały człowieku! Chciałeś żyć...

Potężne, gwałtowne targnięcie wielkiego ciała wstrząśniętego przez głośny szloch sprawiło, że wszystkie kieliszki i szklanki rozdźwięczały się na stole, a cały dom, rzekłbyś, zadrżał aż po sam dach. Van Wyk znalazł ujście dla swej zawiedzionej miłości w walce z przyrodą i stąd rozumiał bardzo dobrze, że ten człowiek, którego całe życie było nieustannym działaniem, potrafi tylko czynem okazywać swoje uczucia; że gdyby Whalley przestał narażać się dobrowolnie, pracować, cierpieć dla swego dziecka, byłoby to dosłownie wydarcie z jego serca gorącej miłości do córki — potworność nie do pomyślenia.

Kapitan Whalley trwał w tej samej pozie, która zdawała się wyrażać wstyd, żal i jakby wyzwanie.

— Oszukiwałem nawet pana. Gdyby pan nie wymówił słowa: szacunek... To słowo nie jest dla mnie stosowne. Byłbym kłamał dalej i przed panem. Przecież już przed panem kłamałem. Czyż pan nie miał powierzyć statkowi swojego towaru — właśnie w czasie tej podróży?

— Jestem stale ubezpieczony — rzekł Van Wyk prawie bezwiednie i zdumiał się tym nagłym wtargnięciem handlowego szczegółu.

— Mówię panu, że statek nie jest pewny pod moim dowództwem. Ubezpieczenie nie byłoby ważne, gdyby się o tym dowiedziano...

— Wina spadłaby wówczas na nas obu.

— Nic mojej winy zmniejszyć nie może — rzekł kapitan Whalley.

Nie śmiał pójść do doktora, który byłby go może zapytał, kim jest, czym się zajmuje, i mogłoby coś dojść do Massy'ego. Żył pozbawiony wszelkiej pomocy — i ludzkiej, i boskiej. Nawet modlitwy po prostu więzły mu w gardle. O co miał się modlić? A śmierć wydawała mu się dalsza niż kiedykolwiek. Kiedy wrócił do swej kajuty, nie śmiał z niej wyjść; kiedy zasiadł w fotelu, nie śmiał wstać; nie śmiał podnieść oczu na czyjąkolwiek twarz, nie chciało mu się spojrzeć ani na morze, ani na niebo. Wielka trwoga, aby się nie zdradzić, zasłaniała mu cały świat. Stary parowiec był jego ostatnim przyjacielem; tylko jego Whalley się nie bał, znał każdy cal pokładu; ale i na statek ledwie śmiał spojrzeć, gdyż bał się przekonać, że widzi mniej niż dnia poprzedniego. Otaczała go zewsząd niepewność. Widnokrąg znikł; niebo zlewało się tajemniczo z morzem. Kto to jest ta postać, która tam stoi? Co leży tu na pomoście? I straszna wątpliwość, czy to, co dostrzega, zgadza się z prawdą, czyniła nawet z reszty pozostałego mu wzroku narzędzie tortur, pułapkę czyhającą zawsze na jego nędzną symulację. Drżał, że się o coś fatalnie potknie, że błędnie użyte „tak" lub „nie" sprowadzi fatalne skutki. Ręka Boga zaciążyła nad nim, ale nie mogła go oderwać od dziecka. I jak gdyby w koszmarze, będącym szeregiem ciągłych poniżeń, każdy człowiek pozbawiony rysów wydawał mu się wrogiem.

Dłoń Whalleya osunęła się ciężko na stół. Van Wyk siedział, zwiesiwszy ręce, z głową pochyloną na piersi i przygryzał dolną wargę białymi błyszczącymi zębami; rozmyślał nad tym, co mówił Sterne: „On musi dać za wygraną”.

— *Serang* oczywiście nic nie wie?

— Nikt nic nie wie — rzekł z przekonaniem kapitan Whalley.

— Ach tak. Nikt nie wie. To doskonale. Czy pan potrafi utrzymać ten stan rzeczy do końca podróży? To już ostatnia podróż objęta umową z Massym.

Kapitan Whalley dźwignął się i stał, wyprostowany, wspaniały, z wielką białą brodą zakrywającą jak srebrny pancerz straszliwą tajemnicę jego serca. Tak; właśnie w tym pokładał jedyną nadzieję, jaka mu pozostała, nadzieję, że zobaczy córkę, że wycofa pieniądze; była to ostatnia rzecz, którą mógł dla niej zrobić; potem zaszyje się w pierwszą lepszą dziurę jako bezużyteczny ciężar, jako wyrzut dla samego siebie. Głos mu zadrżał:

— Niech pan tylko pomyśli! Nigdy już jej nie ujrzeć: tej jedynej poza mną istoty, która pamięta moją żonę. Ivy to żywy jej portret. Całe szczęście, że matka Ivy jest tam, gdzie się już nie wylewa łez nad tymi, których się kochało i którzy powinni się modlić, aby nie byli wodzeni na pokuszenie — bo chyba błogosławieni znają tajemnicę łaski, tajemnicę stosunku Boga do Jego stworzeń — Jego dzieci.

Zachwiał się z lekka i rzekł z surową godnością:

— Ja tej tajemnicy nie znam. Wiem tylko, że Bóg dał mi dziecko.

Ruszył z miejsca. Van Wyk, zerwawszy się, zrozumiał w pełni, co znaczyły wahające się kroki Whalleya, niepewnie wyciągnięta ręka, sztywność, z jaką trzymał głowę. Serce Van Wyka biło szybko; odsunął na bok krzesło i mimo woli postąpił naprzód, jakby chcąc Whalleyowi podać rękę. Ale kapitan minął go kierując się prosto ku schodom.

— Nie dostrzegł mnie, bo widzi tylko to, co jest na wprost niego — pomyślał Van Wyk z pewnego rodzaju zgrozą. Podszedł do brzegu werandy i spytał trochę nieśmiało:

— Jakie to jest... jak mgła, jak...

Kapitan Whalley przystanął w połowie schodów i odwrócił się nieulękły, aby odpowiedzieć:

— To jest tak, jakby światło odpływało ze świata. Czy pan kiedy śledził na otwartej piaszczystej plaży, jak morze cofa się coraz dalej i dalej? To jest zupełnie to samo — tylko że przypływ już nie nastąpi. Nigdy. To jest tak, jakby się słońce zmniejszało, jakby gwiazdy gasły jedna za drugą. Teraz pewno niewiele zostało gwiazd, które bym mógł dostrzec. Ale już od jakiegoś czasu nie miałem odwagi spojrzeć...

Widać dostrzegł jednak Van Wyka, bo zatrzymał go nakazującym ruchem ręki i rzekł ze stoicyzmem:

— Ja mogę jeszcze chodzić bez pomocy.

Zdawało się, że Whalley wytknął[181] już sobie drogę; wygnany ze swego raju na kształt zarozumiałego tytana, nie chciał szukać żadnego oparcia w ludziach. Van Wyk, stojąc

bez ruchu, rzekłbyś, liczył kroki, póki je mógł dosłyszeć. Potem przeszedł wśród stołów, stukając mocno obcasami o podłogę, podniósł nóż do przecinania kartek, spojrzał z roztargnieniem na jego ostrze i upuścił go; otarłszy się o fortepian, uderzył kilka akordów, stojąc przed klawiaturą z przechyloną uważnie głową jak stroiciel; zamknął fortepian, obrócił się na pięcie, wyminął małego foksteriera śpiącego ufnie z łebkiem na skrzyżowanych przednich łapkach, zbliżył się do schodów i jakby straciwszy nagle równowagę na najwyższym stopniu, zbiegł gwałtownie na dół. Służący, którzy zaczynali sprzątać ze stołu, słyszeli, jak coś pomrukiwał (na pewno jakieś złe słowa), po chwili zaś ruszył niedbałym krokiem w stronę pomostu.

Nadburcie statku, zwróconego bokiem do wybrzeża, wyglądało jak niski, czarny mur na falistym zarysie brzegu. Dwa maszty i komin sterczały zza tego muru, mocno pochylone, jakby miały upaść; masywne, czworokątne wzniesienie w środku parowca dźwigało widmowe zarysy białych łodzi, wygięcia dźwigów, linie bariery i słupków, mętne i wtopione w ciemność, lecz nisko, w połowie kadłuba, jeden jedyny jasny iluminator wpatrywał się w noc, doskonale okrągły jak mały księżyc w pełni; żółty jego promień oświetlał płat mokrego błota, skraj podeptanej trawy i potężną linę, okręconą podwójnie u ziemi naokoło grubego drewnianego słupa wbitego w grunt.

Van Wyk, patrząc uważnie wzdłuż brzegu, usłyszał głupkowaty, chełpliwy głos, szydzący z jakiegoś osobnika

nazwiskiem Prendergast. Głos wykrzykiwał niewyraźne obelgi, zakrztusił się, potem wymówił bardzo wyraźnie słowo „Murphy” i zaczął chichotać. Rozległ się drżący dźwięk szkła. Wszystkie te odgłosy płynęły z oświetlonego iluminatora. Van Wyk zawahał się, nachylił, ale niepodobna[182] było zajrzeć przez iluminator, chyba gdyby się weszło w błoto.

— Panie Sterne — rzekł Van Wyk półgłosem.

Pijany głos w kajucie wykrzyknął wesoło:

— Sterne — naturalnie. Patrzcie, jak on mruga. Popatrzcie na niego! Sterne, Whalley, Massy. Massy, Sterne, Whalley. Ale najtęższy z nich to Massy. Z nim sobie nikt nie poradzi. On by się przypatrywał z rozkoszą, jak człowiek zdycha z głodu.

Van Wyk poszedł dalej; zobaczył na dziobie cień głowy wysuniętej spod płóciennego dachu — jakby na czatach — i zapytał spokojnie po malajsku:

— Czy pan Sterne śpi?

— Nie. Jestem tutaj, do pana usług.

Po chwili ukazał się Sterne, idący po nabrzeżu bezgłośnie jak kot.

— Wściekle jest ciemno, a mnie wcale nie przyszło do głowy, że pan tu przyjdzie dziś wieczór.

— Któż to tak okropnie bredzi? — zapytał Van Wyk, jakby chcąc wyjaśnić, dlaczego głośno się wzdrygnął.

— Jack strąbił się. To nasz drugi mechanik. Taki już ma zwyczaj. On jutro po południu wytrzeźwieje, ale pan Massy

będzie się złościć i chodzić wciąż po pokładzie. Chodźmy stąd lepiej.

Mruknął coś o tym, że można by pójść porozmawiać „w willi”; od dawna już pragnął tam się dostać. Ale Van Wyk uchylił ów projekt niedbale; uważał, że byłoby to chyba nieostrożnie. Pochłonął ich matowy czarny mrok pod jednym z dwóch wielkich drzew zostawionych u przystani, mrok nieprzenikniony, zwarty, u brzegu szerokiej rzeki, która jak gdyby przędła migotliwe nitki z blasku kilku wielkich gwiazd, opadłych gdzieniegdzie na jej rozległą, płynną ciszę.

— Sytuacja jest bez kwestii poważna — powiedział Van Wyk. W białych ubraniach, podobni do duchów, nie mogli rozpoznać swych twarzy, a stopy ich dotykały bezdźwięcznie miękkiej ziemi. Dało się słyszeć coś w rodzaju kociego mruczenia; Sterne był bardzo zadowolony ze wstępnych słów Van Wyka.

— Pomyślałem od razu, proszę pana, że kto jak kto, ale pan zrozumie, w jak przykrym jestem położeniu.

— Tak, bardzo przykrym. Kapitan najwidoczniej źle się czuje. Może to początek końca. Ja widzę — i on sam zdaje sobie sprawę (wiem, że mówię do człowieka rozumnego), tak jest, on zdaje sobie sprawę, że nogi odmawiają mu posłuszeństwa.

Nogi? hm! — Sterne, zbity z tropu, osowiał: — Może pan twierdzić, że to nogi, jeśli się panu podoba; ale ja osobiście pragnąłbym wiedzieć, czy on zamierza wynieść się po dobroci ze statku. Dobre sobie! nogi! Ha, ha!

— Ależ tak. Niech pan popatrzy, jak on chodzi — podjął Van Wyk tonem chłodnym i pewnym siebie. — To tylko pytanie, czy poczucie obowiązku nie sprzeciwia się prawdziwemu pana interesowi. Ostatecznie ja bym także mógł panu dopomóc. Pan wie, kto ja jestem.

— Każdy w tych okolicach słyszał o szanownym panu.

Van Wyk wyraził przypuszczenie, że te słowa mają sens dodatni. Sterne zaśmiał się po cichu z tego żartu:

— No chyba!

Gdy Van Wyk zaczął od stwierdzenia, że umowa będzie rozwiązana po ukończeniu tej podróży, Sterne przytaknął z uwagą; wiedział o tym. Przecież na statku od rana do wieczora o niczym innym się nie mówi. Co się zaś tyczy Massy’ego, wszyscy wiedzą, że jest w okropnych tarapatach z powodu tych zużytych kotłów. Przede wszystkim musi wyciągnąć skądś paręset funtów dla spłacenia kapitana, a potem musi obciążyć statek pożyczką dla sprawienia nowych kotłów — o ile znajdzie się taki, co mu zechce pożyczyć. W najlepszym razie wyniknie z tego strata czasu, przerwa w podróżach i zmniejszenie rocznych zarobków — a przecież zawsze grozi niebezpieczeństwo, iż Niemcy zwędzą Massy’emu klientelę. Chodzą słuchy, że rozmawiał już z dwiema firmami. Ani jedna, ani druga nie chciała mieć z nim do czynienia. Parowiec jest za stary, a człowieka zbyt dobrze znają w mieście… Przy tych słowach Sterne mrugnął znacząco, ale pokrył to głęboki mrok, który rozsyczał się od jego szeptów.

— Więc dajmy na to, że pożyczkę dostanie — zaczął z wolna Van Wyk półgłosem — wówczas, sądząc z pana słów, wierzyciel narzuci mu prawdopodobnie swojego człowieka na kapitana. Wiem, że ja bym ten warunek postawił, gdybym miał dać pieniądze. I chcę to zrobić. Opłaciłoby mi się to pod wielu względami. Pan rozumie, jaki by to miało wpływ na sprawę, którą omawiamy?

— Bardzo szanownemu panu dziękuję. Jestem pewien, że szanowny pan nie znalazłby nikogo, kto by dbał bardziej o pana interes.

— Więc w interesie moim leży, aby kapitan Whalley pozostał na swym stanowisku aż do czasu przewidzianego kontraktem. Możliwe, że pojadę z wami tym razem. Jeśli mi się to uda, będę tam na miejscu, kiedy nastąpią wszystkie zmiany, i dopilnuję pana interesów.

— Panie szanowny, niczego więcej nie pragnę! Jestem doprawdy nieskończenie...

— Więc liczę na to, że wszystko pójdzie gładko.

— Proszę szanownego pana, bez ryzyka się nie obejdzie i nie ma na to rady; ale (mówię teraz do pana jako do swego szefa) bezpieczeństwo jest większe, niż by można było przypuszczać. Gdyby mi to kto mówił, to bym nie uwierzył, ale sam się temu przypatrywałem. Stary *serang* jest już wytresowany. A z jego... jego... hm, nogami jest wszystko w porządku. Przyzwyczaił się postępować samodzielnie w sposób zadziwiający. I pozwolę sobie panu powiedzieć, panie szefie, że kapitan Whalley, nieborak, nie jest wcale bezużyteczny. To szczera prawda. Zaraz to panu wyjaśnię.

On trzyma w garści tę starą małpę malajską, która wcale[183] dobrze orientuje się, co trzeba robić. Przecież serang od lat dwudziestu pięciu z przerwami odprawiał kapitańską wachtę na przeróżnych statkach krajowych. Otóż ci krajowcy, panie szefie, póki mają tuż za plecami białego, robią zadziwiająco dobrze to, co im się każe — nawet jeśli się zupełnie do nich nie wtrącać. Tylko że biały człowiek musi mieć w sobie to coś, co potrafi ich trzymać — a kapitan jest do tego jedyny. Słowo daję, panie szefie, wyszkolił seranga tak świetnie, że prawie wcale mówić do niego nie potrzebuje. Widziałem, jak ten pomarszczony małpiszon wyprowadził statek z zatoki Pangu wietrznym rankiem, a potem wiódł go między wysepkami; robił to po prostu świetnie, sterczący pod bokiem kapitana, a przy tym tak spokojnie, że niepodobna było wymiarkować, który z nich dwóch odrabia robotę. Dlatego właśnie nasz biedny kapitan nie przestałby być dla statku pożyteczny, nawet gdyby... gdyby... nie mógł już ruszyć nogą. Chodzi tylko o to, aby serang nie wiedział, że coś jest nie w porządku.

— Ale on nie wie.

— Naturalnie, że nie wie. Ani mu to w głowie. Oni nie są w stanie nic o nas wymiarkować, panie szefie.

— Pan wydaje mi się bardzo przemyślny — rzekł Van Wyk zduszonym szeptem, jak gdyby chwytały go mdłości.

— Znajdzie pan we mnie wcale dobrego sługę, panie szefie.

Sterne oczekiwał teraz, że Van Wyk przynajmniej uściśnie mu rękę, gdy nagle rozległy się słowa: „Co to

takiego? Lepiej, żeby nie widzieli nas razem” — i biała postać Van Wyka poruszyła się, wsiąkając natychmiast w czarny mrok pod dachem z konarów. Sterne był zaskoczony. Rzeczywiście… Słychać jakiś słaby, głuchy łoskot.

Wysunął się po cichu z ciemności. Oświetlony iluminator jaśniał z daleka. Nagłe powodzenie uderzyło Sterne’owi do głowy. Cóż to za przyjemność mieć do czynienia z dżentelmenem! Wśliznął się na statek; było coś niesamowitego w ciemnej, pustej przestrzeni pokładu, który rozbrzmiewał krzykami i uderzeniami dochodzącymi z głębszego mroku na śródokręciu. Massy wściekał się u drzwi kajuty, skąd pijacki głos płynął niewzruszenie wśród hałasu gwałtownych kopnięć.

— Milczeć tam! Zgaś światło i kładź się spać, ty uchlana świnio! Słyszysz mię, bydlaku?

Kopanie ustało i głupkowaty, uroczysty głos oznajmił z wnętrza kajuty:

— O! Massy — to zupełnie co innego. Massy to chytra sztuka.

— Kto tam jest na rufie? To pan, panie Sterne? On się zapije do białej gorączki.

Pierwszy mechanik wysunął się, niewyraźny i wielki, zza rogu luku świetlnego od maszynowni.

— Jutro będzie zdolny do pracy. Ja bym go zostawił w spokoju, panie szefie.

Sterne wymknął się do swojej kajuty i musiał natychmiast usiąść. Radość go oszołomiła. Położył się na koi jakby we

śnie. Ogarnęło go uczucie głębokiego ukojenia, cichego wesela. Na pokładzie panowała cisza.

Massy, przycisnąwszy ucho do drzwi od kabiny Jacka, słuchał krytycznie jego głębokiego, chrapliwego oddechu. Jack spał kamiennym snem pijaka. Atak już minął. Massy się uspokoił; poszedł do siebie i wolnymi ruchami wywinął się ze starej samodziałowej[184] kurtki. Miała wiele kieszeni; wkładał ją o przeróżnych porach dnia, gdyż podlegał nagłym atakom dreszczów; ogrzawszy się, zdejmował ją i wieszał byle gdzie, w najróżniejszych miejscach. Widywano ją kołyszącą się na kołkach do mocowania lin, zarzuconą na wierzch windy kotwicznej lub na przykład na klamkę u drzwi cudzej kajuty. Czyż nie był właścicielem całego statku? Lecz miejscem, gdzie ją wieszał najchętniej, był drewniany słupek podtrzymujący płócienny dach mostku, tuż przy kompasie. Dawniej Massy miewał o to nieraz utarczki z kapitanem Whalleyem, który chciał utrzymać mostek w porządku. Massy czuł wtedy święty strach przed kapitanem. Ale w ostatnich czasach mógł przeciwstawiać się wspólnikowi z zupełną bezkarnością. Kapitan Whalley jak gdyby nic nie spostrzegał. Co się zaś tyczyło Malajów, groźny właściciel statku tak ich przerażał, że nikt z załogi nie byłby się ośmielił dotknąć kurtki, bez względu na to, gdzie by wisiała.

Nagle — tak nagle, że Massy zerwał się na równe nogi i puścił kurtkę — w sąsiedniej kajucie rozległ się okropny łoskot i huk, jakby coś się zwaliło wśród brzęku szkła. Wierny Jack musiał widać zasnąć podczas pijatyki, a teraz

przewrócił się razem z krzesłem, tłukąc, jak można było sądzić z hałasu, wszystkie znajdujące się wkoło szklanki i butelki. Po straszliwym łoskocie zapanowała na jakiś czas cisza, jakby Jack się zabił na miejscu. Massy wstrzymał oddech. Wreszcie senne, niespokojne, jękliwe westchnienie rozległo się przeciągle po drugiej stronie grodzi.

— W Bogu nadzieja, że jest zbyt pijany, aby się teraz obudzić — mruknął Massy.

Dźwięk cichego, znaczącego śmiechu doprowadził go wprost do rozpaczy. Zaklął szeptem z wściekłością. Teraz już na pewno ten bałwan nie da mu spać aż do rana. Przeklinał swą dolę. Chciał zapomnieć we śnie o troskach doprowadzających go czasem do szału. Nie słyszał, aby Jack się poruszył. Widać nie usiłował wcale się dźwignąć, tylko chichotał, rozciągnięty na podłodze; potem zaczął znów mówić, jakby snując w dalszym ciągu swoje bredzenie:

— Massy! Przepadam za tym, psiakrew, łajdakiem. Chciałby zobaczyć, jak jego biedny stary Jack mrze z głodu! Ale wysoko bestia zajechał... — Czknął lekko, jak gdyby z wyższością. — Za pan brat z najbogatszymi armatorami. Biletu na loterię mu się zachciewa. He, he! Dam ja ci biletów, ile chcieć, dobrodzieju. Niech ta łajba zatonie, niech twój stary koleżka umrze z głodu — i wszystko będzie w porządku! Massy nie przepadnie — gdzieżby zaś! Nie ma strachu. Geniusz — po prostu geniusz. To najlepszy sposób na zdobycie pieniędzy: statek i stary kompan muszą oba wziąć w łeb.

— Bałwan! jak on się tym przejął — mruknął pod nosem mechanik. Twarz mu złagodniała; wytężał słuch, pragnąc się upewnić, że Jack znów zaczyna drzemać, lecz rozległ się wybuch śmiechu pełen radosnej ironii i napełnił Massy’ego zniechęceniem.

— Chciałbyś widzieć parowiec na dnie morza! Ach, ty chytry, chytry czorcie! Chcesz, żeby statek zatonął? Naturalnie, że chciałbyś tego, mój stary, niech przepada ta łajba i razem z nią wszystkie kłopoty. A ty zgarniesz pieniądze z ubezpieczenia, odwrócisz się tyłem do koleżki i w porządku — będziesz znów odstawiał dżentelmena.

Twarz Massy’ego spochmurniała i zastygła, tylko jego wielkie czarne oczy błądziły niespokojnie. Co ten bałwan plecie? Jednak on ma rację. Co do biletów na loterię też. Wszystko prawda. Jak to? Jeszcze bredzi? Niechby już raz zamilkł...

Ale znów się zaczęło. Z drugiej strony grodzi pijak o bujnej fantazji przerwał martwą ciszę, która po jego ostatnich słowach spadła na ciemny statek przycumowany do milczącego brzegu.

— Nie wolno nic mówić na jaśnie wielmożnego George’a Massy’ego. Kiedy mu się znudzi czekać, pozbędzie się parowca. Uwaga! Oto statek idzie na dno — razem z przyjacielem... Massy potrafi...

Głos zawahał się, znużony, senny, coraz to cichszy, jakby zamierający w rozległej otwartej przestrzeni:

— ... potrafi wynaleźć jakiś sposób, który nie zawiedzie. On sobie da radę — nie ma strachu...

Jack musiał być istotnie bardzo spity, bo w końcu ciężki sen chwycił go nagle jak za sprawą czaru, a ostatnie słowo wydłużyło się w nieskończenie długie, głośne, głębokie chrapnięcie. Potem nawet chrapanie ustało i wszystko zapadło w ciszę.

Można było przypuścić, że Massy zwątpił nagle o zbawiennym działaniu snu na ludzkie zgryzoty; a może znalazł pożądaną ulgę w ciszy spokojnych rozpamiętywań, urozmaicanych niekiedy plastycznymi wizjami bogactwa, pomyślnej zmiany losu, długiej bezczynności — ucieleśnionych marzeń; może istotnie znalazł ulgę w tych wizjach, bo obróciwszy się na koi i wyciągnąwszy ramiona poza jej krawędź, stanął na swej ulubionej starej kurtce, aby patrzeć przez okrągły iluminator w noc nad rzeką. Niekiedy oddech wiatru wpływał do kajuty i owiewał mu twarz, chłodny oddech niosący z sobą wilgotną świeżość znad wielkiej wodnej przestrzeni. Dostrzegał z niej tylko błyski to tu, to ówdzie; a raz mógł pomyśleć, że się zdrzemnął, bo raptem ujrzał przed sobą, bez związku z żadnym sennym zwidzeniem, rząd płomiennych olbrzymich cyfr — trzy, zero, siedem, jeden, dwa — składających się na numer, taki, jakie się widuje na biletach loteryjnych.

Potem nagle iluminator z czarnego stał się perłowo szary; obejmował wybrzeże zatłoczone domkami strzecha przy strzesze, ściany z mat i bambusów, szczyty dachów rzeźbione z tekowego drzewa. Szeregi domostw, wzniesione na lesie słupów, ciągnęły się wzdłuż ciemnopopielatego

wybrzeża rzeki pełnej po brzegi i nieruchomej, gdyż przypływ miał się właśnie odwrócić. Było to Batu Beru — i dzień już wstawał.

Massy wzdrygnął się, włożył starą kurtkę z samodziału i, drżąc nerwowo jakby po gwałtownym wstrząsie, zapisał numer. Cóż to za szczęśliwe i rzadkie zrządzenie losu! Tak, ale na pogoń za szczęściem trzeba pieniędzy — brzęczącej monety.

Wyszedł na pokład, aby udać się do maszynowni. Trzeba było przypilnować kilku drobnych spraw, a tymczasem Jack leżał spity jak bela na podłodze swojej kajuty za drzwiami zamkniętymi na zasuwkę. Massy wściekał się na myśl o pracy. Brr! Ale cóż, jeśli się chce nic nie robić, trzeba przedtem zapewnić sobie niezły kawał grosza. Statek człowieka nie zbawi. Święta prawda, wszystko to prawda. Massy był zmęczony wyczekiwaniem na jakiś szczęśliwy zbieg okoliczności — na pozbycie się wreszcie tego statku, który się stał przekleństwem jego życia.

XIV

Głęboki, przewlekły gwizd parowca miał w swym poważnym, drgającym dźwięku coś niewymownie przykrego; lekki dreszcz przebiegł Van Wyka. Było to wczesne popołudnie; statek „Sofala” wychodził z Batu Beru do Pangu, następnej przystani. Obrócił się wśród prądu odprowadzany tylko przez kilka czółen i sunąc po szerokiej rzece, przestał być widoczny z willi Van Wyka.

Jej właściciel nie przyszedł tym razem, aby „Sofalę” pożegnać. Zwykle udawał się na wybrzeże, zamieniał kilka słów z Whalleyem podczas odcumowania i kiwał do niego ręką w ostatniej chwili. Tym razem nie podszedł nawet do balustrady werandy.

— Nie mógłby mnie dojrzeć — powiedział sobie. — Ciekaw jestem, czy może rozróżnić willę?

Na tę myśl poczuł się jakoś bardziej samotny niż w ciągu tych wszystkich lat. Ile ich upłynęło? Sześć czy siedem? Siedem. Kawał czasu.

Zasiadł na werandzie z zamkniętą książką na kolanach i, rzekłbyś, rozpatrywał swoje samotne życie, jak gdyby utrata wzroku kapitana Whalleya otworzyła mu oczy na własną ślepotę. Niezliczone są rodzaje zgryzot i udręki serca, a nie ma na ziemi miejsca, gdzie by człowieka nie odnalazły. Van Wyk poczuł się zawstydzony; wydało mu się, że przez sześć lat zachowywał się jak kapryśny chłopiec.

Jego myśl biegła śladem „Sofali”. Postąpił impulsywnie pod wpływem chwili, załatwiając to, co nagliło najbardziej. I cóż mógł zrobić innego? Później się zobaczy. Pomyślał, że musi wybrać się między ludzi choćby na krótko. Miał pieniądze — trzeba coś obmyślić; nie będzie żałował ani czasu, ani wysiłków, ani swej samotności. Teraz mu nawet ciążyła. Ujrzał przed sobą kapitana Whalleya siedzącego z oczami zasłoniętymi ręką i wydało mu się, że ten człowiek, zawiedziony w swej ufnej wierze, jest poza zasięgiem dobra czy zła zależnego od ludzkiej woli.

Myśli Van Wyka towarzyszyły „Sofali” w dół rzeki — wijącej się przez gąszcz nadbrzeżnych lasów wśród wielkich drzew, pni otoczonych przyporami — przez pas mangrowii i wreszcie przez mieliznę. Statek przebył ją łatwo w pełnym świetle dnia, prowadzony tym razem przez Sterne’a, który objął wachtę od czwartej do szóstej, a potem opuścił mostek, aby z rozkoszą pieścić myśl, że właściwie jest już podwładnym człowieka tak bogatego jak Van Wyk. Nie spodziewał się żadnych przeszkód. Ponosiło go radosne uczucie, iż znalazł wreszcie „coś stałego”. Od szóstej do ósmej, według rozkładu pracy na statku, serang prowadził sam „Sofalę”. Przed parowcem była droga wolna mniej więcej aż do trzeciej rano, kiedy miał dotrzeć do grupy wysp w zatoce Pangu. O ósmej Sterne w świetnym humorze wyszedł z kajuty, aby objąć dowództwo aż do północy. Około dziesiątej wciąż jeszcze nucił i podśpiewywał sobie na mostku — i mniej więcej w tym

samym czasie myśli Van Wyka opuściły „Sofalę”. Zasnął nareszcie.

Massy, zagradzając zejście do maszynowni, wciągał ulubioną kurtkę z samodziału, szarpiąc ją ze złością, a drugi mechanik czekał i patrzył spode łba.

— A, wylazłeś nareszcie, opoju! No, co masz na swoje usprawiedliwienie?

Massy był zajęty maszynami aż do tej chwili. Roznosiła go ponura wściekłość — gwałtowny gniew na statek, na warunki życia, na ludzi za ich oszustwa, a także i na siebie — z powodu drżenia, jakie czuł w sercu.

Odpowiedziało mu niezrozumiałe warknięcie.

— Co? Nie umiesz teraz gęby otworzyć? A drzesz się wniebogłosy, kiedy jesteś pijany. Co ty sobie myślisz, żeby tak ludziom ubliżać? Ty stary niedojdo, ty opoju!

— Co ja na to poradzę. Nie pamiętam nic a nic. Po co pan słuchał?

— Jak śmiesz odzywać się do mnie w ten sposób? Do czego to podobne, żeby tak się upijać?

— Niech pan nie pyta. Mam potąd tych, psiakrew, kotłów. Pan miałby ich także dosyć. Życie mi zbrzydło.

— No więc życzę ci śmierci. Wstręt mam do ciebie. Jak to, nie pamiętasz, co za awantury wyprawiałeś dziś w nocy? Stary opilec!

— Nie, nie pamiętam. Nie chcę pamiętać. Trunek jest trunkiem.

— Nie rozumiem, dlaczego jeszcze dotąd nie wylałem ciebie na pysk. Po coś tu przylazł?

— Żeby pana zluzować. Dość długo wysiedziałeś się na dole, mój Jerzy.

— Tylko bez żadnych Jerzych, ty łajdaku, ty moczymordo! Gdyby mnie nie stało, zdechłbyś jutro z głodu. Pamiętaj o tym. Mówi się do mnie: panie Massy.

— Panie Massy — powtórzył Jack obojętnie. Rozczochrany, o tępych, nabiegłych krwią oczach, w zatabaczonej, utytłanej koszuli, wytłuszczonych spodniach i podartych pantoflach włożonych na bose nogi, rzucił się ze spuszczoną głową w zejście, gdy tylko Massy ustąpił z drogi.

Pierwszy mechanik rozejrzał się. Pokład był pusty aż do tylnej bariery. Wszyscy pasażerowie krajowcy wysiedli tym razem w Batu Beru i nikt się nowy nie zjawił. Log dźwięczał miarowo w ciemności u końca statku. Panowała martwa cisza i parowiec sunął na prostym kilu po ciemnoszarym, gładziutkim morzu, pod zachmurzonym niebem, przez nieruchome, ciepłe, pachnące wodorostami powietrze, jakby lgnące do smukłego kadłuba, który zdawał się bujać w pustym przestworzu, oderwany od ziemi. Massy uderzył dłonią w czoło, zachwiał się z lekka i chwycił za kołek u stóp masztu.

— Ja chyba oszaleję — mruknął, idąc chwiejnym krokiem przez pokład. Na dole zgrzytała szufla przy podbieraniu rozsypanego węgla, szczęknęły drzwiczki od paleniska. Sterne na mostku zaczął gwizdać nową melodię.

Kapitan Whalley, który siedział na kanapce zupełnie ubrany i nie spał, usłyszał, że drzwi od jego kajuty się

otwierają. Z ostrożnością budzącą grozę ani drgnął i czekał na odezwanie się przybysza, aby rozpoznać, kto to taki.

Lampa u grodzi rzucała blask na biało pomalowane ściany, na czerwony plusz, na brązową politurę mahoniu. Paka z surowego drzewa pod koją nie była otwierana już od trzech lat, jakby kapitan czuł, że po utracie brygu „Piękne Dziewczę” nie ma na ziemi przybytku dla jego umiłowań. Dłonie Whalleya spoczywały na kolanach i piękna głowa o gęstych brwiach była zwrócona do drzwi kamiennym profilem. Oczekiwany głos w końcu przemówił:

— Więc pytam po raz ostatni. Jak mam pana nazywać?

Ach! To Massy. Znów. Udręka ścisnęła serce Whalleya, a bolesny wstyd przeszył go z taką siłą, że omal mu krzyku nie wydarł.

— No więc — czy mam w dalszym ciągu nazywać pana wspólnikiem?

— Pan nie wie, czego pan żąda.

— Ja wiem, czego chcę...

Massy wszedł do kajuty i zamknął drzwi.

— ... i jeszcze raz postaram się pana na to namówić!

Jego skomlenie brzmiało i przekonywająco, i groźnie.

— Tylko niech mi pan nie opowiada o swojej biedzie, to się na nic nie przyda. Prawda, że pan na siebie nic nie wydaje — ale można by to nazwać inaczej. Przez trzy lata wyciągał pan ze mnie wszystko, co się panu podobało, a teraz chce mnie pan puścić w trąbę bez wysłuchania, co myślę o panu? Wyobraża pan sobie, że byłbym się poddał pańskim fumom[185], gdybym wiedział, że te głupie pięćset

funtów to wszystko, co pan posiada? Obowiązkiem pana było powiedzieć mi prawdę.

— Może być — rzekł kapitan Whalley, pochylając głowę. — A jednak te pięćset funtów pana ocaliły. — Massy roześmiał się pogardliwie. — Zresztą mówiłem panu już nieraz o swym położeniu.

— A ja teraz panu nie wierzę. Kiedy pomyślę, jak ja pozwalałem panu rządzić się na moim własnym statku! Pamięta pan, ciągle mi pan dokuczał z powodu mojej kurtki i *pańskiego* mostka. Kurtka mu przeszkadzała! *Jego* mostek! „A ja się na to nie zgodzę — a ja ani myślę tamtego zrobić”. Uczciwy człowiek! Teraz się wszystko wykryło: „Jestem biedny i nic dać nie mogę. Wszystko, co mam, to te pięćset funtów”.

Wpatrywał się w nieruchomego kapitana, który wydał mu się nieprzezwyciężoną przeszkodą na drodze. Twarz Massy’ego stała się żałosna.

— Pan jest człowiekiem twardym.

— Dość tego — obruszył się na mechanika kapitan Whalley. — Nic pan ode mnie nie uzyska, bo nie mam już nic do oddania.

— Prawda by to była!

Massy, wychodząc, obejrzał się raz jeden; drzwi zamknęły się za nim i Whalley został w samotności, równie nieruchomy jak przedtem. Nie miał już nic własnego, nawet jego przeszłość — honor, szczerość, słuszna duma — przepadły. Całe jego życie bez skazy zwaliło się w przepaść. Pożegnał się z nim raz na zawsze. Ale postanowił ocalić to,

co stanowiło *jej* własność. Ocalić tylko drobną sumę pieniędzy. Pojedzie i wręczy jej to osobiście — ten ostatni dar człowieka, który żył zbyt długo. I potężny, gwałtowny poryw namiętnej ojcowskiej małości wybuchł w nim z całą niewygasłą siłą jego bezużytecznego życia — wybuchł pragnieniem, aby zobaczyć córkę.

Massy poszedł wprost do swej kajuty, znajdującej się z drugiej strony pokładu, zapalił światło i wyszukał zapisany na kartce ów wyśniony numer, którego cyfry rozpaliły w nim także namiętność — lecz zupełnie inną. Nie wolno mu pominąć ani jednego ciągnienia. Ten numer na pewno coś oznacza. Ale jakiego użyć wybiegu, aby utrzymać się na powierzchni?

— Wstrętny sknera! — mruknął.

Ani teraz, ani dawniej nie mógł Sterne powiedzieć Massy’emu nic nowego o jego wspólniku, ale za to Massy mógł powiedzieć Sterne’owi, że z nieszczęścia ludzkiego można zrobić lepszy użytek niż pozbyć się dotkniętego nieszczęściem człowieka, i co za tym idzie, odsunąć na rok termin uciążliwej spłaty. Daleko lepszym sposobem było utrzymać w tajemnicy nieszczęście tego człowieka i doprowadzić go do pozostania na stanowisku. Jeżeli ów człowiek rzeczywiście nie ma pieniędzy, wówczas będzie chciał zostać na statku i tym sposobem kwestia zwrócenia mu wkładu zostanie rozstrzygnięta pomyślnie. Massy nie wiedział dokładnie, jak dalece kapitan jest niezdolny do pracy; ale jeśli się wydarzy, że Whalley rozbije parowiec,

nie będzie to przecież wina właściciela. Massy nie miał obowiązku wiedzieć, iż na statku jest coś nie w porządku.

Lecz prawdopodobnie nikt by tego nie podniósł, a statek był ubezpieczony. Massy trzymał się w garści na tyle, że opłacał premie. Ale to jeszcze nie wszystko. Nie chciał wierzyć, aby kapitan Whalley był zupełnie pozbawiony środków i nie miał trochę odłożonych pieniędzy. Gdyby on, Massy, mógł się do nich dobrać, kupiłby nowe kotły i wszystko by zostało po dawnemu. A jeśli parowiec zostanie w końcu stracony — tym lepiej. Massy nienawidził statku; nie cierpiał tych wszystkich zgryzot, które odwracały jego myśli od rozpamiętywań nad możliwością wygranej. Pragnął, żeby statek znalazł się na dnie morza i żeby pieniądze wypłacone tytułem odszkodowania znalazły się w jego, Massy'ego, kieszeni. Wyszedł zawiedziony z kajuty kapitana, czując jednakową nienawiść do statku o zużytych kotłach i do człowieka o przytępionym wzroku.

Ludzkie postępowanie jest w gruncie rzeczy tak bardzo zależne od zewnętrznych podszeptów, że gdyby nie pijackie bredzenie Jacka, Massy byłby się od razu załatwił z tym łotrem kapitanem, który nie chciał ani mu pomóc, ani stracić statku, ani pozostać na swym stanowisku. Stary oszust! Massy palił się do tego, aby wyrzucić go na pysk. Ale się powstrzymywał. Na to przyjdzie jeszcze czas — wyrzuci Whalleya, kiedy mu się będzie podobało. Nowa, straszna myśl zakiełkowała w jego mózgu. Czyż on, Massy, nie potrafi zdobyć się na wszystko? Co to ten gałgan Jack bredził? „Znaleźć bezpieczny sposób na pozbycie się

statku”… No więc nie mylił się tak dalece. Bardzo zręczny sposób przyszedł Massy’emu do głowy. Tak! Ale ryzyko?

Uczucie dumy — wyższości nad pospolite przesądy — wkradło się do jego piersi: serce zaczęło mu bić szybciej, poczuł suchość w ustach. Nie każdy by na to się zdobył; ale on, Massy, dorósł do tego.

Dzwon na pokładzie uderzył sześć razy. Jedenasta! Massy wypił szklankę wody i usiadł na jakie dziesięć minut, aby się uspokoić. Potem wyjął z kufra małą ślepą latarkę i zapalił ją.

Prawie naprzeciwko jego kajuty, z drugiej strony wąskiego przejścia pod mostkiem, w żelaznej nadbudówce nad palarnią kotłową i kotłownią, znajdował się skład o żelaznych ścianach, żelaznym dachu i podłodze pokrytej żelazną blachą ze względu na upał panujący tam w dole. Do tego składu wrzucano wszelkiego rodzaju rupiecie; w kącie leżał stos żelaznego szmelcu, puste blaszanki od nafty stały rzędami; były tam również worki bawełnianych pakuł, kupa węgla drzewnego, przenośna kuźnia, szczątki starego kojca na kury, pokrowce od żurawików całe w łachmanach, szczątki latarni oraz brunatny filcowy kapelusz wyrzucony przez człowieka obecnie już nieżyjącego (umarł z gorączki na brazylijskim wybrzeżu), dawnego oficera „Sofali”; ów kapelusz tkwił tam od lat, wtłoczony za kawał pękniętej rury mosiężnej, którą kiedyś usunięto z maszynowni. Nieprzenikniony mrok panował w tym przybytku zapomnianych przedmiotów. Promyk ślepej latarki, trzymanej przez Massy’ego, przebił ciemność na ukos.

Kurtka mechanika była rozpięta; zamknął drzwi na zasuwkę (nie było tam innych drzwi ani okien) i przykucnąwszy obok kupy szmelcu zaczął wkładać do kieszeni kawałki żelastwa. Wkładał je starannie, jak gdyby zardzewiałe naśrubki, połamane sworznie, ogniwa łańcuchów były złotem i jakby jeden jedyny raz mógł do tego złota się dobrać. Napchał dolne kieszenie, aż się wydęły, kieszenie boczne i wewnętrzne. Oglądał wszystkie kawałki. Niektóre odrzucał. Mgiełka sproszkowanej rdzy zaczęła się unosić naokoło jego ruchliwych rąk. Massy wiedział coś niecoś o naukowej podstawie swego chytrego planu. Jeśli się chce sprawić, aby igła okrętowego kompasu się odchyliła, kute żelazo jest do tego najlepsze; przy tym wielka ilość małych kawałków w kieszeniach kurtki osiągnie lepszy skutek niż kilka dużych, bo tym sposobem zwiększy się powierzchnia przy tej samej wadze żelaza, a tu właśnie powierzchnia ma znaczenie.

Wymknął się szybko ze składu — wystarczyły na to dwa kroki — i spostrzegł w kajucie, że jego ręce są całe czerwone — czerwone od rdzy. Zmieszało go to, jakby się przekonał, że pokrywa je krew; spojrzał szybko po sobie. Ależ i spodnie są czerwone! To dlatego, że wytarł o nogi dłonie pokryte rdzą.

W pośpiechu oderwał guzik od paska u spodni; wyszczotkował kurtkę, umył ręce. Przestał wyglądać na zbrodniarza i usiadł, aby czekać.

Siedział prosto, obciążony żelastwem. Miał twardą masę kawałków przy obu biodrach, czuł, jak złom w kieszeniach

dotyka mu żeber przy każdym oddechu, jak ciężar tych wszystkich funtów obciągających kurtkę ugniata mu barki. Wyglądał bardzo niedołężnie, siedząc bez ruchu, a w jego żółtej twarzy o nieruchomych czarnych oczach był jakiś bierny smutek.

Usłyszawszy nad głową osiem uderzeń dzwonu, wstał i przygotował się do wyjścia. Jego ruchy wydawały się bezcelowe, dolna warga nieco opadła, oczy błądziły po kajucie, a straszliwy wysiłek woli pozbawiał je wszelkiego śladu inteligencji.

Z ostatnim uderzeniem dzwonu serang ukazał się bezszelestnie na mostku, aby zastąpić oficera. Sterne był w usposobieniu na wskroś dobrodusznym, gdyż pragnienia jego zostały spełnione.

— Czy oswoiłeś się już z mrokiem, serangu? Nie bardzo jest ciemno; zostanę, dopóki nie będziesz dobrze widział.

Stary Malaj mruknął coś, podniósł na oficera znużony wzrok, przesunął się bokiem w światło latarki kompasowej i utkwił oczy w kompasie, splatając ręce na plecach.

— Około pół do trzeciej będziesz musiał pilnie wypatrywać lądu, serangu. Ale właściwie jest jasno. Wstąpiłeś po drodze do kapitana, co? On wie, która teraz godzina? No więc już idę.

U stóp drabiny odstąpił w bok, przepuszczając kapitana. Przypatrywał się Whalleyowi, idącemu w górę po drabinie równym, pewnym krokiem i zamyślił się na chwilę.

„To dziwne — powiedział sobie — nigdy nie można być pewnym, czy on widzi człowieka, czy nie. Przecież tym

razem mógł słyszeć mój oddech.”

Wziąwszy jednak wszystko pod uwagę, był to człowiek niezwykły. Podobno swego czasu cieszył się sławą. Sterne bardzo temu wierzył. I z całą pogodą doszedł do wniosku, że kapitan dostrzega ludzi o tyle o ile — jak teraz na przykład jego, Sterne’a — ale nie będąc pewnym, kogo widzi, zachowuje obojętne milczenie, aby się nie zdradzić. Sterne był chytrym obserwatorem.

Konieczność ciągłego udawania uprzytomniła Whalleyowi, jak dalece jego sytuacja jest poniżająca. Zabrnął w nią przez miłość ojcowską, przez nieograniczoną wiarę, że boska sprawiedliwość będzie wymierzana uczuciom ludzkim na ziemi. Zdobył dla biednej Ivy wynagrodzenie za jeszcze jeden miesiąc pracy; może jego kalectwo okaże się tylko czasowe? Bóg nie zechce pozbawić swego dziecka możności pomagania najbliższym — nie zechce zrzucić go bezbronnego w wieczną noc. Z początku Whalley chwytał się każdej nadziei; a gdy oczywistość nieszczęścia stała się silniejsza od nadziei, usiłował oczywistości nie wierzyć.

Na próżno. W mroczniejącym coraz bardziej wszechświecie złowroga jasność rozświetlała myśli Whalleya. Wśród cierpień miewał chwile jasnowidzenia i wówczas przenikał życie, ludzi, wszystkie ludzkie sprawy, całą ziemię z jej brzemieniem stworzonej przyrody jak nigdy przedtem.

Czasem chwytał go zawrót głowy, miażdżyło go przerażenie; wtedy obraz córki zjawiał się przed nim. I jej

nigdy przedtem tak jasno nie widział.

Czyż to możliwe, aby nigdy już nie mógł dla niej nic zrobić? Nic. Aby nigdy już nie miał jej ujrzeć? Nigdy.

Dlaczego? Kara była zbyt wielka za trochę zarozumiałości, za trochę pychy. W końcu doszło do tego, że kapitan trwał w swej symulacji z zaciekłym postanowieniem, aby w niej dotrwać do końca, aby zachować pieniądze córki nietknięte, aby ujrzeć ją jeszcze raz na własne oczy. A potem — co? Myśl o samobójstwie była odrażająca dla krzepkiej męskości Whalleya. Modlił się o śmierć, póki modlitwa nie zaczęła więznąć mu w gardle. Przez wszystkie dni swego życia modlił się z dziecięcą pokorą ducha o chleb powszedni, o wybawienie od pokus. Czy słowa coś znaczą? Skąd pochodzi dar mowy? Gwałtowne bicie serca tętniło mu aż w głowie — zdawało się rozsadzać czaszkę.

Zasiadł ciężko w fotelu, aby udawać, że trzyma wachtę. Noc była ciemna. Wszystkie noce były teraz ciemne.

— *Serangu* — rzekł półgłosem.

— *Ada, tuan*[186]. Jestem.

— Czy na niebie są chmury?

— Są, tuanie.

— Steruj na wprost. Na północ.

— Płyniemy na północ, tuanie.

Serang odstąpił w tył. Kapitan Whalley rozpoznał kroki Massy’ego na mostku. Mechanik podszedł do lewej burty i wrócił, przechodząc kilka razy za fotelem. Kapitan Whalley odkrył w jego skradaniu się jakiś niezwykły rys

rozwagi i ostrożności. Udręka Whalleya zawsze wzrastała, kiedy ten człowiek znalazł się w pobliżu. Nie były to wyrzuty sumienia. Wyświadczył nieszczęśnikowi samo dobro. Odczuł, że grozi niebezpieczeństwo; trzeba być jeszcze bardziej ostrożnym.

Massy przystanął i rzekł:

— Więc pan w dalszym ciągu chce odejść?

— Ja odejść muszę.

— A nie mógłby pan przynajmniej zostawić mi na kilka lat pieniędzy?

— To niemożliwe.

— Nie chce mi pan ich powierzyć bez swego nadzoru, co?

Kapitan Whalley milczał. Massy westchnął głęboko, stojąc z tyłu nad fotelem.

— To by mnie uratowało — rzekł drżącym głosem.

— Już raz pana uratowałem.

Pierwszy mechanik zdjął kurtkę ostrożnymi ruchami i zaczął szukać po omacku mosiężnego haczyka wkręconego w drewnianą podporę płóciennego dachu. Szukając, stanął przed kompasem i zakrył go zupełnie przed wzrokiem sterującego bosmana.

— Tuanie! — szepnął wreszcie laskar[187] po cichu, chcąc dać białemu do zrozumienia, że nie może sterować, nie widząc kompasu.

Massy osiągnął swój cel. Kurtka zawisła na haku w odległości sześciu cali od kompasu. I natychmiast po usunięciu się Massy’ego bosman, ospowaty Sumatryjczyk, Malaj w średnim wieku, prawie równie ciemny jak Murzyn,

spostrzegł ze zdumieniem, że w tym krótkim czasie, na gładkim morzu, bez śladu wiatru, statek zboczył gwałtownie z kursu. Nigdy przedtem nie odchylał się z drogi w ten sposób. Malaj wymruczał coś ze zdziwieniem i obrócił szybko koło, aby skierować statek ponownie na północ, gdyż taki był jego kurs. Zgrzyt łańcuchów sterowych i na wpół głośne wyrzuty seranga, który podszedł do koła, przyciągnęły niespokojną uwagę Whalleya. Rzekł:

— Uważaj, *serangu*.

Potem zapanował na mostku zwykły spokój. Massy znikł.

Lecz żelazo w kieszeniach kurtki dokazało swego i parowiec — kierowany na północ kompasem, którego wskazania zostały sfałszowane w tak prosty sposób — nie płynął już bezpiecznie w stronę zatoki Pangu.

Syk wody prutej przez stewę[188], pulsowanie maszyn, wszystkie odgłosy wiernego i pracowitego życia „Sofali” trwały bez przerwy wśród wielkiego spokoju morza, które łączyło się naokoło z nieruchomą warstwą chmur na niebie. Łagodna cisza, rozległa jak świat, zdawała się czekać na drodze parowca, ogarniając go miłośnie najsłodszą pieszczotą. Massy pomyślał, że nie można by sobie wymarzyć lepszej nocy dla umyślnego rozbicia statku.

Parowiec nadziany wysoko na którąś ze skał po wschodniej stronie zatoki — wyczekiwanie świtu — dziura w dnie — łodzie spuszczone — dotarcie do zatoki Pangu tegoż wieczora. Tak mniej więcej będzie to wyglądało. Z chwilą gdy „Sofala” dotknie dna, Massy wbiegnie co tchu

na mostek, chwyci kurtkę (nikt jej w ciemności nie zauważy) i wytrzęsie jej zawartość za burtę lub nawet rzuci kurtkę do morza. To drobnostka. Któż by mógł się domyślić? Setki razy widziano, jak kurtka tam wisiała. Mimo to, gdy Massy siadł na najniższym stopniu mostkowej drabiny, kolana dygotały mu nieco. Z tego wszystkiego najgorsze było oczekiwanie. Chwilami zaczynał dyszeć jakby po szybkim biegu, potem znów oddychał szeroko pełną piersią i duma go rozpierała w poczuciu, że chwycił los za łeb. Czasem dochodził z góry szelest bosych stóp seranga; spokojne, ciche głosy zamieniały kilka słów i prawie natychmiast zapadało milczenie…

— Kiedy zobaczysz ląd, zaraz mi powiedz, serangu.

— Tak, tuanie. Jeszcze nic nie widać!

— Jeszcze nie widać — zgadzał się kapitan Whalley.

Statek był mu najlepszym przyjacielem w tym okresie upadku. Whalley posyłał córce wszystkie pieniądze, które zarobił na „Sofali” i przez „Sofalę”. Myśli jego przylgnęły do Ivy. Jakże często oboje z żoną gawędzili nad kołyską dziecka w wielkiej kajucie „Kondora”; Ivy urośnie, wyjdzie za mąż, miłość jej do rodziców nie zmniejszy się nigdy, a oni zamieszkają blisko córki, aby przyglądać się jej szczęściu — i tak będzie trwało bez końca.

A tymczasem jego żona nie żyła, córce dał wszystko, co miał do oddania; pragnął zbliżyć się do niej, zobaczyć jej twarz, żyć wśród dźwięku jej głosu, który by uczynił mu znośnym przebywanie za życia w grobowym mroku. Zbyt długo był pozbawiony miłości. Wyobraził sobie tkliwość Ivy.

Serang wytężał wzrok ku przodowi; od czasu do czasu spoglądał na fotel. Wiercił się niespokojnie i nagle tuż pod bokiem Whalleya wybuchnął:

— Tuanie, czy dostrzegasz ląd?

Zaniepokojony głos od razu postawił kapitana na nogi. Czy on dostrzega! Przekleństwo ślepoty przygniotło go stokroć silniej wobec tego pytania.

— Która godzina? — zawołał.

— Pół do czwartej, tuanie.

— Jesteśmy blisko lądu. Musisz go zobaczyć, słyszysz? Patrz bacznie! Patrz!

Zbudzony nagłym dźwiękiem głosów z krótkiej drzemki, Massy, siedząc na ostatnim stopniu drabiny, nie mógł sobie zdać sprawy, dlaczego się tam znalazł. Aha! Słabo mu się zrobiło. Rzucić nasiona wypadku to jeszcze co innego niż patrzeć na potworny owoc zwisający nad głową, owoc, który spadnie za chwilę wśród zgiełku wzburzonych głosów.

— Nie ma żadnego niebezpieczeństwa — mruknął do siebie niewyraźnie.

Groza niepewności ogarnęła kapitana Whalleya, straszne zwątpienie o ludziach, o rzeczach — nawet o ziemi. Sterował trzydzieści sześć razy przy tym samym kursie, według tego samego kompasu; jeśli było coś pewnego na świecie, to absolutna, bezwzględna nieomylność przyrządu. Więc co się stało? Czy serang kłamał? Dlaczego by miał kłamać? Dlaczego? Może on także ślepnie?

— Czy jest mgła? Patrz w dół na wodę. Nisko, słyszysz?

— Tuanie, nie ma mgły. Zobacz sam.

Kapitan Whalley wysiłkiem woli opanował drżenie nóg. Czy zatrzymać maszyny od razu i tym samym się zdradzić? Pod wpływem niezdecydowania różne dziwaczne myśli zaczęły się w nim kłębić. Oto stało się coś niezwykłego, a on nie umie z tym czymś się zmierzyć. W owej chwili niewypowiedzianej męki ujrzał twarz Ivy — twarz młodej dziewczyny — ze zdumiewającą siłą złudzenia. Nie, nie wolno mu się zdradzić, kiedy zabrnął dla niej aż tak daleko.

— Czy się trzymałeś kursu? Uważałeś na ster? Mów prawdę!

— *Yo, tuanie*. Jesteśmy na kursie. Patrz.

Kapitan Whalley jednym susem znalazł się przy kompasie, który w jego oczach wyglądał jak mętna plama światła wśród nieskończoności głuchego mroku. Prawie dotykając twarzą szkła, które mógł dawniej…

Zmuszony pochylić się nisko, wyciągnął machinalnie rękę w stronę, gdzie — jak wiedział — był drewniany słupek, aby się go przytrzymać. Dłoń jego objęła coś, co nie było drzewem tylko tkaniną. Lekkie pociągnięcie dodało ciężaru, wieszadło się urwało i kurtka Massy’ego, spadając, uderzyła ciężko o pomost z głuchym stukiem i brzękiem.

— Co to jest?

Kapitan Whalley padł na kolana, wyciągając po omacku ręce jawnym gestem ślepca. Trzęsły się te ręce poszukujące prawdy. Whalley dojrzał ją. Żelazo tuż przy kompasie. Błędny kurs. Chcą zatopić statek! Jego statek. O nie! To się nie uda.

— Skocz co tchu! Zatrzymaj! — ryknął nieswoim głosem.

Rzucił się z wyciągniętymi naprzód rękami, on, człowiek ślepy, i podczas gdy dźwięk gongu zewsząd jeszcze echem rozbrzmiewał, parowiec uderzył całym pędem jak gdyby w zbocze góry.

Wzdłuż północnego brzegu cieśniny woda była niska. Massy na to nie liczył. Zamiast wejść na ławicę połową długości, nadział się na grzbiet kamiennej rafy, która byłaby pod wodą w czasie przypływu. To uczyniło zderzenie po prostu strasznym. Wszyscy ludzie będący na nogach przewrócili się gwałtownie; wstrząśnięty osprzęt zgrzytnął przeraźliwie aż do szczytu masztów. Światła zgasły co do jednego; zerwało się kilka baksztagów[189] uderzając z grzechotem o komin; dał się słyszeć huk, łomot, dźwięki pękających drucianych lin, głośne łoskoty; latarnia szczytowa przeleciała nad dziobem i wszystkie drzwi zaczęły mocno trzaskać. Statek, ugodziwszy o rafę, odskoczył i jak taran uderzył po raz drugi w to samo miejsce. Dopełniło to spustoszenia; komin po zerwaniu baksztagów przewrócił się z głuchym hukiem jak gdyby grzmotu, zmiażdżył koło od steru, połamał drewniany szkielet płóciennego dachu i rozbił skrzynie pokładowe, napełniając mostek mnóstwem potrzaskanych drewien. Kapitan Whalley dźwignął się, zakrwawiony, w poszarpanym odzieniu i stał wśród szczątków sięgających mu kolan, poznając głównie po odgłosach niebezpieczeństwo, którego uniknął; w ramionach trzymał kurtkę Massy’ego.

Tymczasem Sterne (wyrzucony z koi) dał rozkaz, aby się cofnąć. Śruba obróciła się kilka razy, a potem jakiś głos wrzasnął: „Wyłaźże z tej, psiamać, maszynowni, Jack!”, i maszyny zatrzymały się; lecz statek zsunął się z rafy i stał bez ruchu, a gęsta chmura pary buchała z potrzaskanych rur, niknąc wśród nocy rozwichrzonymi kłębami. Mimo nagłości katastrofy nie było krzyków, jakby gwałtowność zderzenia ogłuszyła niewyraźną grupę ludzi, słaniających się tam i sam na pomostach. Nad zmąconymi pomrukami zapanował dobitny głos seranga, który wyciągnął sondę z wody:

— Bez dna.

Wówczas Starne krzyknął cienkim, wytężonym głosem:

— Dokąd statek zalazl u diabla? Gdzie my jesteśmy?

Kapitan Whalley odrzekł spokojnym basem:

— Między skałami od wschodu.

— Pan jest tego pewny? Więc statek nigdy już się stąd nie wydostanie.

— Za pięć minut pójdzie na dno. Łodzie, Sterne. Nawet jedna łódź ocali was wszystkich w tę ciszę.

Chińscy palacze rzucili się niesforną gromadą do lewostronnych łodzi. Nikt nie usiłował ich zatrzymać. Malaje uspokoili się po chwilowym zamęcie, a zachowanie Sterne’a było przyzwoite. Kapitan Whalley stał w miejscu nieporuszenie. Myśli jego były mroczniejsze niż ta noc, w ciągu której stracił statek pierwszy raz w życiu.

— Przez niego straciłem statek.

Wysoka postać, stojąca przed kapitanem wśród szczątków zaścielających mostek, szepnęła obłędnie:

— Nikomu ani słowa!

Massy podszedł bliżej, potykając się. Kapitan Whalley słyszał, jak mu zęby dzwoniły.

— Mam pana kurtkę.

— Niech pan ją rzuci. Niech pan stąd idzie — nalegał dygocący głos. — D-d-do ł-ł-łodzi!

— Dostanie pan za to piętnaście lat.

Massy'emu głos uwiązł w gardle. Jego słowa były tylko suchym szelestem dobywającym się z krtani:

— Litości!

— A pan miał dla mnie litość? Przez pana straciłem statek. Panie Massy, dostanie pan za to piętnaście lat.

— Potrzebowałem pieniędzy! Pieniędzy! moich pieniędzy! Dam panu trochę pieniędzy. Niech pan weźmie połowę. Pan także kocha pieniądze.

— Jest jeszcze na świecie sprawiedliwość...

Massy uczynił straszny wysiłek i wykrztusił dziwnym, na wpół zdławionym głosem:

— Przeklęty ślepcze! Sam mnie pchnąłeś do tego!

Kapitan Whalley, cisnąc kurtkę do piersi, nie odrzekł nic. Światło odpłynęło ze świata na zawsze; niech przepada wszystko. Ale temu człowiekowi nie ujdzie to płazem.

Głos Sterne'a rozkazał:

— Spuścić łodzie!

Zgrzytnęły bloki.

— No, dalej — krzyknął — skaczcie! Tędy. Ty, Jack, tutaj. Panie Massy! Panie Massy! Panie kapitanie! Prędko, panie kapitanie! Już odpływamy...

— Pójdę do więzienia za usiłowanie oszustwa, ale i o panu wszystko się wyda; o panu, uczciwy człowieku, któryś mnie oszukiwał. Nie ma pan pieniędzy, co? Tylko te pięćset funtów. No więc teraz nie będzie pan miał ani grosza. Parowiec stracony, a ubezpieczenia nie wypłacą.

Kapitan Whalley ani drgnął. Prawda! Pieniądze Ivy. Przepadły w katastrofie. Błyskawica jasności przeszyła jego mózg. Był naprawdę u kresu sił.

Naglące głosy rozlegały się chórem za burtą. Zdawało się, że Massy nie może się oderwać od mostka. Dzwonił zębami i syczał z rozpaczą:

— Niech mi pan to odda! Niech pan to odda!

— Nie — rzekł kapitan Whalley — ja oddać tego nie mogę. Odejdź, człowieku. Nie czekaj, jeśli chcesz żyć. Statek zanurza się szybko dziobem naprzód. Nie; ja to zatrzymam, ale zostanę na pokładzie.

Massy zdawał się nie rozumieć, lecz przywiązanie do życia obudziło się w nim nagle i zepchnęło go z mostka.

Kapitan Whalley złożył kurtkę na pomoście; potykając się wśród szczątków, zbliżył się do burty.

— Czy pan Massy jest z wami? — zawołał w noc.

Sterne odkrzyknął z łodzi:

— Tak; Już go mamy. Prędko, panie kapitanie. To szaleństwo zwlekać!

Whalley powiódł ostrożnie dłonią wzdłuż bariery i bez słowa odrzucił linę. Czekali wciąż na niego tam w dole. Czekali, aż nagle głos jakiś wykrzyknął:

— Dryfujemy! Do wioseł!

— Panie kapitanie! Niech pan skacze!... podpłyńcie trochę bliżej... Niech pan skacze! Pan umie pływać.

Aby nic Whalleyowi nie było oszczędzone, w jego starym sercu, w jego krzepkim ciele zbudził się okropny strach przed śmiercią, którego nie mógł pokonać nawet strach przed ślepotą. Ale to przecież dla Ivy Whalley posunął się tak daleko, dotarłszy wśród otaczających go ciemności aż na skraj zbrodni. Bóg nie wysłuchał jego modlitw. Światło odpłynęło już zupełnie ze świata; nigdzie najlżejszego przebłysku. Mroczna pustka. Byłoby to wbrew przyzwoitości, gdyby któryś z Whalleyów, posunąwszy się tak daleko w pościgu za swoim celem, żył w dalszym ciągu. On musi za to zapłacić.

— Niech pan kapitan skacze jak najdalej, wyłowimy pana.

Nie usłyszeli odpowiedzi. Lecz ich krzyki jakby przypomniały coś Whalleyowi. Wrócił po omacku na poprzednie miejsce i zaczął szukać kurtki Massy’ego. Umiał rzeczywiście pływać; ludzie wessani przez wir tonącego statku wynurzają się czasem na powierzchnię, a byłoby wbrew przyzwoitości, gdyby któryś z Whalleyów, postanowiwszy umrzeć, został wypadkiem znęcony do walki o życie. Kapitan włożył do kieszeni te wszystkie kawałki żelaza.

Załoga widziała z łodzi „Sofalę”, czarną masę na czarnym morzu, tkwiącą wciąż nieruchomo w straszliwym przechyleniu. Żaden odgłos stamtąd nie dochodził. Potem rozległ się ogłuszający, dziwny, przewlekły hałas, jakby kotły się przebiły przez grodzie i na miejscu, gdzie był statek, ukazało się wśród słabego, głuchego huku coś na kształt wąskiej skały sterczącej pionowo z morza. Po chwili znikło i to.

Gdy parowiec „Sofala” nie wrócił we właściwym czasie do Batu Beru, Van Wyk zrozumiał od razu, że nigdy go już nie zobaczy. Ale o tym, co zaszło, dowiedział się dopiero w kilka tygodni później, odbywszy drogę do portu macierzystego „Sofali” na krajowym statku użyczonym przez sułtana. W porcie zaczynali już zapominać o istnieniu parowca i urzędowym śledztwie przeprowadzonym z powodu jego zatonięcia.

Nie był to wypadek niezwykły ani też szczególnie interesujący wyjąwszy to, że kapitan poszedł na dno wraz z tonącym statkiem. Tylko on jeden zginął; Van Wyk nie byłby się dowiedział o tym wszystkim żadnych szczegółów, gdyby nie Sterne, którego spotkał raz na bulwarze, blisko mostka nad kanałem, prawie w tym samym miejscu, gdzie kapitan Whalley — chcąc zachować w całości pięćset funtów, pieniądze swej córki — skręcił w ulicę, aby zawołać na sampan, mający zawieźć go na „Sofalę”.

Van Wyk już z daleka zobaczył, że Sterne mruży oczy na jego widok i podnosi rękę do kapelusza. Usunęli się w cień

jakiegoś budynku (był to bank) i oficer opowiedział, jak łodzie z załogą dotarły do zatoki Pangu mniej więcej w sześć godzin po wypadku i jak przebyli tam dwa tygodnie, pozbawieni wszelkich środków do życia, póki się nie zdarzyła sposobność opuszczenia tej piekielnej dziury. Śledztwo uwolniło wszystkich od jakiejkolwiek winy. Strata parowca została przypisana temu, że wyjątkowym zbiegiem okoliczności prąd zmienił kierunek. I rzeczywiście nie mogło to być nic innego; niepodobna było wyjaśnić inaczej faktu, że statek podczas krótszej wachty zboczył siedem mil na wschód ze swego kursu.

— Cóż to dla mnie za pech, proszę szanownego pana!

Sterne przesunął językiem po wargach i spojrzał w bok:

— Straciłem sposobność dostania się do pana na służbę. Nie mogę tego odżałować. Ale tak to się dzieje: co dla jednego dobre, to dla drugiego złe. Panu Massy’emu nic nie mogło pójść bardziej na rękę, nawet gdyby sam spowodował rozbicie parowca. Jeszcze nie słyszałem, aby strata statku przyszła tak bardzo w porę.

— Co się stało z tym Massym? — spytał Van Wyk.

— Z Massym, proszę szanownego pana? Ha, ha! Mówił mi wciąż, że chce kupić inny statek; ale z chwilą, kiedy poczuł pieniądze w kieszeni, wybrał się skoro świt do Manili na statku pocztowym. Dopędziłem go na pokładzie; powiedział, że z całą pewnością zrobi w Manili majątek, a jeśli chodzi o mnie, to mogę sobie pójść do diabła. A przecież prawie mi przyrzekł, że mi powierzy dowództwo, bylem tylko trzymał język za zębami.

— Pan nikomu nie powiedział... — zaczął Van Wyk.

Naturalnie, że nie powiedziałem, panie szanowny. Po co bym miał mówić? Wprawdzie chcę zrobić karierę, ale umarli mi w tym nie przeszkadzają — rzekł Sterne. Zamrugał szybko oczami, potem je spuścił na chwilę. — Zresztą, panie szanowny, byłoby mi niezręcznie o tym mówić, bo ze względu na pana milczałem trochę za długo.

— Czy pan wie, jak to się stało, że kapitan Whalley został na pokładzie? Czyżby naprawdę nie chciał statku opuścić? Niemożliwe. A może to przypadkowy...

— Ale skąd! — przerwał Sterne energicznie. — Mówię panu, wrzeszczałem, żeby skakał za burtę. Nic innego, tylko po prostu musiał sam odrzucić linę łodzi. Wszyscy wrzeszczeliśmy do niego — to znaczy Jack i ja. Nawet nam nie odpowiedział. Na statku panowała grobowa cisza aż do ostatniej chwili. Potem kotły wybuchły i parowiec poszedł na dno. To nie był żaden przypadek! Nic podobnego! Mówię szanownemu panu, że kapitan po prostu dał za wygraną.

To było wszystko, co Sterne miał do powiedzenia.

Van Wyk został oczywiście zaproszony do klubu, gdzie mieszkał przez dwa tygodnie, i właśnie tam spotkał prawnika, u którego Massy i kapitan Whalley podpisali umowę.

— Nadzwyczajny starzec — mówił prawnik. — Zjawił się w biurze ze swymi pięciuset funtami, jakby spadł z nieba; tuż za nim szedł ten mechanik, bardzo widać zdenerwowany. A teraz znów Whalley znikł w sposób trochę zagadkowy, akurat tak samo, jak się zjawił. Nigdy go

naprawdę nie rozumiałem. Ale w tym Massym to chyba nie było nic tajemniczego, co? Ciekawym, czy Whalley naprawdę nie chciał statku opuścić. To było głupie. Sąd orzekł, że jest wolny od wszelkiej winy.

Van Wyk oświadczył, iż znał dobrze Whalleya i w samobójstwo jego nie wierzy. Tego rodzaju postępek nie zgadzałby się wcale z tym, co wiedział o kapitanie „Sofali".

— Podzielam pańskie zdanie — rzekł prawnik. — Uznano ogólnie, że kapitan został za długo na statku, ponieważ chciał coś ważnego uratować. Może mapę na dowód swojej niewinności, a może jakąś wartościową rzecz z kajuty. Co do liny, przypuszczano, że odczepiła się sama. Ale — bardzo to dziwne — na jakiś czas przed tą podróżą biedny Whalley przyszedł do mnie do biura i zostawił zapieczętowaną kopertę z adresem córki; polecił przesłać jej ten list w razie, gdyby umarł. Nic w tym jednak nadzwyczajnego, szczególnie jeśli wziąć pod uwagę jego wiek.

Van Wyk potrząsnął głową. Kapitan Whalley wyglądał, jakby miał żyć sto lat.

— Ależ tak — zgodził się prawnik. — Zdawało się, że przyszedł na świat dorosły, z tą długą brodą. Wie pan, ja nigdy jakoś nie mogłem go sobie wyobrazić młodszym czy też starszym. Przy tym czuło się w nim wielką siłę fizyczną. I może właśnie stąd płynęło to coś szczególnego w jego osobie, co uderzało każdego człowieka, który się z nim zetknął. Zdawało się, że jest niezniszczalny, że zwykła ludzka śmierć imać się go nie może. Jego uprzejmość i rozwaga pełna godności dawały wiele do myślenia.

Wyglądał, jakby był pewien, że na wszystko starczy mu czasu. Tak, miał w sobie coś niezniszczalnego i z tego, co czasem mówił, można było sądzić, że on sam temu wierzy. Kiedy ostatni raz przyszedł do mnie z tym listem, który chciał mi powierzyć, nie wydawał się wcale przygnębiony. Może odrobinę wolniej niż zwykle ruszał się i mówił. Ani śladu zgnębienia. Ciekaw jestem, czy miał jakie przeczucia? Może i miał. Bądź co bądź sądzę, że to marny koniec dla tak wybitnej osobistości.

— O tak! To bardzo marny koniec — powiedział Van Wyk tak żarliwie, że prawnik spojrzał nań z ciekawością i po rozstaniu się z nim zauważył rozmawiając ze znajomym:

— To dziwny człowiek, ten plantator tytoniu z Batu Beru. Czy pan coś wie o nim?

— Istny Krezus[190] — odrzekł dyrektor banku. — Mówią, że najbliższym statkiem wraca do kraju, aby utworzyć spółkę, która ma przejąć jego posiadłości. Powstały nowe plantacje tytoniu. Uważam, że ten Holender jest mądry. Dobre czasy nie będą trwać wiecznie.

*

Mieszkająca na południowej półkuli córka kapitana Whalleya nie miała żadnych złych przeczuć, otwierając kopertę zaadresowaną pismem prawnika. Dostała list po południu; wszyscy goście powychodzili, synkowie jej byli w szkole, a mąż, wychudły i mizerny, siedział z książką na

górze w wielkim fotelu, owinięty derkami po pas. Dom był cichy, szarość chmurnego dnia kładła się na szyby okien.

W odrapanej jadalni, gdzie zastały, nikły zapach potraw unosił się przez okrągły rok, Ivy — siedząc u końca długiego, wiecznie nakrytego stołu, otoczonego mnóstwem krzeseł wsuniętych pod blat i dotykających oparciem jego krawędzi — przeczytała pierwsze zdanie listu: „Wyrazy najgłębszego żalu — przykry obowiązek — ojciec pani rozstał się z tym światem — zgodnie z jego poleceniem — fatalny wypadek — jedyna pociecha — pamięć wolna od wszelkiej winy...”

Twarz Ivy była szczupła, o skroniach trochę zaklęsłych pod gładkimi pasmami czarnych włosów; usta jej pozostały zaciśnięte stanowczo, a czarne oczy rozszerzały się coraz bardziej, aż w końcu wstała z cichym okrzykiem i schyliła się natychmiast, aby podnieść drugą kopertę, która zsunęła się z jej kolan na podłogę.

Ivy rozdarła ją, chwyciła zawarty w niej arkusz...

„Najdroższe dziecko — brzmiał list — piszę to, póki mogę jeszcze pisać czytelnie. Staram się ze wszystkich sił uratować dla Ciebie pieniądze, które mi pozostały, zatrzymałem je tylko po to, abyś miała z nich więcej korzyści. Należą do Ciebie. Nie przepadną ci; nikt ich nie naruszy. Wynosi to pięćset funtów. Z tego, co zarabiam, nic dotąd dla siebie nie zatrzymałem. W przyszłości, jeśli wyżyję, będę musiał trochę pieniędzy zachować — bardzo mało — aby do Ciebie pojechać. Muszę do Ciebie pojechać. Muszę jeszcze raz Cię zobaczyć.

Trudno mi uwierzyć, że będziesz kiedyś czytać te słowa. Bóg chyba o mnie zapomniał. Pragnę Cię zobaczyć — a jednak śmierć byłaby większą łaską. Jeśli przeczytasz kiedyś te słowa, zobowiązuję Cię, abyś najpierw podziękowała Bogu, który się nareszcie zlitował, bo wówczas nie będę już żył, i tak będzie lepiej. Moje dziecko, jestem u kresu sił.

Następny wiersz zaczynał się od słów: „Tracę wzrok”…

Tego dnia nie czytała już więcej. Ręka trzymająca przed oczami list opadła powoli; smukła postać w skromnej czarnej sukni podeszła sztywno do okna. Oczy jej były suche; ani krzyk bólu, ani szept dziękczynny nie wzniósł się z jej warg ku niebu. Życie było zbyt twarde wbrew wszystkim wysiłkom ojcowskiej miłości. Poskromiło jej wzruszenia. Ale po raz pierwszy w ciągu tych wszystkich lat przestała czuć jego ciężar, dojmującą troskę ubóstwa, nędzę ciężkiej walki o chleb. Nawet obraz męża i dzieci rozpłynął się w szarym zmierzchu; widziała przed sobą tylko oblicze ojca, jakby ją przyszedł odwiedzić, wysoki, tęgi, zawsze pełen spokoju, taki sam, jakim widziała go po raz ostatni, tylko że w jego twarzy było coś bardziej wzniosłego i tkliwego.

Wsunęła złożony list między guziki skromnej czarnej bluzki i oparłszy czoło o szybę trwała tak zupełnie nieruchomo do zmroku, poświęcając ojcu wszystek czas, jaki miała do rozporządzenia. Nie żyje! Czy to możliwe? Boże mój, czyż to możliwe? Cios został złagodzony przez wielkie przestrzenie, przez lata nieobecności. Bywały dnie,

kiedy wcale o nim nie myślała, bo nie miała czasu. A przecież kochała go, czuła, że go jednak kochała.

Przypisy:

1. *miejsce kuracyjne* — sanatorium. [przypis edytorski]

2. *megalomania* — mania wielkości. [przypis edytorski]

3. *chełpliwość* — zarozumiałość. [przypis edytorski]

4. *szyper* — pot. kapitan, dowódca niewielkiego statku handlowego; szyper w razie potrzeby włącza się w wykonywanie niezbędnych prac wraz z resztą załogi. [przypis edytorski]

5. *kliper* (z ang. gw. środ. *clip*: szybkość) — rodzaj szybkiego, smukłego żaglowca popularnego w 2. poł. XIX w., posiadającego wyjątkowo wysokie, 3 lub 4 maszty, osiągającego rekordowe prędkości, do 21 węzłów (tj. ok. 40 km/h). [przypis edytorski]

6. *laubzega* (niem. *Laubsäge*; od *Laub*: liść i *Säge*: piła) — cienka piła służąca do wyrzynania otworów (również ozdobnych wykrojów) w drewnie. [przypis edytorski]

7. *kambuz* — pomieszczenie lub jego wydzielona część przeznaczona do przygotowywania posiłków na statku; kuchnia okrętowa. [przypis edytorski]

8. *brasy* — liny służące do manewrowania żaglami w płaszczyźnie poziomej w celu ustawiania ożaglowania rejowego najkorzystniejszej względem wiatru. [przypis edytorski]

9. *legar* — podkład pod ciężkie przedmioty, zazwyczaj wykonany z belek drewnianych; tu: umocowana do pokładu

podstawa, na której umieszcza się szalupę okrętową. [przypis edytorski]

10. *bak* — skrajna część pokładu dziobowego, położona najbliżej dziobu statku. [przypis edytorski]

11. *hulk* — statek, wycofany z eksploatacji. [przypis edytorski]

12. *kasztel* — nadbudówka na daw. żaglowcach, znajdująca się na dziobie lub rufie statku (kasztel dziobowy i rufowy), zawierająca pomieszczenia dla oficerów oraz stanowiska lekkich dział. [przypis edytorski]

13. *trap* — skośnie zawieszone, składane schody służące do wchodzenia na pokład z nabrzeża oraz schodzenia z pokładu na brzeg lub inną jednostkę pływającą; w czasie żeglugi trap leży złożony przy burcie. [przypis edytorski]

14. *brasować* — obracać reje pod najkorzystniejszym kątem do wiatru za pomocą brasów (tj. olinowania ruchomego pozwalającego na obracanie rei w poziomie); brasowanie wymaga wykonania obrotu dla wszystkich rei danego masztu jednocześnie; *reja*: poziome drzewce umocowane do masztu, do rei przyczepiony jest górny brzeg (tzw. lik) żagla. [przypis edytorski]

15. *trawers* — kierunek prostopadły do umownej linii łączącej dziób z rufą statku. [przypis edytorski]

16. *kołkownica* — belka z otworami, w które wkłada się kołki do mocowania lin, umieszczona na maszcie lub nadburciu. [przypis edytorski]

17. *Kalasze* — grupa etniczna zamieszkująca obszary od Turcji do Indii; pod koniec XIX w. przez tereny zamieszkałe przez Kalaszów przebiegała (po szczytach gór Hindukusz) granica między indyjsko-pakistańskimi ziemiami kolonii Imperium Brytyjskiego a Afganistanem; tu: tubulcy. [przypis edytorski]

18. *buchta* — zwój liny ułożonej tak, by można było w razie potrzeby natychmiast ją rozwinąć, bez ryzyka splątania. [przypis edytorski]

19. *sejzyng* a. *sejzing*, — krótka (o dł. 0,5–1,5 m) linka zakończona zaplecionym uchem, służąca do związywania zrzuconych żaglów przy drzewcach, wiązania bucht (ułożonych zwojów) grubej liny itp. [przypis edytorski]

20. *bant* a. *banta* — kilkuwarstwowy pas płótna stanowiący wzmocnienie na krawędziach, rogach i w poprzek żagla. [przypis edytorski]

21. *wanta* — lina (zwykle spleciona z drutu) stabilizująca maszt w pionie. [przypis edytorski]

22. *kotwica zawozowa* a. *kotwica zawoźna* — stosunkowo lekka kotwica służąca do ściągania statku z mielizny. [przypis edytorski]

23. *Ereb* (mit. gr.) — najciemniejsza część Hadesu, podziemnego świata zmarłych. [przypis edytorski]

24. *rudel* — rękojeść steru. [przypis edytorski]

25. *stewa przednia* — zakończenie dziobu łodzi. [przypis edytorski]

26. *szkuta* — niewielki statek rzeczny do przewozu ładunków. [przypis edytorski]

27. *reja* — poziome drzewce, u dołu którego mocowany jest żagiel. [przypis edytorski]

28. *bak* — górny pokład w dziobowej części statku. [przypis edytorski]

29. *derka* — gruby koc. [przypis edytorski]

30. *buchalter* (daw.) — księgowy. [przypis edytorski]

31. *Drake, Francis* (1540–1596) — angielski kaper (licencjonowany pirat), żeglarz i polityk brytyjski, jako pierwszy Anglik opłynął kulę ziemską. [przypis edytorski]

32. *Franklin, John* (1786–1847) — brytyjski admirał, badacz Arktyki, zginął w trakcie nieudanej ekspedycji badawczej. [przypis edytorski]

33. *Złota Łania* — statek, na którym sir Francis Drake opłynął świat. [przypis edytorski]

34. *„Ereb” i „Terror”* — statki zaginione razem z całą arktyczną ekspedycją sir Johna Franklina. [przypis edytorski]

35. *wystawić* (daw.) — wyobrazić. [przypis edytorski]

36. *tyrema* — trirema, starożytny okręt wojenny z trzema rzędami wioseł. [przypis edytorski]

37. *concertina* — odmiana akordeonu. [przypis edytorski]

38. *falerneńskie wino* — wino z okolic Neapolu. [przypis edytorski]

39. *prefekt* — urzędnik rzymski. [przypis edytorski]

40. *poruczyć* (daw.) — powierzyć. [przypis edytorski]

41. *pryncypał* (daw.) — zwierzchnik. [przypis edytorski]

42. *do miasta, które przypomina mi zawsze pobielany grób* — prawdopodobnie mowa tu o Brukseli. [przypis edytorski]

43. *surdut* — rodzaj dwurzędowej marynarki, popularnej na przełomie XIX i XX w. [przypis edytorski]

44. *dzierżyć* (daw.) — trzymać. [przypis edytorski]

45. *wyraził uznanie dla mojej francuszczyzny* — Conrad wielokrotnie podkreśla, że bohaterowie opowieści Marlowa rozmawiają ze sobą po francusku. [przypis edytorski]

46. *bon voyage* (fr.) — dobrej podróży. [przypis edytorski]

47. *Ave! [...] Morituri te salutant.* (łac.) — Witaj... pozdrawiają cię idący na śmierć (tradycyjny okrzyk gladiatorów na widok cesarza). [przypis edytorski]

48. *skwapliwość* — ostentacyjna gotowość a. pośpiech. [przypis edytorski]

49. *kraj mój* — mowa o Belgii, której król, Leopold II (1835–1909), władał również Wolnym Państwem Kongo, prowadząc tam rabunkową gospodarkę i ludobójczą politykę. [przypis edytorski]

50. *tej wspaniałej kolonii* — mowa o Wolnym Państwie Kongo, funkcjonującym w latach 1885–1908. [przypis edytorski]

51. *adieu* (fr.) — do widzenia (dosł.: z Bogiem). [przypis edytorski]

52. *good-bye* (ang.) — do widzenia. [przypis edytorski]

53. *Du calme, du calme* (fr.) — spokojnie, spokojnie. [przypis edytorski]

54. *krotochwila* (daw.) — żart. [przypis edytorski]

55. *katakumby* — podziemne korytarze, w okresie wczesnochrześcijańskim często spełniające funkcje cmentarzy. [przypis edytorski]

56. *mangrowce* — namorzyny, roślinność przybrzeżna. [przypis edytorski]

57. *ujście wielkiej rzeki* — mowa o rzece Kongo. [przypis edytorski]

58. *siedziba rządowa* — Boma, stolica Konga Belgijskiego. [przypis edytorski]

59. *członki* (daw.) — kończyny. [przypis edytorski]

60. *powodować* (daw.) — kierować. [przypis edytorski]

61. *filantropijny* — miłosierny. [przypis edytorski]

62. *dla* (daw.) — w celu. [przypis edytorski]

63. *zdrenować* — (o glebie) wysuszyć, odprowadzając nadmiar wody. [przypis edytorski]

64. *inferno* (wł.) — piekło. [przypis edytorski]

65. *mór* — zaraza. [przypis edytorski]

66. *buchalter* (daw.) — księgowy. [przypis edytorski]

67. *asocjacja* — skojarzenie. [przypis edytorski]

68. *manufaktura* — tu: wyroby. [przypis edytorski]

69. *perkal* — rodzaj cienkiego bawełnianego płótna. [przypis edytorski]

70. *Kurtz* — wg niektórych interpretatorów nazwisko znaczące; Kurtz (niem.: krótki) miałoby być imieniem diabła z ludowych podań, podobnie jak polskie „Kusy”. [przypis edytorski]

71. *na tej stacji centralnej* — mowa o Leopoldville (obecnie Kinszasa). [przypis edytorski]

72. *tykwa* — twarda okrywa owocu rośliny o tej samej nazwie, stosowana jako pojemnik na wodę. [przypis edytorski]

73. *funt* — brytyjska miara masy, obecnie ok. 0,45 kg. [przypis edytorski]

74. *enuncjacja* — deklaracja. [przypis edytorski]

75. *boy* — tu: służący (dosł. ang.: chłopiec). [przypis edytorski]

76. *kreton* — cienka bawełniana tkanina. [przypis edytorski]

77. *neseser* — rodzaj walizki. [przypis edytorski]

78. *mika* — błyszczący minerał, niekiedy mylony ze złotem. [przypis edytorski]

79. *skroś* (daw. a poet.) — przez. [przypis edytorski]

80. *Mefistofeles* — imię diabła często pojawiające się w literaturze. [przypis edytorski]

81. *papier-maché* — masa z rozdrobnionego papieru połączonego z klejem lub gipsem, służąca m. in. do wykonywania masek bądź kukieł. [przypis edytorski]

82. *diabeł* — po niemiecku nazwisko „Kurtz” oznacza „krótki”; w polskich opowieściach ludowych jako imię diabła pojawia się słowo „Kusy”, mające to samo znaczenie. [przypis edytorski]

83. *wystawić* (daw.) — wyobrazić. [przypis edytorski]

84. *niepodobna* (daw.) — nieprawdopodobne, niemożliwe. [przypis edytorski]

85. *Negr* (daw.) — Murzyn. [przypis edytorski]

86. *obmierzły* — wzbudzający obrzydzenie. [przypis edytorski]

87. *kusy* (daw.) — krótki. [przypis edytorski]

88. *niepodobna* (daw.) — nieprawdopodobne, niemożliwe. [przypis edytorski]

89. *portyk* — frontowa część budowli, znajdująca się bezpośrednio przed głównym wejściem. [przypis edytorski]

90. *tam się oglądało potworny stwór* — dziś popr.: tam się oglądało potwornego stwora. [przypis edytorski]

91. *credo* (łac.) — wierzę. [przypis edytorski]

92. *snadź* (daw.) — widocznie. [przypis edytorski]

93. *takielunek* — olinowanie statku. [przypis edytorski]

94. *materiał* — tu: temat (ang.: matter). [przypis edytorski]

95. *kabała* — tu: problemy. [przypis edytorski]

96. *wymiarkować* (daw.) — zorientować się. [przypis edytorski]

97. *wcale* (daw.) — całkiem. [przypis edytorski]

98. *winczester* — strzelba produkowana przez Winchester Repeating Arms Company, której kolejne wersje cieszyły się popularnością na przełomie XIX i XX w. [przypis edytorski]

99. *rewa* — podwodny wał uformowany z piasku. [przypis edytorski]

100. *bak* — górny pokład w dziobowej części statku. [przypis edytorski]

101. *drzewo tekowe* — gatunek drzewa podzwrotnikowego używanego m. in. do budowy okrętów, ze względu na fakt, iż słabo wchłania wodę. [przypis edytorski]

102. *mimo* (daw.) — obok. [przypis edytorski]

103. *jard* — ang. miara długości, wynosząca 3 stopy, czyli ok. 0,91 metra. [przypis edytorski]

104. *hulk* — okręt, na stałe zakotwiczony w porcie, wykorzystywany jako mieszkanie bądź magazyn. [przypis edytorski]

105. *wystawić* (daw.) — wyobrazić. [przypis edytorski]

106. *paragraf* — dziś: akapit. [przypis edytorski]

107. *snadź* (daw.) — widocznie. [przypis edytorski]

108. *arlekin* — postać zakochanego sługi z komedii dell’arte. [przypis edytorski]

109. *fizjonomia* (daw.) — twarz. [przypis edytorski]

110. *powetować* (daw.) — zrekompensować. [przypis edytorski]

111. *archijerej* — wyższy duchowny prawosławny. [przypis edytorski]

112. *poddać* — tu: podsunąć jakąś myśl. [przypis edytorski]

113. *gorzeć* (daw.) — płonąć. [przypis edytorski]

114. *stopa* — anglosaska jednostka długości, ok. 30 cm. [przypis edytorski]

115. *krócica* — broń palna o krótkiej lufie. [przypis edytorski]

116. *Jupiter* a. *Jowisz* (mit. gr.) — najważniejszy z rzymskich bogów, odpowiednik gr. Zeusa. [przypis edytorski]

117. *wigilia* — tu: czuwanie (z ang.: *vigil*). [przypis edytorski]

118. *ulster* — rodzaj męskiego wełnianego kaftana. [przypis edytorski]

119. *Jakżebym nie rozumiał* — w oryginale jest po prostu: *Do I not?* [przypis edytorski]

120. *kolana* — tu: zakola. [przypis edytorski]

121. *Och, dobiorę ci się jeszcze do samego wnętrza* — w oryginale: *Oh, but I will wring your heart yet*, znaczące powtórzenie słowa z tytułu *The heart of darkness*. [przypis edytorski]

122. *korbowód* — część maszyny napędzająca wał korbowy. [przypis edytorski]

123. *sworzeń* — element łączący części maszyny w taki sposób, że mogą się one obracać. [przypis edytorski]

124. *ohyda* — w oryginale: *the horror!*. [przypis edytorski]

125. *boy* — tu: służący (dosł. ang.: chłopiec). [przypis edytorski]

126. *obejście* — sposób zachowania. [przypis edytorski]

127. *jąć* (daw.) — zacząć. [przypis edytorski]

128. *surdut* — rodzaj dwurzędowej marynarki, popularnej na przełomie XIX i XX w. [przypis edytorski]

129. *monokl* — soczewka korekcyjna noszona na jednym oku. [przypis edytorski]

130. *powodować* (daw.) — kierować. [przypis edytorski]

131. *cieniów* — dziś popr. forma D.lm: cieni. [przypis edytorski]

132. *mierzchnącego* — dziś popr.: zmierzchającego. [przypis edytorski]

133. *naraz* (daw.) — nagle. [przypis edytorski]

134. *serang* (z hind.) — tubylczy bosman albo kapitan statku dowodzący załogą krajowców. [przypis edytorski]

135. *zarośla mangrowe* — namorzyny, przybrzeżne zarośla słonowodne. [przypis edytorski]

136. *kliper* — rodzaj szybkiego żaglowca z XIX w. [przypis edytorski]

137. *bark* — trójmasztowy żaglowiec z ożaglowaniem rejowym na pierwszych dwóch masztach a gaflowym na ostatnim. [przypis edytorski]

138. *chronometr* — bardzo dokładny zegar stosowany w nawigacji. [przypis edytorski]

139. *Ivy* — imię znaczące (ang.: bluszcz). [przypis edytorski]

140. *reda* — akwen przed wejściem do portu. [przypis edytorski]

141. *kulis* — niskopłatny robotnik azjatycki. [przypis edytorski]

142. *Sikh* — wyznawca sikhizmu, religii indyjskiej łączącej elementy islamu i hinduizmu. [przypis edytorski]

143. *rotan* — także rotang bądź rattan, palma wykorzystywana m. in. do wyplatania mebli. [przypis edytorski]

144. *panama* — rodzaj letniego kapelusza z szerokim rondem. [przypis edytorski]

145. *niepodobna* (daw.) — nieprawdopodobne, niemożliwe. [przypis edytorski]

146. *prau* — właśc. *proa*, łódka żaglowa z bocznym pływakiem ułatwiającym jej utrzymanie równowagi. [przypis edytorski]

147. *lando* — rodzaj powozu konnego. [przypis edytorski]

148. *Kochinchina* — francuska kolonia na południu obecnego Wietnamu. [przypis edytorski]

149. *fracht* — opłata za transport towarów. [przypis edytorski]

150. *rad* (daw.) — zadowolony. [przypis edytorski]

151. *prau* — właśc. *proa*, łódka żaglowa z bocznym pływakiem ułatwiającym jej utrzymanie równowagi. [przypis edytorski]

152. *sampan* — rodzaj azjatyckiej łodzi wiosłowej. [przypis edytorski]

153. *serang* (z hind.) — tubylczy bosman albo kapitan statku dowodzący załogą krajowców. [przypis edytorski]

154. *tuan* (mal.) — pan. [przypis edytorski]

155. *perkal* — rodzaj cienkiego płótna bawełnianego. [przypis edytorski]

156. *porać się* (daw.) — zmagać się. [przypis edytorski]

157. *zarośla mangrowe* — namorzyny, przybrzeżne zarośla słonowodne. [przypis edytorski]

158. *aluwialny* — powstały z osadów naniesionych przez rzekę. [przypis edytorski]

159. *mangrowia* — namorzyny, przybrzeżne zarośla słonowodne. [przypis edytorski]

160. *sążeń* — daw. jednostka długości. [przypis edytorski]

161. *wymiarkować* (daw.) — zrozumieć. [przypis edytorski]

162. *laskar* — indyjski marynarz. [przypis edytorski]

163. *laskar* — indyjski marynarz. [przypis edytorski]

164. *kil* — stępka, najniższa belka statku ciągnąca się od dzioba do rufy. [przypis edytorski]

165. *snadź* (daw.) — widocznie. [przypis edytorski]

166. *hulk* — statek na stałe przycumowany w porcie, wykorzystywany np. jako mieszkanie. [przypis edytorski]

167. *karawela* — typ jednopokładowego żaglowca z XV–XVI w. [przypis edytorski]

168. *radża* — lokalny władca w Indiach. [przypis edytorski]

169. *sarong* — długi pas materiału owijany wokół bioder, by uformować z niego spódnicę. [przypis edytorski]

170. *betel* — liście krzewu o tej samej nazwie, stosowane jako używka. [przypis edytorski]

171. *rotan* — także rotang bądź rattan, palma wykorzystywana m. in. do wyplatania mebli. [przypis edytorski]

172. *drewno tekowe* — gatunek drzewa podzwrotnikowego używanego m. in. do budowy okrętów, ze względu na fakt, iż słabo wchłania wodę. [przypis edytorski]

173. *jąć* (daw.) — zacząć. [przypis edytorski]

174. *gazon* — ozdobny trawnik z krzewami. [przypis edytorski]

175. *folgować* (daw.) — nie ograniczać się, pozwalać sobie na coś. [przypis edytorski]

176. *wojna w Atjeh* — podbój ostatniego niezależnego sułtanatu w Indonezji, dokonany przez Holendrów w 1904 r. [przypis edytorski]

177. *postępuję z wielką względnością* — postępuję bardzo ostrożnie. [przypis edytorski]

178. *z wylaniem* — dziś popr.: wylewnie. [przypis edytorski]

179. *imać* (daw.) — chwytać. [przypis edytorski]

180. *mizantropia* (z gr.) — niechęć do ludzi. [przypis edytorski]

181. *wytknąć* — tu: wytyczyć. [przypis edytorski]

182. *niepodobna* (daw.) — nieprawdopodobne, niemożliwe. [przypis edytorski]

183. *wcale* (daw.) — całkiem. [przypis edytorski]

184. *samodziałowy* — wykonany z tkaniny wyprodukowanej na ręcznym warsztacie. [przypis edytorski]

185. *fumy* — kaprysy. [przypis edytorski]

186. *Ada, tuan* (mal.) — tak, panie. [przypis edytorski]

187. *laskar* — indyjski marynarz. [przypis edytorski]

188. *stewa* — część szkieletu okrętu. Stewa dziobowa — zakończenie dziobu. [przypis edytorski]

189. *baksztag* — lina wzmacniająca maszt a. komin z boku. [przypis edytorski]

190. *Krezus* — bogacz (od imienia króla staroż. Lydii). [przypis edytorski]

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur:
Fundacja Nowoczesna Polska
KRS 0000070056

Pomóż uwolnić konkretną książkę, wspierając zbiórkę na stronie wolnelektury.pl.

Przekaż darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji.

Ten utwór nie jest objęty majątkowym prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/conrad-mlodosc-i-inne-opowiadania

Tekst opracowany na podstawie: Joseph Conrad, Młodość i inne opowiadania, tłum. Aniela Zagórska, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1956.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (http://wolnelektury.pl). Reprodukcja cyfrowa wykonana przez fundację Nowoczesna Polska z książki udostępnionej przez Agnieszkę Kozioł.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Bartłomiej Nawrocki, Maja Skowrońska, Paulina Choromańska, Paweł Kozioł, Wojciech Kotwica.

Okładka na podstawie: marfis75@Flickr, CC BY-SA 2.0

Plik wygenerowany dnia 2017-03-22.